

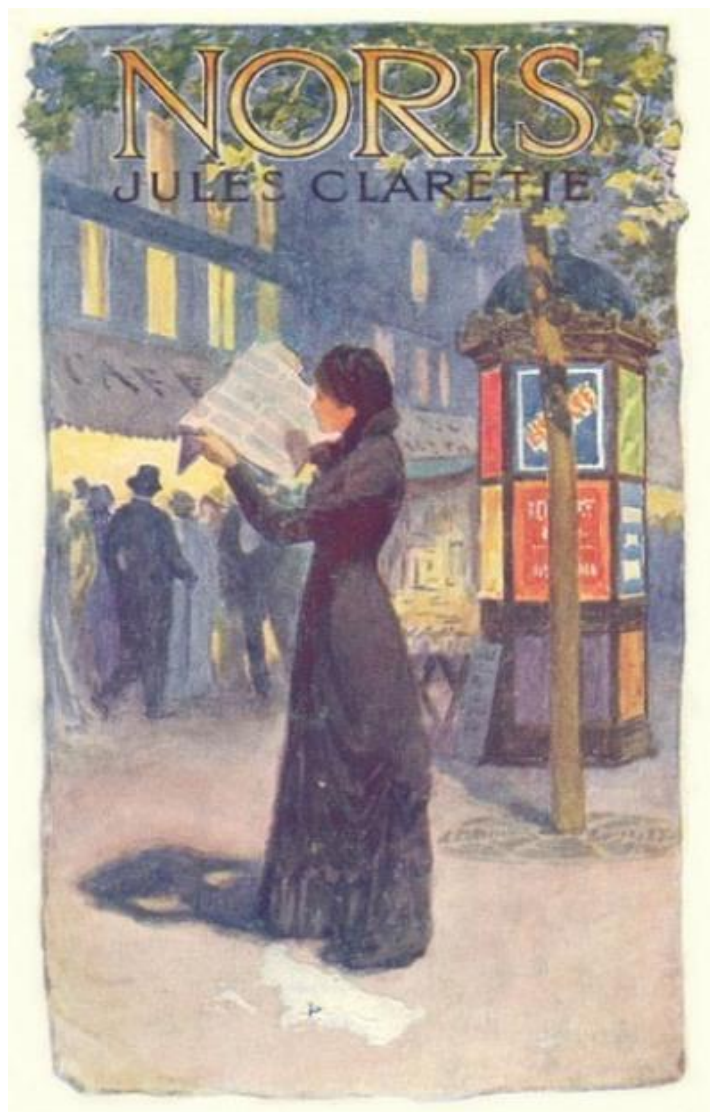


Claretie Jules

NORIS

Romans współczesny

Z francuzkiego przełożył Bolesław Londyński



Część pierwsza.

I.

Na placu Dauphine, nieopodal pałacu sprawiedliwości, którego potężny biały korpus jasno zarysowywa się na tle nieba, pewnego wieczoru w lutym, w porze, gdy ten trójkąt wysokich gmachów pokrywa się szarością zmierzchu, wsparta o framugę jednego z okien, otwartych na oścież, wprost schodów pałacu — siedzi kobieta.

Kobieta jest młodą, nadzwyczaj bladą, drży pod futrem, które ją przykrywa, i od czasu do czasu, wychylając się do połowy z okna, bada w oddali oczyma, zaognionemi gorączką, stopnie kamienne, po których zejdzie oczekiwana przez nią stara służka, Wiktoryna, mająca jej donieść, co orzekli przysięgli i jaki wyrok wydali sędziowie...

Sędziowie!

Któżby powiedział kiedykolwiek, że biedna Wiktoryna będzie zmuszoną udać się do pałacu sprawiedliwości, gdzie jej pan pod sądem i że ciężkimi krokami będzie zmuszoną powracać, ażeby powiadomić o rezultacie pannę Noris, znajdującą się tam w jednym z hotelowych, pokojów, wynajętych umyślnie na ten dzień okropny, ażeby się ukryć i czekać, tłumiąc łkania?

Tak, ktośby powiedział, ktoby jej śmiał w oczy to powiedzieć, jej wiernej
słudze?

Pan był przecie tak słodki, tak dobry! jak ciasteczko... A panienka, którą Wiktoryna wychowywała sama! Ach, panienka... To anioł prawdziwy!...

Noris czekała już od bardzo dawna. Przed chwilą, opuściła ten pokój, to okno otwarte, przebyła plac, weszła na stopnie schodów, popchnęła drzwi oszklone i zaczęła się przechadzać po wielkich salach, sąsiadujących z salą "Poprawczą", gdzie sądzą — gdzie sądzą jego, jej ojca! badając ludzi, którzy wychodzili, przysłuchując się rozmowom, studyjąc uśmiechy, starając się odgadnąć przypuszczalny wyrok na tych uśmiechniętych, albo zimnych twarzach adwokatów, których oczy pragnęły się przedostać po za woal tej przystojnej młodej kobiety, spacerującej z powagą w sukni żałobnej.

Nic, nic się nie dowiedziała!

Ciężki upał z galeryi des Pas-Perdu dusił ją. Głuchy stuk podeszew o kamienne tablice, obwiedzione dokoła czarnymi linjami, jak żałobne klepsydry, ogłuszały ją.

Pociągana upartym magnetyzmem, stawała mimowoli przed zagłębieniami w ścianie, gdzie na wielkich białych afiszach pod tragicznym tytułem: Więzienie Sądu przysięgłych, można było wyczytać z poza drucianych kratek imiona i nazwiska skazanych...

Wyciągi z akt więziennych!

Odczytywała je machinalnie, sylabizowała listę przestępstw: kradzież, nadużycie zaufania, szukała cyfry lat kary, poczem odchodziła ze zgrozą od

tego pręgiarza, gdzie zdało jej się, że czyta, że może czytać będzie, nie-szczęśliwa, nazwisko swego ojca!..

Sprawa kopalni Sierra-Fuente.

Dzienniki tyle piszą o niej od kilku miesięcy!

Musi być mnóstwo osób tam na górze w sali Nr....

Tak, tyle osób, jak wówczas, gdy po raz pierwszy była w sądzie z ojcem, Eugenjuszem Féraud. On szczyił się wtedy swoją piękną Noris, ona szczęśliwą była, że może się pokazać publicznie z tym szlachetnym i ukochanym człowiekiem, posiadającym talent, wielki talent, w jego starych zapomnianych romansach; tyle albo i więcej talentu niż mają, współcześni z ich dziwacznymi założeniami, prowadzonymi gadatliwie, z ich nieskończonymi określeniami i opisami!...

Noris powtarzała mu to często, a literat, niegdyś słynny, dziś opuszczony, pocieszał się po stracie czytelników pocziwym uśmiechem podziwiania swej wiernej, jedynej czytelniczki...

— Faktem jest, moja córeńko mawiał pocziwiec — że wszystko, co ja piszę, ty możesz czytać! Niech sobie co chcą mówią o mnie, ale jestem uczciwym człowiekiem.

Ach, wistocie zaczęto znowu mówić o nim, — o nim, o którym nie mówiono już tak dawno; — Eugenjusz Féraud był w modzie od czasu owej sprawy.

Dzienniczki, nieznające go nawet ze słyszenia, cytowały jego biografię, zarzucając mu jako zbrodnię, że "porzucił literaturę dla finansów" i "twórczość" swoją obrócił na to, ażeby zostać głównym sekretarzem — sprawozdawcą Towarzystwa kopalni Sierra-Fuente, Twórczość!

A jednak oddawna już nie dawała mu ona środków do życia!

Dziś, cały Paryż spoglądał na starca Féraud, siedzącego na ławie oskarżonych, pomiędzy dwoma narwanymi spekulantami, którzy go wciągnęli do sprawy.

I Noris, jak gdyby jej spojrzenia przebiły ścianę, uczuła na swem czole ogień oczu, przeszywających Eugenjusza Féraud.

Nie mogła długo wytrzymać w pałacu.

Zdawało jej się, że ironiczna ciekawość i szept oraz lornetowanie adwokatów prześladowe ją na każdym kroku.

Wróciła tedy na drugie piętro hotelu Henryka IV, i tam w otwartym oknie, rozdrażniona tak, że gryząc rękawiczki odrywała zębami po kawałku skóry, a przytem niespokojna i zalekniona, czekała na ukazanie się postaci swej starej służącej, która miała się ukazać, zgarbiona we dwoje, tam na tych schodach.

Pomimo, że mrok zapadał, Noris widziała wszystko, ogarniając czarnymi błyszczącymi oczyma ten olbrzymi budynek pokryty dachówką, na której wznosiła się wieżyczka ze złoconą chorągiewką.

Spostrzegła na białych schodach ciemne sylwetki prawników albo procesowiczów, którzy wchodzili i schodzili, przetwierając co chwila ciężkie drzwi, z głuchym trzaskiem, rozlegającym się dokoła.

Za kratą żołnierz z karabinem chodził miarowym powolnym krokiem w jedną i w drugą stronę, w grubej szarej sukiennej szyneli.

Wtedy, Noris, śledząc go oczyma liczyła jego kroki, wmawiając w siebie, że jeśli za pięć minut — cyfra nieparzysta — przejdzie tyle a tyle razy

w jedną i drugą stronę, to Eugenjusza Féraud uznają za niewinnego i uwolnią.

I zapalając się w rachubie, i nie dopuszczając uwięzienia, zaczynała liczyć na nowo.

Olbrzymie statuy kamienne, wyobrażające Prawo i Sprawiedliwość i stojące wprost pałacu, przerażały ją, dzięki swej obojętności katowskiej.

Odwracała głowę, jakby chciała zapomnieć o pałacu; badała plac: na dole handel korzenny, szyld wytarty anonsujący hotel; w którym sama zamieszkała tego

poranku, dalej skwer z kasztanami ogołocionymi z liści, z nawpół żywymi szkieletami drzew, tak były zaniedbane.

Przechodziły dzieci. Osób w ogóle mało; zajmowała ją gra cieni na pobielonym bruku.

Nareszcie, pulsa gorączkowo zaczęły jej bić w skroniach, i Noris powróciła do pokoju, obejrzała obicie zdobne w dziwaczne rysunki wyblakłych kwiatów, całą nędzę zajezdnego domu, a potem znowu spojrzała na te smutne gmachy, wyglądające z za okna, na tych odźwiernych sterczących przed nimi, na te stare mieszkania, czujące z oddali pleśń kompromitujących papierów sądowych, i nagle stanęła, przejęta do głębi, prawie zahipnotyzowana, szyldem redakcyjnym, wyrytym złotymi literami na tle zielonem: — Prawo, gazeta sądowa.

I dziewczę znowu zadrżało i znowu łkanie ścisnęło jej gardło, jak przed chwilą, tam, przed wykazem więziennym, przyklepionym do ściany, i zdało jej się, że nazajutrz czytać będzie mokry jeszcze, jakby zwilżony łzami, numer Prawa, w którym pod tytułem Sprawa kopalni Sierra-Fuente, po-

siedzenie z dnia lutego roku, wyczyta badanie Eugenjusza Féraud; zeznania tego skromnego i bojaźliwego starca, jego obawę wobec sędziów i prokuratorów, którzy ściskają sumienie jak palce gąbkę, i — jako następstwo badań, zgrozę jeszcze większą — potępienie ojca... Więzienie!...

Czytała, czytała to wszystko!...

I odgadywała ich, słyszała tych komentatorów, szykany tych wszystkich, co będą czytali to sprawozdanie jutro, w biurach redakcyi, w kawiarniach, wszędzie, ten numer, ten przekłety numer Prawa, gazety sądowej.

Noris często ulegała takim widzeniom, strasznym snom, tamującym jej oddech, były to jednak tylko widzenia i sny chorobliwe. Ale teraz!...

Krzyknęła nagle i pierwszą jej myślą było rzucić się do drzwi i biec szybko.

Tam, na schodach; w coraz zwiększającej się ciemności, spostrzegła właśnie dobrze znaną sobie postać kobiety zgarbionej i drżącej.

Wiktoryna! Wiktoryna wraca! Wszystko skończone. Uwolniono go!

Ale siły jej odmówiły posłuszeństwa i Noris wsparła się o okno, wlepiając

żrenice w tę postać, idącą tak wolno, tak wolno!...

Zdawało jej się, że stara kobieta opiera się o poręcz kamienną, ażeby nie upaść.

Poza nią, Noris szukała ojca.

Gdzież jest ojciec?

Ludzie opuszczali pałac, wszyscy ciekawi już wyszli. Konie ruszały z rogu ulicy de Harlay, powozy zabierały widzów, jak przy wyjściu z teatru.

Jego — nie było!

Dlaczego nie ma jej ojca?

A więc skazany?... Ale nie, uwolniony przez Boga uwolniony!...

Nie mógł jeszcze tylko załatwić wszystkich formalności — ale przyjdzie niebawem.

A ona, jego córka, jakże szczerze zawiesi mu się na szyi, jak go serdecznie powita!

Ach, temi ustami spalonymi gorączką pocałować tę siwą brodę, to poczciwe oblicze ojcowskie!

Stara już jest na placu, idzie wolno, dźwigając z ciężarem lat, ciężar tajemnicy o rezultacie sprawy.

— Prędzej, prędzej!

Noris miała chęć krzyknąć na wiatr z jednego końca placu na drugi.

Ale cóż, Wiktoryna nie usłyszałaby przecie!

— Za chwilę, za parę sekund już będzie!...

Serce młodej kobiety doznawało uczucia, jakby było klute szpilkami.

Zdobyła się wreszcie na otworzenie drzwi, i wyprostowana, sztywna, przygotowana na wszystko, stanęła w nich, czekając na Wiktorynę, której kroki słyszy już na schodach, coraz wyżej, wyżej, już na progu.

Ale skoro spostrzegła ją wchodzącą do mizernej hotelowej stacyjki zmienioną, z twarzą, zazwyczaj ogorzalą, teraz białą jak gips, Noris uczuła pot śmiertelny na czole. Zdołała wyszeptać tylko:

— I cóż?

Wiedziała zawczasu, co odpowie Wiktoryna.

Ruina wszystkich nadziei, nawał przeróżnych wzruszeń przekształciły tę biedną staruszkę w idyotkę.

Skazany!...

Wiktoryna nie powiedziała tego wyrazu, ale panna Féraud odgadła wszystko.

Powtórzyła raz jeszcze.

Po chwili, głosem drżącym i jakby dotkniętym dusznością, spytała:

— Na ile lat?

Stara nie śmiała odpowiedzieć, spoglądała na Noris, przesywała ją wej-
rzeniem psa wiernego.

Załamano ręce w rozpacz.

Nie płakała, głowa jej tylko jak bania pusta, spadała to w jedną to w drugą stronę na jej zgarbione ramiona.

— Na ile lat? — spytała Noris, u której z pod czarnego woalu stara mogła dostrzedz tylko błyszczące oczy.

Służąca wahała się przez chwilę, nareszcie, po dwukrotnym wysiłku szepnęła:

— Pięć!

Na pięć lat! Mimowoli, gwałtownym ruchem córka Eugenjusza Féraud zwróciła się ku pałacowi, który z każdą chwilą coraz bardziej zaciemniał się w mgle wieczoru, i rzuciła nań spojrzenie wściekłości.

To tam, w jego wnętrzu, tam spoliczkowano całą przeszłość jej ojca!...

I on jest jeszcze tam, on, skazany, zmiażdżony tym wyrokiem!...

Noris miała chęć zawołać do tych, co go osadzili:

"Bezwstydni! Bezwstydni albo źli! Nie odgadliście prawdy, nie odgadliście tego, co jest w głębi duszy biednego ale uczciwego skazańca!"

Skazany, skazany na pięć lat! Chodźmy, chodźmy tam jeszcze, Wiktoryna źle słyszała. Najwyższa kara miałaby spaść na niego, Eugenjusza Féraud, który nie wiedział nawet o co idzie w całej tej sprawie Sierra-Euente, bo wszak ona, Noris, rozmawiała z nim o tej sprawie!... Największa kara dla niewinnego!..

— Ach, panienko... biedna panienko — mruknęła z kolei służąca, mnąc swą mokrą chustkę... gdybyś słyszała, co mówił prokurator... gdybyś słyszała, co oni mówili do pana!... Co oni mu wymawiali!... Wszystko... A czy ja wiem, skąd im to wszystko przyszło do głowy?... Wszystko... Chciałam zawołać do nich, że kłamią, że kłamią, że nie znają pana, że pan, to najlepszy z ludzi... Nie śmiałam. Nie mogłabym zresztą. Miałam duszność... Dlaczego mnie nie wezwali na świadka? Jabym im powiedziała dopiero, czym jest mój pani Jabym im to powiedziała! Jak oni śmieją zarzucać cokolwiek bądź takiemu szlachetnemu człowiekowi, jak mój pani,..

Ci inni, zarówno Verignon, jak Paludet — to łotry! Ale pan...

I z kolei, ona teraz zbliżyła się do okna, przesywając wzrokiem pałac sprawiedliwości, podczas, gdy Noris wsparta o ścianę, zgnębiona, powtarzała tylko gorączkowo:

— Pięć lat!

Mimowoli spytała:

— A inni?

— Jacy inni?

— Vérignon....

— On?... Pięć lat!... Także pięć lat i pan Paludet!... Wszyscy po pięć lat!..!

— Biedny mój ojciec! — rzekła Noris. Zrównany z temi łotrami i ukarany jak oni!... O nędzni, o podli!

I w tych wyrazach, rzuconych na wiatr, było tyle gniewu na sędziów, którzy nic nie odgadli, nic nie rozpatrzyli, nic nie zrozumieli, jak i na współników, którzy oszukali Eugenjusza Féraud i pociągnęli go za sobą do tak haniebnego upadku w grzązkie błoto!

Porwała szorstko rękę służącej, zdziwionej taką energią "panienki."

— Chodź, biedna Wiktoryno! Nie trzeba tracić ducha... Trzeba się bronić!...

— O tak, tak, panienko!...

Stara odpowiadała sama nie wiedząc co mówi, trochę jednak zmęczniona na widok "panienki" tak nie tracącej energii.

— Taki wyrok można obalić!

— Naturalnie, panienko, i ja tak myślę...

Noris machinalnie opuściła woalkę i z poza niej spoglądała na ten wielki gmach, w którym jej ojciec, potępiony, jęczący pewno z bólu, płakał może jak stare dziecko, w jakim kącie. Łkanie, rozsadzające mu piersi, wystąpiło pod postacią wyrazu bólu i goryczy na twarz Noris, i niezadługo, ze smutkiem, pośród tego zapadającego zmierzchu, w tej północy; gdyż zapalano już latarnie i światła zaczęły błyszczeć tu i owdzie, jak oczy — młoda dziewczyna posłała długi pocałunek, czuły, namiętny, dla tego, który był tam w tych murach, a może w powozie, unoszącym go przez całą długość

Paryża, daleko, na przedmieście, gdzie cmentarz graniczy z więzieniem, w górę Roquetty do Mazas.

Następnie opuściwszy okno i wysławszy ten pocałunek, Noris jeszcze raz zadrzała, spostrzegając widzialne pomimo cieniu, żółte litery szyldu: Prawo... Sądowa...

— Jedźmy, jedźmy ztąd jak najprędzej!

Chciała spiesznie opuścić nędzny pokój hotelowy, w którym ukryła niepokój córki, tak jak inni — o czym nie wiedziała zapewne — ukrywali tu, w pośród tych zimnych i obdartych ścian rozkosze miłości.

Zdawało jej się, że w małym mieszkanku, dokąd się pragnęła udać, czeka na nią ojciec, ten drogi, niewinny biedny ojciec...

Dała adres woźnicy, na ulicę Brochant, tuż przy skwerze des Batignolles, i podczas, gdy siedząc w fiakrze tworzyła tysiące planów, szukała w myślach deski ratunku, musiała słuchać wyrzekań Wiktoryny skurczonej w drugim rogu fiakra.

— To oni, to oni — łotry, ale nie mój pan!...

I pytając siebie samej — siebie, córki bez matki, samotnej w tym wielkim Paryżu, który jutro szyderstwem tylko napiętnuje nazwisko Féraud, — pytając siebie, do kogoby się udać, ażeby zakwestyonować słuszność wyroku, ażeby zaapelować, marzyła naturalnie o jedynej istocie, która po ojcu zajmowała jej umysł.

— Czy wiesz, Wiktoryno, gdzie mieszka pan de Chantenay?

— Książę? Wiem, panienko. Pan mnie kiedyś posełał odnieść książkę do hotelu Chantenay, w parku Monceau. Czy panienka chciałaby żeby pan de Chantenay zajął się panem? Tak?

— Tak — odparła Noris. Odniesiesz do niego list dziś jeszcze.

II.

Zapomniane dzieła Eugenjusza Féraud miały powodzenie dawniej, w owych czasach, kiedy romanse in octavo w żółtych okładkach zapełniały gabinety do czytania.

Bawił on pokolenia czytelników, dziś zestarzałych jak on sam, albo tych, których ślad dziś zaginął, bawił nie dla zysku, zadawalniając się drobną zapłatą; — potrzeba im było łez i okropności, tworzył je też i produkował z godnym podziwu uporem, aż powoli, stopniowo, autor tych romansów uczuł się opuszczonym przez tłumy, wzgardzonym, podobnym do owej porzuconej na brzegu łodzi, podczas gdy statki nowe, kokietyjne i szybsze w biegu, spuszczano na morze.

Eugenjusz Féraud miał wówczas lat sześćdziesiąt; w czterdziestym roku życia przybył z Brest, dla ogłoszenia drukiem swych pierwszych utworów.

Miał lat czterdzieści, które z wytrwałością murarza zasklepił mnóstwem jednobrzmiących romansów.

I koniec końcem, bez majątku, widząc, że zamykają się skwapliwie przed nim drzwi biur redakcyjnych, gdzie siwe włosy przerażają, jeśli nie zdobi ich śnieżnego połysku, jeden bodaj listek lazurowy, pytał siebie pewnego poranku, co ma teraz przedsięwziąć...

Ach, gdyby był sam jeden na świecie, cóż łatwiejszego?

Zakopać się można w jakim wiejskim zakątku i żyć po chłopsku za owe cztery grosiki, które pomimo wszelkich przeciwności, zdołało się odłożyć w ciągu długich lat pracy!

Ale czyż mógł skazać Noris na tę smutną egzystencję małomiastecz-kowiczów?

Ona stworzoną była dla Paryża. Tak cudnie piękna, w pełnym rozwoju swych czarownych wdzięków!

Szczupła i blada, cienka jak arabka, a przytem paryżanka aż do szpiku kości, Noris, paryżanka z kontrastem powagi i żywości, jak jej matka, kre-olka, córka agenta marynarki, którą Eugenjusz Féraud poślubił, dochodząc już do czterdziestki, będąc naówczas panem swego losu i marząc o świetnej przyszłości nie tyle dla siebie ile dla swej małżonki!

Matka Noris odumarała ją zbyt wcześnie.

Eugenjusz mówił teraz do siebie:

— Straciłem dziesięć lat, najlepszych w mem życiu, na opłakiwanie jej straty!

Dla niej jednej spodziewał się nagrody za swoje prace, sukcesów w te-
atrze, owacyi po przedstawieniach, gorączki tłumów, szalonych odgłosów
braw i oklasków.

Ale ona znikła, i on skazał na zwiędnięcie własne projekty, jak kwiaty bez powietrza.

I po cóż zabiegać, jeżeli ona nie będzie przyklaskiwać temu? Radość jest wtedy prawdziwy, gdy ją podzielać z kim można.

Dopiero gdy Noris podrosła, biedny Féraud, uczuł się nieco podniesio-
nym na duchu.

Całe życie stracone w ukochanej nieboszczce, odnalazł w tem dziewczęciu, naturze szlachetnej, pełnej ognia i namiętności, trochę zbyt romantycznej może, ale czyż to staremu romansopisarzowi wypadało robić wymówki córce, że ukochała to, co jest najlepszego na świecie — fantazyę? Czyż to nie on sam upoważnił ją poniekąd do tej romantyczności, dając jej imię Noris, które uważał za harmonijne i które mu przypominało jego pierwszy romans zatytułowany: Dinorah albo Rozbójnicy morscy.

Dinorah, zkąd przez skrócenie Nora; że jednak imię to wydawało się zbyt smutnem matce, zmieniono je więc na Noris, które miało w sobie słodki odcień starożytności.

— Dla czego nie nazwać jej tak jak mnie, Zuzanną? — spytała matka.

A romansopisarz na to:

— Tak, Zuzanna, wiem... Zuzanna — bardzo ładne imię... Ale nie gniewaj się — to trochę mieszczańskie imię, pospolite. Pomyśl tylko: Zuzanna jako tytuł dzieła — to nie uderza... Gdy tymczasem Dinorah... Sora... Noris... Wiesz przecie; że ja wierzę w wpływowość imienia, jak Stera... Otóż, Noris powinno dać szczęście naszej drogiej córce!.. Noris! Zdaje mi się, że widzę dużą dziewczynę, prostą jak lilja, z dumą i powagą starożytnych. Wierzaj mi to romantyczne, bardzo romantyczne!

I wychowawszy córkę w ten sposób, czyż i on nie był także fantastą, on, biedny człowiek, i czy znał dokładnie części składowe niesfornego mechanizmu współczesnych obyczajów? Żył on w wymarzonych krajach idealnego spokoju, w krajach nieprawdopodobnych, wraz z rabusiami amerykańskimi lub pariasanii Indyi.

W pięćdziesiątym roku życia z uporem manjaka pisał dalszy ciąg przygód z czasów, kiedy miał lat trzydzieści.

Zaczynał i odkładał swe stare historye, nie chcąc mieć za nie sławy nazajutrz, jak niegdyś, ale chcąc mieć chleb powszedni, dochód na edukację Noris, którą chciał wykształcić i wychować bez zarzutu, jak księżniczkę.

Pragnął, ażeby córka nauczyła się wszystkiego: rysunków, muzyki, malarstwa, i ażeby jej wzorowa intelligencya rozwijała się we wszystkich odzieniach, na pełnym słońcu.

Wiedza i piękność Noris były jego dumą. Nieraz przerywał sobie pracę nad grubym romansem, pełnym morderstw, ażeby usiąść przy córce i odtworzyć w swej myśli, przy dźwiękach melodyi Mendelsohna, które ona grała, melancholijne poezye z dwudziestego roku życia.

Ten "głos domu" jak nazywał fortepian Noris, był także głosem jego przeszłości, czasów, gdy marzył o pisaniu wierszy, — "tak, wierszy Noris, dramatów wierszem, z bohaterami w purpurach, wierszy, które z komedyi francuzkiej zaprowadziłyby mnie do akademii... jak wielu innych.... Ach! Piękne zamki na lodzie budowało się w dwudziestym roku życia!"

I bez smutku, wobec zrujnowanych marzeń i zwichniętego życia, zwichniętego lub steranego, gdyż trzeba było żyć, — pocziwiec wracał do swych foliałów i pisał dalej swe banalne powieści: to samo porwanie młodej dziewczyny, ten sam pojedynek, to samo otrucie, odwieczna zbrodnia i morderstwo, spór dziedziczny, fałszywy testament, odnalezione dziecko, kłótnia dwóch matek — podczas, gdy przez uchylone drzwi, romans Mendelsohna, z pod palców Noris; przynosił mu echo zamarłych nadziei i zgasłych piosenek...

I to wystarczałyby do szczęścia staremu Féraud, gdyby nagle te same historye nie wydały się czytelnikom naiwnie kopjowane z dawnych i gdyby dzienniki nie zostały znużone temi pojedynkami, temi morderstwami, tym sporem dziedzicznym i testamentem dzielonym tyle razy!

Ta mierność literacka wystarczałyby mu. Mieszkanko urządzili sobie przy ulicy Brochant dosyć przyjemnie, a Noris tu i owdzie upiększała je wrodzonym sobie smakiem i gustem, tak, że nawet miało pozory zbytku.

Tu wstążka, tam aksamit, na kominku jakieś złocone cacko postawione jakby od niechcienia, a przytem hafty Noris, kwiaty, które lubiła, odświeżały pogodnym uśmiechem ten mieszczański kącik, pełen książek i papierów, ale zwrócony ku słońcu i odbijający w sobie skoczne cienie drzewek, rosnących na skwerze.

Tak, byłby szczęśliwy.

Ale, powoli, stopniowo, Eugenjusz Féraud dostrzegł, że zamykają się przed nim drzwi redakcyj.

Wydawcy, do których pisywał, nie odpowiadali mu; gdy się chciał z nimi widzieć osobiście — starzec sześćdziesięcioletni, cierpliwszy niż dwudziestoletni młodzik — nie przyjmowali go, wymykali się tylnymi drzwiami, odmowę łagodzili, pozorem nieobecności.

"Później!... Ach! ileż mam gotowych rękopismów!... Zawalony jestem formalnie!...

Ukłony pięknej córeczce!... Cały sezon mam zajęty przez romans Jouveneta".

Noicy — Jouvenet! A on Féraud, już był stary, zużyty, niemodny, przepadł!...

"A więc moje powieści już nie mają powodzenia!.. A przecie nie różnią się niczem od pierwszych, które pobudzały do łez dawne czytelniczki!... Ale — moda!... Na modę nie ma ratunku!..."

I powracał na ulicę Brochant, głęboko dotknięty moralnie.

Spoglądał z boleścią na te zaczernione foliały, na te massy papieru zapisanego, którego dzisiaj nikt nie chciał kupić...

Nieraz miał chęć rzucić to wszystko w ogień...

Popiół!.. Tak wszystko popiołu tylko było warte!...

W jednej właśnie z takich chwil przygnębienia, Eugenjusz Féraud spotkał Vérignona, awanturnika, spiskowca, założyciela banków, wślizgującego się, jak wąż do miski z mlekiem, do wszystkich syndykatów i osiadającego tam następnie jak szczur w serze; wspólnik Rodillona i Moliny, raz wierzyciel, to znowu dłużnik, subtelnym węchem odkrywający drogę do tej bezdennej Kalifornii, która jest niczem innym, jak łatwowiernością głupców, lub zaufaniem nieopatrznych.

Vérignan szukał pomocników, znał Férauda. Nazwisko starego pisarza było szanowane; towarzystwo kopalni Sierra-Fuente potrzebowało sekretarza, autor zaś Pionerów z Kanady musiał znać sztukę oślepienia oczu ludzkich, najdrobniejszymi kawałkami miedzi, jak gdyby były bryłkami złota..

Ponieważ Féraud dbał bardzo o tytuł, zredagowany został przeto raport przez J. B. Paludeta inżyniera-technologa nowej sprawy, mocą którego Féraud przystępował do "Sierra-Fuente" na prawacli fundatora! Dość mu było powiedzieć tylko tak!

Verignon w ten sposób wyłudził od niego, pod pozorem kaucyi, część skromnych oszczędności biedaka, który przyjął wszelkie propozycje, i przystąpił do dzieła z niezwykłym wybuchem wdzięczności.

Ach, jakaż to radość była dla tego pogardzonego pisarza romansów, obudzić się pewnego poranku z pięknym tytułem "Sekretarza głównego" w przedsiębiorstwie finansowem, o którym tyle pisano w dziennikach!...

Widział nazwisko swoje drukowane jak niegdyś w owych czasach, gdy ogłaszał drukiem Rycerzy z Nawai, a przez wybryk mózgowy dość zwykły u niego, czytając ogłoszenia Verignona opłacane przezeń tylko drobnymi zaliczkami albo akcjami towarzystwa, biedny literat wyobrażał sobie, że szło tam o jedno z jego dzieł w tej całej operacyi Sierra-Fuente, gdzie zamieszane jego nazwisko, dowodziło, że jest to tytuł jakiegoś zawikłanego dramatu albo pięknego romansu, który on miał opublikować, a w dziennikach robiono mu tylko przedwstępne reklamy.

Czuł się podnieconym, pobudzonym, młodszym o całe lata, dzięki tej sprawie.

Wygodny fotel, poważny i masywny, w kształcie małego tronu, na którym siadywał teraz w pięknym biurze przy ulicy Taitbout, zachwycał go tak, jak ów inny fotel niedościgniony, o którym tak długo marzył, mieszczący się tam, przy moście Pont des Arts, pod złoconą wieżą!... Sen to był złudny!...

Ale dziś, jakież słodkie przebudzenie: staranny strój, duża wspaniała widna sala, to wejście uroczyste do lokalu, zajmowanego przez towarzystwo, w asystencyi woźnych bardziej majestatycznych, aniżeli ministrowie, chłopców w zielonych mundurkach uczesanych jak generałowie, a udeko-

rowanych w świecidełka jak dyplomaci, te ukłony urzędników i akcyonaryuszów, dających biednemu i zapomnianemu literatowi, wczoraj jeszcze mieszkającemu przy ulicy Brochant jak wyrobnik, tytuł uroczysty: Pan Sekretarz Główny; — całe to nowe życie nieznane i jakby urzędowe, napawało Eugenjusza Féraud dumą, radością i niewypowiedzianą rozkoszą!

Ten dobry Vérignon! Byłby go ucałował. Co to za mecenas, ten Vérignon, jaki protektor!

— Dziwna rzecz — mówił niekiedy do Noris. Ten Vérignon nie podo-
bał mi się wcale, z tą swoją łysą głową, szaremi faworytami, z tym wyglą-
dem angielskiego pastora, łączącego w sobie przymioty paryskiego klu-
bowca. Znałem go dobrze, bo iluż ja ludzi znałem onego czasu (Féraud
kładał zawsze melancholijny nacisk pod wpływem zrujnowanych nadziei na
te wyrazy onego czasu), a przy spotkaniu unikałem go zawsze... Tak, uni-
kałem.... jakże tyłem głupi! A przecie to on, ten drogi Vérignon, miał być
przyczyną mojej fortuny i twojej, droga Noreczko, i twojej!... Czy jesteś
zadowolona teraz?

— O tak, jeżeli ty jesteś szczęśliwy, ojczulku — odpowiadała Noris, da-
jąc wolę także ze swej strony, fantazyi i sięgając swemi głębokimi oczyma
bardzo daleko i bardzo wysoko.

Co jednak nudziło trochę Eugenjusza Féraud, to to, że nie wymagano od
niego wielkiej pracy przy ulicy Taitbout.

Nie chciał mieć na starość łaskawego chleba, przeciwnie, pragnął roz-
winąć całą energię.

Kiedy więc Vérignon poprosił go o zredagowanie, dla poparcia sprawy i
to na pierwszą sesję akcyonaryuszów, jednego ze sprawozdań o sławnych

kopalniach Sierra-Fuente, które za jakąąbądź cenę należało "eksploatować" pan sekretarz główny wydał westchnienie zadowolenia.

Nareszcie, nareszcie, przydał się na coś! Teraz dopiero pokaże, co może zrobić człowiek, który pisał jeszcze za czasów Soulie'go, Dumas'a i Sue'go.

Kopalnie Chili były zresztą jego żywiołem.

Chili! Ależ to w Chili przecie odbywał się jego znakomity niewydany dramat, pod tytułem: Wąż czerwony!..

Nie widział wprawdzie nigdy Chili, ale przysiągłby, że zna je lepiej od okolic Paryża.

Kiedyś studyował stosunki hiszpańsko-chilijskie; Encyklopedia ojca Febres spoczywa dotąd jeszcze w jego bibliotece. Znał florę i faunę, narzędzia artystyczne i rolnicze tego całego kraju na palcach!

— Chili!... Ależ to moja sprawa!.. Napisałem trzy romanse, które się tam odbywają.

— Czytałem je — odpowiadał Vérignon. — Właśnie dla tego zaproponowałem panu przyłączenie się do naszego towarzystwa.

Proszę, proszę! Co to jednak za człowiek, ten Vérignon! Oczytany, pamięć ma rozwiniętą!

Czytał romanse chilijskie Eugenjusza Féraud! Tem lepiej!

I dziwić się tutaj, gdy się widzi niektórych finansistów, dochodzących do milionów, jeśli umieją wszystko, jeśli wszystko czytali, wszystko, aż do romansów amerykańskich pisarza, którego znać nie chce nowe pokolenie czytelników. Niewdzięczni!

To też Féraud przekona wszystkich, jak powinny być zredagowane te sprawozdania, które mu powierzano!

Chce, żeby były arcydziełami i będą arcydziełami.

Ach! włożył się całkowicie, duszą i ciałem, w te stronnice, na których dał wolę romantyzmowi, dołączając do notatek technicznych Paludeta, inżyniera kopalni, mnóstwo świetnych opisów, które miały dać czytelnikom pojęcie o całej wspaniałości nowego Eldorado.

Pochylony nad swoim referatem, zapominając, że szło tu o dokument finansowy, stary Férand wysiłał się, byleby tylko bardziej olśnić czytelników kopalni Sierra-Fuente, na wynajdywanie jaskrawych orzeczeń, barwnych jak papugi, skaczące tam, w lasach oliwnych i mirtowych.

Raj tak, nic innego, jak tylko raj opisywał z niewypowiedzianym zapalem apostoła dla olśnionych akcjonariuszów: ziemia urodzajna, wyspy zielone, jabłka wielkości głów ludzkich, brzoskwinie mające po funcie wagi!...

Z jednego drzewa z lasów chilijskich, pewien misionarz zbudował kościół na dwadzieścia metrów długości, przyczem wszystkie okna, drzwi, ołtarze i konfesjonały były wykładane drzewem z tej samej kłody lub z jej gałęzi.

W Andach, srebro, miedź i żelazo aż do zbytku; bryłki złota, błyszczące na ziemi, jak kawałki szkła przy świetle gwiazd; srebro w prowincjach Coquimbo i Copiapo, dające się podbierać beczkami i wywozić z portu Caldera!

Kopalnie złota w Petorce na terytorium chilijskiem!

Lapis-lazuli, dające się wywozić całymi mendlami!

Bogactwa chilijskie wychodzą z ziemi jako kwiaty siarczane!...

I Eugenjusz Féraud upajał się temi ojrisami, ciągnął w nich dalej życie pisarza, a raczej znowu stał się autorem romansu, i zapominając o Paryżu,

rzucił się w krainę fantazyi, w tę krainę nieznaną, która go przyciągała, przypominała mu opowiadania z dawnych czasów, fantazyjne wysoki młodzieńczej imaginacji: blade bohaterki o hebanowych włosach, walki fantastyczne, spacer po Kordylierach, ściganie i ucieczka do miejsc ochronnych, strzelanina do krów w lasach dziewiczych; słowem, cała czczość i melodramat starego romansu amerykańskiego, który wyrastał w jego wyobraźni z realizmem tym jaskrawszym, że pobudzały go cyfry Paludeta, powiększone przez VÉRIGNONA, a to wszystko, ażeby tylko tak niezwykle ubarwioną statystyką olśnić członków towarzystwa kopalni Sierra-Fuente!

Tak więc, doścignął swoich marzeń stary Féraud!

Te nazwy egzotyczne brzmiały mu w uszach jak miłosa harmonijna melodia; dla opisanie ich miał w ręku mnóstwo tytułów: "srebro z Charnasillo, miedź w piasku lub w bryłach z Tres-Picatas, wulkan San-Fernando, szkutnicy z Rio-Claro"; wszystko to umieszczał jak w dramacie, odnajdując odgłos radosnego dźwięku białych monet w wyrazie, który powtarzał bez końca, z głębokim zadowoleniem:

"Prowincye srebrne..." Srebrne!...

VÉRIGNON, po odczytaniu tego sprawozdania, był zachwycony.

Oświadczył, że nigdy, ale to nigdy, żaden ze zwykłych finansowych dokumentów nie miał takich świetnych zwrotów i doskonałości wykończenia.

Teraz dopiero można skaptować sobie tysiące akcyonaryuszów.

Jak się to stało, że taki mistrz tej nadzwyczajnej maszyny, nie dostał się dotąd do akademii?...

Nie, nigdy nikt tak mądrze nie przedstawił całej doniosłości przedsięwzięcia.

Naiwnie lecz poprostu, uwiedziony własnem piórem, upojony realizmem, Féraud chciał miejscami w raporcie tym ujawnić wspaniałe skutki poszukiwań kopalnianych, to też w jednym miejscu zaznaczył, że z przetopionej miedzi, wykopanej w przypuszczalnych skabrach Sierra-Fuente, można będzie robić doskonale cymbały!

— Brawo! — zawołał przeczytawszy ten ustęp VÉRIGNON — muzyka przedewszystkiem. I dalej w świat.

Czytał i odczytywał sprawozdanie, które miano ogłosić wraz z innymi artykułami pana Féraud w dzienniku giełdowym p. t. Złoto Chilijskie, specjalnie założonem dla protegowania interesów towarzystwa, i finansista dziwił się sam tym wspaniałym ubarwieniom i strojnym uprzymiotnikowaniami, które romansopisarz rozrzucił dokoła, jak piasek w oczy, ozdabiając nimi piasek złoty!...

— O, pan jesteś mistrzem, zacny panie Féraud.

— Och, och! — odparł ten skromnie, rumieniąc się aż po brzegi swej siwej brody, zawdzięczam to tylko wybornym uwagom pańskim, panie VÉRIGNON, i notatkom pana

Paludeta! Tylko ubarwiłem je trochę magicznym stylem. Styl ten nadaje pozór...

— Pozór?... A tak — mruknął VÉRIGNON, układając usta do dyplomatycznej tajemniczości.

A jednak ten "styl magiczny" nie-miał zaprowadzić Eugenjusza Féraud do akademii, ale raczej na ławę oskarżonych!

Nieszczęśliwy omal nie został tknięty apopleksją, skoro pewnego pięknego poranku, do jego wspaniałego biurka, pokrytego zielonym sukniem, w sali z pięknymi mappami Chili i kopalni Sierra-Fuente na ścianach, wszedł komisarz policyjny, położył rękę na księgach towarzystwa i pokazał panu sekretarzowi głównemu rozkaz, mocą którego on, "Eugenjusz-Filip, dwóch imion Féraud" jak się zwykł był podpisywać, zostaje aresztowanym.

Jakto! Aresztują jego, głównego sekretarza?

I na jakiej zasadzie?

Co uczynił?

Co się stało? Powody?...

Ale pan Vérignon był już na drodze do Mazas, siedząc w dorożce pomiędzy dwoma agentami!

Paludet miał udać się za nim.

Tak niespodziany wypadek ogłuszył i oślepił Férauda, jak upadek w przepaść.

Zdawało mu się, że leci w grzązkie błoto,

On ma się udać do Mazas!

Pytał siebie, czy to nie żart niesmaczny?

Po co do Mazas?

Sprawiedliwość popełnia wprawdzie omyłki, jak to miało miejsce w owych czasach, kiedy to się pisało dzieła fantastyczne, romanse kryminalne i melodramaty sądowe, jak Calas, Lesurques i Sroka złodziej.

A więc tak, i on jest niewinny, równie niewinny, jak służąca Palaiseau'na.

Nie zastanawiał się nawet, jakie mogą być następstwa tej pomyłki.

Wiedział dobrze, iż niewinność tryumfuje dopiero w piątym akcie.

Jego niewinność ujawni się publicznie wobec sędziów.

Mówił do Noris zgnębiony, ażeby była cierpliwą.

Kiedy przybywano do jego celi więziennej, ażeby prowadzić go do eksperta, który przy pomocy lupy — elementarny środek finansowy — badał księgi towarzystwa

Sierra-Fuente, powtarzał do policyantów i do eksperta:

"Pomyłono się co do mnie, przekonacie się panowie, że zaszła tu pomyłka!"

Twierdził, że sypiał snem sprawiedliwych.

W Mazas zabrał się do pisania nowego romansu, osnutego na tle ostatnich swoich badań, dotyczących Chili i Chilijczyków.

— Nie martw się — mówił do córki. — Wyjdę z całej tej sprawy z honorem... a nadto z pięknym dziełem!.. Donna Hermosa... To ładny tytuł... Będzie to "pendant" do mego pierwszego romansu: Dinorah albo Rozbójnicy morscy!...

Dinorah, romans, który przyrównano do Feminora! Tak, tak... Hermosa będzie jeszcze lepszą!

I opowiadał Noris, w rozmównicy więziennej, niespodzianki z treści przyszłego romansu.

Pytał co dzienniki pisały o jego uwięzieniu.

— Wszak mnie nie oskarżają, nieprawdaż?

— Nie... nie... przysięgam ojcu...

— Ale piszą o mnie?

— Tak, piszą.

— Dlaczego nie przyniosłaś mi ich do przeczytania?

— I po cóż?

— Jakto, po co? To pobudza, dodaje odwagi. Nie lękam się niczego; wiem, że nie zrobiłem nic złego... ani VÉRIGNON także, jestem tego pewien... Zaszła pomyłka... Ale pomimo to wszystko, radbym się upewnić, czy mamy za sobą prasę.

Przyniosła mu nareszcie kilka numerów z nielicznych dzienników, oświadczających się z sympatją dla autora Czerwonego węża.

Był wzruszony. W jednej z kronik dawano jego biografię. Danoby nawet jego portret, gdyby się był fotografował kiedykolwiek.

— Czy to nie zabawne, Noris? — zapytał — wydrukowałem pięćdziesiąt tomów, nie piszą nic o mnie! Zaprowadzono mnie do Mazas — podają moją biografię! Dziwne, doprawdy, dziwne!

Dziennik schował starannie. Przy pierwszym wyjściu z więzienia złoży wizytę reporterowi.

Dziennikarz był tem uprzejmiejszy, że Féraud nie znał go wcale.

Nie wiemy nieraz, kiedy i gdzie znajdziemy przyjaciół.

— Tak, tak — powtarzał sobie pocziwiec — są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Był tak przekonany, tak pewny w pomyślne ukończenie procesu, że z tym naiwnym spokojem podzielił się z Noris.

Ona nie rozumiała wcale tych wszystkich kombinacji finansowych, i z przestraczem widziała, że ojciec jej wszedł do sprawy kopalni Sierra-Fuente.

Ale w gruncie rzeczy, Vérignon nie był łotrem, a Eugenjusz Féraud, był uczciwym człowiekiem.

Musiało tu więc zajść tylko nieporozumienie. Niebawem rzecz cała się wykryje, dziś lub jutro.

Takie było zdanie Férauda: "Widzisz, sypiam spokojnie, Noris, jaknajspokojniej.

Czyste sumienie jest dobrą poduszką, nawet w Mazas... nadewszystko w Mazas!"

Zaufał do tego stopnia swemu optymizmowi, że bez żadnego strachu dowiedział się, że będzie sądzony w sali Nr....

Cóż ztąd? To może i lepiej. Rozprawy, bądź co bądź, będą publiczne. To co mówił na cztery oczy sędziemu śledczemu, temu nieczułemu biuraliście, to samo powtórzy wobec tłumu, zobaczymy, kto zwycięży.

— Sąd? Ja to bardzo lubię!.. Nawet wolę to... to rozjaśnia sprawę!

Podobało mu się, że "zrzuci z siebie kalumnję" przed pełną salą.

Poskarży się nawet na tych urzędników, którzy — nie do wiary! — domagali się od niego zdania sprawy w stylu i sposobie redagowania raportu...

— Piszczyki nie lubią autorów!. szukają teraz ze mną zaczepki literackich.

Literatura? Ależ oni nie słyszeli o jej istnieniu!..

Sądzą, że jego raporty są wątpliwe. Niech i tak będzie Zobaczymy, zobaczymy, niech no je tylko przeczyta głośno na posłuchaniu.

I owego dnia w lutym, podczas, gdy Noris, niespokojna, oczekiwała na koniec sprawy, siedząc przy oknie w małym numerku w hotelu Henryka IV

przy placu Dauphine, Eugenjusz Féraud starał się bronić swych sprawozdań, wyłożyć i odczytać przed tłumem, te świetne raporta o kopalniach Sierra-Fuente, o srebrze z Copiapo i piasku złotym z Petorca; bronił, ale ci sędziowie, głupcy, uznali je za przesadne i szkodliwe!

Szkodliwe!

Ależ on nigdy nie pisał mniej efektownych, mniej świetnych stronnic!...

W obliczu sądu, ten biedak zapalony, to dziecko o białych włosach na wpół

wypadłych, pełen nieurzeczywistnionych złudzeń, badany przez prezesa, nabrał dzisiaj odwagi.

Obalał oskarżenia niezręcznie z naiwną próżnością artysty, mającego wysokie pojęcie o swoim dziele.

Bronił swych sprawozdań i artykułów w dzienniku Złoto Chilijskie, nie z przebiegłością oskarżonego, który wślizguje się jak igła pomiędzy dwa artykuły kodeksu, ale z zapalem przesadnym autora, któremu śmiało zaprzeczać wartości literackiej w jego dziele

Jeszcze raz nie, nie, nie uznawał, nie godził się na te krytyki ze strony władzy. Wiedział dobrze, doskonale, jaką wartość miały jego raporty. Była to dobra proza, bardzo dobra proza. Zanadto ją wypieścił, ażeby mu kto zaprzeczał tego! Jakąż głupią kłótnię wszczynają z nim ci sędziowie!

I im bardziej go oskarżano, tembardziej się irytował, odpowiadając krótko, co ostatecznie miało znaczyć:

— Po co się wtrąacie? Ja wiem co to znaczy — pisać! Mam tego dowody!

Taki system obrony był nader smutny i nieprzystojny. Bezwarunkowo nieprzystojny.

Pocziwiec starał się olśnić trybunał czytaniem mu swej prozy, sądził, że tym sposobem podtrzyma swą opinią swą dawną literacką opinię!

Nie przypuszczał, nie przypuszczał nigdy, ażeby kazano mu zdawać sprawę ze źródła jego artykułów!

Zresztą, władza toć nie są krytycy do licha!

A gdy mu prezes wytykał przesadę opisów egzotycznych, Féraud odpowiadał.

— A więc tak, ja to pisałem. Ja to opisywałem, cóż ztąd?... Będę pisał jeszcze, a nikt nie napisze lepiej!..

— Ależ pan umyślnie w przesadnych barwach opisywałeś kraj, którego nie znasz! To oszustwo!

— Zrobiłem to, co robię całe życie: fantazyowałem.

Prawda nie może być tak piękną, trzeba ją trochę uzupełnić...

Taka odpowiedź wydała się skończonym egoizmem. W zaślepieniu Eugenjusz Féraud nie dopuszczał złych następstw swej obrony; nie wątpił ani na chwilę o pewności swej pozycji, aż do chwili, w której usłyszał, że uznano go za kłamcę, oszusta, łotra, pragnącego ruiny biednych współbraci przez tendencyjnie "kłamliwe" opisy.

Jakto! On śmiał imponować swoją przeszłością literacką, skoro popchnął do nędzy, a może do samobójstwa nieszczęśliwych, którzy wzięli jego słabe "naśladownictwo Chateaubrianda" za artykuły prawa? Nędza! Ruina! Samobójstwo!

Eugenjusz Féraud omal nie stracił zmysłów pod tym deszczem oskarżenia, składającego się ze strasznych wyrazów, spółwystępek, nadużycie zaufania, obietnice kłamliwe, kradzież.

Złodziej! On złodziej! Spółnictwo z bandą złodziei!

Czuł się zgnębionym, słysząc teraz, jak Vérignon, ze swej strony obwinił jego, Eugenjusza Féraud i zwał największą część odpowiedzialności w całej sprawie na pana inżyniera towarzystwa i na pana sekretarza głównego.

Był do żywego dotknięty taką bezczelnością Vérignona.

Był skonfudowany, zgnębiony.

Przedsiębiorca twierdził, że przypuszczał, iż Eugenjusz Féraud znał kraj, który opisywał, iż zbadał go gruntownie.

Artykuły dziennika Złoto Chilijskie, oparte na badaniach pana J. B. Paludeta, wydawały mu się bezwarunkowo prawdziwe.

Sam Vérignon zgadzał się na to.

Nie mógł przypuszczać, ażeby w szpaltach tak ważnego dziennika, pan sekretarz mógł pomieszczać romansowe elukuracye.

— Ale — wyjąkał Féraud w zgnębieniu — paneś mi dyktował te elukub...

Prezes przerwał mu.

Wtedy, kaszląc i tłumiąc łkania w gardle, biedak stał się purpurowym, uczył, że żyły sztywnieją mu jak struny na nabrzękłym czole i ujrzał się przyczepionym jak do pęgierza, do tego nędznego awanturnika, który, drwiący modniś, starał się zasypać trybunał, jak towarzystwo akcyonaryuszów, a którego spółnikiem czuł, że jest obecnie!

Spólnikiem i pajacem zarazem!

Sprawa Verignona i spółki.

O niegodny! Niegodziwy! Stary łotr wytrawny!

Wszystko kręciło się dokoła niego. Nie słyszał, nie widział nic. Sędziowie, Vérignon, inżynier Paludet, wydawali mu się jak za mgłą, jak cienie w latarni czarnoksiężskiej.

Miał ochotę wstać, krzyknąć głośno, przysiąc, że był niewinny, a czuł, że nie jest w stanie uczynić tego, że przy pierwszym słowie zalałby się łzami jak podły, wobec tych wszystkich ludzi, których tłumione szepty wydawały mu się gromem.

Cierpiał moralnie i fizycznie, jakby tknięty apopleksją i tylko jedna myśl uparcie przychodziła mu do głowy: jego córka!

Ta biedna Noris, która pewnie czekała gdziekolwiek, w jakim kącie tego olbrzymiego i ponurego pałacu i która dobrze zrobiła, że nie weszła tu, aby zobaczyć ojca opoliczkowanego publicznie, jak ten Vérignon; ażeby ujrzeć go padającego wraz z tym drugim łotrem, pomimo jego wiedzy i tytułu; ażeby przyjrzeć się temu niegodnemu widowisku; starą poczciwość siedzącą na jednej ławie z nędznem i wytrawnem łotrowstwem!

— Na szczęście — marzył Féraud, trapiiony bólem, gnębiony wstydem, podczas przemowy głównego prokuratora — na szczęście ona tego wszystkiego nie słyszy.

Biedaczysko przebył w tym dniu trzy różne fazy.

Gniew literata, oburzonego na tych, co śmieli krytykować wartość jego utworów; zdziwienie i zgrozę wobec zeznań i publicznego oskarżenia ze strony Vérignona, przygnębienie wobec wniosków prokuratora.

Wyrok ostatecznie zmiądzzył tego biednego człowieka, który zamilkł jak pod uderzeniem maczugi.

Wół, zanim upadnie, chwieje się długo!

Pięć lat więzienia! Pięć lat! Jak VÉRIGNON! Jak PALUDET, jego spółnicy!

Eugenjusz FÉRAUD chwycił się za głowę i pomieszany, sztywny jak kłoda, padł z łoskotem na ławę, na której siedział.

Myślano, że umarł.

Wyniesiono go, rozpiąwszy mu kamizelkę i zerwawszy krawat.

Przyszedłszy do siebie, nie wyrzekł ani słowa, pozwolił powodować sobą,

zaprowadzić się do powozu, zawieźć do MAZAZ, milczący jak skała.

Ludzie z konwoju spoglądali nań z ukosa.

Stary brygadyer mówił do drugiego:

W celi swojej, FÉRAUD, leżąc na wązkim łożu, z okiem wlepionym w ścianę, powtarzał bez końca jedno imię rozgorączkowanymi ustami, bezwładnie bredzącymi jak w malignie:

— DINORAH!... NORA!... MOJA MAŁA NORIS!. Sama jedna!.. Cóż się z nią stanie teraz! Co się stanie z mą biedną NORIS?...

III.

DINORAH, powróciwszy do tego małego mieszkanka, gdzie sądziła, że powróci z ojcem, doznała rozpaczliwego uczucia pustki i przygnębienia.

Zdawało jej się, że on umarł, on, ten ubóstwiany ojciec, że już nigdy nie przyjdzie usiąść koło niej!..!

Gdy otworzyła drzwi sypialni, w której, sądziła, że dzisiaj on spać będzie, zalała się łzami!

W sypialni było ponuro, ciemno, pusto i głucho.

Zapaliła lampę i przez chwilę wpatrywała się załzawionymi oczyma w portret Eugenjusza Féraud, wiszący tam na ścianie: twarz blada z długą brodą przy powierzchowności uczciwej i pogodnej.

— Biedny, drogi ojcze!

Więc tylko na obrazie może złożyć ten pocałunek, jaki pragnęła złożyć na czole uwięzionego, dziś wieczorem.

Stała czas jakiś, nie mogąc oczu oderwać od tego portretu, rozmawiając z nim pocichu.

Przez uchylone drzwi doleciał ją stuk talerzy, ustawianych przez Wiktorynę.

Przypomniała sobie wtedy, że zamówiła u kucharki dla Féraud potrawę, którą tak lubił: kurczę, jakie Wiktoryna przyrządzała wybornie, a które dziś napróżno oczekiwało na gościa, który już nie przyjdzie!...

Noris uczuła jakby pchnięcie sztyletem, wchodząc do tej sali jadalnej, gdzie było nakrycie dla jej biednego ojca.

Służąca kończyła zapalać lampę na brązowej podstawie, i światło jeszcze blade smutnie padało na to puste miejsce, to krzesło, tę serwetę złożoną, te szklanki i tę łyżkę, zbyteczne, bo już ich Eugenjusz Féraud nie dotknie dzisiaj!..

— Sprzątnij to, Wiktoryno — rzekła łagodnie. Przykrość mi to sprawia.

— Panienska przecież będzie jadła obiad?

— Nie jestem głodna.

— Trzeba jeść, trzeba się pożywać, podtrzymać siły. Panienska sama to mówiła przed chwilą w powozie... Jeszcze nie skończone i tak zostać nie może, muszą uwolnić pana!... Tak, tak, Bogu dzięki, jeszcze nie skończone!..

Machinalnie Dinorah przełknęła kilka kawałków mięsa, ale spieszyła się pisać, wezwać tego księcia de Chantenay który dla niej stanowił całą deskę ocalenia i który często mawiał do niej słodkim głosem:

— Nie masz pani lepszego przyjaciela odemnie.

Przyjaciela!

W myślach Noris, w jej tajemnych snach dziewiczych, księżę René Beaumartel de Chantenay był więcej niż wiernym przyjacielem, był raczej żywym ideałem snów pensyonarki, niedbającej o przyszłość kobiety, budzącej się zaledwie do życia.

Nie wiedząc o tem wcale, był on ukrytym bohaterem romansu tej prześlicznej egzaltowanej brunetki.

Noris łączyła w sobie zalety i wady dwóch ras, z połączenia których powstała: namiętna jak kreolka, którą była jej matka, marzycielka, jak ten bretończyk, który zwichnął jej całe życie swemi fikcyjnymi mrzonkami.

Być może, że już z samej natury, skłaniała się więcej na stronę ojca. W tej duszy i w tym mózgu młodej dziewczyny tkwiły te same romantyczne płomienie, te same fantazyje, co i w siwej głowie Eugenjusza Féraud.

Marzyła jak on o fantastycznych Eldoradach, marzyła nie o sławie, jak ongi jej biedny ojciec, ale o miłości...

Jakże nieodrodną była córą tego fabrykanta niemożliwych romansów!

Wmawiała w siebie nieprawdopodobne przygody, za które ongi płacono jej ojcu, a które ona pragnęła okupić łzami i gorączkową niespokojnością...

Podczas gdy w skromnym zakątku, wpośród ksiąg i rękopismów zaczęła czytać, jej pierwsze dziecinne marzenia, stopniowo rosły i wśród nich ujrziała jakby w świetlanej aureoli księcia Piękności z bajek o czarownicach, księcia Niebieskiego z zaczarowanych światów.

Nie miała jeszcze lat szesnastu, gdy już zaczęła o nim marzyć.

Pokazywał jej się, uśmiechał, błysnął swem barwnem ubraniem i zniknął, ulatniał się jak mały strumyk na słońcu.

Nie wiedziała jak się nazywał, ani gdzie mieszkał, ani czy był blondynem, czy brunetem, ten książę Niebieski jej marzeń dziewczęcych, przekształconych na marzenia dziewicze, ale wiedziała, że istniał gdzieś, na szerokim świecie, może bardzo blisko od niej, i czekała, aby go spotkać i powiedzieć:

— Otóż on, poznałam i kocham go!

Bardzo zresztą być może, że nigdy go nie spotka. Życie nie jest krajem czarownic.

Dinorah wiedziała o tem i była zdecydowaną na wszystko.

Otóż, jeżeli książę niebieski nie zjawi się przed nią, ten książę z owych bajek, które Wiktoryna i ojciec opowiadali jej tak często, wtedy zostanie wierną królowi piękna z cudownego kraju góry upojenia, niebieskich ptasząt i wysłanników miłości.

Noris miała upodobanie kołysać się w tej słodkiej żądzy niemożliwości, nieprawdopodobieństwa, zaczarowanych krajów i mrzonek.

Jej niebieski ksiązę mógłby wcale nie być księciem, byleby tylko zakochać się w nim mogła.

I Noris czekała, uśmiechnięta, wciąż wiążąc węzełkina krawacie Féraud i poprawiając mu kołnierz od tuzurka, dodając:

— Bądźże pięknym, chcę żebyś był pięknym, bardzo pięknym...

— Czy jak niebieski ksiązę? — pytał ojciec, bezwiednie przytakując marzeniom dziewczyny.

I oto, pewnego dnia, to dziecko, przekształcone w kobietę, uczuło niepomierne wzruszenie na widok młodzieńca pięknego, pełnego elegancji, nieco wyniosłego, uprzejmego, którego spotykała u Vérignona od czasu do czasu, i którego czuła na swych policzkach spojrzenie wciąż wlepione, błagalne i ostre zarazem.

Z początku, nie spytała nawet o jego nazwisko, a gdy jej przy stopniowo coraz większych jego nadskakiwaniach, wymieniono nazwisko: Ksiązę de Chantenay, roześmiała się na głos, potem zbladła, trochę z powodu zimna, które przebiegło po jej żyłach, i niepomiernie wzruszona, prawie omdlewiająca, wróciła do mieszkania przy ulicy Brochant, powtarzając z pewnym odcieniem obłędu wyrazy:

Ksiązę de Chantenay!

Ksiązę!... Może ksiązę niebieski? Kto to wie!

Noris widywała go w ten sposób kilka razy, w tej otchłani, gdzie jak wszyscy olbrzymi chwili, milionerowie z wypadku, główni redaktorowie przelotnych dzienników, Vérignon, założyciel towarzystwa kopalni Sierra-Fuente, przyjmował i zapraszał cały Paryż, jeżeli nie świat cały.

Książę de Chantenay, piękny młodzieniec, bardzo będący w modzie, którego ubranie a nawet spinki u mankietów wprowadzały w zdumienie reporterów z high lifu, Chantenay, kwiat młodzieży, chętnie przyjmował udział w tych zebraniach; artyści go bawili, finansisci mogli mu być potrzebni.

Zabijał czas u Vérignona tak dobrze jak w resursie, a czy kobieta nazywała się panną Féraud czy Blanką Tripier, rozmawiał z równym zadowoleniem jak z jedną tak z drugą.

Podobały mu się nawet rozmowy nieco swobodniejsze: to mu przypominało awanturki zakulisowe w małych teatrach lub w lożach opery.

W dwudziestym trzecim roku "miał już dosyć" dziewcząt renomowanych i kobiet większego świata.

Vérignon musiał mieć jaki plan ukryty, zapraszając księcia na swoje wieczory, na których zdaniem kronikarzy, zbierał się cały Paryż.

Książę był bogaty, pokazywał się niekiedy na giełdzie, mógł tedy zamaryżować o jakiej operacji finansowej.

"Książę Beaumartel de Chantenay."

Pyszne imię dla wydrukowania go w prospekcie!

Wszak wszyscy uwielbiali księcia René'go.

Bywał wszędzie i u wszystkich, idąc do klubu, wstępował do bankiera, wracając z klubu, wyśmiewał tego, którego wizytował przed chwilą.

Co mu się najwięcej podobało u Vérignona, to ta piękna dziewczyna, trochę naiwna, dzika, ale interesująca i pociągająca, która przychodziła tam wsparta na ramieniu zgarbionego starca o siwej brodzie.

Tą piękną była Noris Féraud!

— Ależ to typ, ta mała! — mawiał książę o niej.

Mała była właściwie duża, wysmukłą jak statua Odrodzenia, trochę szczupłą, wspaniała; włosy w puklach na obu skroniach, według starej mody kobiet z czasów pierwszego cesarstwa, dwoje czarnych błyszczących ogniem oczu, prawie bezlitosnych w owym uśmiechu, w gruncie iednak dobrych i szczerych; nosek zgrabny, trochę za długi z lekko drgającymi nozdrzami, głowa brunetki iście arabska, usta pełne i tak dziwnie ponętą zdobne ironią.

Chantenay znajdował w tej fizyonomii trochę egzotycznej, przypominającej cygankę w stroju współczesnym, czar, jakiemu się oprzeć nie był w stanie.

Czarowała go w niej przede wszystkim zachwycająca oryginalność postaci.

— Ta dziewczyna jest dobrej rasy! Dziewiętnaście lat, a uczesana jak babka!...

Myśląc o niej, o tych czarnych niobach i tych głębokich oczach, był podniecony do tego stopnia, że gdyby to nie było śmiesznem, sądziłby, on którego bałamucono i który nigdy pierwszy nie sięgał po miłość, sądziłby, że jest zakochany po uszy.

Zakochany?

W mieszczańczce, córce jakiegoś nieznanego prawie pismaka, on który odziedziczył po ojcu fantazje miłosnych wybryków, córki sceny albo kobiety renomowane, modne; on, książę René, kwiat szyku, jak go nazywano w gronie baletu i gdzieindziej, zakochany!

To szczególne.

Byłoby to nawet bardzo szczególne, gdyby nie było wprost niemożliwe!
Oczywiście niemożliwe.

Bawił się sam tem osobliwszem uczuciem, irytującym jak namiętność, którą odczuwał marząc o tej pięknej sentymentalnej dziewczynie, z łagodnym uśmiechem, a jednak prawie gryzącym; być zakochanym w tej małej, doprawdy można umrzeć ze śmiechu!...

Że wracał do Vérignona mniej dla bankiera niż dla niej, że słuchał Dinorę z lekkim słodziuchnym drzeniem, jak przy fortepianie śpiewała głosem głębokim i przejmującym, że miał przyjemność rozmawiać z tą młodą dziewczyną pocichu, a nawet starać się ją odgadnąć, wpatrując się w jej głębokie oczy; że ściśnienie jej rączki ukrytej w metynce, sprawiało na nim wrażenie nieprzewidziane i rozkoszne zarazem — wszystko to przyznawał było dlań prawdziwą przyjemnością i rozdrażniało go nie żartem.

Ale od łaskotek tej przyjemności do głębszego uczucia było daleko, Bogu dzięki, i ksiązę Beaumartel de Chantenay, ten piękny dwudziestoletni bywalec nie tak łatwo da się złapać w sidła.

Co było ważniejsze, że Noris, mniej świadoma tego specjalnego fechtunku zwanego bałamuctwem, znajdowała w widzeniu Renégo de Chanteney szczególniejsze zadowolenie, z początku naiwne, potem gorączkowe i wzruszające.

Obcując ciągle z tym biednym bazgraczem felietonów, nigdy jeszcze nie dała kroku do innego świata, poza obrębem romansów i książek.

Wszystkie jej marzenia, wszystkie jej przyjemności były wyłącznie literackoartystyczne.

Wieczory w teatrze, dnie w Luwrze.

Miesiące mijały na kopjowaniu starych bajek Eugenjusza Féraud, które chciała mieć w rękopiśmie, gdy je odda nakładcom, których nie znajdował.

O życiu wiedziała tylko tyle, co ją nauczył ten stary dzieciak, który sam nic o niem nie wiedział; te artystyczne wieczory u Vérignona były prawie debiutem młodej dziewczyny, z której dumny Féraud zmuszał ją do śpiewu, i zaraz z miejsca, wyrazy pochlebstwa, z którymi zbliżył się do niej młody książę, te banalne madrygały, tak zwiędłe jak stary bukiet jakiej baletnicy, wydały się Noris czemś pachnącem i wybornem, to też powtarzała je sobie w duchu płonąć rumieńcem wstydu i obawy, tak jak wtedy, gdy do niej z tem pachnidłem on przystąpił.

Zresztą pochlebiło jej, że książę de Chantenay zajął się nią więcej niż tyloma innemi pięknościami, tak sławnemi, aktorkami lub śpiewaczkami, które zbierały się u Vérignona wieczorami w salonie przy bulwarze Hausmann, w tym salonie wyzłoconym aż do przesady, całym w złocie, wyzłoconym tak, że wszystkie chyba kopalnie Sierra-Fuente musiały się złożyć na to wyzłocenie.

Dinorah wiedziała, że młody Cherubinek od czasu ukazania się na wielkim świecie, pociągał za sobą wszystkie serca i oczy.

Był dla Paryża tem, czem był kiedyś jego ojciec i miał lat dwadzieścia.

Ta dynastia szykowców wyrastała na resztkach innych dynastyi.

Kwiat szyku rozwinął się na szczątkach tego, co ongi lubiał generał książę de Chantenay.

W wielkim salonie hotelu Chantenay, którego wysokie okna wychodziły na klomby parku Monceau, portret mężczyzny lat pięćdziesięciu w mundu-

rze generała, w mundurze noszonym z elegancją, raczej jak frak wieczorowy niż strój wojskowy, spoglądał wprost przed siebie oczyma sztywnemi barwy blond niebieskiej.

Twarz uśmiechnięta, wąsy blond, pozakręcane na obu końcach i uchylające ironiczny skład ust wąskich, złośliwych, ale bladych, bezkrwistych.

Całe życie tego człowieka, jeszcze młodego, ale zużytego widocznie, żołnierza wyblakłego przez bale nocne, nie zaś ogorzałego marszami, здавало się streszczać w jasnych źrenicach, dziwnie zamyślonych, o spojrzeniu zmęczonym.

Sztywny i wyniosły, ten generał dworak, łysy i zaczesujący nioby blond włosów na skronie, okazywał w portrecie, który nazywano wymownym, rozpaczliwe znużenie i przesyty.

Można było odgadnąć w tym żołnierzu z szablą w pochwie a z laseczką w ręku, pewnego rodzaju klubowca znużonego, gotowego z równie zimną krwią grać w baka, jak stawiać życie na kartę. Takim był ojciec.

Flandrin wymalował ongi ten portret, gdy generał książę Beaumartel de Chantenay jechał do Drezna z poleceniem asystowania w charakterze ambasadora dworu Francji przy ślubie księżniczki saskiej z arcyksięciem austriackim.

Pan de Chantenay łączył w sobie wówczas, wbrew swej pięćdziesiątce, która u niego powinna byłaby się liczyć za wiek cały, wszystkie warunki elegancji francuskiej: coś wytwornego i wyniosłego zarazem.

Wielki pan o wykończonych manierach, mogący słuchać i używać żargonu bulwarowego a nawet przedmieściowego, tak jak słuchał i używał żargonu myśliwskiego, książę de Chantenay przedstawiał w pięćdziesiątym

roku życia skończony typ francuza, któremu wówczas zazdrozczono, którego wyróżniano i uwielbiano.

Trochę dyplomata, trochę żołnierz, odważny jak miecz, którym tak władał, jak piórką, w pięćdziesiątym drugim roku życia przyjął udział w rozprawach parlamentarnych.

Kandydat przyjemny i uprzejmy, przechadzał się po pałacu Burbonów z właściwym sobie wdziękiem, ale wkrótce znudził się powszedniością polityki bieżącej, znużony został ciągłymi ukłonami otoczenia, ożenił się dla zabicia czasu, pojąwszy za żonę wielką damę z prowincji bałtyckich, którą znajdował piękną, a która go porzuciła, i przyłączywszy się do służby czynnej przy odgłosie wojny krymskiej, wziął konia ze stajni sportsmańskiej, udał się za marszałkiem do Saint-Arnaud, przebywał z uśmiechem góry Alma, jak gdyby był na zwykłej przejażdżce i przy szturmie Małakowa, nazajutrz po otrzymaniu wieści o przyjściu na świat syna, stojąc na czeluściach żuawów, padł z uśmiechem, rażony cięciem miecza w głowę i kulą w brzuch.

W ambulansie, dokąd go zaniecono, książę de Chantenay poprosił o lustro i chciał się w nim przejrzeć.

Krew spływała z czoła po całej twarzy, zabarwiając mu wąsy.

Kazał przynieść sobie wody toaletowej, umaczał w niej chustkę, obmył ranę i napisał dwa listy, jeden do księżniczki, którą znał bardzo mało, drugi do syna, którego nie znał wcale i którego nie miał znać nigdy.

Po zapieczętowaniu listów, upadł na łóżko polowe i zamknął oczy jak do spania.

Czuł, że jest zgubionym.

Jeden z jego starych przyjaciół z Afryki, pułkownik Robin, załączył mu życzenia głównodowodzącego wojskami.

— Podziękujesz mu za mnie, mój stary Robin — rzekł książę. A cóż panowie rosyanie? Nic jeszcze nie wysadzili w powietrze?

— Nie.

— Mogliby nas skrzywdzić. To ludek wściekły, ale waleczny. Więc Małakow może się dostać w nasze ręce? To warte baletu w operze. To więcej warte. Adieu, Robineczku.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia? Czyż przypuszczasz, że się jeszcze zobaczymy? E, bracie, zapomniałeś, że u nas: raz, dwa i po wszystkim.

Poważnie ozwał się tylko do swego chorążego, młodego markiza de Ferdys, który leżał przy nim także ranny, z głową obandażowaną:

— Jedno mnie tylko martwi, mój drogi Ferdys. Zrozumiesz to jak przebrniesz czterdziestkę: Bawiło by mnie może moje ojcowstwo, Syn, mieć syna, to nie powszednia rzecz! To musi być zabawne! Jeżeli przeżyjesz mnie, mój stary Robin, a mój malec urośnie, ty zaś Ferdys będziesz świadkiem jak mu mleko z pod nosa wąż wyruguje, powiedz mu niech żyje lepiej, jak książę Beaumartel de Chantenay jego ojciec, niech jednak umrze jak on: czysty! A teraz, pozwólcie mi zasnąć, odpocznij drogi Ferdys.

Naprzeciw portretu tego człowieka, w takich samych ramach złożonych, wisiał obraz młodzieńca lat dwudziestu trzech, o smutnej bladości, z oczyma zmęczonemi, ale pełnego elegancyi i wytworności, obraz malowany

przez Cabanela, zupełnie odpowiedni jako pendant do portretu pędzla Flan-drina.

W trochę wyniosłej postaci młodzieńca był jakby odbłask elegancji wyższej zmarłego księcia.

Miał nawet takie same wstążeczki, sprzączki i nogi małe, ale nerwowe jak u młodego arabczyka.

Rysy jego nosiły na sobie cechy przedwczesnego znużenia i mody, lubo w ustach nieco czerwiejszych niż u ojca płynęła snąć krew, odziedziczona po matce.

Kurtka starannie zapięta, wążka w stanie, bez tego eleganckiego zanie-dbania, jaki widniał w stroju wojskowym jego ojca.

Kołnierz sztywny i wygięty według prawideł mody, przestrzeganej wi-docznie ściśle przez mistrza swego fachu.

Takim był syn.

Na ciemnym tle obrazu księżę de Chantenay domagał się koniecznie, ażeby malarz umieścił także herb rodziny Chantenay-Beaumartel, tak jak jego stajenni umieszczali go z piasku na podłodze stajni.

Księżę miał słabość do tej ozdoby, jak do aureoli, to też wszędzie w je-go pałacu można było spotkać "młotek złoty" herb Chantenay'ów, o którym wspominają Albert d'Aix i Guillaume de Tyr w ich Histoire des Crotsades.

Rodzina Beaumartel de Chantenay, wzięła sobie za godło młotek złoty od chwili, kiedy ich wielki przodek Engelbert ze szczytu pałacu Salomona, w szesnasty dzień lipca, dzień sabatu, "wymłócił" Saracenów przy boku Arnoula z Roie i Roberta z Flandryi, podczas pierwszej krucyjaty.

"Wtedy, pomimo tarczy Tankreda, która zakrywała dziesiątkowanych, Engelbert wytlukł jak zboże w polu złą rasę Saracenów i dzięki jego ciosom, nawróciło się dla oswobodzenia ziemi świętej, mnóstwo ludzi, którzy wołali w swoim narzeczu:

Beaumartel kładzie nasze plecy i nasze głowy na kowadle dla przeróbki, oszczędza nas przez litość i jeszcze dziękuje." Ztąd przydomek beau martel (piękny młotek) został na zawsze przy panu de Chantenay.

Mały Rene znał dobrze ten szczegół dziejów, a jego mała urękawiczona ręka była za słabą do podniesienia nawet owego złotego młota należącego do Engelberta, który spał już oddawna snem wiecznym.

W żyłach jego płynęła mieszana krew różnych rodzin, to też do hardości nieboszczyka wodza Gerarda, młody książę dołączał chłód i upór matki prawie rosyanki, hrabiny inftandzkiej, pochodzącej także od wielkich mistrzów krzyżaków, wychowanej przez jakąś francuzkę w jej zamku Wenden w pobliżu Rygi, osoby dziwacznej, ze smutną melancholją jak mgła na Bałtyku i z usposobieniem zimnem jak szczyty śnieżne.

Księżna, o której wcale nie mówiono od chwili śmierci generała, a która jednak nigdy nieopuszczała Paryża, żyła z synem nie widując go prawie, nudząc się i śpiąc, paląc papierosy i marząc na kozetce, jak jedna z tych rosyanek, które podobne są do zamrożonych kobiet ze Wschodu.

Księżna starała się obudzić względem siebie pewną obawę ze strony syna, który jednak nie lękał się niczego ani nikogo, prócz namiętności i śmieszności, dwóch występków nie do darowania jego zdaniem.

To był właśnie "niebieski książę" którego poznała Noris, zestawiając go z królem piękności, który przedstawiał się Florinie w bajkach z sercami z rubinów przyczepionych do łańcuchów z pereł.

Pokochała go odrazu.

Od razu zajął ją i poruszył, on, mówiący do niej językiem tak nowym, wiedzący wybornie jako wytrawny światowiec jakich miał. używać wyrazów do niej i bawiący się tem półromanssem, który był dla niego antraktem w którym rozmawia się bez przymusu, bez żenady, dla zabicia czasu, zaś dla niej chwilą w której drgają wszystkie tętna duszy.

Powtarzał jej niejednokrotnie, z udaną szczerością, że radby znaleźć okazyję, ażeby jej dać próbę prawdziwego przywiązania, wzrastającego z dniem każdym.

Tak jest, jej, albo jej ojcu.

— Niech pani spróbuje, zobaczy pani.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będę potrzebowała próbować.

Uśmiechała się wtedy.

On odpowiadał z wielką powagą:

— Nie wiadomo.

A gdy powtarzała ojcu słowa księcia, pan sekretarz główny kopalni Sierra-Fuente, kiwał głową znacząco.

— Dziwne to życie, Noreczko, nieprawdaż? Gdy potrzeba czyjej pomocy, nie ma nikogo! Właśnie dziś nie potrzebuję nikogo!

Dzięki Verignonowi mam posadę wyborną — doskonałą... i znajduję pomoc czyją? oto księcia! I jakiego księcia! Potęgę dzisiejszych czasów!

Od czasu uwięzienia nieszczęśliwego, Noris wspominała często o tem, co mówił Eugenjusz Feraud o księciu.

— Potęga!

Powtarzała sobie to słowo, jako ostatnią deskę ocalenia.

On mógł poprzeć, wstawić się za Eugenjuszem, pomódz jej do założenia protestu przeciw tak niesprawiedliwej karze.

Miała tylko w nim jednym zaufanie. Mówiła do siebie, że człowiek jego stanowiska, książę — z opinią jaką posiadał — mógł, powinien być w stanie wszystko uczynić i wybawić z tych tarapatów biedaka, którego zbeszczeszczono tak okrutnie i niesprawiedliwie.

Myślała już o tem zaraz tam, w owym numerku w hotelu Henryka IV, że pójdzie wprost do pana de Chantenay.

Tak, będzie go błagała, ażeby zobaczył się z sędziami.

Ponieważ mówił tak często, że był jej oddany "całkowicie oddany", wybiła właśnie godzina, ażeby się o tem przekonać.

Dotąd niczego nie potrzebowała, o nic nie prosiła; zdawało jej się, że znaczyłoby to wątpić o niewinności oskarżonego.

Niewinność ta wyjdzie bezwątpienia na wierzch, sama przez się, pewnego dnia w obec sądu i licznego zgromadzenia widzów.

Była pewną, jak Feraud, że to będzie dzień tryumfu i że on wyjdzie z całej sprawy z dumnie podniesioną głową. Ale teraz należy poruszyć wszystko, ażeby tylko uzyskać zmianę wyroku dla oskarżonego.

Powiedziała sobie tylko, że nie wypadało jej przedstawiać się w pałacu Chantenay.

A jednak ileż razy jej powtarzał: "Chciałbym... tak chciałbym panią przekonać, ile mam względów, ile przyjaźni mam dla pani."

Ten wyraz przyjaźni, czyż nie ukrywał w sobie innego uczucia, tak słodkiego, tak przejmującego, tak rozkosznego, pomimo pewnego cierpienia, którego głębi sama przyznać sobie nie śmiała, ale które ją trapiło i rosło w niej prawie obcesowo?

A potem, czyż miała prawo wahać się z udaniem do pana Chantenay, gdzie od tej wizyty zależała wolność jej ojca?

Nie miała w Paryżu ani krewnych, ani powinowatych.

Od wielu lat, przed poznaniem Vérignona, Eugeujusz Féraud jako odludek, znajdując dziwną rozkosz w ciągłym sam na sam z Noris. W taki sposób nie można mieć protekcji, a ten starzec sześćdziesięcioletni potrzebuje teraz, ażeby go protegowano, ażeby go podniesiono, jak dziecko upadłe.

Tego mógł dokazać książę de Chantenay, jeżeli zechce.

Dinorah przypomniawszy sobie teraz wyrazy, które jej pocichutku szeptał René, pomiędzy dwoma romansami, śpiewanemi u Vérignona, lub podczas, gdy dwóch muzyków grało na fortepianie jaką niewydaną symfonię, jaką nową operę — przypomniawszy sobie serdeczność, z którą oświadczał jej się książę de Chantenay, siedząc za nią, pochylony ponad fotelem, na którym ona wachlowała się, marząc.

Noris nie wiedziała, co ją przejmuje więcej, czy muzyka, której słuchała, czy to, co szeptał jej książę tak łagodnym głosem.

Frazesy księcia jaśniej uwydatniały piękności melodyi, dolatującej ją z poza dwóch fortepjanowych świeczników; muzyka podkreślała z osobliwym czarem galanterię salonową, z jaką występował pan de Chantenay.

I Noris, wzruszona, powracała na ulicę Brochant, pytając siebie, czy książę nie oświadczył jej wyraźnie, że ją kocha.

Nie, tego jej nie powiedział.

Byłaby zatrzymała wyznanie, zanim zdołałoby wyjść z ust jego.

Ale mówił jej, i powtarzał — słyszy to dotąd jeszcze — że jest całkowicie dla niej oddany i słyszała ciągle, że ją błagał, ażeby rozporządzała nim bez obawy, jeżeli kiedykolwiek...

Czyliż on mógł przewidzieć, że honor biednego człowieka będzie pewnego dnia zagrożonym? Czyż znał Verignona?

Co rozumiał książę przez to, co mówił do niej? Nie chciała zastanawiać się długo nad tem; wiedziała, że może udać się doń i wypróbować tej życzliwości, z jaką się oświadczał.

Tak, ale tylko napisze. Dowierzała bardziej prośbie, wyrażonej na papierze.

Nie śmiałyby nigdy powiedzieć mu oko w oko, podczas gdy on spoglądałby na nią swem kryształowo-niebieskim wejrzeniem, wejrzeniem, które ją pociągało ku niemu, jak do jedynej istoty, do której miała zaufanie. Bała się, ażeby nie powiedzieć za wiele. Miała swoją tajemnicę, która mimowoli mogłaby przyplłynąć z krwi serca do ust.

Tak — napisze. List nie mówi wszystkiego, ale mówi dosyć.

I Noris, pisząc, powtarzała sobie dla dodania odwagi, słowa księcia:

"Nie masz pani lepszego przyjaciela odemnie!" Najlepszy!...

Innych nie miała biedna dziewczyna! A jeśli pan de Chantenay nie odpisze!... Ale odpisze, była tego pewną!

List, krótki, wymowny jak głos rozpacz, wyrażał w niewielu słowach sytuację w całej jej nagości.

Noris szalona, Eugenjusz Féraud zmiażdżony wyrokiem.

Dwie istoty naraz rażone w samo serce tem uwięzieniem. I obie niewinne! On i ona, ojciec tak równie jak córka.

Teraz właśnie do księcia Beaumartel de Chantenay Dinorah udaje się, zanim się uda do innych sędziów niż tamci niegodziwi!

Była samą, osłabioną, napróżno patrzącą dokoła siebie, szukając poparcia... I przebaczyłaby nawet, tak przebaczyłaby nawet Vérignonowi — pomnąc, że tam po raz pierwszy spotkała księcia, przebaczyła mu niegodną awanturę, w którą wciągnął jej ojca, gdyby książę de Chantenay wierny swemu przyrzeczeniu raczył przybyć na pierwszą wiadomość o nieszczęściu.

Gdy skończyła list, oddała go starej Wiktorynie, która czekała, spoglądając na "panienkę", pieczętującą kopertę.

Biedna kobiecina podreptała jaknajszybciej do parku Monceau; przyjęła z rąk Noris ten papier, tak jakby przyjęła z rąk lekarza receptę i biegła po zdrowie uosobione w kilku napisanych wierszach.

Zdawało jej się, że ma w rękach zbawienie swego pana.

— Idź prędko, Wiktoryno, idź prędko.

Stara znikła.

Noris widziała ją jak przechodziła po nocy uliczki skweru, aż wreszcie została samą, wróciwszy do stołu i patrząc na puste miejsce, które zająć miał jej ojciec!

Była osłabionąPod blaskiem lampy, która ją oświetlała matową białością z rozpiętymi włosami, ukryła twarz w dłoniach i łkając, na widok tego obrusa, na którym Wiktoryna zastawiła obiad dla tego nieszczęśliwego, który siedzi teraz w Mazas i któremu usługuje jakiś hardy odźwierny, płakała, coraz bardziej mięknąc i prawie tonąc we łzach.

I w tem odosobnieniu, które jej się wydało zupełnem sieroctwem, ta piękna istota, w swych płaczach i jękach, nie miała na ustach nic, prócz tego smutnego i słodkiego wyrazu rozpieszczonego dziecka, który wymawiała z głębi bólu jak dawniej z głębi kolebki:

"Papuś!.. Mój biedny papuś! Papuś!..."

I zdawało jej się, że on ją usłyszy, że usłyszy to wołanie dziecka, na które dawniej przybiegał w obawie, czy nie zachorowało, i że drzwi otworzą się nagle, on wpadnie, porwie ją w objęcia, przyciśnie do łona, ucałuje w czoło i zawoła:

— Jestem, jestem! Co tobie? Czy ci kto co złego zrobił, Noreczko?

Biedny Eugenjusz Féraud; czy też go kiedy zobaczy?

IV.

Stara służąca wróciła po upływie godziny zgnębiona, "z krwią ściętą lodem" jak mówiła. Księcia de Chantenay nie było w pałacu. Jego ekscencya nie będzie przez cały wieczór. List odbierze zaledwie jutro rano.

Odźwierny pytał się Wiktoryny, czy tu chodziło o pomoc.

— A więc tak o pomoc — odparła.

Wtedy, odźwierny roześmiał się doń znacząco.

Nudzono już za często księcia temi prośbami! Gdyby pan de Chantenay chciał wspierać wszystkich, co chodzą po prośbie, nie starczyłoby mu jego majątku.

Przyjęto list "panienki" za prośbę żebraczki! O, jakże głupi są ci odźwierni!;

Noris, słuchając tej relacji, przyznawała w duchu, że bądź co bądź i ona postąpiła sobie jak ci samotnicy uliczni.

Musiała dać za wygraną dumie i poniżyć się do prośby.

Bądź co bądź jednak, pragnęła, ażeby zanim rezultat sprawy zostanie ogłoszony w dziennikach, pan de Chantenay przeczytał ten list, leżący może teraz najspokojniej w kantorze szwajcara.

Dzienniki! Prawo! Sprawa Verignona i innych.

Cóż za rozpacz dla niej, jeżeli jutro rozłożywszy ten papier, w każdym niemal wierszu spotka nazwisko swego ojca lub przeczyta wyrok sędziów, z całym przebiegiem badań.

Skazano na więzienie człowieka, który miał przed sobą zaledwie pewność materyalną na kilka lat życia, tego galernika literackiego, który po tyloletnich trudach mógł rachować wyłącznie na swoje dawne a tak skąpe oszczędności!...

Dinorah uważała taki wyrok za nikczemny, ale Bogu dzięki, nie ostateczny — wmawiała w siebie.

Po nocy bezsennej, spędzonej samotnie w całym mieszkaniu, Noris wstała, z gorączkowym niepokojem, oczekując na odpowiedź pana de Chantenay.

Cały ranek przeszedł na czekaniu i na odczytywaniu sprawozdań o przebiegu procesu i wyroku.

W południe na nalegania starej Wiktoryny, Noris siadła do stołu i zaczęła jeść skwapliwie.

Spieszyła się do Mazas, ażeby spróbować, czyjej się nie uda porozmawiać z ojcem.

Gdyby jej pozwolono, częstoby odwiedzała ojca w więzieniu.

Wszystko, co od niej by zależało, chętnie oddałaby ojcu, gotowa nawet podzielić z nim zamknięcie, gdyby zgodzono się na to!

Czekała jednak jeszcze przez chwilę, spodziewając się przybycia listu od księcia de Chantenay.

Musiał już przeczytać to co mu napisała.

Czas przechodził; Noris zdecydowała się odjechać.

Ale przy drzwiach więzienia w Mazas, napotkała nieprzewidziane trudności.

Nie tak jest łatwo widzieć się z więźniami.

— Czy pani ma pozwolenie?

Nie, nic nie miała!

Przyszła ot tak, zwyczajnie, i miała szaloną potrzebę rzucenia się na szyję starca i powiedzenia mu, że gdyby go nawet cały świat porzucił, ona zostanie zawsze przy nim.

I na to potrzeba było pozwolenia!

Odwiedzać więźniów można było tylko trzy razy tygodniowo.

— Niech pani poda prośbę. Odpowiedź otrzyma pani niebawem.

— Ale dzisiaj...

— O, dzisiaj, niepodobna!...

— Ależ to mój ojciec... Chciałabym widzieć się z moim ojcem!

Noris dostrzegła po ironicznym uśmiechu woźnego, z którym rozmawiała, że "ojcowie" w Mazas, są takimi samymi więźniami jak inni.

A więc nie ona jedna przychodziła błagać o pozwolenie widzenia się z krewnymi!...

— Podaj pani prośbę, mówię pani.

Prośbę, jak do pana de Chantenay!

I czekać znowu na odpowiedź i widzieć jak czas ucieka i nie móż skrócić

więźniowi straszliwych chwil wspomnienia!...

Tak więc musi zostać żebraczka. W tym morzu ludzi trzeba samej jednej bronić się, rzucać, miotać, a w tłumie, któż usłyszy jej prośby?

Wszak nie wysłuchał jej nawet on, książę!

Wszak dotąd nie odpowiedział na jej pismo!

Tyle pokładała w nim zaufania! To strącało Noris ze szczytu jej marzeń.

Ale czy tylko czytał list?

Czy był w Paryżu?

Sama udałaby się do pałacu de Chantenay, gdyby miała śmiałość po temu.

Przynajmniej wydano jej pozwolenie widzenia się z ojcem.

Udało się jej ujrzyć go po raz pierwszy, w więzieniu.

Było coś rozdzierającego w rozmowie tych dwojga istot, oddzielonych od siebie kratą, zamkniętą na kilka spustów.

Noris widziała w głębi ponurej zakratowanej izby postać starca zboląłą i znękaną.

Chciała go pocałować, ale przeszła kraty nie pozwalały jej tego uczynić.

Wtedy, pocieszała go, mówiąc doń czule i otrzymując w zamian odpowiedź, pełną zgnębienia i rozpacz:

— Wiesz dobrze, że jestem niewinny! Nie potrzebujesz rumienić się za mnie! To wina tego łotra VÉRIGNONA. Ja nie wiedziałem o niczem, byłem... jestem... za głupi!!... Tak, tak, jestem starym głupcem!... tak!... niestety!..

Odwiedzała go możliwie najczęściej, idąc do więzienia z takim uczuciem, jakby szła na cmentarz.

W takie dni prosiła Wiktorynę o przygotowanie jakich słodczy, które wręczy odźwiernemu lub stróżowi więziennemu, a ten za pieniądze wręczy je ojcu od siebie.

Chociaż czy to mu życie w więzieniu osłodzi? Wszak jego jedyną myślą było wznowienie sądu! udanie się do apelacji.

Jego adwokat mówił mu przecie, że w apelacji wygra sprawę i zostanie uniewinniony.

— I ja jestem tego pewną — dodawała Noris.

Uczuwała jakby zaparcie oddechu, gdy wchodziła do tego więzienia, w którym powietrze było zgęszczone, cuchnące, zaledwie wstrętu tego pozbawiał ją stuk otwierającej się celi ojca i spojrzenia żołnierzy, siedzących wzdłuż korytarza więziennego; zdawało jej się, że przebywa sen ciężki i męczący.

Przechodziła przez podwórze czworokątne, na którym wysokie kraty przerażały ją już jak tortury.

Bluszcz i dzikie wino smutnie zaciaśniały okna mieszkania dyrektora.

Nawet lilie ze swym ironicznym powabem, zdawały się rosnać z pewnym przygnębieniem.

Przy drzwiach głównego korpusu, Dinorah przedstawiła pozwolenie — ten kawałek papieru, który jej dawał dostęp do rozmównicy więziennej trzy razy na tydzień, to jest w niedzielę, we wtorek i we czwartek.

W inne dni widywała się z nim tylko za pozwoleniem nadzwyczajnym i to w rozmównicy, tem jedynie różniącej się od pierwszej, że tamta była na dole, ta zaś na pierwszym piętrze, i że w okienku, przez które rozmawiała z ojcem, nie tkwiły gęste kraty.

Tu Noris mogła dotykać starca, którego głowa zdawała jej się bardziej chudą i ramiona bardziej zgarbione w tej wąskiej klateczce, urządzonej jak konfesyonał.

Siadała naprzeciw niego na ławeczce ruchomej, pomalowanej na kolor czekoladowy, jak szubienica, a przytykając swą bladą głowę do chłodnych żelaznych ram okienka, starała się dosięgnąć końcem swych ust do źle wygolonych policzków biedaka, gdzie spijała nieraz grubą łzę, spływającą z jego zarumienionych bezsennością powiek na siwą brodę.

Wizycie Noris towarzyszyli woźni w zielonych tunikach z białymi guzikami, którzy w ciągu półgodziny, stosownie do przepisu pozwalali rozmawiać córce z ojcem, a raczej słuchać go i płakać i płakać z nim razem.

Nieraz, przez okno, wychodzące na tyły więzienia, Noris spostrzegła więźniów samotnych, spacerujących wśród wysokich murów, po ścieżkach ogrodu, w którym stróże, lub ogrodnicy sadzili warzywa.

Domy wysokie, domy, w których można było być swobodnym, wyglądały z oddali, rysując się na tle nieba po za murami więzienia.

Noris miała chęć zamieszkać w jednym z tych domów, ażeby przez otwarte okno mogła z oddali bodaj odszukać postać ojca...

Ten horyzont wolności, powietrza, nieba, dopełniającego pewien rodzaj pudła, w którym zamknięto nieszczęśliwego, obudzał w biednej dziewczynie chęć do płaczu, i w takich chwilach odrywała się od ojca, nie mogąc nic więcej powiedzieć! jak:

— Do widzenia! do widzenia!

Drzwi celi otwały się i zamknęły za ojcem.

Noris po ważkich schodach szła na dół do drzwi wchodowych.

Nie wiedząc jak i kiedy znajdowała się na dworze.

Rzuciała ostatnie wejrzenie na te ściany z kólistymi otworami, które w nocy zapalały się, jak oczy i gasły o oznaczonej porze, i starała się przytem przez okna celek odgadnąć, w której zamknięty jest Feraud i płacze pewnie z głową wspartą na dłoniach, w chwili, gdy i ona ociera oczy nabrzmiałe łzami, ażeby przechodni tych łez nie dostrzegli.

I cóż ona opłakuje, jeżeli on jest niewinny?

Trwało to aż do rana następnego!...

Z więzienia Noris unosiła za sobą, jakby gorzką radość!

Widziała go; rozmawiała z nim!

Rzuciła mu przez łyzy i łkania niejedno słowo otuchy!...

Przyzwyczała się do tego życia. Treścią jego, jego całym marzeniem było Mazas, a cała jej egzystencja płynąca zwolna, wegetująca zaledwie,

złamana, była ściśle związaną z więzienną celą o wilgotnych murach, mieszczącą się w Oddziale -szym pod Nr....

Noris po tych odwiedzinach wracała nieraz piechotą, padając ze zmęczenia, ażeby tylko po powrocie mózgi zasnąć, co jej się tak rzadko udawało!

Była to jakby walka pomiędzy nią i jej rozsądkiem, przepelnionym chorobliwymi widziadłami, w których księżę de Chautenay stawał równie często, jak Feraud.

Od czasu skazania ojca, była w gorączce.

— Niech panienska się oszczędza! — mówiła jej nieraz Wiktoryna.

Dinorah wzruszyła ramionami:

— Na co się to przyda?

Chciała zasnąć i nie przebudzać się nigdy.

Jeżeli ojciec nie żył, ona także pragnęła śmierci.

W dziewiętnastym roku życia już jej ciążyło!

Była w stanie niesmaku, nieledwie przesytu!...

Uparte milczenie, prawie impertynenckie ze strony pana de Chautenay powiększało jeszcze zgnębienie Noris.

Niechciała już myśleć o nim, pamiętać tylko o ojcu, a jednak zachowanie się księcia, który tak mimowolnie zjawiał się w jej widzeniach, trapiło ją niepomiernie.

Przyzwyczała się liczyć na niego. Za trudno jej było pozbyć się tego złudzenia, które stało się już więcej, niż fantazją, stało się — miłością!...

Pewnego wieczoru wracała ku domowi, krokiem ciężkim, jak istoty zbolale, gdy przechodząc przez jedną z ulic, której nazwisko, ulica Floren-

cyi; odczytała pomimowoli — przed jednym z dużych gmachów dostrzegła szereg karet i powozów, w liczbie których wypadkiem wpadł jej w oko wolań, opatrzony herbem księcia de Chantenay: młotkiem złotym, z dewizą: *Moult Fier, mutt fiert*.

Noris, wiedzona przecuciem, badała ten gmach szeroki, z którego wychodziły, zawinięte w futra, jak z sali koncertowej, różne postrojone osoby i pospiesznie wsiadały do oczekujących je powozów.

Był to zakład wodo leczniczy doktora Siercka, wielkiego poskramiacza anemii i newralgii: — cały Paryż próbował jego kąpieli.

Książę de Chantenay był tam także.

Jeżeli Dinorah pragnie go widzieć, zapytać go dlaczego w tak okropnej chwili jej życia nie otrzymała odeń żadnej odpowiedzi, powinna była tylko zaczekać.

Zatrzymawszy się machinalnie, raz jeszcze odczytała starą dewizę; potem, krępowana obecnością furmanów, wesoło rozprawiających między sobą o słabostkach swych panów, już chciała się oddalić, gdy nagle, odwróciwszy głowę poraz ostatni na główne drzwi gmachu, dostrzegła wychodzącego księcia, który na progu zatrzymał się dla zapalenia cygara.

Mimowolny ruch, który ją wstrzymał, a potem skierował ku księciu Rene, był silniejszy od rozwagi.

Znalazła się tuż przy księciu, jak gdyby mu chciała zagrozić wyjście, a że uśmiechnęła się doń z zakłopotaniem, sądził, że właśnie czekała tylko na niego.

— Panna Feraud! — zawołał głosem zdziwionym i znudzonym.

Po tych słowach, skinął na chcącego zajechać woźnicę, ażeby się zatrzymał.

Chcąc się okazać uprzejmym, ułożył usta do uśmiechu i rzekł:

— Czem mogę pani służyć?

— Pragnę z panem pomówić, korzystając z nadarzającej się sposobności.

— Jakto, więc pani jest tu tylko wypadkiem?

— Tak, przechodząc spostrzegłam pański ekwipaż i herby....

— Ach! — odrzekł, spojrzawszy na nią swym zmęczonym wzrokiem.

Znalazł ją piękną, bardzo piękną, w tym płaszczyku do figury, z tą matową bladością, cudnie odbijającą od czarnego stroju.

Powóz podjechał....

— Jedź za nami! — rzekł książę do furmana. — Czy pani to nie zrobi różnicy, że się przejdziemy trochę? — zapytał Noris.

I podczas, gdy powóz jechał za nimi noga za nogą, René szedł obok Noris ku parkowi Monceau, z upodobaniem badając tę piękną dziewczynę, która ozwała się po chwili:

— Pisałam do pana; dla czego mi pan nie odpisałeś?

— Ale, droga pani....

Szukał zdania, prawdopodobnie jakiejś przyczyny,

— Wszak pan wie, że mój ojciec jest niewinny?

— Jestem przekonany o tem.

Skłonił się z salonową uprzejmością, jakby mówiono mu o fakcie, którego rzeczywistości nie miał bynajmniej ochoty zaprzeczać.

— A więc, książę — spytała Noris — jakże mam teraz postąpić?

Rene spojrział na nią z serdecznym zdziwieniem.

Ona, pytając go, spoglądała nań swym przejmującym wzrokiem cyganki, bardziej błyszczącym jeszcze przez wzruszenie, i badała wymuszony uśmiech księcia, widocznie znudzonego tem spotkaniem.

Jako jednak prawdziwy salonowiec, księżę wysilał się, ażeby znudzenia tego niczem nie zdradzać.

— Posłuchaj pan — rzecze Noris — pojmuję dobrze dla czego wahałeś się pan z odpowiedzią; ale jeżeli miałam śmiałość napisania do pana, to jedynie tylko upoważniona naszymi rozmowami poufnymi, owymi obietnicami ze strony pana, których nie mogłam zapomnieć.... Chociaż jestem paryżanką, nie znam nikogo w Paryżu... Przysięgam, że całą nadzieję pokładam w panu jedynie! To, o co pana mam prosić, jest kwestyą życia, albo śmierci mojej!

— Pani?

Chciał powiedzieć coś złośliwego, ale powstrzymał go przejmujący wzrok Noris.

Jakto? pomyślał: — czyż i ona także miałaby się dostać do ciupy? A to piękna historia!

— Mówiłeś mi pan przecie, że nie mam lepszego przyjaciela od pana!

— Tak — odparł René. — Przypominam sobie, mówiłem to pewnego wieczoru u Vérignona....

Przybliżył się do towarzyszki, machinalnie ujął jej ramię, już to z przyzwyczajenia, już z galanteryi, i tknięty jakimś złym zamiarem szepnął jej zwolna, ze słodyczą w głosie, przeciągając każdy wyraz:

— Mówiłem to i powtarzam to dzisiaj raz jeszcze. Noris kochała go za-
nadto, ażeby mogła odróżnić fałsz od prawdy w tem, co mówił do niej znu-
dzony salonowiec; w głosie jego przebijała się ta zwykła miłość, jaką
uczował dla wszystkich otaczających go kobiet.

Noris w jego pieszczotliwym dźwięku odnalazła nagle wszystkie swoje
mrzonki, ziszczenie wszystkich snów swoich.

Szli tak obok siebie, nieraz potrąceni przez przechodniów na trotuarze,
Noris widziała jego jednego tylko, zapomniała o całym świecie, o ulicy, o
powozie, jadącym zwolna za niemi i zdawało jej się, że na ziemi jest tylko
z nim jednym.

— A więc, jeżeli pan jesteś prawdziwym przyjacielem, jak mówisz... je-
żeli masz pan dla mnie dotąd dawną sympatyę, przekonaj mnie pan, żeś się
dotąd w niczem dla mnie nie zmienił.

— Czegóż pani wymaga odemnie?

Wiedział dobrze, czego ona pragnie. Pytał jednak umyślnie, ażeby prze-
dłużyć rozmowę. Złe plany snuły się mu po głowie. Od słowa do słowa
przyszło do pół wyznań. Wyrazami miłosnemi pobudzał wybuch namiętno-
ści.

Noris została porwaną jego wymową, a że oświadczał jej się z zupełną
przyjaźnią, cieszyła się w głębi duszy, że może kochać tego, który jej mi-
łość wyznaje.

Uważała za bardzo naturalne, udać się w nieszczęściu do księcia, tak,
jak nie zdziwiłoby ją wcale, gdyby on udał się do niej, będąc w jakim nie-
bezpieczeństwie, jeżeli naturalnie ona, biedaczka, mogłaby w czemkolwiek
pomódz lub w jakikolwiek sposób obronić księcia de Chantenay.

To też odwoływała się od wyroku sędziów do przyjaźni księcia; pomocy jakiej potrzebowała w swem osamotnieniu, pragnęła oczywiście od tego wielkiego pana, który znając zarówno Vérignona jak Férauda, mógł zaświadczyć o niewinności skazanego....

On zaś zachwycony łatwością, z jaką wkładał się w serce dziewczyny, i znudzony zarazem dachówką, jaka nań spadła przy wyjściu z łaźni doktora Siercka, uzbroił się w powagę, dawał rady iście ojcowskie, pełne namaszczenia.

Należało przecież, ażeby panna Feraud o jednej rzeczy pomyślała z rozwagą i sumiennością: mianowicie, że wyrok wydany na jej ojca zmienił położenie i stanowisko córki.

— Mówmy rozsądnie — rzekł René. — Przyrzekłem pani moją pomoc. Przyrzekam ją zawsze.... Ale dziś, to już niejest to, co wczoraj, i....

— Prawda — odparła Noris — dziś jestem nieszczęśliwszą, niż wczoraj!

— Ojciec pani jest niewinny, wiem o tem, jestem tego pewien, przekonany zupełnie, ale przecię....

Spuścił głowę i powtarzał z widocznem wymuszeniem wyrazy:

— Przecie, przecię....

— Przecie — przerwała nagle Noris — chcesz pan powiedzieć, że przecie nie wszyscy mogą uwierzyć w jego niewinność? To prawda? Ale przecie nie mnie, jego córce, ośmielą się to powiedzieć w oczy, a nawet dać mi do zrozumienia, że tak przepuszczają! On jest niewinny, zupełnie niewinny, więcej jak niewinny, jest męczennikiem. O, ja przekonam o tem.

— W jaki sposób? — zapytał ksiązę. Zatrzymał ją nagle, bystro mierząc ją oczyma.

— Jeszcze nie wszystko skończone — zawołała Noris. Jest jeszcze druga instancją, można apelować!

— Doskonale. Niejestem bardzo obeznany ze zwyczajami sądowemi, ale wiem, wiem...

— Wyrok zostanie obalony.

— Tem lepiej! Życzę pani tego z całego serca.

To, co mówiła doń Noris, zajmowałoby go o tyle, o ile wymagała przyzwoitość, gdyby biedne dziewczę, zamiast być przyjaciółką, była jedną z tych samotnic, o których, wspominali mu lokaje z pałacu de Chantenay.

W gruncie rzeczy, rozmowa ta przykrą była dlań od samego początku.

Te zwierzenia i te skargi nie mogły do niczego doprowadzić.

Oto teraz prosiła go już, ażeby jej dopomógł w apelacyi...

Co za myśl!... Było to co najmniej za śmiałe.

Ależ on nie słyszał nic o tych manipulacjach sądowych, nie miał o nich najmniejszego wyobrażenia! Nienawidził procesów i próżniactwa.

Rodzina Beaumartel de Chantenay dochodzi swych krzywd mieczem, nie zaś togą, a urzędnicy rządowi nie stąpili nogą w jej progi.

Nie powinna wcale rachować na niego.

Zresztą, niewinność czy prędzej czy później, zawsze zwycięży, pomyłki sądowe zdarzają się tylko w romansach lub sensacyjnych dramatach.

W takich zapewnieniach, w których przebiegłość paryżanina łączyła się z uprzejmością światowca, Noris powoli dopatrzyła się pewnego odcienia ironicznej pogardy.

Coś jakby lód spadał jej na plecy wraz z temi zwykłemi wyrazami otuchy:

"Cierpliwość... odwaga... rezygnacya..."

Rezygnacya? Ona? Wobec tej krzyczącej niesprawiedliwości?

Córka tego biednego starca poprowadzonego do sali sądowej, jak baran na rzeź, miałaby przyjąć bez opozycji, bez walki tak straszną bezlitosność wyroku?

Ależ za kogo ją miał książę de Chantenay?

Czyliż nie wiedział, że istnieje zarówno honor mieszczański, jak szlachecki, albo raczej, że nie ma dwóch gatunków honoru, i że córka bazgracza romansów nie może przystać na taką hańbę, zarówno jak nie przystałby na nią syn generała księcia de Chantenay?

Opuściła go w tem wzburzeniu sumienia, pod wpływem wistocie nazbyt pogardliwej uprzejmości Renego.

On wsiadł do powozu i kazał się wieźć do swego pałacu.

Podczas, gdy powóz unosił go w kierunku parku Monceau, myślał nie bez pewnego drżenia o tej pięknej, bladej twarzyczce, o tych czarnych kędziorkach, błyszczących oczach i namiętne poruszeniu różowych usteczek.

— Mogłem być co prawda być oględniejszym! — myślał książę: — trzeba jej było powiedzieć, że zajmę się szczerze losem jej ojca!..

Noris miała chęć do płaczu, wracając na ulicę Brochant.

Nie znalazła u Renego tej prawdziwej przyjaźni, jakiej spodziewała się dotąd.

Mówił do niej od czasu do czasu, pomimo całej grzeczności, jak do obcej.

Nie mógł przypuszczać przecie, że ojciec jej słusznie został skazany! Wszakże go znał, wszak znał dobrze Eugenjusza Féraud.

Dlaczego, jeżeli wistocie ma dla niej choć trochę sympatii, nie odpisał odrazu na jej prośbę?

Dlaczego nie powiedział jej tego, czego tak pragnęła: "Wszystko, o co pani prosi dla swego ojca, zostanie spełnione!"

Była tak zgnębioną, cała jej postać przedstawiała obraz takiej rozpacz, że gdy wróciła do domu, Wiktoryna spytała ją z przestachem.

— Co się panience stało, o mój Boże!

— Nic. Nastąpiło to, co miało nastąpić, kiedy się jest w nieszczęściu, nie ma się przyjaciół.

A jednak, ileż nadziei pokładała w tej życzliwości księcia de Chantelay!

Musiała się pewno nie zastanowić dobrze nad tem.

Pozwoliła sobie zapuścić się coraz głębiej w te marzenia młodej dziewczyny, nie powiedziawszy sobie tego, co przedewszystkiem powinna była sobie powiedzieć: że nie należał do tego samego świata co ona, że miłość pomiędzy nim a nią była niemożliwością!

Tak, niemożliwością! Ale ona go kochała!

I teraz dopiero, wobec całej grozy osamotnienia, uczuła, że kocha.

Boleść dała jej poznać, że ta tłumiona, nieznana miłość jest niestety faktem!

Dawniej była szczęśliwą, gdy szła do Verignona, gdyż spodziewała się jego tam spotkać.

Wieczór spędzony w jego obecności był dla niej nieopisaną rozkoszą.

Unosiła, powtarzając je sobie w myśli, te wyrazy tak słodkie, tak słodkie i tak dla niej wzruszająco nowe!

Książątko! Mały Chantenay! Gdy mówiono o nim, prześcigano się w pochwałach dla jego elegancyi, zwodzenia kobiet, a nawet sposobu jego wyrażeń.

Ona znajdowała go wistocie zachwycającym, nie analizując niczego, poprostu dlatego, że się jej podobał.

Tak, kochała go.

Powtarzała to sobie nawet teraz, wsparta o framugę okna i bezmyślnie patrząca na skwer, którego zmierzch pokrywał jakby szarym woalem.

Noris patrzała przed siebie, przybita, wmawiając w siebie, że ponieważ książę nie przyjdzie jej z pomocą, wszystko się dla niej skończyło: nikt, nikt jej nie da poparcia!

I uczuła przerażającą grozę opuszczenia, która wzrastała wobec tej smutnej szarości zmierzchu.

Cień zapadał na pusty skwer, gdzie drzewa obnażone jeżyły się poza wyciągniętem w równej linii niskim ogrodzeniem.

Z tyłu, w oddalonych domach zapalono światła; dym lokomotywy wychodząc z głębi kolejowego toru, tłukł się w szarości wieczoru, a do uszu Noris dochodziły odgłosy świstów, po których pociągi uwoziły pasażerów.

Wtedy przychodziła jej myśl ucieczki, chęć odjazdu bodaj na kraj świata.

Ten świst przerażająco piskliwy, był dla niej jakby hasłem do odwrotu.

Ach jakże chętnie opuściłaby Paryż, w którym czuła się tak strasznie samotną i zgnębiałą, ach, jakże chętnie wyjechałaby, z jakąż szaloną radością, gdyby miała jeszcze przy sobie tego biednego ojca, którego jej najnieśluszniej porwano i uwięziono!

Tak więc, nie trzeba było liczyć na pana de Chantenay.

Gdyby jej to powiedziano dwa dni temu, nie uwierzyłaby za nic.

Dotąd jeszcze nie wierzyła temu!

Bo może, spotkany tak znienacka, był raczej zażenowany jej obecnością, aniżeli nieżyczliwy.

Przypomniała sobie, że bądź co bądź, starał się być uprzejmym.

Raz nawet ręce ich spotkały się pomimowoli.

Starła się przypomnieć sobie ostatnie wyrazy, które do niej powiedział.

Nie było to pożegnanie uschłe, była to raczej otucha.

Teraz dopiero przypomniała to sobie.

Wszak nie mogła się mylić co do znaczenia owej rezygnacji, do której zachęcał ją pan de Chantenay.

Gdy mówił jej o "odwadze" może chciał dodać, że nie opuści Eugenjusza Féraud.

Noris w ten sposób, pod wpływem rozpaczki, pobudzała nadzieję. Natura jej zresztą potrzebowała jakiejś nowej otuchy i pociechy.

Musiała ufać i wierzyć... kochała go, tak kochała go przecie nazbyt ażeby mu nie wierzyć, nawet wtedy, gdy dostrzegła, że waha się wobec zrobienia jej przysługi, o którą dopominała się w imię jego życzliwości.

Była szczęśliwą, szczęśliwą aż do wydania okrzyku szalonej radości, gdy nazajutrz, Wiktoryna, otworzywszy drzwi wchodowe na odgłos dzwonka, wróciła do niej blada ze wzruszenia, i zameldowała przybycie księcia de Chantenay.

Biedna staruszka chciała nawet zameldować "Jego Ekscelencya", ale słowa zamarły jej w ustach i wymówiła tylko "Jego Eksc. Eksc."

Noris, słysząc to, zrozumiała, odgadła wszystko.

Wstała z krzesła, na którym, siedząc przy małym bióreczku, pisała do ojca, i drżąc z radości, zwróciła się do wchodzącego Renégo i rzekła doń z wybuchem:

— Wie pan, czekałam na pana!

— Doprawdy?

— Doprawdy!

— Zgadłaś pani, że przyjdę?

— Byłam tego pewną!... Nie mogłam przypuszczać, ażebyś mnie pan zostawił samą, po moich wczorajszych, zwierzeniach!

— Tak?... miałaś pani słuszość, od wczoraj myślałem tylko wyłącznie o pani!...

— A o nim?

— I o nim także. Przejrzałem całą sprawę z uwagą. Wyrok zostanie rozbity jak szkło...

— Tak pan sądzisz? Wierzysz pan w to, nieprawdaż!

— Jestem tego pewny.

Ona była szczęśliwą, on — zachwycony. Spoglądał na tę piękną istotę, której wielkie oczy chciały go pochłoniąć, niejako z rozrzewnieniem.

Wyraz zadowolenia przebiegał jej po twarzy, a w biednym mieszkanku Batignolles, przybycie tego księcia, którego konie parskały na bruku, wydało jej się przybyciem zwiastunów szczęścia z owych bajek czarodziej-skich...

Książę Piękny, gotowy do wynurzeń i przybyły po to, ażeby ocalić biednego Féraud!... Spoglądała nań z naiwnym zachwytem — on zaś, siedząc na fotelu, rzucając okiem na stare ryciny, szkice, cacka fajansowe lub książki, na cały zbytek artystyczny starego bazgracza romansów, mówił z uśmiechem, trzymając kapelusz na kolanach, z nogą skrzyżowaną na nogę.

— Ależ tu bardzo ładnie! Słońce! kwiaty!... Bardzo ładnie!... Prześlicznie!...

Dodawał tylko, rozglądając się dokoła z monoklem w oku, że ci szkaradni

sędziowie mogli byli Coprawda przyjść tu na wybadanie ojca Féraud.

Ciekawa rzecz, gdzieby tu mogli znaleźć owe miliony akcyonaryuszów kopalni Sierra Fuente, chybaby w siennikach?...

On jednak, książę Beaumartel de Chantenay, nie na rewizję przybył do mieszkanka starego pisarza.

V.

Typ to niezwykle ten dwudziestotrzechletni książę, który nadawał ton Paryżowi, wymyślał modę, stanowił o szyku, decydował o całym kodeksie: "wypada i nie wypada. "

Wszyscy debiutanci naśladowali go, prześcigając się w noszeniu strojów podług jego metody, tak jak uczniowie konserwatorium starają się pochwycić ton głosu modnego bohatera opery.

Kronikarze i salonowcy byli nim na wskroś przejęci.

Zwykł był mawiać o reporterach, którzy sławili jego nazwisko przy wszelkich okolicznościach, w sprawozdaniach z balów, z wyścigów, ze sportu rzecznego i t. p.: "Poczcivi repoterzy, żywią ich!"

Było w tem trochę prawdy.

Przypisano księciu legendę o dobrym tonie i wysokim smaku.

Książę René, kwiat szyku, stawał się w ten sposób ideałem krawców i galanteryjników.

Chłopiec po swojemu przystojny, gentilhomme, z wyrazem znudzenia i pogardy, przedmiot zazdrości ze strony mężczyzn, wybraniec kobiet, zapusty życiem, wyczerpany majątkiem, spędzający czas na wynajdywaniu coraz oryginalniej szych kapeluszy i wyprowadzaniu na świat nieznanych dziewcząt, zużyty w roku, gdy się jest jeszcze naiwnym, Cherubinek młodzieńki, a już Lowelas, był wiernem odbiciem, dzięki prawom dziedzictwa generała de Chantenay, a książę uprzejmy i modny, przezwany ongi ostatnim z Abencerrages'ów" odżył w synu, jak dzieło sztuki odżywa w kopii.

Podobny do Donzuana, ale ze wszystkimi przygodami i awanturkami prawdziwego Donzuana, książętko Beaumartel de Chantenay wszedł na szczebel pierwszeństwa bezwiednie. W Paryżu pierwszeństwo takie powstaje samo przez się i ginie wraz z wygaśnięciem danego pokolenia.

Lornetowano go, jak aktorkę, ażeby poznać niespodziany genre, który wytwarzała jego fantazyja.

On to przed innymi wprowadził w modę duże brylanty, wielkie perły, szerokie pierścienie, ciężką biżuterję z jej właściwym dźwiękiem, a dźwięk ten był ostatnim wyrazem w surowo poprawnej toalecie współczesnej.

Jego dystynkcyja, w przeciwieństwie do ojcowskiej, polegała na tem, ażeby być prawdziwie dystyngowanym.

Widziano go, jak po pojedynku z jednym ze swych przyjaciół, o Nicette I-szą, czy o księżnę de Temi, nie wiedziano dokładnie, nosił chustkę fularową na szyi, spiętą w pośrodku antyczną kameą, jak broszką, a to dla zakrycia szramy, którą mu spowodowała szpada małego Serviere'a, czy też paznokietki Nicetty I-szej, niewiedziano również dokładnie.

Rano ubrany po angielsku, w grubym szarem suknie, jak groom, młody książę, wieczorem, lśnił biżuterją, jak front Palais-Eoyal'u.

W dziurkach od koszuli miał perły, albo brylanty wyjątkowej wielkości, sławne u jubilerów.

"Gdyby je dostać, możnaby zrobić olbrzymi interes," mawiano w klubie.

Taka rozrzutność odejmowała trochę brytańskiego wyglądu temu paryżaninowi, który wydawał się, jak jaki Anglik, lub Rosyjanin, a którego główną zaletą było to, że mu nikt nie mógł sprostać.

— Nikt się tak nie kłania, jak on... nikt!

Ukłon poprawny, korpus sztywny, nogi ostrokątne, kark, zginający się ani za wiele, ani za mało, ze specjalnym odcieniem, który nadawał ukłownikowi wyraz pogardliwy, a który pomimo to był pełen grzeczności i uprzejmości.

— Nikt się tak nie kłania jak on!

Książę de Chantenay dochodził do wszystkiego tą wyższością, tą specyjalnością nawet w ukłonach.

Były w salonach kobiety bardziej jak dojrzałe, wdowy zmienione przez bieg czasu na matrony, a gdy się je zapytano, czy książę Rene kłania się lepiej od swego ojca, składały usta, przeznaczone teraz do całowania wnuków, do uśmiechów pełnych przeszłości, które miały znaczyć choć usta milczały: "Eh, to co innego... to co innego!"

Ach! Te piękne uśmiechy!...

I bardzo pochlebne, pomimo wieku ich właścicielek, dla nieboszczyka generała Beaumartel de Chantenay, "ostatniego z Abencerrages'ów."

Zresztą markiz de Ferdys nie ukrywał tego przed wym siostrzeńcem Rene.

Markiz zaślubił po śmierci księcia Gerarda, pannę de Chantenay, siostrę generała, a w Almie, w dwudziestym drugim roku życia był jego chorążym. Był ranny nawet pod Małakowem, stojąc przed generałem i upadł na polu bitwy. Ożenił się z jedyną siostrą Gerarda po powrocie z Krymu prawie wyłącznie dla uwielbienia, jakie miał względem księcia de Chantenay.

Małżeństwo z miłości, którego miłość", mówiono, nie trwała nawet tyle, co ogień ze słomki.

Markiz od roku do wiódł życie na wielką skalę, a markiza, kochająca go zawsze pomimo jego figlów, pocieszała się w opuszczeniu tem, że była zachwycającą i ubóstwianą matką.

Wychowywała swego syna, o dwa lata młodszego od Renégo, a przy dobrych chęciach mogła byłaby wychowywać swego męża, tego wielkiego trzydziestoletniego szaleńca, o wiele mniej dorzecznego, aniżeli narwanego.

W siedm dziesiątym roku, pan de Ferdys wstąpił znowu do służby, pożegnał markizę, pocałował w czoło syna swego Rajmunda, mającego wówczas lat trzynaście i poszedł walczyć na płaszczyźnie d'Illy, przy boku Gallifeta i Małgorzaty.

Uwięziony, powrócił do domu w sam czas, ażeby rozpocząć wraz z synem żałobę po pani de Ferdys.

Następnie, podczas gdy chłopiec kończył nauki w kollegium, markiz rozpoczął swe życie paryzkie, jak Paryż rozpoczynał swoje, i sięgając już szkaradnej czterdziestki, ale zawsze jeszcze przystojny, elegancki, szczupły, wysoki, z wyszwarcowanym wąsem i z włosami szaremi, jakby je napudrował, rywalizował z

synem na punkcie zdobywania serc kobiecych, zdolny będąc zresztą, pomimo swego wieku, do pobicia księcia de Chantenay, w tej specjalności, nieobcej mu od niepamiętnych czasów.

— Tak, mój drogi — prawil wesoło markiz — wyście nie mężczyźni!... Rajmund to istny kapucyn. Chce być marynarzem, a pochłania książki. Takim być gnuśnym. A ty, uwodzicielu, gdyby ojciec twój powstał z grobu, z białemi włosami, wszystkie twoje metresy, wszystkie bez wyjątku, porzuci-

łyby cię dla jego cienia!... Zresztą, po co szukać dalej, gdybym chciał tylko, porzuciłyby cię dla mnie!...I prostował się, wymawiał jakiegokolwiek imię kobiece i śmiał się pod sutym wąsem, dostrzegając grymas siostrzeńca.

— Zwyciężony przezemnie, Rene! Zapytaj o moją metrykę, nieszczęśliwy!... !... Czy ci nie wstyd?..,

Pocieszał zresztą siostrzeńca, przysięgając mu, że ich zwycięstwa kobiece, były wistocie bardzo łatwe.

Nie trzeba było ani chwalić się swemi, ani gniewać się z cudzych.

Miłości banalne, stereotypowe!

Każdy z nich mógł czytać, każdy...

— Wynajdź nareszcie romans, niedostępny dla nikogo! — mówił markiz.

I myśląc o Noris Feraud, książę uśmiechał się niekiedy. Romans nieznan!

Ech! Pan de Ferdys ani przypuszcza, że dla księcia tak łatwo o taki romans!

Dopóki Verignon zajmował wybitne stanowisko społeczne, Rene robił sobie przyjemność zaszczycania swoją obecnością salony finansisty.

Nie dla finansisty, naturalnie, ale dla Noris. Aresztowanie wynalazcy kopalni Sierra-Fuente wstrzymało jego gorliwość, a ponieważ panna Feraud, skromna i wstydliva, nie zjawiała się na horyzoncie wyższego świata, tem lepiej, bo jakkolwiek była prześliczną, książę z pewnością nie będzie jej szukał w mętnej wodzie jej życia.

Otóż, lubo tknięty do żywego tą niezwykłą pięknnością, Rene zapomniał, albo starał się zapomnieć o Noris, gdy w tem, młoda dziewczyna udała się wprost do niego z prośbą o poparcie.

List Noris, napisany z ufnością, pan de Chantenay znalazł dość niezręcznym i pospolitym.

Oczywiście, popierając lub udając poparcie dla ojca, mógł był tylko wkraść się głębiej w serduszko córki, ale uczuwał pewną obawę mięszać się do sprawy kompromitującej.

Jego instynkt światowca rozsądnego i wykwinetnego, zmuszał go do odalania się od takich wrażeń.

Mógłby tylko stąpnąć w to błoto, a jużby uczuł złe następstwa takiego kroku.

Bah! Pomimo pięknych i przejmujących oczu Noris, może lepiej byłoby zostawić list bez odpowiedzi.

I Rene nic nie odpisał.

Wszakże w Paryżu były prócz niej ładne dziewczęta i właśnie w tej chwili zajmowała księcia mała baronowa Niedmann.

Ale niespodziane zetknięcie się z Noris przed zakładem doktora Siercka ponownie rozogniło wszystkie żądze. Reného.

Nigdy Noris nie wydała mu się tak zajmującą!

Komu porwała te oczy!

Wcale piękna ze swoją bladością, wzruszeniem i namiętym wyrazem oczu, pobudzała wszystkie nerwy w księciu.

Wchodząc do powozu, wymawiał sobie nie już jakby trochę egoizmu, nie już brak szlachetności, lecz poprostu głupotę, niedorzeczność, że się nie

okazał życzliwym dla niej, że naprzykład, nie przyrzekł jej na wszelki wypadek, jakiegokolwiek protekcji.

— Takie miewam napady! — mówił do siebie — a taką wyborną miałem sposobność!

Z tego rozpaczliwego kroku biednej dziewczyny, z tej prawdziwej boleści, z tego błagania o pomoc, z tego wreszcie wypadkowego spotkania, wyciągnął tylko taki wniosek:

— Byłem dziecinny. Mała jest przecie dość ładną, ażeby się dla niej poświęcić na drobną kompromitację. Zresztą, Chantenayowi uchodzi wszystko i nic go skompromitować nie może.

René myślał zresztą o poprawieniu swej pomyłki.

Dość mu było zjawić się przed nią w charakterze zbawcy, pomimo wszelkich możliwych następstw.

A choćby wypadło nawet udać się do jakiego sędziego z prośbą o łaskę dla skazańca, to i cóż ztąd!

Noris warta była takiej przysługi!

Zresztą wręczyć bilet wizytowy prezesowi sądu nie jest znowu tak wielkim poświęceniem.

Tak, pójdzie zobaczyć sędziów, zgodnie z jej prośbą, odwiedzi ich dla tego, ażeby się z nią jaknajczęściej widywać!

I z odpowiednio ułożoną miną, z pozorną słodyczą i przejęciem, książę Rene przybywał uśmiechnięty do mieszkania Eugenjusza Feraud i wyciągał do Noris dłoń przyjacielską.

Ach! Jak ona porywała tę rękę, jak widząc księcia, czuła się pewną wygranej!

Nie była już samą. Miała już poparcie w tej walce strasznej z temi sadownikami, którym pragnęła bądź co bądź odebrać swego ojca.

Zdawało jej się, że Féraud już nie powinien się niczego obawiać teraz, gdy pan de Chantenay raczył zająć się jego losem.

— O bo mi pan pomożesz do zwolnienia ojca, nieprawdaż? Mówiła, badawczo patrząc na księcia.

— Przyrzekam to pani.

Trzymał w swej małej delikatnej drżącej ręce rozgorączkowaną rączkę Noris, a uśmiech jego dziwną rozkoszą napawał serce dziewczęcia. Zdawało jej się, że ten blady młodzieniec otaczał ją niejako ojcowską pieczołowitością, a będąc sama protektorką starego Féraud, uczuwała kobiece pragnienie być także protegowaną; pragnęła, żeby ksiązę nad nią panował.

Spiesznie zawiadomiła więźnia o obietnicy pana de Chantenay. Mogło to dobrze wpłynąć na usposobienie nieszczęśliwego starca, który żył w tej więziennej atmosferze, w powietrzu wilgotnym, szpitalnym, wychodząc za ledwie do miejsc przeznaczonych dla spaceru, gdzie za cały widok miał ściany pokryte tynkiem ostrzępionym, a u góry kawał nieba, geometrycznie odłączony od reszty horyzontu.

Ach, ileż musiał cierpieć biedny marzyciel!

Nad miejsce spaceru, gdzie więzienie wydawało się stokroć dotkliwsze, przekładał jednak tę wąską skrytkę o nagich ścianach z ciemno-żółtymi plamami, z niskim stołem, ze stołkiem z czarnego drzewa, z garnkiem ka-

miennym, łyżkę drewnianą, drewnianym kubkiem i rondelkiem z lanego żelaza — akcesorya urzędowe zaniebane z umysłu — przekładał tę ponurą celę, ale celę jednak, w której mógł przynajmniej marzyć do woli przy słabym świetle dziennym, przedostającym się przez okratowane okienko szczytowe.

Dusił się w tej kiszce, w której przeszywał go wzrok stróża przez otwór prawie niewidzialny, w której podawano mu żywność przez małe okienko, jak psu, ale z której, gdy drzwi uchylano zlekka, mógł być przez szparę dostrzedz w głębi więzienia księdza, jaskrawię odbijającego w złoconym ornatie od ponurości całego otoczenia, księdza, który odprawiał mszę w okrągłej kapliczce, stanowiącej jakoby żółtko tego białka boleści, na które składały się wszystkie oddziały i cele więzienia w Mazas.

Dusił się w tej skrytce, ale mógł być w niej sobą. Pisał, pisał bez końca, czernił papier, na którym opisywał całe swoje życie, pracowite i niewdzięczne, dla poznania z niem swych przyszłych sędziów.

Czytał także, wypraszał sobie książki u bibliotekarza, a pewnego dnia, dziwnym wypadkiem przysłano mu jego własny romans, p. t. Rozdarte serce.

Uczuł jakoby radość. Więzienie wydało mu się mniej ponure: był i tu znany!...

Cieszył się tedy'?... Niebawem zażądał innych swoich arcydzieł.

Ale, nieszczęsny, nie przeczuwał, że tem powiększy tylko swą rozpacz.

Przyniesiono mu te jego biedne dzieła, w oprawie ostrzępionej, z kartką przyklepioną do grzbietu i z ręcznym, napisem; przyniesiono mu z biblioteki

Muzeum rodzinne, Magazyn romantyczny, Bibliotekę podróży, Rewolucję Thiersa, opowiadania Dumasa lub Merimee, a on otwierał je i badał, jak towarzyszy, których napotkał, uwięzionymi, jak on sami

Stare romanse z czasów, kiedy miał lat dwadzieścia! Opowiadania młodości! Te, które, jak przypuszczał niegdyś, miały mu zgotować sławę!

Ale wkrótce opanowywał go ponury smutek i żałował, że prosił o przyniesienie mu tych książek.

Przeglądając je, z bólem dostrzegał, że były nielitościwie brudzone dopiskami i uwagami, pełnymi cynizmu i brutalstwa, dopiskami, pisanymi ręką, przyzwyczajoną do kradzieży, ręką szorstką o płaskich paznokciach, o tłustych paluchach, noszących ślady krwi!

Bładł i czerwieniał widząc, że praca jego maltretowaną była przez wydzieranie kart, lub wyskrobywanie liter w wyrazach, tak poetycznie opisujących czule romanse meksykańskie, lub czarujące brazylijskie noce!

Jakieś Oh, la, la! Jakieś gadaj zdrów! Słowem jakieś drwinki wołały o pomstę, wobec aksamitnookich bohaterów Eugenjusza Feraud.

Bohaterstwo kochanków, ich poświęcenie wzajemne, sytuację najczulsze, ci krytycy z Mazas masakrowali uwagami pisanymi jaknajnieortograniczniej, pełnymi sceptycyzmu i braku godności; a romansopisarz, który oburzał się nieraz na wyprawy łotrowskie tych rzezimieszków, tych bandytów z ciepłych krajów, tych śniadoliczych złoczyńców, spotykał popierane mnóstwom wykrzykników nadpisy cyniczne, nawołujące jego salteadorów i bandytów do szkoły:

— Bez urazy, don Jose Cabral! Ja tam lepiej władam nożem! Podpisano: Noel (Piotr-Leon) przezwiskiem Szpikulec.

A więc takiego byli o nim zdania ci czytelnicy więzienni!...

Straszny był to cios dla nieboraka.

— Czyżby wistocie rzeczywistość przewyższała wytwory naszej fantazy? — pytał się wówczas siebie biedny Féraud, myśląc, że jeśli tak jest, to kto wie? Może był w błędzie kiedyś znajdując, że "Balzak gardził życiem. "Życie! To rzecz nie wesoła! Teraz dopiero był zmuszony dostrzedz to biedny idealista, a pesymizm Balzaka może i niezupełnie pozbawiony był podstawy.

O, znał on ich dobrze, Balzak, tych złoczyńców, i dla tego właśnie nie dał się uwieźć, obalamucić i zaprowadzić za kratki więzienia takiemu łotrowi, jak np. Verignon!

— Jeżeli kiedy wyjdę ztąd... a wyjdę przecie... — mówił wówczas Féraud — zobaczymy, zobaczymy!

Noris podtrzymywała w nim tę wiarę, a i sama czuła się teraz krzepszą i pewniejszą, dzięki obietnicom księcia de Chantenay.

Rene dotrzymał słowa; widział sędziów i wstawiał się za Féraud, mówiąc te słowa:

— "Wzięliście go za złoczyńcę, a to jest tylko człowiek naiwny."

I powrócił na ulicę Brochant, ażeby powiedzieć do Noris półgłosem:

— Wszystko idzie dobrze. Uwolnimy go!...

Noris uczuwała dla księcia prawdziwą wdzięczność, którą podwajała miłość jej, datująca od chwili pierwszego ich spotkania.

Stał się on dla niej istotnie ideałem opiekuńczym i zbawczym.

Okazywała mu z dniem każdym potężniejsze zaufanie, w nim pokładała wszystkie nadzieje, on stał się jej jedynym marzeniem.

Zdawało jej się, że on współdziała z nią po bratersku w tak ważnej dla niej sprawie ocalenia ojca.

I stopniowo, w odosobnieniu, w jakim się znajdowała, z potrzebą wyrzuceń, które przepelniały jej serce, tak ściśle przyłączyła do swego życia księcia de Chantenay, że myślała o nim, jako, po ojcu, o najdroższej dla siebie istocie na ziemi.

"Mój brat Réne," mówiła z uśmiechem do siebie.

On nie mówił jej wcale o miłości, a jednak to jego zajęcie się sprawą jej ojca nadto było wymownem, ażeby nie zrozumieć, że księżę zrećźnie zastawia sidła.

Zresztą, nie śpieszyło mu się wcale dojść do celu, jak mówił.

Te wizyty u Noris, te gawędy w mieszkanku des Batignolles, te spacery po alejach skweru, pomiędzy szeregiem wózków dziecinnych i lilij, rosnących naprzeciw, były dlań miłą rozrywką.

Było w tem coś nowego, oryginalnego, niepowszedniego; nic w tem nie przypominało sali tańca, ani kulisów małych teatrzyków, ani zwykłych buduarów!

Ten paryżanin skwapliwie bawił się w idyllę.

Pospolitował swe miłostki z uśmiechem, znajdując to arcyzabawnem, a przytem pochlebiała mu namiętność, którą odgadywał u Noris, a która przyjemnie drażniła jego miłość własną, zwłaszcza, że przypominała mu uczucie narzeczonej, istoty nieświadomej i kochającej, tego nieukształtowanego jeszcze stworzenia, które będzie kobietą, ale które nie jest jeszcze kobietą, lecz tylko młodą dziewczyną.

Była to dla księcia, już znudzonego i widzącego, że miłość jest wiecznym i zwyczajnym sposobem pozyskania kobiety, niezwykła pokusa, obca mu jeszcze a obudzająca jego ciekawość, to też pragnął jaknajdłużej pozostać w tem niezdecydowaniu, w tych zalotach sui generis, które go zajmowały i dziwiły.

Odwiedzał często Noris, a najczęściej wtedy, gdy powracała z Mazas.

Wychodził ze swego pałacu i rzucał adres dziewczyny swemu woźnicy.

Gdy zostawali sami, prowadzili rozmowę prawie wyłącznie o Eugenjuszu Féraud.

Przedmiot ten znużyłby Renégo, gdyby był słuchał, ale on patrzył w piękne czarne oczy Noris, ten nosek prosty, którego misterne nozdrza poruszały się gniewnie, te usta pałające z oburzeniem, a mogące zblednąć z namiętności; ujmował w swoje dłonie rozgorączkowane rączki biednego dziewczęcia i był zachwycony, przejęty nawskróś tą pięknnością trochę dziką, wolną od pudrów i kokieteryi, i szczęśliwy, słysząc to dziecko, uśmiechające się doń przez łzy i zwracające się z temi słowy:

— Ale ja pana nudzę moim biednym ojcem!... Nie mówmy już o nim. Mówmy o panu. Co pan robiłeś dzisiaj?

Co on robił? Nic. Ubierał się... Jeździł do lasku. Złożył parę wizyt. Konferował ze swym dostawcą bielizny, w kwestyi, czy lepiej jest nosić jeden czy dwa guziki w gorsie; rozmawiał z matką, wiecznie trapioną przez migrenę i leżącą na szeslongu w małym chińskim buduarze; przebiegł Tattersall, odprawił powóz; przejechał się konno; wpadł na giełdę, podlicytował papiery. Znowu się przejechał... I tak zbiegł mu czas jakiś. Słowem, nic nie robił i jeszcze raz nic.

I dodawał z westchnieniem:

— Ach dzień jest tak długi, tak długi!.. Doprawdy, że na wolności są więźniowie!

Przybywszy pewnego wieczoru do Noris, zastał ją bardziej rozdrażnioną, niż zazwyczaj. Eugenjusz Féraud zachorował.

Wszystkie tortury dały mu się już zanadto we znaki! Zeszłej nocy dostał jakby obłądu. Ale ulitowano się nad nim.

Zamiast sali samotnej przeprowadzono go do celi, przeznaczonej dla dwóch więźniów.

Stary poczciwiec mieszkał teraz z jakimś złodziejem, młodym kantorzystą, który dobrał się do kasy swego pryncypała i uciekł z jakąś nędznicą.

Ale rzecz dziwna, to co przejmowało taką zgrozą Noris, było wcale na rękę staremu Féraud.

— Tem lepiej, tem lepiej — mówił — będę rozmawiał z tym złodziejem. Będę go badał!... Nie znam ludzi tego rodzaju!...

Córka przeraziła się tem zadowoleniem ze strony ojca, tym słodkim uśmiechem, który przy ciągłej chwiejności tej siwej głowy, wydawał jej się chorobliwym.

Ach, gdyby jej ojciec miał umrzeć! I gdyby umarł w więzieniu?...

W więzieniu! To byłoby okropne! Wszak po tylu poniżeniach, los powinienby mu przecie dać możliwość rehabilitacji!

Podczas, gdy ją trapiła ta myśl bolesna, René starał się ją uspokoić, dowodził, że ta choroba więźnia jest bagatelką — skutkiem zmiany powietrza, skutkiem zgęszczonej atmosfery więziennej, spacerów nazbyt ograniczo-

nych — a pocieszając ją, zaklinając, ażeby nie płakała, uczuwał dziwną tkliwość, podrażnienie, jakie sprawiają zazwyczaj łzy kobiece!

Ona wsparła się o fotel przy otwartym oknie, a łuna zachodzącego słońca oblała ją barwą różową.

On zaś, patrząc na nią, również otoczony ciepłym światłem wiosennego słońca, jakby aureelą, czuł się zwyciężonym, pociągniętym, zbliżał się, szukał tego wzroku, tej pięknej, zasmuconej i unikającej go twarzy.

Przeszywał wzrokiem te ręce, które Noris wyciągała doń, łkając, ujął ją wreszcie, wpółklęcząc, pochylony ku tej dziwnej istocie oblanej karminem, zawołał:

— Nie rozpaczaj pani! Ojciec pani wróci. Uwolnię go. Będziesz pani szczęśliwą, będziesz kochaną!

Zadrzała; przeszła badawczym wzrokiem Reného. Pierwszy to raz, książę tym cichym namiętym głosem, mówił jej o miłości.

— Kochaną!

Skłoniła głowę, myśląc może o swym ojcu, którego może ujrzy niebawem, jak zapewniał René, ten zaś, pobudzony tem słowem, które wymówił prawie bezwiednie, przystępował coraz bliżej, ścisnął w swych dłoniach ręce Noris i zniżając głos coraz bardziej, szeptem.... wypowiedział do ucha młodej dziewczyny, której usta jego dotykały prawie jak w pocałunku.

— To ja będę cię kochał przez całe moje życie, Noris!... Ty jesteś tak piękną i tak dobrą... Ty tak zasługujesz na to, ażeby cię kochać... że kocham ciebie, kocham!

Zamknęła oczy i z rozkoszą słuchała tej dźwięcznej melodyi wyznania.

Zapomniała o całym świecie.

Utonęła w tem zapomnieniu i pozwoliła się kołysać słodkimi słowy Reného. René sam roznamiętniony, wzruszony prawdziwie, prawdziwie szczerzy wobec tej istoty, której wzrok przeszywał go aż do głębi duszy, mówił z zapalem.

Po chwili, Noris patrząc nań błagalnie, pytała go z cicha, trwożnie, z falującą piersią:

— Czy to prawda? Pan nie kłamie?

— Przysięgam!

— Kochasz mnie?

— Z całej duszy?

— Będziesz mnie zawsze kochał?

— O tak, ty będziesz moją żoną, moją żoną, czy słyszysz, Noris, ubóstwiana moja?... Moją żoną!...

— Żoną?

Zdawało jej się, że marzy, że ma jeden z tych rozkosznych snów, jakie miewała po pierwszym poznaniu księcia, a książę, kapryśny kochanek, książę niebieski od mrzonek młodej dziewczyny, powtarzał jej dalej z wybuchem szalonej miłości:

— Tak, moją żoną! Moją żoną!... Jest to o tyle prawdą, o ile cię ubóstwiam. Ręczę ci moim honorem!

VI.

Dla Noris, ta chwila wiosenna, gdy przy zachodzie słońca i różowem świetle oddała się panu de Chantenay, była jakby snem, w który zapadła nieświadomie; dla Reného była to rozkoszna przygoda, a czując się być w zupełności pokonanym, znalazł w młodej dziewczynie nieoczekiwaną kochankę, stokroć piękniejszą i ponętniejszą od baronowej Niedmann, którą porwał jej mężowi, albo od Maryi Launay z opery, którą zmusił do opuszczenia bankiera Moliny.

Księżę był zachwycony.

— Jestem wzruszony, przejęty do głębi, zrobiłem konketę cudowną, "smakowitą" — mówił do swego kuzyna, Rajmunda de Ferdys, który obojętnie przyjmował te zwierzenia.

Była to jedna z tych miłostek mieszczańskich, równie szalona jak inne, ale kokieteryjna, dyskretna, zabawna jak wycieczka w okolice nieznane.

Księżę René Beaumartel de Chantenay mógł się nią zajmować przez cały sezon, Noris jednak, w tę pierwszą swoją miłość włożyła całe swoje życie.

Z początku, te dwie istoty tak obce sobie a jednak złączone uczuciami równemi napozór, kaprysem z jednej a namiętnością z drugiej strony, znajdowały się w bezwzględny upojeniu, a Noris, pomimo nawet swego nieszczęścia, miewała chwile rozkoszy.

Uwielbiała Renégo. Oddawała mu się z całą ufnością istoty kochającej i nieświadomej. Będzie jego żoną, ponieważ jej to przysiągł, i nie myślała nawet o tej smutnej rzeczywistości, że była jego kochanką.

Kochanką! Wyraz ten nawet był dla niej słodki, do tego stopnia ufała księciu, ideałowi swej chorobliwej fantazyi. Ale wyrazu tego nie wymawiała nawet w myśli.

Bezwładnie żyła, zawieszona ma ramieniu Renégo, oczekując tylko na chwilę, w której do ojca uwolnionego z więzienia i oczyszczonego publicznie z zarzutu, będzie mogła powiedzieć:

— Jestem żoną Renégo!

Nie przychodziło jej nawet na myśl, że "żona księcia de Chantenay", była lub będzie księżną.

Nie myślała o tytule, jaki nosił René. On był nim, i dla tego, że był nim, ubóstwiała go właśnie. W tych bohaterskich wybuchach duszy, córka miewała illuzye i złudzenia ojca.

On pokutował za nic w Mazas, w celi podwójnej, z wyłamaniem zamków. Ona uczuwała tylko olbrzymią radość, pojąc się rozkosznym marzeniem, że Féraud będzie wolny, zrehabilitowany przed ludźmi, i że René był jej małżonkiem w obliczu honoru.

Tak tedy, dla tego paryżanina, przesyconego Paryżem i dla tego dziewczęcia, które wzrosło w atmosferze biblioteki, mocno przerzedzonej, dzięki nędznej egzystencyi pisarza po trzy grosze od wiersza, zaczęło się nowe życie: tajemnicze przechadzki bez celu, René, mało dbający o to, czy go kto widzi z Noris, nie myśląc o niczem innym, jak o tem, że idzie z nim sama pod rękę.

Odwiedzali w ten sposób z idyllą miłości dwudziestoletnich istot różne zakątki, których pan de Chantenay nie znał dotąd, a które go bawiły.

Z ulicy Brochant chodzili na Montmartre, przez małe wązkie uliczki, ocierając się o tłumy ludzi, albo ginąc na obszernych pustych placach przedmieścia.

Wychodząc z salonów pałacu de Chantenay, René miał szczególniejszą ochotę udawania się wprost na te tajemnicze wycieczki...

Nazajutrz, po jakiej nudnej wizycie, na której jego matka na wpół senna bawiła gości opowieściami o Inflantach, René skwapliwie wyjeżdżał do Noris, z którą przebiegał wązkie uliczki, rozmawiając głośno i przez nikogo nie będąc słyszany.

Ona dziwiła się wraz z nim, że istnieją w Paryżu te dzikie uliczki, tak zabawnie głucho, tak nowe dla nich!

Z zaciekawieniem turystki spozierała na te dzielnice Paryża, żywo przypominające prowincję.

Kobiety stały na progach domostw. Dzieci wybiegały z pobliskiej szkoły a ich okrzyki wesołe łączyły się ze śpiewem ptasząt swobodnie skaczących po pokrytych świeżą zielonością drzewach. Łodyżki kwiatów, z odmłodzonymi gałązkami, uśmiechały się pod szaremi ścianami. Ich barwa biała, żółta lub blado-zielona zachwycała Noris.

Ona odczuwała radośnie piękno zbliżającej się wiosny. Nie wiedziała, pojąc się tem ciepłym wiosennym powietrzem, czy śmiać się ma, czy płakać.

I przy boku Reného, kierując się przez ulicę Lepic w stronę starego wiatraka, kąpiącego się w kałuży deszczowej, zatrzymywała się, uczuwając

dziwny jakiś smutek wobec świeżości murawy, wobec wszystkich cudów budzącej się do życia natury, a zwłaszcza wobec perspektywy okolic Paryża, ginących we mgle aż do odległych młynów z Sannois.

— Wiesz — mówiła — chciałabym tu przepędzić całe życie, albo udać się tam, tam, daleko i z tobą zostać tam przez całe życie!

Wistocie rada była uciec daleko, dalej nawet niż ta odległa linja horyzontu, het, poza domy, za pola, sama jedna z Reném, którego kochałaby zawsze, jak kochała dzisiaj! Ach, gdybyż to dzisiaj mogło trwać wiecznie! Zawsze, zawsze kochać go, i zawsze być kochaną!

A przecież ten sen uroczy nie tylko nie był nieprawdopodobnym, ale istniał w rzeczywistości, żywy, uśmiechnięty.

Za trzy lub cztery tygodnie sprawa "Verignon et consortes" zostanie przejrzaną na nowo! Wpływ księcia de Chantenay jest wielki. Godzina pomsty wybije wkrótce!

Noris nie wątpiła ani na chwilę o rezultacie wznowionej sprawy, już nie wątpiła o szczerości wyznań Renego.

Jedynem jej zmartwieniem była widoczna słabość ojca. Znajdowała go przy każdej wizycie coraz bledszym.

Gdy siedząc na drewnianej ławie w rozmównicy, słyszała zbliżające się poza kratami okienka, ciężkie kroki więźnia, zdawało jej się, za każdym razem, że te kroki były coraz cięższe, coraz powolniejsze. Ciało się kurczyło, cera żółkła.

— Cierpisz, ojczulku? — pytała Noris niespokojnie. Féraud uśmiechał się z poza kraty i mówił:

— Nie.

— Nudzisz się?

— Bynajmniej. Potier mnie bawi.

— Potier?

Wyłamywacz zamków. Potier opowiadał romansopisarzowi o swoich miłośkach, jak dla jakiejś ladacznicy, która go oszukiwała, okradł swego chlebodawcę i zwichnął karierę.

— To bardzo zajmujące, bardzo ciekawe — mówił Féraud. Napiszę na tem tle romans. Ach, cóż to za głupia rzecz — miłość!

Potem, dodawał, zwracając się do Noris.

— Nie chcę cię rozczarowywać! Ale wistocie nie ma romansu, nie ma romansu w życiu. To się zbyt drogo opłaca... jeżeli to nie jest romans, który się pisze!

René rzadko kiedy zapytywał o nowiny dotyczące Férauda. Zdawało mu się niewłaściwym mówić teraz o więźniu.

Ale pewnego razu Noris rzekła doń:

— Gdy ojciec mój powróci, trzeba mu będzie wszystko wyznać!

Młody człowiek przygryzł zlekka swój jasny wąsik.

— Przysiągłeś! — rzecze Noris.

— O tak, tak, i nie zapominam o tem! — powtórzył żywo książe.

Skwapliwie unikał podobnych rozmów. A było to w małym saloniku przy ulicy Brochant. Chcąc przejść do innego przedmiotu, René nagle zawołał, spoglądając na obraz, przedstawiający głowę kobiety śmiało rzuconą na płótno w wązkich ramkach bez ozdób i z wypełzłą pozłotą.

— Co to ma przedstawiać ten obraz? To nieźle wygląda.

— To obraz pędzla Delacroix — odparła Noris.

— Tak, nigdybym tego nie powiedział. Może źle umieszczony, może złe światło; — brak mu połysku.

— Jest to pierwszy obraz kupiony przez mego ojca już bardzo dawno. Byłam jeszcze wtedy malutką. Pamiętam, jaki był wówczas szczęśliwy! Delacroix! Delacroix! Studium żydówki, które malarz przywiózł z Marokko. Zdaje mi się ojciec zapłacił za to coś czy franków!

Książe spoglądał na źle umieszczony obraz. Przedstawiał on piętna brunetkę z rozpuszczonymi włosami, z czołem zdobnym w cekiny, zapewne tancerkę z kawiarni maurytańskiej.

Po chwili, pan René Beaumartel de Chantenay wypowiedział do Noris Feraud te charakterystyczne słowa.

— Ach, były to dobre czasy do kupowania obrazów. Dziś ani marzyć o nich. Panowie malarze cenią się!

— Mają słuszność! Kazał sobie płacić za wściekłą krowę, którą zjedli ich poprzednicy — odparła Noris, siląc się na uśmiech.

Ale nie było jej do śmiechu. Myślała o ojcu, który także pracował ciężko, a sprzedawał mało.

— To jednak nie przeszkadza, ażebyś zdobyła się dla tego płótna Delacroix na nowe ramy; wygląda jak przepite.

Może René de Chantenay nie rozumiał dokładnie znaczenia tego wyrazu, używanego w pracowniach malarskich. Ale chętnie posiłkował się żargonem malarzy, zarówno jak sportsmanów. Człowiek jego pozycji społecznej powinien był się znać na malarstwie i pokazywać się zarówno w Vernissage'u jak i na wyścigach konnych.

Otwarcie nie nastąpiłoby bez niego.

Zresztą, nie było już mowy o Żydówce Marokańskiej pędzla Delacroix.

Réné odwrócił zmęczone oczy od obrazu i przeniósł je na Noris z uwielbieniem znawcy, jakie okazywał klaczy zwyciężkiej jakiego Derby. Chwalił ją za drobność jej nóżek, świetność jej włosów, za aksamitny połysk jej oczu, a Noris, pod wpływem tych madrygałów tak natrętnie słodkich, czuła się skrepowaną i rumieniła się zlekka, pytając o inne swe zalety.

— Jakto? Powtarzam, że jesteś zachwycającą, godną podziwu!

Uśmiechała się... smutnie.

— Powiedz mi, że nie jestem złą i że mnie kochasz, to mi większą sprawi przyjemność.

René mówił prawdę. Znajdował ją tak piękną, że nacieszywszy się nią do woli w ukryciu, uczuł niepohamowaną żądzę pokazywania jej, sprezentowania przyjaciółom z klubu, pochwalenia się swoją zdobyczą.

Był dumny takim odkryciem. Ta wspaniała żyjąca księga, której nikt nie czytał, a o której mówił markiz, jego wuj, odkrytą została... On ją znalazł! On zbadał ją pierwszy, on, kwiat szyku!

Ale uczuł chęć, ażeby wszyscy dowiedzieli się o tem. Zaprzagnął przeciwstawić Noris, tę paryzką cyganek, zachwycającą w blasku swej piękności, wszystkim sławnym pięknościom, które zaćmiłaby bezwzględnie!...

Tryumf dla niej i dla niego.

Ale Noris zdawała się go nie rozumieć, gdy mówił jej o opuszczeniu tej zacieśnionej sfery, tych zakątków, w których, w zapomnieniu, przechadzali się ze swą miłością.

Ona była w żałobie. Wszystko, co nie dotyczyło jej ojca, albo Reného, było wstrętnem dla niej.

Dopóki Féraud nie wyjdzie z więzienia, czyliż może pokazywać się komu innemu, prócz księciu de Chantenay?

Wiktoryna trochę przestraszona bladością "panienki" radziła jej jednak wyrzucić trochę na świat i rozerwać się. Stara służąca nie podejrzewała nic złego, widziała w panu de Chantenay zbawcę i kłaniała mu się z uszanowaniem. Nie rozumiała nawet niektórych dwuznaczników woźnicy, który woził nieraz księcia z parku Monceau na ulicę Brochant. Złośliwość sługusa ośliznęła się po nieświadomości chłopki-kucharki.

Zresztą, obecnie, sztywny i obojętny, nowy woźnica, Anglik, nie mówił nigdy ani słowa. Wiktoryna lubiła go lepiej, niż tamtego.

Powtarzała tedy do Noris:

— Księżę zaprasza panienkę!.. Niech mu panienka nie odmawia. To nie dobrze oddychać tylko powietrzem Mazas. Gdy idę tam, ten zaduch więzienny uderza mi zaraz do głowy. Biedny pan! Jak on musi cierpieć!... Czy to nie warto skazać takiego Vérignona na galery za to wszystko!... O, on powinien złożyć głowę na szafocie, ten Robert Macaire!

Noris nie słuchała ani Reného, ani Wiktoryny.

Podobało jej się żyć zabarykadowaną w tem mieszkanku, z nadzieją ujżenia wchodzącego Eugenjusza Féraud i z przyjemnością oglądania w swem dziewiczym schronieniu swego ukochanego niebieskiego księcia. Życie takie miało dla niej dziwny urok. Był to jakby stan sonambulizmu i nie wiedziała czy jest kobietą upadłą, czy narzeczoną, wiedziała, że kocha Reného, i że prócz czułych wyznań miłosnych, René mówił jej o uwolnieniu ojca.

Tak mijał dzień za dniem, aż wreszcie nadeszła chwila, w której Féraud zaczął odczytywać przed swymi nowymi sędziami ten długi, długi memoriał zredagowany przezeń na drewnianym stoliczku w celi więziennej.

Być może, iż ta chwila gorączkowej radości zniewoliła Noris do zgodzenia się na to, ażeby jej przedstawiono młodego markiza de Ferdys, kuzyna księcia.

Nie mogąc pochwalić się swoją ofiarą w klubie, René zapragnął bodaj Rajmundowi pokazać, jaką idealną istotę odnalazł.

Byłby ją chętnie sprezentował ojcu Rajmunda, ale obawiał się markiza. Pocziwy wujaszek ze swymi wyszwarcowanemi wąsami, z posrebrzoną czupryną mógł rozbudzać dla siebie namiętność arcyniebezpieczną. Mógł, dla samego podrażnienia siostrzeńca, skusić Noris.... René wolał pochwalić się metresą przed tym wyniosłym Rajmundem, który zadziwi się, ale który nie pozazdrości mu konkety.

René naturalnie zaproponował obiad w jakiej restauracyi na Polach Elizejskich, pretekst do zawarcia znajomości, ale myśl ta nie podobała się pannie Féraud i wydała jej się conajmniej dziwną.

Wtedy to poraz pierwszy, na myśl o owych gabinecikach, do jednego z których ksiązę chciał ją zaprowadzić, poznała, że jest upadłą.

Jeżeli pan de Ferdys pragnie ją poznać, powinien poprostu przyjść kiedykolwiek z Renem do jej mieszkania.

Tak też i uczynił Rajmund, trochę z bezczynności, trochę z zaciekawienia, jakie w dwudziestym pierwszym roku życia budzić w nas zwykła kobieta, będąca ideałem innego.

Przybył pewnego wieczoru z Renem, porozmawiał, znalazł Noris wistocie milutką i wyszedł, zachwyciwszy sobą wybraną księcia.

Rajmund był wysokim, smagłym młodzieńcem, z elegancją i szczupłością Arnauty, o czarnych jak węgiel oczach, o poważnych ustach, przyémionych prawie surową zmarszczką, ale pozwalających przy uśmiechu dostrzedz rząd białych i zdrowych zębów.

Nosił lekko kędzierzawe faworyty, a pod nader gustownym strojem miejskim, umundurowanie marynarza, co dodawało młodemu markizowi niepospolitego uroku.

W ciągu całej wizyty, Rajmund spoglądał na Noris z wyrazem prawie smutku, który ona przyjęła za sympatyę przyjaźni, a który był raczej głębokim wzruszeniem i jakby przeczuciem nieuniknionych cierpień.

Mimowoli zestawiał, przenosząc łagodne wejrzenie z Renégo na Noris, te dwie istoty z krwi i ciała, tak różniące się jedno od drugiego, tak mało zdolne zrozumieć siebie wzajemnie, a które życie czy przypadek złączył jednak, stawiając ufność i czystość dziewicy wobec czelności i beztaktu przesyconego młodzieńca.

Nie żyjąc prawie, bojaźliwy, prawie dziki, Rajmund wobec każdej kobiety uczuwał pewne skrepowanie, jakiego nie doznał przy Noris.

Oburzał się instynktownie na kobiety sprzedajne, miał wstręt do światowych

kokotek. Markiz, jego ojciec, mawiał, śmiejąc się, że gdyby Rajmund nie został był marynarzem, poszedłby z pewnością na księdza.

— To święty. Jego matka była taką samą. Byłbym jednak zmartwionym, gdyby syn świętej miał być! Bo gdy minie mój karnawał, wcale się

gniewać nie będę, mając przy sobie grzecznych, pulchnych blondynków, takich małych markizów, którym mógłbym prawić morały, jako dziadek.

Rajmund, wistocie, rozpoczął walkę z niezręcznością paladyna, z bojażnią uczuciowego i przesadami wieśniaka.

Od kolebki czuł się jakby przygnębionym: za ledwie otworzył oczy ujrzał swą matkę płaczącą. Opuszczona, całowała go nazbyt czule i nazbyt blisko, ażeby pod słodkim tchnieniem matki dziecko nie poznało smaku goryczy łez, zanim poznało smak życia.

Woda chrzestna miała się składać z łez; one to tworzą chrzest człowieka.

Tak więc dziecko wzrosło, mając przed oczyma smutny obraz pięknej markizy.

Zostawszy młodzieńcem, Rajmund jeszcze czuł się smutnym, a tem samem pociągały go smutki kobiece i słodkie ich uśmiechy, przypominające mu dni jego dzieciństwa.

Noris, nawet pomimo, że będąc napozór kochaną, czuła się szczęśliwą, miała ten wyraz ciężkiego cierpienia, jakby rany ukrytej.

I dla tego podobała się Rajmundowi, dla tego czuł się przy niej mniej nieśmiałym, mniej skrepowanym, a zaufawszy jej, obudził w niej także, zaraz po pierwszej wizycie, głębokie zaufanie dla siebie.

Pierwsze słowo, jakie wyrzekł Ferdys, po wyjściu od Noris, było:

— Zachwycająca.

— Nieprawdaż? — odparł książę skwapliwie.

— I kochasz ją prawdziwie?

— Jak waryat!

— Czy jest twoją metresą?

— Co mówisz? — zapytał René jakby zdziwiony. Spojrzał płowemi oczyma na Rajmunda, który z całą powagą powtórzył pytanie:

— Pytam się, czy panna Féraud jest twoją metresą?

— Także pytanie!... Wziąłbyś mnie chyba za głupca, gdyby było inaczej!

— To kwestya — odpowiedział markiz. — Czy była uczciwą, zanim ją spotkałeś?

— Najuczciwsza w świecie. Brylant czystej wody, jak wolisz... Czyściuteniczki... kryształ!

— No, i cóż z nią zamierzasz uczynić dalej?

— Ja? z Noris?

— Z panną Féraud?

— Będę ją ubóstwiał, będę ją stroił, obwoził po świecie... Będę szalał dla niej... To mi wszystko jedno. Mówię ci, że oszalałem przy niej....

— Dla czego się z nią nie żenisz?

Na te słowa, René zaczął na siedzeniu powozu, wiozącego ich do parku Monceau, pokładać się od śmiechu, w nerwowych wstrząśnieniach z przerwami, i z konwulsyjnością sobie właściwą, a chętnie naśladowaną przez młodych ludzi.

— Dla czego się z nią nie żenię?.. Oj, umrę z śmiechu... Ależ dla tego, że się nie żenię z własną nałożnicą....

— Przepraszam cię. Żenię się z metresą, jeżeli ta metresą jest uczciwą dziewczyną.

— Godny jesteś pędzla, Rajmundku! — zawołał René. Doprawdy, wspaniały jesteś ze swoją pruderyą. O, złoty wieku! Tak, ty mi przedstawiasz wiek złoty! Duszę przedpotopową! Ucałuję cię, wyrobię ci nagrodę Montyon, ale zwrócę twoją uwagę, że minęły te czasy, gdy królowie żenili się z pastuszkami.

Powóz stanął przed pałacem. Rajmund, nie chciał przeczyć bratu. Zresztą, było to zapatrywanie osobiste, a przecie nie znał dobrze Noris. Ale jego poczucie prawości oburzało się na nadużycie. W każdym razie, Rajmund de Ferdys prosto zmierzał do czynu i mówił otwarcie to, co powinien był powiedzieć.

Markiz de Ferdys posiadał w osobie swego syna serce podniosłe i dobrze urobione przez matkę.

Jak powiedzieliśmy wyżej, Rajmund zachwycił Noris. Uczuła, że nagle spada jej jeden przyjaciel więcej i chociaż ufała w pomyślny obrót sprawy Vérignona i innych, cieszyła się, że ma znowu życzliwą istotę przy sobie.

A zresztą, Ferdys był kuzynem księcia. Kochała wszystko, co miało styczność z tym Renem, w którym zawsze z całą naiwnością widziała zbawcę starego Feraud.

Czy też wistocie uratowanym będzie biedny romansopisarz, który tak drogo okupił wybryki swej fantazyi i przywiązanie do marzycielstwa?

Sprawa jeszcze nie weszła do apelacyi; ale po wielu zapewnieniach, po wyrazach mniej lub więcej uspakajających, Noris nie wątpiła o pomyślnym obrocie sprawy.

Urzednicy, których widziała, mówili z nią grzecznie i uśmiechali się z całą uprzejmością.

Jeden z nich uchodzący za sceptyka, człowiek rozsądny, powiedział jej nawet otwarcie: "Niech się pani niczego nie lęka. Nawet w Izbie prawo zostaje prawem, a słusność zawsze jest słusnością."

Spodziewała się tedy i czekała, rychło li sprawa wejdzie na porządek dzienny.

Gdyby się jednak myliła, gdyby miał ją nowy zawód spotkać, straszny tym razem!

Gdyż przecie i wówczas była pełną nadziei, w owym pokoju na placu Dauphine, gdzie tyle wycierpiała, z sercem rozdartem, i dokąd teraz za nic w świecie nie chciałaby powrócić....

Och, ten pokój w hotelu Henryka IV. Noris miała wadę wszystkich nie-szczęśliwych, którzy niedolę swoją przypisują miejscu swego pobytu, przedmiotom obojętnym, wcale jej nie dotyczącym.

Nie, nie, ona pogardzi nawet opinią. Będzie tuż przy ojcu, ażeby mu się rzucić na szyję, jeżeli go jej powrócą, ażeby okazać mu całe swoje przywiązanie i szacunek, gdyby go raz jeszcze uznano winnym.

Czuła się zdolną i chętną do walki.

Ale nie będzie walczyć, wszak uwolnią tym razem Eugenjusza Feraud. Po dokładniejszym zbadaniu sprawy, wszyscy się przekonają, że ten zacny człowiek był niewinnym!

Tylko jedno zdanie prawników obudziło w niej niejake zwątpienie: "Ojciec pani jest tak niewinny, że nawet zanadto!" wyraził się do niej jeden z sędziów. Czyżby ten wąpił nawet w szczerść jej ojca?

Za to trybunał wcale nie wąpił. Noris, po pierwszej przykrości, jakiej doznała, ujrawszy ojca, prowadzonego przez żandarmów przy Verignonie

wiecznie wykwinnym i aroganckim, miała przynajmniej tę nagrodę, że mogła wybuchnąć radością, usłyszawszy słowa wyroku, uwalniające jej Eugenjusza Feraud.

Nic innego nie chciała słyszeć prócz nazwiska "Feraud. " Mało ją obchodził los Verignona, któremu zatwierdzono dawny wyrok, skazujący go na pięć lat więzienia; mało obchodził ją inżynier, któremu karę zmniejszono do dwóch lat więzy. Z biciem serca wsłuchiwała się w słowa prezesa, odczytującego powoli i dobitnie ostateczny wyrok.

Gdy usłyszała, że ojciec jej został uwolniony, łkanie zatamowało jej oddech.

Sądziła, że stopi się w tym tłumie z zachwytu. Zdawało jej się, że wyrok wywołał niesłychaną sensację, że wszystko usuwało się przed nią z szacunkiem i poważaniem, że głowy sędziów, słuchaczy, że nawet ściany zawstydzone były poprzednim wyrokiem.

Doznała jakby oszołomienia, jakby zawrotu głowy, aż gdy przyszła do siebie, spojrzała na ławę oskarżonych, szukając Ferauda.

Ani jego, ani oskarżonych nie było.

Sala się opróżniała, słuchacze wychodzili zwolna, komentując wyrok po swojemu, jak gdyby opuszczali widownię teatralną.

Noris nie wiedziała, gdzie ma szukać Ferauda.

Pan de Chantenay nie chciał być obecnym na sprawie, Wiktoryna, słaba, a zresztą lękająca się wyroku, nie śmiała zjawić się w sali; Noris była prawie samą; nawet woźnego dostrzedz nie mogła.

Pewien reporter, niejaki Gardanne, z Paryżanina, spostrzegł ją, a znając ją z widzenia, oświadczył, że ją doprowadzi do ojca.

Podziękowała mu, przyjęła ramię, które jej podał usłużny młodzieniec, i przez kilka korytarzy przytyła na próg sali, z której wychodził Féraud, niepewny, jakby nie widział nikogo przed sobą.

Był blady, drżący i dziwnie uśmiechnięty.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy, Noris mogła go ucałować nie przez kraty. Uczuła, że ręce biednego człowieka ścisnęły ją gorączkowo, i pod kroplami ciepłych łez, czuła pocałunki ojca na czole, na włosach, drogie pieśczoły ojcowskie, których pozbawioną była od tak dawna.

Dyskretny Gardanne oddalił się.

I oto, te dwie istoty, które los po macoszemu traktował, znalazły się same, jedno przy drugim, wybuchem jednej radości tłumiąc cały zapas dawnych cierpień.

Noris płakała, mając główkę wspartą na piersiach ojca; on zaś uczuwał niepohamowaną chęć uspokoić trzęsącymi się już rękami jej zboląłą twarzyczkę.

— Widzisz, widzisz, Noreczko!... Mówił... Przekonano się więc, że zasła pomyłka... Uwolniono mnie!... O to pocziwi ludzie, ci sędziowie!.. Vérignona zostawili, mają rację!... Ja nie taki jestem, Jaktó zwierzę... O jakżem szczęśliwy, jakżem szczęśliwy, Noris, moja córeczko jedyna!... No pocałuj mnie długo, długo!... Twoje pocałunki są tak słodkie!...

Ona nie odpowiadała, szalona szczęściem, śpiesząc się uprowadzić co prędzej ojca do mieszkania.

Ach, tym razem, Wiktoryna nakryje dla dwóch osób!

Wolny, jej ojciec jest wolny!...

Patrzała nań, całowała go, przyciskała w powozie, który wiozł ich w kierunku skweru des Batignolles, twarz swoją do jego twarzy,

rzucała mu się w objęcia, mieszając swe czarne kędziory z jego kłaczystą siwą brodą i szeptała mu z cicha, półsennie:

— O jakże będziemy szczęśliwi, ojczulku! Jestem tak kontenta, tak zadowolona!...

Ach, jak ja cię kocham!

VII.

Eugenjuszowi Féraud zdawało się, że przeżył ciężki, sen lub chorobę. Sprawa kopalni Sierra-Fuente, uwięzienie, sąd, wolne dni spędzone w Mazas w towarzystwie takiego Potier, cały ten nawał wypadków rozpraszał się jak senne widzenie maligny.

Znalazł się znowu z wydłużoną twarzą jak rekonwalescent, w tym małym mieszkanku, z którego wyszedł dumny, aby zasiąść w biurze na fotelu pana sekretarza głównego!

Jakże mu tu dobrze, w tym odpoczynku, przy oknie od ulicy de Brochant, z oczyma spoglądającymi na zieloność krzewów na skwerze, wieczorem przy blasku czerwonych promieni zachodzącego słońca!

Stary romansopisarz oglądał, brał jedną po drugiej książki ze swej biblioteki, nie znajdując niestety tych papierów, które mu przy rewizji skon-

fiskowali eksperci; za to, na zwykłym miejscu, oglądając ryciny, sztychy, ry-sunki, portrety ołowianej barwy swej nieboszczki żony, Zydówkę Marokańską pędzla Eugenjusza Delacrois, "jego Delacroix" cieszył się znowu tem, co stanowiło przedmiot jego zachwyków za dawnych czasów.

Znowu się znalazł trochę podstarzałym i zmęczonym jakby po długiej podróży, w swym wygodnym fotelu, pomiędzy starą Wiktoryną bardziej przywiązaną niż dawniej i Noris, Dinorą, piękniejszą niż kiedykolwiek.

— Jak tu dobrze, jak tu rozkosznie! Ach, jakże głupi byłem, pragnąc lepszego bytu! Powiedzcie tylko! Zamiast koncytować maszyny dla Sierra-Fuente i ubarwiać fałszywe owych łotrów, czyż nie lepiej było, gdybym był ciągnął dalej spokojny żywot literacki? Do licha, żyję przecie, i widzę jasno, co się dzieje! Tak, widzę wybornie! Znam życie!

Ach! Teraz! To duże dziecko w sześćdziesiątym roku życia zostało dopiero wyleczone z manii przygód! Co za lekcya! Podstrzygli trochę wełny tej owcy ofiarnej, taki Vérignon i inni! Dość przeniósł hańby i niedoli!...

Uf!... Oddychał nareszcie, wolny, niezależny, publicznie uznany za uczciwego człowieka.

Dostało się po nosie Gazecie Sądowej! Pyszni są sobie ci komentatorzy gazeciarscy!...

Gdy jednak pomyślał, że mógłby zostać skazany, zimny dreszcz przebiegał mu po całym ciele.

W chwilach bezsenności albo osamotnienia tam, w więzieniu, miał czas rozpatrzyć swe życie zwichnięte przez szukanie przygód! Wistocie miał ich nie mało! Ale teraz basta!

Widział dobrze, iż to prowadzi na bezdzoża, że mrzonki na nic się nie zdadzą.

Biedny don Kiszot ideału, zwyciężony przez ptaka i opoliczkowany przez skrzydła swoich wiatraków, powracał do domu zgębiony i strapiony, pomimo swoich uśmiechów.

Ach, więcej się nauczył w ciągu tych sześciu miesięcy więzienia, ten niewinny starzec fantasta, aniżeli w ciągu długich lat życia. Poznał grunt, wartość i czczość fantazyi. Poznał ludzi! O tak, tak! Znał ich teraz! A ponieważ dzisiaj wymagają rzeczy prawdziwych, czystych, nagich, zobaczą, je przekonają się czarne na białem!

— Przebyłem straszny romans — mówił Féraud, opuszczając głowę na piersi. Przebywszy go, muszę go opisać! Tak, opiszę... ale!... Dziś nie żądają imaginacyi!... Dobrze! Zobaczą, co to jest obserwacją i prawda! Praca moja będzie oddychać, żyć, krzyczeć. Z własnej skóry stworzę księgę. I jaką księgę. I jaką księgę. Zobaczą.. Przekonają się...

I oto powoli zabrał się znowu do pracy.

Już przy tytule zmuszony był głowę schylić nad papierem. Trudno było się nagiąć w jego wieku do wymagań współczesnych. W myśli stawały mu ciągle szumne tytuły starodawne, jak: Rozbójnicy Meksykańscy, Myśliwi z Lasso, Poszukiwacze złota, Bukanierzy czyli rabusie amerykańscy i t. p.

Ale nie... Zacznie pisać rozważnie i wolno... W samym tytule musi tkwić cała otchłań smutku i odwet za cierpienia...

Po długim namyśle skreślił na arkuszu papieru te obiecujące wyrazy: Człowiek uczciwy, dzieje uwięzionego.

I stary pisarz, ukryty w mieszkanku des Batignolles zamiast dawnych marzeń o ideałach, zaczął marzyć o prawdzie.

Noris nie podobało się trochę to, że ojciec jej pracował. Dostrzegała w nim pewne zmęczenie.

Nie śmiąc mu tego powiedzieć, błagała go tylko, ażeby porzucił tę żmudną pracę, która roznamiętniała go i rzucała mu krew do głowy.

Ale to stanowiło jego szczęście i dla tego też Noris zwątpiła, ażeby kiedykolwiek zdołała odciągnąć go od tej ciężkiej pracy.

Nieraz mówiła mu o Reném. Wiedział, jakie poświęcenie okazał pan de Chantenay w czasie jego uwięzienia. Ale zanim mu wyznała, że księżę zawładnął nią, całkowicie, Noris zapragnęła od samego Reného upoważnienia do takiego wyznania.

I przez wrodzoną sobie szczerłość, rada była jaknajśpieszniej wyjść z położenia, które uważała za występne, a które teraz trapiło ją tembardziej, że je musiała ukrywać.

Dopóki walczyła sama, zdawało jej się, że sama może być odpowiedzialną przed własnym sumieniem. Wszak zresztą zawarła z Reném jeden z tych związków, które łączą dwie istoty na całe życie w obliczu honoru i prawa.

On należał do niej jak ona do niego.

Nie przyszło jej nigdy nawet na myśl przypominać mu o jego obietnicy.

Dopóki Féraud był w więzieniu, myślała tylko o ojcu i nie chciała powiększać smutku biednego starca zwierzeniem się z tą miłością, występłą dopóty, dopóki nie zostanie ogłoszoną przed ludźmi.

Ukrywała więc starannie wszystko co było podniecającem, upajającym i bolesnem w tej tajemnicy. Należała do Reného, a nikt nie wiedział o tem.

Stara Wiktoryna miała nadto słaby wzrok, a zresztą biedaczka zamało znała miłość, ażeby dostrzedz cokolwiek lub cokolwiek odgadnąć.

Do tego czasu, Noris spoglądała na Reného mniej jak na kochanka, aniżeli jak na narzeczonego.

Ale teraz należało wyznać wszystko. Milczeć wobec ojca, przy widzeniu się z nim przez kratę okienka w rozmównicy, było jej obowiązkiem.

Ale zataić prawdę w obec Eugenjusza Féraud, wolnego, to byłoby to samo, co go oszukać.

Noris wyzna mu wszystko.

Należało tylko, ażeby pan de Chantenay zgodził się na to, a od czasu uwolnienia pocziwca, książę był z wizytą na ulicy Brochant raz jeden tylko i to króciutko, przyczem wypowiedział kilka frazesów nawpół obojętnych, nawpół konwencyonalnych, jak gdyby był zażenowany.

Poczem, oświadczywszy, że niby wyjeżdża w podróż, przestał bywać.

Noris pisała do niego, na prowincye, do Normandyi, a Rene odpisywał, albo kazał odpisywać. Powróci niebawem. I on także — pisał — rad jest jaknajprędzej ujrzeć "swoją najukochańszą."

Listy były pachnące, ale po większej części tchnące arystokratycznym chłodem. Kilka zimnych frazesów — nigdy serca, w czem stanowiły silny kontrast z listami Noris Féraud.

René wistocie nie był w Paryżu. Odpoczywał, używał willegjatury, zdaleka od gwaru miejskiego. Gdy powrócił, przyszła mu fantazyja odwiedzić Noris.

Jeszcze ją kochał. Gdyby przystała na to, ażeby się z nim afiszować, gdyby mógł ją pokazać, jak jaki wyrób jubilerski, byłby dumnym i szczęśliwym.

Ale skromność i pruderya młodej dziewczyny zaczęły go zniechęcać. Wszakże metresą nie jest od tego, ażeby ją chować.

A przytem był ojciec, ten przebrzydły ojciec!... Ojciec, uwolniony z Mazas.

Księżę zaczął żałować nawet, że wstawiał się za nim i że raczej nie postarał się o to, ażeby go zatrzymano w więzieniu.

Jakby to było wygodne.

Przy pierwszej alluzji, uczynionej przez Noris, względem jego przyrzeczeń, Reno odparł jej tak cierpko, że powinna była od razu pozbyć się wszelkiego złudzenia.

Zresztą, szczerą tym razem była jego zasługą. Jakże Noris mogła przypuszczać, że nosząc nazwisko Beaumartel de Chantenay, można wziąć za żonę córkę literata, wypuszczonego z więzienia?

Był tak stanowczym, że Noris, zgnębiona, pytała siebie, czy oszalał, czy był pijany.

Nie była przygotowaną na bezwzględny cios takiej odpowiedzi. Wyobrażała sobie, że skoro ojciec uznany będzie za niewinnego wobec całego świata, córka jego może wyjść za mąż!

Tymczasem na białych ustach Reného dostrzegła nieszczęsna pewien odcień pogardy grzecznej ale i odstręczającej zarazem.

Ironiczne wejrzenie z poza monokla potęgowało jeszcze złośliwy wyraz tego uśmiechu.

Noris sądziła, że się znajduje wobec innego człowieka. Nie poznawała księcia wcale.

Działo się to w małym salonie pałacu Chantenay, gdzie Noris odwiedziła księcia po raz pierwszy. Ze ścieśnionem gardłem wstała, a wychodząc, sądziła, że się udusi.

Mijając przedpokój o mało nie potrafiła pewnego młodzieńca, który zdejmował wierzchnie okrycie.

Poznawszy Rajmunda de Ferdys, przywitała go machinalnie, on zaś, znajdując ją nadzwyczaj bladą i wzruszoną, zatrzymał ją i ujmując jej rękę, zapytał:

— Co pani jest?

— Mnie? Nic,

— Przysięgam pani, że coś ukrywasz przedemną. Co zaszło, powiedz pani?

— Zapytaj pan swego kuzyna — odparła Noris. Jest on zdania; że się robi wielki zaszczyt dziewczynie takiej jak ja, biorąc ją za metresę. Odchodzę, bo widząc się upadłą, byłoby występkiem wobec samej siebie, wprowadzać dłużej w błąd mego ojca.

Co mówiąc szybko wyrwała rękę z dłoni Rajmunda i zostawiła go w stanie osłupienia.

Chciał biedz za nią, wstrzymać ją i zaprowadzić do małego salonu, w którym zostawiła Reného.

Ale Noris już odeszła.

Młody markiz wszedł do Reného, który z cygarem w ustach czytał w głębokim fotelu jakiś romans rozpustny, nabyty przezeń dnia poprzedniego

i napozór bardzo go zajmujący. Rozcinał książkę jak gryzетка, palcem wskazującym. Wprawdzie o dwa kroki na biurku leżał nóż do rozcinania kartek, inkrustowany srebrem, ale dla takiego paniątka było to za daleko.

— A! Rajmund! Jak się masz?

— Czy panna Féraud wyszła od ciebie? — zapytał Ferdys.

— We własnej osobie. Spotkałeś ją?

— Tak, powiedziała mi, że ją wypędziłeś.

— Jesteś jej powiernikiem?

— Szczyciłbym się jej przyjaźnią.

— Przyjaźnią! Wszak nie znasz jej wcale.

— Odgaduję ją. Biedna dziewczyna! Kocha ciebie i cierpi.

Książę spojrział wzrokiem zmęczonym, ale ironicznym, na kuzyna, gotowego wystąpić z kazaniem.

Rajmund wistocie, nie chciał słyszeć i rozumieć wszystkich subtelności życia paryzkiego. Był on od stóp do głowy portretem swej matki, czarującej i niewymuszonej markizy de Ferdys, która spostrzegłszy, że mąż jej zadaje, w tym kontrakcie, gdzie miłość tak zabawnie przemawia językiem notaryalnym, ciosy nie tylko scyzorykiem lecz i sztyletem, o tyle o ile ten nieszczęśliwy kontrakt nie był niczem więcej jak koronką, tłumila w sobie samej tę smutną rzeczywistość, nie zdradzając jej ani przed obcemi, którzy się wyśmiewają, ani przed przyjaciółmi, których to bawi.

Pani de Ferdys znała świat zbyt dobrze, ażeby wiedzieć, że gdy się prosi, o poparcie przyjaciółek, to one ukrywają usteczka, ażeby się nie śmiać, w tę samą chustkę, którą przed chwilą ocierały łzy proszącej. Markiza była

matką i wyłącznie matką. Jej syn, jej Rajmund, stanowił jej odwet, był szczęśliwym rywalem zapominającego o niej męża.

To też chciała urobić go podług swego ideału, tembardziej, że fizycznie był do niej podobny jak dwie krople wody.

Ale niestety, nielitościwą śmierć rozdzieliła te dwie istoty w chwili, gdy pani de Ferdys już miała ujrzeć z radością w synu człowieka dorosłego.

Odczuł głęboko to wydarzenie mu skarbu Daj droższego, a czując pustym ten Paryż, w którym jej już nie było, chciał uciec.

Opanowała go żądza poszukiwań; pragnienie nowości ciągnęło go ku morzu.

— Dobrze! — rzekł pan de Ferdys, zostaniesz marynarzem. W rodzinie de Ferdys byli już marynarze...

I w szesnastu latach Rajmund wstąpił do korpusu morskiego.

Wyszędłszy w ośmnastym roku życia jako aspirant drugiej klasy, wysłany został na studia praktyczne na okręcie Jean-Bart, który odbywał manewra przy brzegach Afryki i stamtąd powrócił do Brest na egzamin.

W dwudziestym roku jako aspirant klasy pierwszej, po sześciomiesięcznej praktyce przy budowie okrętów i ośmiomiesięcznej podróży po wodach chińskich, spacerował pewnego czasu po ulicach Paryża z twarzą ogorzałą i z puszczającymi się faworytami.

Poważny ten młodzian, a jednak uprzejmy i uśmiechnięty, nie wymuszony i dostępny, ale dążący w życiu do zamierzonego celu, stanowił z René'm rażący kontrast.

Odkrywał nieraz przed kuzynem tajemnice swoich zamiarów na przyszłość i recytował mu kazania na temat obowiązku i sumienia.

— Bo widzisz, René — mówił do książątka, my ludzie noszący nazwiska, brzemienne sławą przeszłości, my żyjemy w trudnych dla siebie czasach, gdzie się pracuje dla przyszłości, nie pracując, zasłużylibyśmy sobie na tytuł pasożytów społecznych, bo dziś pochodzenie jest niczem wobec zasług osobistych. Wistocie, cóż nam zostanie z dawnych przywilejów? To, co ma znaczenie na giełdzie i w handlu: trochę pieniędzy. A więc! Korzystajmy z tej wyższości, którą nam daje potęga wykształcenia, dla zdobycia sobie stanowiska w społeczeństwie takiego, jakie krwią zdobyli sobie przodkowie nasi. To nie dosyć, wierzaj mi; wylać trochę krwi w chwili niebezpieczeństwa; to nie wystarcza ani dla ocalenia honoru rodziny, ani tembardziej dla ocalenia honoru ojczyzny. Dla zapewnienia sobie prawdziwej wyższości imienia i rodu, trzeba poprzeć tamte czyny zapalem w pracy, trzeba pracować tak w górze, jak biedak pracuje na dole, rozumiesz? A ponieważ nie przystoi nam wiaść się do pióra lub handlu, zostańmy przy pługu lub mieczu.

Uprawiajmy ziemię lub brońmy jej. Zawstydzajmy tych z naszego grona, którzy wtrącają swoje nazwisko do nędznych spekulacji, którzy je wynajmują do publikacji, otrzymując za to liczmany, podczas gdy ich ojcowie otrzymywali wstęgi honorowe za rany dobrze zasłużone. Są przecie i inne miejsca prócz opery, bulwarów, klubów, wyścigów i t. p. O są! To też idę je zobaczyć, zbadać, rzucam się na morze jak Telemak: hopla! Ale bez Mentora.

René wyrobił sobie o Ferdym osobiste zdania: Rajmund był podług niego dobrym chłopcem, który "pozował trochę na mędrca." Książę nie zwracał uwagi na szlachetność, na zabieглиwość tego młodzieńca melancholij-

nego, stałego i słodkiego, uczuwającego bojaźń i niesmak zarazem dla Paryża, a przytem, pomimo całej miłości dla ojca, zachwyconego tem, że może wyjechać na morza Chińskie i w ten sposób przynajmniej unikać spotkania się z nałożnicami markiza.

René rad nie rad przyznawał, że Rajmund w chwili konwersacyi stawał się mentorem.

Teraz właśnie, gdy mówili o Noris, była to oczywiście "konferencya" i to konferencya dotycząca obowiązków uwodziciela wobec uwiedzionej, którą Ferdys, ten dobry Rajmundek, jął bronić tak gorąco.

— Ty nie tylko jesteś mentorem, ale i wcieloną doskonałością, mówił pan de Chantenay z uśmiechem.

Rajmund wistocie tknięty podwójnem uczuciem, instynktową symatyą jaką miał dla Noris i oburzeniem moralnem, co było jego zasadą — wysiłał się, ażeby wyłożyć Renému pojęcie sprawiedliwości i honoru; ponieważ książę przysiągł pannie Féraud, że zostanie j ej mężem (René tego bynajmniej nie zaprzeczał), to panna Féraud miała prawo domagać się od pana de Chantenay dotrzymania obietnicy.

— Oszalałeś! — odpowiedział René. Ależ mój drogi, nie żyłeś na świecie. Jesteś dziki. Przypuśćmy, czy naprzykład ty ożeniłbyś się z Chinką, któraby ci przypadła do gustu, czy zaprowadziłbyś ją do swego merowstwa? Idź, powiedz to mojej matce, że radzisz mi się ożenić z Noris! Ładnie cię przyjmie!

— Czy księżna wie, że panna Féraud jest twoją metresą?

— Prawdopodobnie. Znalazła na kominku w moim gabinecie portret Noris. Wzięła ją za aktorkę. Opowiedziałem jej całą historię. To ją zajęło. Czytała przebieg procesu kopalni Sierra-Fuente.

— Księżna ma względem ciebie słabostki, które cię będą drogo kosztowały.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się książę wesoło — powiesz może, że to matka mnie zepsuła?

— Nie — odparł Ferdys. Twoja matka jest uczciwą kobietą. Ciebie inne kobiety zepsuły.

— Niech żyją inne! — zakonkludował René, zabierając się do przerwanej lektury.

Rajmund uczuwał prawdziwy smutek, widząc, że książę był stanowczo niepoprawnym. Widział w nim całą pustotę, całą płytkość, całe dziwactwo paryzkiego życia. To też skwapliwie podążył do swoich apartamentów, z obrzydzeniem prawie opuszczając gabinet Reného, tchnący zapachem perfum "ylang-ylang".

Ukazanie się tej młodej dziewczyny w całej nagości jej szlachetnego oburzenia, dotknęło go do żywego.

Uczuwał dla kuzyna niechęć tem większą, że Noris wydawała mu się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotykał.

Wkrótce po przytoczonym zajściu, złożył wizytę pannie Féraud dla pocieszenia jej, jak wmawiał w siebie, nie śmiąc przyznać, że postąpił tak raczej dla tego, żeby ją zobaczyć.

Młoda dziewczyna zwierzała mu się otwarcie ze wszystkiego, co jej ciążyło na sercu, pociągnięta również sympatyą dla Rajmunda, w głębi czarnych oczu, którego dostrzegała tylko szacunek i życzliwość dla siebie.

I on pewno gniewał się na Renégo, i on pewno znajdował go winnym i podłym. Wyzna jej to kiedykolwiek.

Wyznał to wcześniej księżnie, wizytując ją wkrótce potem przed swym bliskim wyjazdem.

Pani de Chantenay zajmowała pałac przy ulicy Van-Dyck'a, wychodzący na park Monceau i sąsiadujący z pałacem syna. Żyła w nim według zasad wzorowej dystynkcji, nieopodal Renégo, przykładnie posiłkując się morfiną.

Zdenerwowana, zużyta, trapiąca przez migrenę, księżna za pomocą chloralu zasypiała snem sztucznym, a dzięki iniekcjom zaskórnym z morfiny zyskiwała trochę spokoju w chwilach nerwowych kryzysów.

Wychodziła mało, zadawałniając się zbytkiem swego otoczenia, i prowadziła żywot w błogiej, niczem niezakłóconej ciszy.

Czytając wiele, nie rozumiejąc jednak wszystkiego, i kochając syna — bohatera kronik, które ją bawiły — aż do patrzenia na wszystko co czynił przez szpary, bawiła się nieraz szczerze, nazywając go kwiatem szyku jak inni.

Wieczorem tego dnia, gdy Rajmund złożył jej pożegnalną wizytę, księżna, w małym saloniku, oświetlonym przez arabeskowe promienie dwóch lamp, przykrytych fantazyjnymi abat-jourami, leżała niedbale, według zwyczaju, na sofie, z wzrokiem niepewnym, szklannym, obojętnym, z rozwartymi powiekami, bezmyślnie, jak gdyby w słodkim upojeniu, jakby

w śnie hypnotycznym, rozmarzona, nawskróś zaatakowana działaniem morfiny, i przy różowym świetle lamp, przedzierającym się przez rysunek na abat-jourach, spoglądała na Rajmunda z nieokreślonym uśmiechem za ledwie unosząc swe wążkie usta na szczupłej twarzy, o siwiejących blond włosach, które posypane srebrnym pudrem wydawały się już całkiem białe.

Zdołała jednak, dostrzegłszy siostrzeńca, przypomnieć coś sobie, gdyż wyciągając doń rękę na powitanie, rzekła:

— Ach, to ty markizie, mój siostrzeńcu, który tak pięknie radzisz księciu de Chantenay pojąć za żonę jakąś awanturnicę?

Rajmund, trochę zmieszany niespodziewaną przemową księżnej, wkrótce przyszedł do siebie.

— René mówił cioteczce?...

— Och! księżę wszystko mi mówi. To go bawi, mnie zaś nie nudzi!

— A więc — odparł Rajmund z pewną stanowczością: cioteczka zna już moje zapatrywanie się na tę sprawę!

Pomimo silnego działania morfiny, księżna powzięła dziwną ochotę dowiedzenia się całej prawdy.

To też po chwili zaczęła badać Rajmunda, ażeby z ust jego usłyszeć o romansie Reného, co ją mogły wprowadzać w dobry humor.

Dla markiza Férdis otworzyło się nowe pole wystąpienia z obroną uciśnionej Noris w obliczu matki, jak to uczynił wobec syna.

Wystąpił gorąco, z wzrastającym zapalem, wysławiając przed wielką damą absolutną uczciwość młodej dziewczyny, pomimo że była uwiedzioną, upadłą, twierdząc, że skoro Chantenay dał słowo, to już jako Chantenay powinien poczytywać sobie za obowiązek dotrzymać słowa!

— Innemi słowy — odparła księżna — powracasz do swego markizie? Więc twojem zdaniem, René powinien ją poślubić?...

Rozśmiała się, wznosząc i opuszczając głowę na miękkie poduszki, a młody markiz wydawał jej się "osobliwym, osobliwym."

— Przypuśćmy — rzekł Rajmund, że René uwiódł jaką dziewczynę z towarzystwa, że dał jej obietnicę ożenienia i że ona zjawia się doń z prośbą o dotrzymanie słowa...

— Och — odrzekła księżna, głosem "zawsze powolnym, wół śpiewnym, wół głuchym — to nie byłoby przecie to samo.

— Dla czego?

— Pytasz się o to! Wszak to bardzo naturalne. Dla tego, że ta dziewczyna byłaby mu odpowiednią stanowiskiem społecznem i o ile przypuszczam...

Nie dokończyła zdania, gdyż Rajmund, trochę podrażniony, przerwał ciotce tonem dosyć cierpkim:

— Sądziłem, że skoro dał słowo, to słowo to miało znaczenie bez względu na osobę.

— Znajdujesz więc, że René występuje wobec panny Féraud jako człowiek niehonorowy?

— Bezwarunkowo?

Księżna ujęła swą białą głowę w obie chude ręce i patrzyła na Rajmunda wzrokiem głębokiego politowania, odzyskując potrochu żywość usposobienia, jak gdyby wpływ morfiny zatarty został dziwaczными zdaniami Rajmunda:

— Ach, mój drogi Ferdys, jeżeli będziesz patrzył na życie oczyma Don Kiszota, to może wzniesiesz się bardzo wysoko... bardzo wysoko.. na skrzydłach twoich wiatraków, ale jednak nie zajedziesz daleko, zapewniam cię!

Rajmund wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: "Tu nie o mnie idzie!" a wracając do Noris, starał się przekonać księżnę, że panna Féraud nie była ani awanturnicą, ani dziewczyną ordynarną, ale natomiast istotą podniosłą, wykształconą, przywiązaną do ojca i za służącą na zupełny szacunek.

— O, gdybyś ją zobaczyła, droga ciociu.

— Zobaczyć ją? I po co? I cóż mnie, proszę cię, obchodzi panna Féraud? Podniosła się do połowy na sofie, a wlepiając wzrok w oczy siostrzeńca, z twarzą nagle zapłonioną i wzrokiem błyszczącym jak gdyby pod wpływem jakiego wewnętrznego ognia, przechodząc z półuśpiania, z ociężałości i niechęci, w jakiej znajdowała się przed chwilą, do wzrastającej stopniowo niecierpliwości i jakby zdenerwowania, rzekła:

— Nazwijmy rzeczy po imieniu, mój drogi, i dajmy raz pokój tej myśli bezwarunkowo niemożliwej, powinieneś się raz przecie pogodzić z tem, że świat składa się z bardzo a bardzo różnych pierwiastków, sfera, do której ty, markizie, należysz, jest sferą odrębną i o wiele różniącą się od tej... tej demokracji, od tego nawału przeróżnych sfer, tych ludzi ordynaryjnych, o których zbyt wiele piszą wasze gazety, a których ja nie znam wcale, i którzy mnie mało obchodzą.... Ty należysz do sfery wielkiego świata i tej jednej powinieneś hołdować... Towarzystwo jest ostatnim szczeblem tradycyi, którego przełamać niepodobna nawet drogą gwałtu... Nie należy więc do-

puszczać doń nikogo, rozumiesz, nikogo!.. Dziś weszłaby doń mieszcza-
neczka taka, jak mamzel... jak sądzisz?... mamzel Feraud... bardzo milutka,
być może, znośna nawet... Jutro wdarłaby się poprostu, jaka przekupka, kto
wie? A zresztą, Rajmundzie, mówisz mi o cnocie tej Noris, o jej uczciwo-
ści, o jej zaletach... A czy jesteś pewien, że ona jest tak doskonałą, jak sobie
wyobrażasz, mój drogi? Gdyby była tak doskonałą, byłaby się lepiej broniła
i nie zostałaby nałożnicą mego syna!

— Upadła jedynie dlatego, że René ją uwiódł przysięgą.

— Co? Że się z nią ożeni?

— Tak.

— A więc to targ! Tego rodzaju transakcye, nie zajmują mnie wcale.
Kobieta się poddaje, to i owszem. Gdy się sprzedaje jednak, to już rzecz
inna.

— Czyliż panna Féraud się sprzedała?

— Za tytuł, tak. Ażeby zostać księżną... księżną de Chantenay! Do li-
cha, wysoko sięga ta panna Féraud!...

— Ona kocha Reného i kocha go prawdziwie.

— To mnie wcale nie dziwi. On ma dosyć warunków po temu! Kocha-
łaby go jednak mniej, gdyby był skoczkiem na linie, albo małym komisan-
tem. Tak, tak, Ferdys! Wyglądasz, jakbyś przybywał z księżyca! Zapytaj
się własnego ojca, czy nie mam racyi. On zna życie, ale ty znasz tylko two-
je okręty.... Nie jesteś przecie w Brest, i nie dają ci do ręki bussoli dla unik-
nięcia miłostek! Ojciec twój spojrzalby na ciebie, jak na apostoła dziwac-
twa, mój dobry Ferdys. Bo ojciec twój żył!

— I jestem pewien, że dotrzymał wszystkich danych przez siebie zobowiązań.

— Kobietom?...

Z nerwowym śmiechem, bardzo wesołym, pomimo ostrości z jaką przemyczał się przez jej usta, księżna podkreśliła wyrazy: "kobietom?... i zaczęła podejrzycić siostrzeńca o brak zdrowych zmysłów.

— Ale, mój biedny przyjacielu, mężczyźni składają nam w ciągu życia niezliczone mnóstwo przysięg bezmyślnie, bez zastanowienia. Twój ojciec! Ależ kochanku, on nawet nie dotrzymał słowa danego twojej matce, twojej świętej matce!... Przysięgi, które nam złożono... ba!.. to jak bileciki kondolencyjne: tego się nie bierze na uwagę... Śmiała się ciągle śmiechem urywanym, podczas gdy przed nią stał Rajmund, bardzo blady, zdjęty wielką ochotą do płaczu i głuchym gniewem, odnalazłszy w księżnej też same przesady i tenże egoizm, co w Reném.

Nagle, pani de Chantenay wstała, wyciągnęła do siostrzeńca rękę długą, pokrytą niebieskimi żyłkami, suchą, gorączkową i przerywając rozmowę, rzekła:

— A teraz opuszczę cię, mój drogi! Nie mam ochoty do dłuższej sprzeczki.... Adieu!... Mam nadzieję, że cię zobaczę jeszcze przed twoim odjazdem! Idź propagować przymusowe małżeństwa w Madagaskarze, albo Taiti, gdzie chcesz, byle nie w Paryżu... Tu nikt tego nie weźmie na serio!... Dowidzenia, Rajmundzie!

Uniosła kołdrę włóczkową z bębenkami jedwabnymi, i minawszy kilka pokoi udała się szukać spoczynku i trochę upojenia, które odbiegły ją przed chwilą, w iniekcji z morfiny.

Rajmund był rozdrażniony i doznawał uczucia, jakgdyby otrzymał cios w same piersi.

Ze swemi zasadami nie mógł strawić, że w gronie najbliższych sobie osób, w których krążyła krew ta sama, co u niego, napotkał tyle niczem nieuzasadnionego uporu i egoizmu.

Don Kiszot! Niech i tak będzie! I cóż go obchodzi zdanie tych egoistów o sobie?

Ale ta Noris, ta nieszczęśliwa Noris, którą tak nielitościwie zbudzono ze snu rozkoszy!

Zdawało mu się, że popełniono względem niej występki nie do darowania. Odgadł całą głębię duszy, całą potęgę namiętności tej młodej dziewczyny. Uważał ją za istotę ze swojej sfery, ze sfery tych nieopatrznych poczciwców, którzy idąc przez życie, otwierają jakoby własną pierś, obnażając przed światem serce — miejsce, w które cios zadać należy.

Jakim sposobem to dziewczę, które znał od tak niedawna, obudziło w nim taką życzliwość, przez jaką atrakcję, jeżeli nie przez magnetyzm dwóch natur, skazanych na te same zawody i na jednakowe cierpienia?

Zdawało mu się teraz, że on jeden był tylko, który mógł ją bronić wobec tego Renégo, okpisza, co składał przysięgi, a jednak nie kochał wcale.

A za kilka dni, Noris nie będzie miała nikogo, komuby zaufać, komuby zwierzyć się mogła.

Rajmund wistocie odjedzie.

Urlop mu się kończy; Ferdys rad jest, że może już powrócić do swego zajęcia. Ten Paryż ciążył mu, jak zgęszczone powietrze. Czuł się tu bardziej osamotnionym, jak w swej kajucie, gdzie podczas, gdy patrzył przez

okienko na szmat nieba, wicher unosił jego dwudziestoletnie marzenia, jak dym z maszyny parowca.

René — sceptyk, pani de Chantenay — przeżyta, markiz, jego ojciec, obojętny — a jako kontrast, Noris, smutna, przechylona w połowie nad stołem, na którym Féraud kreślił swoją: Dzieje Uwięzionego! To przeciwstawienie wydawało się Rajmundowi okrutnem.

To serce dwudziestoletnie skakało z gniewu wobec tej okrutnej prawdy.

Gdyby na tem polegało życie, jakże fałszywym jest taki balans życia!

Cała lojalność młodzieńca, opoliczkowana i raniona, oburzała się ze zgrozą. Niech żyje więc morze i samotność, książki, marzenia na pokładzie, dni, spędzone na gawędzie z dzielnymi chłopcami, towarzyszami podróży, niech żyje cały hazard istnienia, skazanego na zapomnienie!

Rajmund czuł się być nawskroś przejęty podróżomanią.

Nudził się i był zdenerwowany.

Kuzyn jego, ojciec nawet, zdawali mu się mówić innym językiem, niż jego. Nie rozumiał ich, nie mogli istnieć ze sobą.

— Potrzeba mi wody słonej! — mówił, próbując uśmiechnąć się.

Przyspieszył swój wyjazd o dni kilka, udał się na ulicę Brochant odwiedzić pannę Féraud, wyznał jej otwarcie, jak rzeczywisty ma dla niej szacunek, prosił ją, ażeby pamiętała, iż tam, na drugim końcu świata ma zawsze przyjaciela, prawdziwie sobie życzliwego i bez uciekania się do frazesów romantycznych, starał się jej dodać odwagi.

Gdy chciał mówić o Reném, przerwała mu, wtrącając krótko: "Daj pan pokój. Myślę tylko o moim ojcu, który jest chory. Nic innego mnie nie obchodzi."

Ton, jakim wymówiła te przejmujące słowa, w których odbijała się rezygnacja po utraconej przeszłości, boleśnie oddziałał na Rajmunda.

Pragnął, żeby René je usłyszał. Może księcia wzruszyłyby te wyrazy, w których było prawie zarówno tyle pogardy ile rozpacz.

Rajmund opuścił jednak Paryż, nie powiedziawszy kuzynowi, że widział Noris.

Bo i po co?

Księżę de Chantenay był niepoprawny, a zresztą wiedział gdzie się znajdował obowiązek.

— Ty nie znasz swego kuzyna — mówił markiz do syna, odprowadzając go do Brest i słuchając w wagonie jego opowiadania o Noris. — René ma odrębne poczucie obowiązku. Obowiązkiem dla niego, jest jego własna przyjemność. Jeżeli jeszcze kocha tę dziewczynę, ona może liczyć na niego; nie jest to zły człowiek. Jeżeli zaś jej nie kocha, nie ma się czego po nim spodziewać, będzie ją traktował z pewną wiejską rubasznnością mieszkańców z nad Bałtyku, którą odziedziczył po matce. Och, sentymentalizm nie jest ani własnością usposobienia, ani słabostką twego kuzyna i księżny. Nie zajmuj się więc tem i zostaw dziewczynę jej własnemu przeznaczeniu.

— Ale — zapytał Rajmund — gdybym ja był dał taką przysięgę, jak René, czy ojciec utrzymywałby tak jak pani de Chantenay, że nie powinienem jej dotrzymać?

— Mój drogi! — odparł markiz — uczciwy człowiek nie stawia swego podpisu na wekslu bez intencji płacenia, jeżeli zaś podpisał, musi płacić.

— Brawo! Rozumiem cię, ojcze! — zawołał Rajmund.

Markiz dodał z lekkim uśmiechem:

— Tylko nie łap mnie za słówka. I, do licha! Nie przywieź mi jakiej czerwonoskórej żoneczki! Gniewałbym się. Zwyczaj jest praktycznym prawem: podnoś tylko owoce upadłe z drzewa; najczęściej są to owoce najlepsze; nie pragną nic więcej, jak tylko być zjedzonymi. Gdy zaś chcesz się żenić, ach, wtedy trzeba szukać i dobrze przebrać: na najwyższej gałęzi i przy pełnym słońcu!

Markiz odprowadził Rajmunda aż do statku, ucałował go z całej siły i silnie

wzruszony zeszedł na łódź, która go przywiozła, życząc uprzejmie całej osadzie: "pomyślnego wiatru i szczęśliwej podróży."

Pytał siebie, czy się nie przeziębził czasami, ten stary bulwarzysta de Ferdys, czując wodę w trzewikach i widząc rękawiczki trochę obryzgane błotem.

Przeziębził.... Co robić!

Przed odjazdem do Paryża podał depeszę telegraficzną na plac de la Comedie do Ludwika Gagnon, Gagnonty, jednego z paziów z Hugonotów — wytrawnego "urwisa z towarzystwa" — zapraszając go na śniadanie na-
zajutrz.

— Jabłka opadłe. — marzył, powracając do Paryża. — Doprawdy, żeniąc się tyle razy z temi dziewczętami, człowiek nigdy nie ryzykuje ożenić się na seryo!

VIII.

CZŁOWIEK UCZCIWY I DZIEJE UWIĘZIONEGO.

Eugenjusz Féraud często spoglądał na ten tytuł, pięknie przezeń wykali-
grafowany, na wierzchu arkusza ministeryalnego, który zapełniał nieco już
drżącym pismem. Podziwiał go, tak jak artysta, patrząc na afisz, głoszący o
wystawieniu jego sztuki; pisał, przepisywał, kaligrafował, od czasu do cza-
su, znajdując w ogonkach, które dorzuczał, wiele harmonii i wdzięku, i pi-
sząc raz angielskim pismem podłużnym, to znowu rondem, pragnął w
niem uosobić całą gorycz filozofii, którą chciał nadać swej książce, ten
biedny poczciwiec, oskarżony publicznie przez chwilę życia o występki.
Dzieje uwięzionego! Jego dzieje, historia typu tych nieszczęśliwych, tych
ofiar, stanowiących żer spekulantów, nieludzkich cyników.

Wszystko, tak, wszystko co wycierpiał w więzieniu, wszystko to pra-
gnął odzwierciadlić w powieści pisanej krwią własną — jak mówił — i
zwilżonej własnymi łzami.

Prawdziwemi łzami, ponieważ domagano się prawdy!

Biedny starzec spostrzegł teraz, że szedł w życiu jak dziecko, które z
wyciągniętą ręką ukazuje muchom kawałek chleba, posmarowanego mio-
dem. Zbuntowały się na mego te muchy ludzkie: przyjaciele, towarzysze,
socyusze, koledzy, żebracy (gdyż nieraz żebrano jego protekcji i jego pie-
niędzy, choć tak był biedny), mnóstwo żarłocznych bestyj, które wypiwszy
słodycz miodu, odlatywały szukać nowego żeru i pogardzały nieopatrznym,

dając mu miano: "słabego," "dobrego dziecka," lub "sympatycznego głup-taska." I cóż, że był uczciwy? Cóż, że był niewinny? Zapomniano o nim, bo stary!

Chciał tedy w dziejach swych nieszczęść wykazać, ile przecierpiał, widząc się obnażonym, rozebrany brutalnie przez tych urzędników i tych adwokatów, którzy mają szczególniejsze zadowolenie w pastwieniu się nad osobami, które sądzą.

Ileż to jemu, nieszczęśliwemu, wyrządzono krzywdy! Ileż rzucono mu obelg wobec mnóstwa słuchaczy, obelg, równie dotkliwych, jak obryzanie twarzy błotem.

— Mówią nieraz — szeptał do siebie — że dziennikarze dyffamują ludzi. Wistocie nieraz pióro bywa bardzo złośliwe. Ale język! Ślina prawników jest niemniej zjadliwą jak atrament biografów!.. Szkalują i oni także ci urzędnicy i adwokaci i szkalują gorszą francuszczyzną, jak gazeciarze.

Otóż, wszystko to Feraud wypowie w swych *Dziejach Uwięzionego*. Jego Człowiek Uczciwy — będzie on sam.

Dzieło jego, było jego rewanżem, odpłaceniem i koroną jego całego życia; nie pamfletem, ale raczej spowiedzią, wykładem strasznym może, to prawda, lecz za to (tu romansopisarz zniżył głos do szeptu), za to akademycznym. Ach, gdyby jakim niespodziewanym trafem, akademia, oceniła go stokroć uroczyściej niż izba sądowa! Nie przez powołanie go na krzesło akademickie, broń Boże! Sama myśl o tym zaszczycie była już, według Eugenjusza Feraud, świętokradztwem, ale przez uwieńczenie, przez odznaczenie jego ostatniego dzieła!

Nagroda instytutu, albo wzmianka w rozprawach. Sekretarza wieczystego; sława dnia, pył sławy, dla czegożby nie?...

I Féraud pracował, chciał pracować przynajmniej, i czuł się ze zdziwieniami, które stopniowo ustępowały miejsca rozpaczom, czuł się zmęczonym, czuł, że mu nogi słabną i ciężą, głowa opada, jakby pod ciężarem kamienia młyńskiego, a serce, stare serce doznaje nieraz palpitacji, które tamowały mu oddech.

Cierpienie fizyczne byłoby jeszcze niczem, gdyby umysł był swobodny.

O, tak, bez wątpienia! Czuł dobrze, co chciał powiedzieć o "uwięzionym", brakło mu słów tylko. Wszystkie wspomnienia stawały mu jasno przed oczyma, gdy jednak chciał je oblec w formę, przelewały się jak woda z przepelnionej karafki.

Słowa odmawiały mu posłuszeństwa; nie wyrażały tego, co chciał powiedzieć. Prawda, którą pragnął ująć i uwiecznić stawała się bladą, bezkrwistą, gdy ją na papier przelewał. Ta krew, ta sławna krew i te łzy, które chciał odbić w książce wyparowywały się, i z gniewu, rozdzierał zaczęty arkusz, gniótł go, lub rzucał do pieca, a biorąc nowy, zaczynał pisać z nową ideą, która miała odwzorować artystycznie obraz życia p. t. Człowiek uczciwy: Dzieje uwięzionego.

Noris niechętnie asystowała tej walce człowieka z własną myślą, z tym stopniowym upadkiem, z tem obezwładnieniem przeraźliwie wzrastającym, jakby pod wpływem ciosu kata z Mazas.

Chciała oderwać Férauda od tej pracy tak mozolnej.

Nieraz kładła swą piękną delikatną rączkę na arkusze, które starzec pokrywał hieroglifami. Mówiła powoli, przysuwając swe usta do czoła chłodnego, które rozgrzewało się pod jej tchnieniem.

— Porzuć to, przestań pisać! Idź zobacz, jak pięknie jest na skwerze!

Ale on ujmował dłonie córki, podnosił je do ust, lub trzymał je w swoich starych rękach i błagał Noris, aby go zostawiła z jego kompozycją, która mu sprawia zadowolenie, "kompozycją" która się redukowała do bezwładnych wysiłków, do stronic rozdartych lub spalonych na kominku, jak nikszące gwiazdki nadziei..

Ten upór przy widocznem osłabieniu ojca, dodawał Noris nie mało bólu do cierpienia, które w jej sercu spowodował René!

Ten ostatni nie powracał.

Ona była zbyt srodze drażniętą, ażeby powrócić do niego!

Pisywała, on odpisywał, ale listy ich tchnęły przymusem; książkę zostawał w nich tem, czem był wistocie, lubo prosił w nich Noris, ażeby przybyła do pałacu przy ulicy Van-Dycka, kiedy jej się tylko spodoba, zapewniając ją o swem przywiązaniu, wywołując w biednej Noris niekiedy żądze namiętności, którą nieraz powodowały rumieniec na twarzy nieszczęsnej.

Widzieć go znowu? Widzieć go teraz?

Nie! Zbyt dotkliwie bolała ją hańba, w jaką została wtrąconą przez niego!

Kochała go zawsze. Może nawet kochała go bardziej niż kiedykolwiek; ale jej duma oburzała się i przykuwała ją do tego zakątka, w którym jej ojciec, nie wiedząc o tym dramacie ukrytej namiętności, mawiał nieraz:

— I cóż księżę? Pan de Chantenay już nas nie odwiedza? Chciałbym mu przecie powiedzieć, ile mu jestem obowiązany za jego poparcie! On był tak dobry, tak dobry dla nas!

Ona nie odpowiadała, albo dawała odpowiedź wymijającą. Księżę de Chantenay ma zbyt wiele innych zajęć w wielkim świecie, ażeby się miał tylko niemi zajmować.

Zresztą, prędzej, czy później, odwiedzi ich zawsze!

I krew uderzała jej do głowy namysł, że nieszczęśliwy ojciec może kiedykolwiek dorozumieć się prawdy, prawdy, która jej przynosi tyle gniewu i wstydu.

Za cenę życia przeszkodziłaby każdemu, ktoby chciał powiadomić go o tem, i z sercem bolejącem milczała, nie zdradzając niczem rozpacz, w jaką wprowadził ją René.

Jeden tylko, i to już nieobecny Rajmund de Ferdys, mógł ocenić ogrom jej cierpienia.

Bo wistocie Eugenjusz Féraud dosyć miał tej anemii literackiej, tej bezwładności i tych nadludzkich, a jednak próżnych wysiłków przy tworzeniu nowego dzieła. Powiedzieć mu, że Noris kocha, że jego Noris tłumi w poduszkach łkania kobiety zdradzonej, byłoby to zabić go, zamordować biednego Féraud. Albo raczej byłoby to przyspieszyć zgon umierającego.

Wistocie, Féraud zabierał się do odejścia, jak mówiła po cichu Wiktoryna, rozmawiając o swoim panu. Umierał w skutek uwięzienia. Sprawa Sierra-Fuente dotknęła go do żywego. Chciano go skazać na pięć lat więzy, a skazano go na śmierć. Wychodząc z Mazas miał chwilę gorączkowej radości. Nowe życie otwierało się przed nim. Myśl o zemście literackiej jęła go

przejmować do szpiku kości, weszła w krew jego. Zdawało się, że odmłodził. A zresztą ten romans, ten mistrzowski romans, jego testament, dodawał oleju do starej zużytej lampy. Po upływie niewielu dni, wszystko się skończy.

Wlókł się powoli, wychodził z rzadka i to dlatego chyba, ażeby przyrzec się fontannie, bijącej na skwerze, w której woda płynęła, uprzytomniając mu w myśli, że życie płynie jeszcze prędzej — życie ten żart przelotny!.. ale powracał szybko do domu, gdzie kochał tylko swój pokój, swoje książki i swego Delacroix.

— Cóż to za piękna dziewczyna, ta Marokanka! — mawiał do Noris. — Nabyłem ją, gdyż była podobną do twojej matki, do której ty jesteś tak podobną!... Pewnego dnia powrócił smutniejszy. Zatrzymał się przy rogu placu des Batignolles przed jednym ze sklepów księgarskich, i machinalnie, pomiędzy książkami, ułożonemi na wystawie sklepowej, za szybą, wyczytał dużemi literami na czele małego popularnego dziennika, illustrowane ogłoszenie, które pochlebilo mu i rozdenerwowało: W jutrzejszym numerze naszego pisma, rozpoczniemy druk romansu p. t.

"Dinorah"

przez

Eugeniusza Féraud.

Autora, słusznie wslawionego od chwili sprawy kopalni Sierra-Fuente.

Wslawionego przez sprawę kryminalną, przez skandal! O opinjo, opinjo, wieczna zalotnico!

Féraud spuścił głowę i powrócił do domu, tknięty do żywego, ale nie mający odwagi zaprotestowania przeciwko ogłoszeniu drukiem tego zapo-

mnianego romansu, którego ukazanie się miało mu dać sławę, ale sławę wsteczną.

Wkrótce potem przestał wychodzić z domu.

Chodził z jednego pokoju do drugiego, albo, przez okno przyglądał się przechodniom, dzieciom, bawiącym się w alejach skweru, dym lokomotywy, buchający w oddali, na linii, idącej wzdłuż ulicy de Rome.

Z wzrokiem zmęczonym o zaczerwienionych powiekach, z twarzą obrosłą siwą brodą, której bladość podniecał odbłask białego papieru, który w ciągu życia zapisał, Eugenjusz Féraud siedząc w fotelu, nie ruszał się, wdechając powietrze i patrzył na odbieganie, na znikanie w przestworzu snów swojej fantazyi.

Noris widziała, że jest straconym. Otaczała go najczulszemi staraniami, zapobiegając chorobie, pragnąc rozerwać choć odrobiną radości ostatnie dni jego życia.

Nie bogato było w mieszkaniu starca. Oszczędności z dawnych czasów utoneły powoli w przepaści Sierra-Fuente, których złoto również było dymem tylko. Dokoła dym — bilans — zero, nawet ideał, ideał, którego dosięgnął napozór Féraud, nie był niczem innym jak tylko dymem.

Ale Noris miała jeszcze trochę oszczędności z czasów, gdy Féraud starał się o zapełnianie woreczka swej córki. Fundusz z owych prac przelotnych, o których autor twierdził, że jedna z nich z czasem uczyni ich napewno bogatymi.

Otóż, sprzedaż tych prac dała im skromny zasiłek i pozwoliła pocziwemu starcowi skonać w spokoju.

Powoli zdawało się, że chorego ogarniał sen coraz dłuższy! Zасыpiał, przedłużał swe wątłe członki, jak człowiek, który dużo chodził. Długą była droga jego pracy. Ten rzemieślnik fantazyi, miał zupełne prawo prostować plecy zgarbione pod jej ciężarem.

Dziś praca nie nęciła go już wcale.

Papier leżał na biurku beczynnje.

Féraud spoglądał na tytuł swego romansu, tylokrotnie kaligrafowany, w tak różnych rodzaj ach pisma, i opuszczał głowę, odgadując, że już go tym razem nie rozpocznie:

— Szkoda!... Dobra byłaby to książka!..

I opowiadał samemu sobie w długich sennych marzeniach ten romans nieszczęśliwego i zapoznanego więźnia!..

Wreszcie, położył się do łóżka, nie mając nawet siły do siedzenia. Nie pomagały już buljony z kury, przygotowywane przez starą Wiktorynę.

Siły odbiegały go.

Doktór wyrzekł straszne zdanie: "zabrakło oleju".

Bah! Eugenjusz Féraud nie był wcale niezadowolonym ze śmierci. Miał on zupełne prawo do spoczynku, bez sprzeczki. A zresztą, czyż zdawał sobie sprawę z tej słodkiej śmierci, która przychodziła na skrzydłach anioła?

Noris uśmiechała się doń, Wiktoryna pielęgnowała go jak dziecko. Środki materyalne wystarczały, zresztą w szczęśliwej nieświadomości, w jaką nieraz wprowadza ludzi choroba, nie miał ich wcale na myśli.

Jednego żałował tylko. Była to myśl dziwnie uparta: nie chciał pokazać się niewdzięcznym względem pana de Chantenay. Dotąd jeszcze dręczyła go ta obawa. Niewdzięczność przejmowała go zgrozą. Gdy wspomniał, że

jeden, jeden tylko ze wszystkich, księżę Rene Beaumartel de Chantenay pamiętał o nim w nieszczęściu, błagał Noris, ażeby napisała do księcia, aby przybył łaskawie do swego "protegowanego" — "gdyż byłem jego protegowanym" — i nie spostrzegął drżenia i bladości, którą przejęta była nieszczęśliwa.

Miała ochotę przyłożyć rękę do ust umierającego i upaść na kolana przy jego łóżku, z okrzykiem: przebaczenia!

Ale nie, powstrzymywała zwierzenie takie, tłumiąc w sobie ból okropny, ażeby tylko biedny starzec do końca życia miał iluzję, że jej uwodziciel był jego dobroczyńcą i że ona była niewiną.

Ale wkrótce złudzenie pierzchło: Noris zdradziła się wybuchem pewnego wieczoru, gdy starzec uporczywie, z pewnem gorączkowem zniecierpliwieniem, zaczął domagać się od Wiktoryny, ażeby udała się poprosić księcia de Chantenay.

— Wiktoryno, wszak znacie pałac de Chantenay... Idźcie... Chcę, żeby księżę przybył.

— On nie przybędzie! — rzekła Noris.

— Przybędzie, jeżeli ja go poproszę! Przybędzie! To taki uprzejmy człowiek! Taki grzeczny!.. Nie bądźże niewdzięczną, Noris! Wszak nikt inny nie przyszedł nam z pomocą w owej nieszczęsnej sprawie Sierra-Fuente. Powtarzam ci, nie bądź niewdzięczną... Podajcie mi papier... Chcę do niego napisać... Gdy napiszę, on przybędzie!

Wiktoryna ślepo oddana swemu panu, przyniosła już przyrządy do pisania, ułożyła je na kolanach Eugenjusza Féraud, który usiadł na łóżku, opierając się na poduszkach, a służąca podawała mu trzymany w ręku kałamarz,

z którego czerpał chory, sama zaś szeptała do panienki, której serce onie-
mal nie wyskoczyło z piersi:

— Trzeba panu ustąpić, to święty człowiek.

Zdawało się, że Féraud był już nie z tego świata. Przy świetle lampy, Noris patrzyła nań, jak strasznie wychudły, z głową wklęsłą w ramiona, pi-
sał do księcia, podczas, gdy na ścianie spostrzegła podłużny cień, odbija-
jący takie same poruszenia szkieletu.

I wówczas, wszystkie jej myśli skierowały się na to, że temi wychudzo-
nemi rękami, drżący starzec, omdlewając przy tej ostatniej pracy, pisał... do
kogo? — do tego, który był przyczyną upadku jego córki!...

Nagle uczuła, że wobec tej prawdy, wobec tego wysiłku konającego,
przejętego myślą o wdzięczności, która prześladowała go z tak zawziętem
sz derstwem; wobec tego uczciwego starca, który udawał się do łotra awan-
turnika, kochanka na chwilę, uwodziciela, krzywoprzysięzcy — uczuła, że
powinna bądź co bądź odkryć wszystko, że przy łożu śmierci nie powinna
popierać tego braku zaufania względem ojca — i znienacka, sama nie wie-
dząc, co czyni, przerażona słowami własnymi, któremi przerwała ciszę w
pokoju chorego, zawołała:

— Nie pisz! Nie pisz, ojcze! Pan de Chantenay nie jest godzien twego
szacunku. Pan de Chantenay jest nędz...

Zatrzymała się, przelekniona własnym krzykiem, własnym ruchem, któ-
ry ją rzucił do łóża umierającego i zmusił ją do wydarcia z rąk ojca zaczę-
tego listu, listu, w którym drżącymi literami nieszczęśliwy składał wyrazy
podziękii i błagał księcia o przybycie.

Stała nieporuszona i oddałaby całe życie, ażeby być w stanie zawładnąć gniewem, jaki ją opanował.

Féraud spojrział na nią szeroko rozwartymi oczyma

Zdawało się, że badał głąb jej duszy. Jasne światło lampy oblewało wybladłe oblicze konającego i przerażoną twarz Noris.

Ten ojciec i ta córka, te dwie drogie sobie istoty, dla których wspólną była radość, smutek i wszystkie myśli nawet — teraz po odejściu Wiktoryny, patrzyły się na siebie, oko w oko, tak jak gdyby chciały się wzajemnie odgadnąć.

I konający, przy świetle innem, przy świetle śmierci, która się doń zbliżała, pierwszy wyczytał prawdę, odgadł wszystko, opadając z wolna na poduszki i upuszczając na ziemię przyrząd do pisania, pokryty papierami, na jednym z których można było wyczytać napis: Człowiek Uczciwy. Dzieje uwięzionego.

Wtedy Noris spostrzegła, że usta wybladłej twarzy ojca poruszyły się, usłyszała łkanie, pochwyciła szept następujących wyrazów: "biedne dziecko, biedna dziewczyna..." i chciwa przeproszeń, pocałunków, łez, opuściła swą główkę na pierś ojca i leżała tak przez chwilę, nic nie mówiąc, lecz płacząc i całując biednego człowieka, podczas, gdy on ją głaskał i zapuszczał w jej włosy swe kościste palce, jak wtedy, gdy była małą.

Eugenjusz Féraud nie napisał do pana de Chantenay, a Noris nie zawiadomiła nawet księcia o śmierci biedaka. Chowiała tę wiadomość do chwili, w której go zobaczy oko w oko.

Zwykły inserat gazeciarski zawiadomił obojętnych ludzi, że "Pan Eugenjusz Féraud, powieściopisarz, ongi cieszący się pewnym rozgłosem, ale

wkrótce zapomniany, i tylko ostatnimi czasy, dzięki pewnej sprawie sądowej, znowu wstawiony, zakończył życie."

Trzy czy cztery osoby nie więcej, stanowiły orszak pogrzebowy, jeden z nich, którego Noris wcale nie znała wypowiedział nad grobem na cmentarzu Montmartre krótką mowę, którą zakończył "tykając" nieznanego mu wcale nieboszczyka, temi słowy.

"Bywaj zdrów, Feraud, nie otrzymasz pewno, niestety, pierwszego miejsca w panteonie powieściopisarzy, ale stowarzyszenie literatów zachowa dla ciebie, przysięgam, wcale niepoślednie miejsce w swoim sercu!"

Mówca zrobił nacisk na wyrazie "wcale niepoślednie!"

Noris miała ochotę zbliżyć się doń i zapytać:

— On śpi teraz spokojnie. Po co mu chcesz zakłócać ten spokój?

Od chwili śmierci ojca, młoda dziewczyna uczuła straszne zgnębienie. Wszystko co przecierpiała, wszystko co przeniósł ten zmarły manjak, wszystko to wstrętą goryczą przepelniało jej serce. Przerażała prawie Wiktorynę, która nie mogła pojąć, co "panience" chodzi po głowie, że nic nie mówiąc, siedzi podparta na obu dłoniach i błędnie patrząca przed siebie?

Jedyną ulgą Noris był cmentarz, gdzie mogła klęknąć na grobie, obok szarego wilgotnego muru, oddzielającego cmentarz od ulicy, mieszkanie żywych od wiecznego schronienia umarłych.

Tam, wśród tłumu zatłoczonych pomników, wspartych niemal jeden na drugim, pod cieniem wonnej akacyi, spoczywał obok swej drogiej żony, spoczywał snem ostatnim kołysany głuchym odgłosem powozów, tramwayów, stukiem fabryk z bulwaru de Clichy, Eugenjusz Féraud pocieszony

po małym rozgłosie, jaki miał między ludźmi, olbrzymią ciszą... w siedzi-
bie umarłych.

Noris, klęcząc na jego grobie uczuwała ból, który jednak dawał się ła-
godzić. Byłaby chętnie ucałowała ten kamień, pokrywający jej drogie
szczątki, i ztamtąd to oderwawszy się od grobu, na którym niebawem mia-
no wyryć nazwisko Féraud, obok nazwiska matki, udała się wprost z cmen-
tarza do parku Monceau, od grobu, gdzie spoczywały dwie istoty, które jej
dały życie, do tego pałacyku, gdzie miała spotkać tego, który zdeptał i za-
truł jej to życie, kradnąc je u niej dla własnej przyjemności.

Czego zażąda przy ulicy Van-Dycka u pana de Chantenay? Sama nie
wiedziała.

Popychał ją instynkt gniewu, potrzeba zemsty i sprawiedliwości. Zda-
wało jej się, że nieboszczyk woła na nią, ażeby w jego imieniu domagała
się od księcia, ażeby słowa dotrzymał!

Szary cień padał na aleje, poza wrotami, które Noris minęła, nie spo-
strzegłszy ich nawet, aż do ulicy Van-Dycka. Tu zatrzymała się bezwied-
nie.

Zadzwoiła do pałacu, minęła korytarz, a gdy szwajcar zadzwonił,
oznajmiając przybycie gościa, weszła wprost do apartamentów i przebyła
przedpokój wiodący do księcia.

Spostrzegłszy Noris, kamerdyner księcia zdawał się być trochę zdumio-
nym i dość drwiąco spojrział na tę piękną dziewczynę, ubraną w czarnej
wełnianej sukni, od której rażąco odbijała się jej twarz matowej białości.

Kamerdyner pospieszył uprzedzić Renégo i wrócił po chwili.

Książę kończył się ubierać. Prosił przybyłą o zaczekanie przez chwilę w małym salonie.

Noris stojąc, patrzyła przez czas jakiś, z poza firanek, na zielone drzewa parku Monceau, które przypominały jej owe drzewa ze skweru, tyle razy podziwiane przez nieboszczyka.

Chłód szyby, o którą wsparła czoło, sprawiaj jej ulgę. Stała nieruchoma i myślała. Nagle odwróciła się na szelest otwierających się podwoi.

Wszedł książę w stroju wieczorowym, uperfumowany, pogodny, uśmiechnięty — trochę wprawdzie z przymusem.

Zbliżył się do Noris i podał jej swą piękną rękę, której ona nie przyjęła.

Spojrzała nań zmieszana pomimo woli na widok tego niczem nie zamąconego spokoju na twarzy i tej elegancji trochę angielskiej, którą dawniej bywała zachwyconą.

Ale po chwili, przystępując wprost do rzeczy, rzekła:

— Mój ojciec umarł!

René wydał lekkie: "ach", dyplomatyczne i poprawne, w którym znajdowało się potrochu wszystkiego i uprzejmego smutku i obojętności, pokrytej żałobą.

— Umarł, bo go podejrzywano o występki... Wyrok, lubo zniesiony w apelacji, był wyrokiem śmierci. Biedny ojciec!...

Przez chwilę nie mogła wymówić słowa, wkrótce jednak, podnosząc głowę, dodała:

— Może i lepiej, że umarł, gdyż odgadł, że córka była niegodną!.. Przychodzę tu dzisiaj, ażeby zapytać, co pan zamýślasz ze mną dalej uczynić?

Księżę stał oparty o kominek przy ścianie, zawieszonej tu i owdzie bronią różnego gatunku, wśród której pomiędzy damascenkami, sztyletami japońskimi, wysadzanymi perłową masą i drogiemi kamieniami, błyszczała srebrna krucica, lśniąca jak pieścidełko.

Noris siedziała na głębokim fotelu, bacznie przeszywając wzrokiem tę twarz zimną, uśmiechniętą i pogodną, jak gdyby chciała zerwać z niej maskę i ujrzeć głąb duszy...

On machinalnie, podczas gdy ona mówiła: "co pan zamýślasz ze mną dzisiaj uczynić?" nałożył okragły monokl, jak gdyby chciał lepiej i bliżej ogarnąć wszelką niespodziankę.

Z pod jego powiek ciężkich, napiętnowanych znużeniem, wzrok wybiegał zwolna, nieokreślenie, w stronę tej pięknej dziewczyny, która wprost niego, z oczyma zapalonemi rezygnacją i gniewem, powtarzała jeszcze:

— A więc wytłumacz mi pan... czem ja tu jestem?... Czem będę teraz dla pana?

Zamiast odpowiedzi, z ust księcia de Chantenay, wymknął się mimowolny i bezsensowny madrygał, pełen śmiesznej galanterji:

— Ależ droga moja, wszak jesteś najpiękniejszą dla mnie i najukochańszą ze wszystkich kobiet!..

— A więc pańską metresą?

— Kobieta, którą kocham nad wszystko na świecie!

— Pańską metresą? — powtórzyła Noris, zawsze zgięta we dwoje, z ciałem pochylonem naprzód na fotelu, i z głową wzniesioną, badającą myśl tego człowieka po tym bezbarwnym uśmiechu na jego ustach.

Nagle wstała, sztywna, coraz bardziej wznosząca głowę, dumna, prawie groźna teraz.

— A wszak mi pan zapewniałeś, że będę jego żoną. On nie odpowiadał, przecierał powoli monokl, a jego zimna twarz stała się prawie tak nieruchomą jak portret.

— Może to było bezmyślnie — dodała Noris — ale w każdym razie panes mi przysiągł.

Chciała mu przynajmniej plunąć w oczy wszystkim, co ją dotknęło, wszystkim, co przecierpiała, słysząc jak nieboszczyk, czując się być "nie wdzięcznym", chwalił i żądał przybycia tego niegodziwca.

— Przysiągłeś pan, czy nie?

On nie odpowiadał, a Noris, zdecydowana na wszystko, powtarzała pytanie, chcąc go przynajmniej zmusić do wyznania, że skłamał:

— Przysiągłeś pan, czy nie?

— Przysięga zakochanego — rzekł wreszcie René, składając usta do uśmiechu.

Zresztą, czyż byłem w stanie, czy teraz mogę rozporządzać sobą?... Mojem sercem, zapewne. Ale mojem nazwiskiem?... O biedna Noris, my nie należemy do tej samej sfery... a moja matka...

— Pańska matka?

— ...Nigdy matka moja nie zgodziłaby się, ażeby księżę de Chantenay...

— Pojął za żonę córkę Eugenjusza Féraud!.. Ale cóż powiedziałyby pańska matka, która należy do innego świata, a raczej, która należy do świata, podczas gdy ja do niego nie należę — co powiedziałyby ona, która jest kobietą, i która temsamem powinna pogardzać każdym kłamstwem,

każdą krzywdą, wyrządzoną kobiecie, której kradną zaufanie i której wyzy-
skują miłość, bo tak jest! Cóż powiedziałyby księżna de Chantenay, gdyby
wiedziała, że jeden z Chantenay'ów skłamał? Skłamał wobec młodej
dziewczyny, która z jego przyczyny stała się dziewczyną upadłą? Tak, tak,
zobaczmy, coby też powiedziała pańska matka, gdybym przybyła do niej,
wołając: "Syn pani jest ostatnim z nędzników! Skorzystał z mojego nie-
szczęścia, podszedł mnie w osamotnieniu, i gdyby to był uczynił z mężczy-
zną jakim to co uczynił ze mną, musiałby mu zdać rachunek z takiej podło-
ści!" Tak jest, to rzecz bardzo naturalna! Ponieważ ojciec mój umarł, ja żą-
dam zadośćuczynienia od pana, tak jak onby to uczynił, jakby miał prawo
tak uczynić! I powtarzam panu: co chcesz zrobić ze mnie?

Skrzyżowała ręce, miotając błyskawice gromu na Renégo, który stał
zdziwiony, blady, mając ochotę zadzwonić, ażeby wyrzucono za drzwi tę
natrętną istotę.

— Przedewszystkiem — rzekł — uspokój się pani. Trzeba być rozsąd-
ną... Wierzyłaś pani w nieskończoność zwykłej przygody..., tak... dobrze
mówię... przygody....

Podniosła czoło, jakby pod uderzeniem bata, łamiąc palce z nerwowym
gniewem.

— Przygoda! A więc to była przygoda, i nic, tylko przygoda, ta miłość,
w którą wlałam całe swoje życie?...

On patrzył na nią trochę pogardliwie, znudzony już tą sceną senty-
mentalnej gryzетки, przekraczającej nieco granice.

— Droga Noris — rzekł po chwili — powinnaś pamiętać o tem, że cię nie zostawię samej sobie!... Że cię bardzo kocham!... Jesteś dziewczką prześliczną...

Usunęła się jeszcze szybciej pod wpływem tych słów, które René cedził zwolna.

Na policzki jej wystąpił rumieniec bólu.

— Chcesz mnie pan tedy traktować jak ulicznice...

— Ależ ja tego nie powiedziałem — zawołał książę.

— Pańska opieka, jak pan mówisz, czy pańska pomoc materyalna, są mi zupełnie obojętne, jeżeli mnie pan nie kochasz i jeżeliś mnie oszukał! Nie żądam jałmużny od pana! Żądam miłości! Więcej jak miłości, żądam dotrzymania przysięgi od człowieka honoru.

René nie miał innego wyrazu, podczas gdy Noris mówiła, jak tylko wyraz pewnej obawy, znajdował bowiem, że młoda dziewczyna podnosiła zbyt głośno przy wypowiedaniu swych melodramatycznych frazesów i że służba jego może je z łatwością dosłyszeć. Zresztą, wmawiał w siebie, że na utrzymaniu w tajemnicy tego zajścia niewiele mu zależało. Sam był świadkiem i będzie jeszcze świadkiem, zarówno jak i jego służba, nie jednej jeszcze awantury tego rodzaju!

— Tak — rzekła stanowczo Noris — pańskiej przysięgi. Jeszcze raz powtarzam, że uwierzyłam słowu Chantenay'a i jego miłości, uwierzyłam całą duszą i pragnę wiedzieć, ile było prawdy w gruncie tego wszystkiego!

— Kochałem cię! Byłem szczery! Kocham cię dotąd!

— Doprawdy?

— Mówię to seryo.

— A więc dotrzymaj pan słowa. Na mój honor, a raczej na to, co mi z honoru zostało, przysięgam, że nie błagam pana o to dla siebie samej, ale dla tego, który zamykając oczy, wyczytał występki z głębi moich oczu. On nie śmiał by marzyć o tem, ażebym została pańską żoną, ale nie uwierzyłby nigdy w hańbę, że zostanę pańską metresą.

— A więc to dla ojca pragniesz, bym się z tobą ożenił? — zapytał René powoli, ważąc całą doniosłość egzaltowanych wyrazów Noris.

Znajdował nawet pewną dziwaczność w tem zdaniu, to dla mego ojca! Byłby się z tego uśmiechał serdecznie, gdyby usłyszał je w melodramacie lub operetce.

— Tak — odparła Noris z pewnym odcieniem dumy — dla niego. Wola mego ojca nieboszczyka warta jest woli pańskiej matki żyjącej!

— Tak sądzisz? — zapytał René, zakładając znowu monokl, który mu wypadł z oka.

I udając zamyślenie, stał spokojnie, czekając końca tej burzy, tego wybuchu namiętności, wcale dlań nie groźnej.

— Ale w końcu — rzekła Noris, wzruszając ramionami — jestem nie-dorzeczna!

Przysięga, uczyniona kobiecie, czyż to się bierze w rachubę, nawet, gdy ta kobieta jest uczciwą dziewczyną i gdy mężczyzna jest księciem de Chantenay? Uwierzyłam pańskiemu słowu. Tem gorzej dla mnie! To mi pan chcesz odpowiedzieć, nieprawdaż? To mi tłumaczy donośnie pańskie milczenie? To, nie prawdaż?

Miała chęć rzucić mu się do nóg, porwać jego ręce, otoczyć go pieszczołą, odnaleźć pod chłodem światowca, tego kochanka, którego wielbiła,

tego młodzieńca, namiętnego i pełnego rozsądku, którego upatrzyła w nim i ukochała; i zawstydziała się tego mimowolnego popędu, który był jakoby szumowiną jej namiętności, i który odepchnęła, ażeby nie okazać się podłą.

Natomiast, w egzaltacji, błagała Renégo, ażeby jej odpowiedział, żeby przypomniawszy sobie przysięgę, przysięgę świętą, tem świętszą, że zadośćuczynienia jej pragnęła dla zmarłego a nie dla siebie samej.

— Twój ojciec? Ech! — rzekł René, mlasnąwszy językiem. Chcesz, żebym był otwartym? A więc, to co mi nie pozwala dotrzymać słowa, to nie tyle wola mojej matki ile wspomnienie o... Eugenjuszu Féraud.

— Wspomnienie o nim?

— Jego szkaradna sprawa, jeżeli już chcesz tego!

— Czy mi pan chcesz przypomnieć, że go skazano.. najniegodniej w świecie!...

— Nie, broń Boże! Co do mnie, zapomniałem o tem. Ale ja... ja...

— I cóż pan?

— Ja nie stanowią całego świata!... Ja jestem tu niewinny, znałem twego ojca i kocham ciebie!

— Nie mów pan tego! — zawołała z wściekłością. Pan mnie nie kochasz. To kłamstwo!

Chantenay uśmiechnął się.

— Ależ moja droga — rzekł po chwili — nie byłbym ci tego przypominał, ale gdy się raz już siedziało na ławie oskarżonych, to... w każdym razie... już się ma... plamę, może nie wielką, ale zawsze... plamę. Czyś nie czytała artykułu w Reporterze?

— Nie!

— A w Żywicy?

— Nic nie czytałam.

— A więc przeczytaj, droga Noris — rzekł książę — to ma swoje znaczenie. Tam nie przebierają we frazesach biografują twego ojca i oskarżają go, jak gdyby gazeciarze byli prokuratorami.

— Jakto? — zawołała Noris — a więc nigdy się nie jest niewinnym dla tych sędziów?

— Jak widzisz — odparł książę. I cóż powiedzianoby o tobie, gdybyś została małżonką księcia de Chantenay?

— Co powiedzianoby o mnie? A więc nie chcesz się rządzić własnym sumieniem?

— Ja należę do mego otoczenia... do moich... moich przyjaciół...

— I dlatego, że jakiś dziennik wypisuje niestworzone rzeczy, że twierdzi, że pomimo uwolnienia, mój ojciec jest winny, czy jest winny wistocie? I ponieważ uważanoby mnie za awanturnicę szczęśliwą lub zręczną, gdybym została pańską żoną, czyliż byłabym awanturnicą? I pan mi to mówisz! To niegodnie!

Noris czuła, że wszystkie tętna zbiegły jej do ust dla wybuchu gniewu.

W zimnej grzeczności Reného dopatrzyła się nowej zniewagi. Czuła, że człowiek ten przestał kochać z chwilą posiadania, że namiętność, którą jej okazywał, nie była niczem innym, jak tylko żądzą chwilową, żądzą, której zadość uczynił bezzwłocznie.

Najwięcej bolała ją potwarz, która starego romansopisarza wprowadziła do grobu, a którą teraz René wziął sobie za punkt wyjścia.

Wszystko, dokoła niej, padało uniesione huraganem gniewu.

Porwała rękę Reného i zawołała z wściekłością omal mu nie skacząc do oczu.

— Tak? A więc jestem dla ciebie ścierką? Kochałeś mnie tylko jak kurtyzanę? Byłeś przyczyną mej zguby i od pychasz mnie teraz z pogardą?

— Noris... proszę cię...

— I sądzisz może, że upadła będę żyła dłużej?... Tak sądzisz?... O, nie znasz ranie jeszcze....

Gorączkowo odepchnęła księcia i wyciągnawszy rękę w stronę, gdzie przy świetle lampy błyszczała krucica, porwała ją, wpóldzika i syknęła patrząc na to narzędzie śmierci wzrokiem obłąkanym, prawie radosnym, szalonym z gniewu.

— Co czynić zamierzasz? — zapytał książę. Noris! Szalona Noris!

Zamiast odpowiedzi, odciągnęła kurek, zmierzyła, a René instynktownie cofnął się o parę kroków

— Noris... na Boga... co czynisz?...

W tym okrzyku, w pomieszeniu, w tym ruchu jego rąk wyciągniętych przed siebie, w całym układzie ciała, cofającego się w stronę kominka, był taki wyraz, że Noris Féraud od razu wstrzymała wykonanie wyroku, ochłoneła z szaleństwa, zdjeta niespodzianem uczuciem.

— Jakto! Więc, pan się lękasz o siebie, o siebie!

Opuściła ręce bezwładnie, spojrzała na księcia Reného Beaumartel de Chantenay i wydała głębokie "ech", pełne zdumienia i pogardy.

René sądził, że ona jego pragnęła zabić, tak, ten młodzieniec, który w pojedynkach nie cofnąłby się ani na pół cala, dziś na chwilę wprawdzie, ale przeląkł się cacka — krucicy, trzymanej w zaciśniętej ręce kobiety. I błądy,

przed chwilą, oblał się nagle rumieńcem, niekontent sam ze siebie, odgadując spojrzenie ironiczne, pełne pogardliwej litości ze strony Noris, na widok jego tchórzostwa. Tak, ta kobieta może nim teraz pogardzać i pogardza pewnie, bo widziała go drżącym przed nią, ona, która chciała pozbawić się życia, będąc pogardzoną przez niego!

Wtedy przysunął się szybko do niej i chciał odebrać jej rewolwer, w obawie, ażeby nie zwróciła go teraz ku sobie, tak jak czuł, że chciała uczynić — i jego ręka szukała ręki Noris, by ją pochwycić i wyrwać jej rewolwer, jeżeli zajdzie potrzeba.

Młoda dziewczyna usunęła się niezmiernie szybko, a oddzieliwszy się od księcia małym stolikiem, zrobiła sobie satysfakcję — odzyskując naraz przytomność powiedzenia doń:

— Ale nie drzyj pan przecie.... Nie bój się, ani tobie, ani sobie nie odbiorę życia!

I śmiech spazmatyczny bluznął w oczy Chantenay'owi.

— Myślałeś pan, że chciałam ciebie zabić? O tak, widziałam, żeś tak sądził; a więc ja, która rozczulić cię nie mogłam, przeraziłam cię. Ach! Chantenay, książę de Chantenay drży przed kobietą! O, nie! Nie chciałam cię zabić! To ja chciałam umrzeć, umrzeć dla ciebie, dla ciebie i w twoim domu! O jakżem niedorzeczną była! I wtedy nawet nie miałbyś przecie dla mnie litości. Wstydził byś się mnie po śmierci, tak jak wstydzisz się za życia! Zabić się dla ciebie, o nie, tyś nie wart tego!

Słowa powyższe wypowiedziała z takim wstrętem, że ciarki przeszły organizm księcia.

Następnie, rzucając rewolwer na dywan, ozwała się do Reného:

— Adieu! Żegnam pana! Nie byłam szaloną kochając pana, byłam głupią i jeżeli kto znas popełnił mezaljans, to ja tylko! Nie odprowadzaj mnie pan, znam drogę, już mnie nie zobaczysz więcej.

Jeszcze z za atlasowej portyery, zdobiącej drzwi tego ponurego w tej chwili gabinetu, rzuciła mu wejrzenie, pełne pogardy.

Przyjął je w milczeniu, a gdy wyszła, przechodząc wobec kamerdynera, który spoglądał na nią z pewnym rodzajem zachwytu, i który musiał podsłuchiwać — zadzwonił i najobojętniej w świecie, biorąc z krzesła, na które położył wszedłszy do pokoju, rękawiczki, i kładąc je w otwór swego szapokłaka, rozkazał:

— Zaprzęgać!

Noris Féraud była już na schodach.

Uciekała, biegła na ślepo, powodowana jedną tylko myślą oddalenia się od tego człowieka, który wobec rozpaczliwego kroku kochanki drżał tylko o własne życie!

O tak! Pragnęła uciec od niego, od tego księcia, którego bladość w chwili, gdy ona chwyciła za rewolwer, zawstydziła ją dla niego samego; — chciała coprędzej znaleźć się na otwartym powietrzu, gdzie mogłaby ochłoniąć z gorączki.

Długo chodziła po parku Monceau, sama nie wiedząc dokąd idzie, aż wreszcie przyszła jej ochota odczytania tych dzienników, które po śmierci nawet oszkalowały jej ojca.

— Tak, chcę to widzieć, muszę to przeczytać!...

I szła wciąż naprzód, zatrzymując się niekiedy, ażeby powiedzieć do siebie prawie głośno, zawsze myśląc o nim, o tym człowieku, którego ubóstwiała, a który tak obojętnie traktował jej przyszłość:

— Podły! Ach jaki podły!

Poczem, znowu myślą powracała do ojca!

— Zobaczmy, o jakich to dziennikarskich artykułach wspominał książkę? Jaki to dziennikarz, który nigdy nie znał Eugenjusza Féraud, śmiał policzkować i oskarżać cień nieboszczyka? I za co? Czy dla tego może, że brakło mu tematu do artykułu?

I zaczęła przypominać sobie tytuły pism, które cytował Chantenay. Reporter, Żywica, mówił książkę. I machinalnie, mijając bulwar Malesherbes, od kiosku do kiosku, Noris zatrzymywała się, pytając się o numery poranne. Żywica? Reporter?

Zabrakło. Nakład wyczerpany. Musiało tam być coś ciekawego, skoro rozprzedano wszystko do południa. Tak objaśniła ją jedna z kobiet sprzedających pisma.

Krew uderzyła jej do głowy, pytała siebie, czy przyczyną tak znacznego pokupu nie była właśnie nieszczęsna kalumnia, rzucona na jej ojca.

Bądź co bądź chciała przeczytać, chciała dowiedzieć się prawdy.

Większość kiosków, oświetlonych wewnątrz, jak dwie czerwone latarnie, była już zamknięta, oglądała je starannie, mając nadzieję, że pomiędzy anonsami znajdzie jeden chociaż numer Reportera. Nie i nie. Na jednym tylko kiosku, stary, wyblakły anons uderzył ją i dotknął boleśnie.

Dużemi literami transparentowemi wyczytała co następuje: Towarzystwo kopalni Sierra-Fuente, kapitał milionów. To to przecie wprowadziło do grobu jej ojca!...

Oddaliła się z gniewem i wkrótce znalazła się obok Magdaleny. Tu ruch uliczny zwiększał się coraz bardziej. Noris omijała powozy, omnibusy, kierując się po zacieśnionych chodnikach w stronę Grand-Hotel'u i Vaudeville'u. Tam napewno znajdzie jeden z numerów tych dzienników, o których wspomniał jej pan de Chantenay z taką ironją!

Rozglądała się dokoła. Przed jedną z kawiarni, dwaj młodzi ludzie, czytając Żywicę, śmieli się głośno.

Tytuł dziennika osadzonego na trzcinie, zwrócony był w stronę Noris. Miała chęć wyrwać go z rąk tych panów, których śmiech drażnił ją niepomnie. Zdawało jej się, że wyśmiewali jej ojca. Tak, wyśmiewali. Bardzo być może! Ach ten dziennik, ten dziennik, chciała go już mieć w ręku, już czytać, już wiedzieć, co zawierał.

Krew uderzała jej do głowy, wszystkie pulsa biły. A gdyby tak wejść do kawiarni i zapytać się o Reportera albo Żywicę.

Zdało jej się, że wszyscy, wszyscy odgadliby odrazu, że była córką Eugenjusza Féraud, i że przybyła, dla dowiedzenia się, co też mówiono o nieboszczyku.

— Niech mnie poznają wreszcie! Cóż wielkiego!

Przed Vaudevillem nareszcie, pomiędzy ilustracjami, rozwieszonymi na kiosku, spostrzegła te pisma, które też pochwyliła skwapliwie, jakby je chciała pochłonać. Żywica na różowym papierze wisiała tuż obok Reportera z jego winietą, przedstawiającą karykaturę człowieka, który ubrany czar-

no, skierowywał na Paryż olbrzymią lornetę teatralną. Zerwała je gwałtownie z gwoździ, na których wisiały, rzuciła sztukę monety gazeciarce i podczas, gdy ta ostatnia odliczała resztę, Noris przy świetle gazu, gorączkowo przerzucała szpalty, szukając artykułu o swoim ojcu.

Znalazła nareszcie i zaczęła czytać. Czytała ze drżeniem gniewu, bólu i żalu, wydając lekkie okrzyki oburzenia.

W Reporterze trafiła na artykuł, pod tytułem: Autor Fantazji chilijsko-amerykańskich, a w Żywicy rzecz pod nieco odmiennym tytułem, ale treści tej samej, tylko zabarwionej większą jeszcze uszczypliwością. Była to biografia ironiczna jej ojca, podpisana jakimś nieznanym pseudonimem, gdzie autor w drwiący sposób pastwił się nad prochem nieboszczyka, wytykając mu stworzenie takich postaci bez życia i celu, jakimi byli bohaterowie i bohaterki jego "zapoznanych" romansów, a co większa przypominając co chwila jego skandaliczną aferę ze zlotem Sierra-Fuente.

Noris rozdarła dziennik z wściekłością i rzuciła go na ziemię, równie gwałtownie jak zerwała go z kołka.

— To niegodziwość! — jęknęła.

I szybko poszła przed siebie, pragnąc w tej chwili jaknajwiększego hałasu i światła, mieszając się z tym tłumem, który, dzięki prześlicznej pogodzie, zatłoczył szczerlnie trotoary. Z każdym krokiem, który stawiała, budziła się w niej chęć do walki z temi wszystkimi, spacerującymi, którzy zapewne z zadowoleniem odczytali artykuł Żywicy a pomiędzy którymi znajdował się może człowiek, co dotąd jeszcze, nie domyślając się następstw, szkalował końcem swego pióra złożone do grobu szczątki zmarłego! Człowiek uczciwy, dzieje uwięzionego!

Szła tedy w tym tłumie, z czołem wzniesionem w górę, jakby w groźbie. Biała jak marmur, z wyrazem gniewu na ustach, uczuwała straszną gorycz, jakby radości w tym wirze przechodniów, w głuchym chaosie tego bulwaru. Czowała na sobie tysiące wejrzeń tego tłumu i zamiast by opuścić głowę, prostowała ją nerwowo, rumieniąc swe wyniosłe czoło coraz to nowemi objawami gniewu.

Całe otoczenie wydawało jej się tak godnem pogardy! Ci ludzie, siedzący przy stołach kawiarnianych, te sylwetki kobiet, wyglądające jak mary przy promieniach światła gazowego, cała ta mieszanina elegancyi i fanfaronady, robiły na niej wrażenie kloaki i opanowywała ją straszna zgroza, gdy pomyślała, że tyle występków i podłości chodziło bezkarnie pod światłem gwiazd, podczas, gdy jej ojciec, ten nieszczęśliwy starzec, wyszedł niewinnym z więzienia po to tylko, ażeby złożyć swe kości pod zimnym kamieniem grobu.

Wtedy uczuła w sobie złość niepohamowaną. Złe myśli czyniły ją prawie szaloną. Cierpienie zmieniło się u niej w nienawiść. Zapragnęła zemsty, zemsty dzikiej, strasznej, i Uczuwszy nagle, że jest dość piękną na to, ażeby ukorzyły się przed nią wszystkie te wstrętne maski, wyniosłe, z chłodnym i zarazem dzikim uśmiechem, odpowiadała na te chciwe wejrzenia, które wywołała jej imponująca piękność u wszystkich przechodniów bulwaru.

Dawne cierpienia zamieniły się w niej, w jeden wybuch buntu. Wszystkie złudzenia zastąpiła nienawiść i pogarda. Te podłe drzenie, jakie dostrzegła w przestraszonym księciu, dostrzegła również w tym tłumie fanfaronów. Każdy z przechodniów wydawał jej się podobnym do księcia Be-

aumartel de Chantenay, do tej nikczemnej istoty, zdolnej do podejścia i kłamstwa. O tak, sto razy tak! Potrafi się zemścić! Odgadywała całą swoją potęgę, całą potęgę swej piękności, po tych chciwych wejrzeniach przechodniów. Usuwano się przed nią pomimowoli, pod wpływem tego magnetycznego szacunku, jaki obudza prawdziwe piękno. Otwierano oczy w zdumieniu przed tym chodzącym posągiem.

I rozumiała, że ta piękność była siłą, siłą równie potężną jak pieniądz, siłą równającą się władzy, siłą, okrutnie pożyteczną, siłą, zdolną do powalenia przed córką tych wszystkich, co śmieli drwić kiedyś z wyroku, wydanego na jej ojca.

Uczuła, że dość jej było chcieć, ażeby zmusić do publicznego cofania się tych, którzy go oskarżali tam, gdzie mądrzejsi wzruszali ramionami na wspomnienie jej ojca nieboszczyka. "Nierozsądny! Głupi! Cielątko!"

I Noris była szczęśliwą z tego, co wycierpiała o tej godzinie w tym wirze, w którym zmieszała się z tym wstrętnym dla niej tłumem. Całe jej jestestwo oburzało się przeciw niesprawiedliwości, podłości, wzdardzie tych, którymi równie pogardzała.

Cała jej piękność podniosła, zdawała się mówić:

— Tak! To ja! Przyjrzyjcie mi się dobrze, jestem córką Eugenjusza Féraud, znieważona prawem, jestem metresą księcia de Chantenay, skazaną na waszą pogardę, i protestuję przeciwko prawu i otrząsam się z waszych oskarżeń, jak z błota, które nie plami.

Była zbuntowaną. Wydała wojnę tym wszystkim, w gronie których nie mogła znaleźć ani jednego obrońcy, ani jednego przyjaciela, nic, prócz żebraków miłości, jak ów, ów, dla którego chciała pozbawić się życia!

Umrzeć! Tak!... Ale po co umierać, skoro żyjąc, może się pomścić na nim, na wszystkich!..

I w tym gorączkowym wirze Paryża, w tym upale wiosennym, jak przed burzą, w tym kurzu, pokrywającym wszystkich i wszystko, w tej łaźni stołecznej, w tym nawale żądz i namiętności, w tym turkocie powozów, w tem jaskrawem świetle elektrycznym, które wzdłuż bulwaru rzucało cień fantastyczny z przechodniów i powozów — Noris szła zwolna sama jedna, z sercem rozdartem, w stronę opuszczonego domku na Batignolles, i miała ochotę spoliczkować te podłości, tę obłudę, te zbytki wyzywającym krzykiem groźby i wyryć jej hasło na swem czole lub piersiach, na miejscu swego serca, w którym odtąd nie pozostanie nic, nic, nawet wstrętu, nic, prócz opuszczenia, nic, oprócz!.. kobiety przedajnej!..

Koniec części pierwszej.

Część druga.

I.

W chłodny poranek kwietniowy, gdy na niebie z pod szarej powłoki przeświecają tu i owdzie drobniutkie, niebieskie, opałowe plamki, w porze, gdy jeźdźcy i amazonki, na strojnych rumakach, dążą wśród alei akacyjnych, lasek Buloński jest prześliczny. Lekki wiaterek przebiega po drzewach, na liściach których zdają się wisieć zielone kropelki rosy. Trawka zielenieje. Nawet krzewy zdają się napawać powietrzem kwietniowym.

W jeden z tych świeżych poranków, dzielny jeździec siedzący tak sztywno na koniu, że aż oglądano się za nim, wjechał w aleję akacyj Bulońskiego lasu, widocznie zadowolony, że wiatr odświeżał mu twarz, tchnącą prawdziwym dobrobytem. Miał lat dwadzieścia sześć do dwudziestu siedmiu, o pięknej figurze, obciśle ujętej w kostjum sportsmański, w wykwinnym kapeluszu na głowie, z pod którego widniały starannie utrzymane faworyty na twarzy śniadej, opalonej w podrózach morskich. Młodzieniec jechał jak masztalerz, a przecie dopiero od Valparaiso, po raz pierwszy dosiadł konia, arabczyka czystej krwi, którego markiz, jego ojciec, uważał nawet za niebezpiecznego.

Rajmund de Ferdys uczuł niepohamowaną chęć pokazania się, po wielu latach, w tych samych alejach, gdzie ongi, będąc jeszcze malcem, jeździł przy ojcu na maleńkim ponny, którego mu markiz podarował. Te znane kąty oglądał z radością ucznia na wakacjach, jakby młodziej. Ferdys kochał Paryż, ten dyabelski Paryż; jakkolwiek od najmłodszych chwil życia skazany był na ciągłe podróże dookoła świata, nie było mu nieprzyjemnym znaleźć się znowu tam, gdzie wiedział, że się żyje przedewszystkiem życiem umysłowym, tą egzystencją starć umysłowych, o których miał zaledwie słabe pojęcie z listów lub kawałków pism, czytanych wypadkowo na jakiej przystani.

Nadewszystko pragnął odwiedzić lasek — tę kwintesencję Paryża, będący kąpielą jego, jak bulwar jest jego gorączką — lasek w chwilach konnej przejażdżki, z tym tententem galopu po ziemi miękkiej, jak po arenie cyrkowej, pod niebem perłowej barwy; z temi alejami, po których jeźdźcy i amazonki skaczą w oddali, zaledwie dający się dostrzegać, piękni jak marionetki poruszane nitką, z temi sylwetkami kobiet w długich sukniach i stanikach, mających naśladować szyk angielski, a może szyk francuski; z tą całą kokieterią lasku, oczyszczonego, wyświeżonego, barwnego jak akwarella, i ożywianego od czasu do czasu ukazaniem się munduru wojskowego, ciemnej kurtki oficera dragonów, albo niebieskiego futerka oficera strzelców.

Rajmund oddychał, znajdując uroczym ten ranek wahającej się jeszcze z przybyciem wiosny, dziesiątego kwietnia! Stan pogody niezdecydowany. Ferdys znajdował to odpoczynkiem po upałach w Nouka-Hiva, albo po żarach słonecznych na morzu.

Nigdy mu się lasek nie wydał bardziej uroczym. Pytał siebie nawet, czy widział go już kiedy.

Słowem, marynarz radośnie spłacał dług wdzięczności po powrocie do Paryża.

— Jakież zmiany spowodował czas pomiędzy ludźmi, jak fale na brzegu morskim. Pięć lat! W ciągu lat pięciu jakaż metamorfoza, widoczna naturalnie tylko dla tych, którzy nie śledzą jej co sekunda.

Pięć lat! Ileż to Rajmund de Ferdys w tym okresie zwiedził miejscowości świata!

Był w Taiti i na Markizach, potem, trochę później w Limie, w Valparaiso, na Montcalm'ie, statku admirałskim w Chinach otrzymał szlify adjutanta admirała, a w dwudziestym piątym roku życia został lejtenantem statku z czerwoną wstążeczką orderu, poczem mianowano go ordynansem ministerium. Od kilku dni zaledwie przybył z Brest, dla objęcia nowej posady, gdyż jego poprzedni admirał z Montcalm, wiedząc o zdolnościach młodego oficera, chciał go mieć przy sobie. I pokazawszy się w wygalonowanej czapce na czole w salonach i miejscach zebrań publicznych, pod rękę z tym wiecznie młodym markizem swym ojcem, młodszym może w -im roku życia niż dawniej, Rajmund zrzucił mundur i z turysty, stawszy się paryżaninem, paryżaninem z usposobienia i rozsądku, prowadził życie podwójnie czynne, raz jako adjutant, to znowu jako ciekawy, studyjający Paryż, Paryż intelektualny, używając wszelkich możliwych rozkoszy o tyle, o ile mu na to pozwalały zajęcia w ministerium floty.

Rajmund nie był zbyt obciążony pracą i mógł zadziwiać zarówno admirała Pradier du Resnel swoją zabiegliwością jak nie mniej pana de

Ferdys dziwnym darem wszędobylstwa, które zachwycało starego markiza, jeżeli go starym można było nazwać.

— Rajmund? — mówił ojciec. On jest wszędzie od razu, w bibliotece i w resursie, w Persilu i przy wyjściu z Rady Ministrów. Jest niezmordowany! Wyprzedza mnie samego. A ja go miałem kiedyś za mnicha!... Jakkolwiek co prawda, pod względem stosunków z kobietami...

Tu Ferdys spuszczał głowę, znajdując, że na tym punkcie, punkcie tak drażliwym, syn ustępuje mu pod wieloma względami.

Rajmund jednak był tylko doświadczonym, pogardzającym przelotnymi uczuciami kobiet przedajnych i pieszczącym zapewne w tajemnicy jakiś dostrzeżony ongi ideał lub niedoścignioną jeszcze nadzieję.

Pewnem było, że z radością przybył do Paryża i oddychał czarującą wonią rozkwitającego lasku. Nie spotykał tu naturalnie twarzy znajomych, kilku zaledwie starych generałów, przyjaciół ojca, sprowadzało swych synów lub wnuków, dosiadających małych ponny, a i ci, odpłacali mu ukłonem za ukłon, nie przypominając go sobie i dzięki jego czerwonej wstążeczce, biorąc go za jakiegoś oficera minorum gentium. Ale Rajmund Wistocie za nadto oddalił się od świata, z chwilą swego pierwszego wyjazdu do Brest. Był tu jak obcy, póldziki.

Właśnie ta świadomość samotności, to uczucie swobody sprawiały mu największą radość. Lubiał bywać tu niespostrzeżonym, w charakterze raczej widza jak aktora, zostawiając hałas i dumę dla ludzi żądnych hołdu, którzy grając jakąś rolę, są zarazem w świecie klakierami samych siebie i swoich stanowisk. Czuć się niezależnym, patrzeć nie będąc widzianym, było dlań największem zadowoleniem.

Tego właśnie poranku, przypatrywał się wszystkiemu, znajdując czarującymi te wązkie ścieżki, skąpane w szarosrebrnym świetle, niby pod lekką zasłoną idylli.

Rajmund bawił tu dość długo, dopóty, dopóki lasek nie pograżył się w półciszy, czekając stuku i głuchego tententu koni i powozów w godzinach poobiednich.

Byłby chętnie pozostał w tej samotności u jednej z alei lasku, jadąc stępa, gdy z daleka dostrzegł okiem marynarza — które umiało wszystko widzieć i poznawać — amazonkę, zdążającą ku niemu, i nieraz niknącą mu z przed oczu, poza siatkowatą zasłoną krzewów alei.

Trzymając się prosto na siodle z żółtej skóry, ubrana nader wykwintnie, w stroju barwy liljowej, pokazywała się i znikwała poza delikatną koronką liści, i zbliżała się powoli w towarzystwie jadącego z tyłu grooma.

W miarę, jak młoda kobieta, nader piękna napozór, zbliżała się, Rajmund znajdował ją coraz piękniejszą i uczuwał szczególniejsze wzruszenie, jak gdyby poznawał amazonkę i jak gdyby ona, jadąc ku niemu, poznawała go także.

Mylił się widocznie, ale amazonka trochę nadto wysoka lecz i strojna zarazem, w kapeluszu śmiało rzuconym na czarne włosy, podobna do angielskiej z oczyma paryżanki, była — a przynajmniej rażąco przypominała — Noris Féraud, tę Noris, uniesioną tam wraz z nim przez wspomnienie, a której historię opowiedziano mu obszernie po powrocie do Paryża.

Królowa Paryża, Noris!... mówiono o niej teraz.

Spojrzał na młodą kobietę, dążącą ku niemu, a gdy jeździec i amazonka stopniowo zbliżyli się ku sobie, Rajmund już się nie mylił: było to Wistocie

to delikatne oblicze pięknej brunetki, te czarne, kręjące się włosy, te oczy głębokie, słodkie i smutne dawniej, ta płeć kreolki, tak to była Noris, Noris — kobieta w pełni rozkwitu, i Noris, która jednak przy dwudziestu czterech latach, zachowała czarujący urok i ponętę młodej dziewczyny Noris z dawnych czasów.

— Noris! — powtarzał Rajmund do siebie. Noris! Zdawało mu się, że przeszłość rozkwitała, jak te krzewy dokoła, przy tem kobiecem imieniu: Noris!

I cóż powie jej, tej Noris, co powie niezwykłego, nie banalnego, po pięciu latach, w ciągu których nie napisał do niej ani słowa, ale które przepełdził, myśląc niejednokrotnie o niej? Lejtenant okrętu czuł się z lekka pomięszanym, prawie onieśmielonym. Ale i ona poznała go zapewne, gdyż zatrzymała konia, powitała go i wyciągnawszy doń rękę, wydała okrzyk radości:

— Ach! pan de Ferdys!...

Rajmund ujął tę urękawiczoną rączkę.

— Dlaczego pan nie odwiedziłeś mnie dotąd, panie de Ferdys? Wiedziałam, że pan jesteś w Paryżu.

— Powiedziano mi, że pani nikogo nie przyjmuje!

— To znaczy, że nie przyjmuję wszystkich. Albo raczej, masz pan słuszność, nie przyjmuję nikogo. Ale pan, pan jesteś przecie kimś!

Uśmiechnęła się, z głową wpół przechyloną, patrząc na Rajmunda z wyrazem szczerzej sympatyj, prawdziwej dobroci, a może nawet kobiecego zachwyty.

— Czy pan się spieszysz z odjazdem? Przejedźmy się jeszcze! Taki ładny czas! — dodała po chwili.

Rajmund stanął z koniem po prawej stronie Noris i podczas wolnej przejażdżki, rozpoczęli rozmowę raz smutną, to znowu wesołą, przy akompaniamencie głuchego stuku kopyt końskich uderzanych w ceglasty grunt alei.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, rozpraszając już delikatną mgłę, złoścąc tu i owdzie blado-zielone listki, i głosy rozmawiających dawały się słyszeć wyraźniej w szerokiej przestrzeni wpółopustoszaego lasu.

— Tak więc, panie de Ferdys, jesteś pan znowu paryżaninem! — rzekła Noris. Nieprawdaż, że Paryż jest pięknym?

— To zależy od tego, co się tu napotyka po drodze. Zaśmiała się.

— Och, jakim stałeś się pan pochlebcą? Czy to małe muzykantki chińskie nauczyły pana tych komplementów?

— Nie byłem w Chinach tym razem.

— Gdzieżeś pan bawił?

— Wszędzie po trochu. Na morzach Południa. W Taiti.

— Ach! Taiti! — zawołała Noris, śmiejąc się zawsze. To raj, raj prawdziwy... Wszyscy są tam szczęśliwi z niczego.

— Wistocie, pędzono tam życie nader szczęśliwe, dopóki się nie wkraśli tam nasza cywilizacja. Ale biżuterie i suknie europejskie wszystko zepsuły.

— Ach! — odparła Noris. — To mnie nie dziwi. A czyś pan spotkał tam Rarahu?

— Rarahu?

Zacząła się śmiać znowu.

— Pewnoś pan miał jaką przygodę w podróży. Kobiety na Taiti są zachwycające, nieprawdaż? Jak je pan znalazłeś, panie de Ferdys?

— Byłyby bardzo brzydkie w Paryżu, ale tam są bardzo piękne.

— Barwy ceglastej?

— Mleczno-kawowej.

— Dobrze?

— Tak. I ciekawe. Dzięki tej ciekawości lubią bardzo podróżnych, ale kochają się jedynie w swoich kanakach... Są czule i romansowe.

— Romansowe! Ach, biedne kobiety!

Noris powiedziała to tonem ostrym, nie bez goryczy, co uderzyło Rajmunda.

— O, i bardzo romansowe — odparł. Gdy się odchodzi, mówią: "Weź ze sobą to, co ci się we mnie najlepiej podoba." A gdy im się odpowiada: "To co mi się najwięcej w tobie podoba? Ależ twoje włosy!" Nie wahają się ani chwili i włosy obcięte spadają. Jeden z moich przyjaciół zakochał się w małej Taitiance, która miała prześliczną rączkę, chociaż tatuowaną ale tatuowaną na niebiesko i nadzwyczaj delikatnie.

"Ta rączka podoba mi się najlepiej" rzekł do Taitianki, gdy go spytała, co chciałby zabrać od niej ze sobą? "Ręka moja? odetnij ją sobie!"

— Tak — odparła Noris — więc umieją prawdziwie kochać te piękne wyspiarki!..

Uciąć sobie rękę, brr! Ja wątpię, czy która z paryżanek przystałaby na obcięcie sobie różowych paznokietków!... Zanadto je cenią... choćby dlatego tylko, ażeby kogo podrapać.

Rajmund starał się, podczas gdy Noris mówiła, spotkać jej wzrok, jej oczy tak ongi wymowne. Widział jej profil tylko, profil zarysowany nader delikatnie z odcieniem wschodnim.

Siedząc na koniu, patrzyła przed siebie, wzdłuż alei gdzie horyzont niedawno zamglony zaczynał się rozwidniać.

Zdawało się, że nie pragnęła spotykać się ze wzrokiem Rajmunda, gdy jednak zaczął mówić o tej tatuowanej ręce, którą naiwna Taitianka chciała dać sobie odciąć — tak, ni z tego, ni z owego — odwróciła się nagle do Ferdys'a i zaśmiawszy się po raz ostatni nerwowo, rzekła:

— Czy to panu trafiła się ta przygoda?

Ferdys spotkał się tedy z tym wzrokiem ciemnym, głębokim i ongi płomiennym, z wyrazem gniewu czy rozpanoszonej goryczy, której nie miały te czarne oczy, gdy Noris była dziewiętnastoletnią dziewczyną.

— Nie, nie — odparł. To nie mnie chciano zrobić taki podarunek!

— Może myślała, że będzie bardzo szlachetną, ta pańska Taitanka!... — rzekła Noris tonem oschłym. Odciąć sobie rękę — to czyn bohaterski, ale i dziki zarazem. Jest jednak krok daleko prostszy... a mianowicie...

— Mianowicie?...

— Może mnie pan będziesz miał za zbyt romansową! Wyrwać sobie serce!

Cień przebiegł po tym wzroku, którym Rajmund poił się prawie. Cała twarz Noris zmieniła się nerwowo, ale niebawem śmiech wrócił, dźwięcząc jak szkło rozbite na tych pięknych różowych ustach.

Po chwili, uderzając konia szpicrutą Noris ozwała się:

— Opowiesz mi pan to wszystko u mnie, mam nadzieję, panie de Ferdys? Dużo mi zależy na pańskich odwiedzinach. Zdaje mi się, że mamy sobie nieskończenie wiele rzeczy do powiedzenia. Rzeczy bez treści, być może, ale dla mnie są one wszystkim. Ale jakże jestem roztrzepaną. Nie dałam panu dotąd swego adresu!

— Znam go — rzekł Ferdys. Pokazywano mi pani mieszkanie! Pałacyk jest nader piękny, godny pani...

— Tak? Któż go panu pokazał?

Rajmund uśmiechnął się zlekka z pewnym odcieniem smutku.

— Mój ojciec.

Noris spodziewała się może innego nazwiska. I ona ze swej strony szukała także wzroku Rajmunda.

Gdy nazwał markiza, wybuchnęła znowu śmiechem:

— Ach, to nic dziwnego, markiz musi przecie znać ulicę Jouffroy. Często widuję jego powóz przed domem... jednej z moich przyjaciółek., prześlicznej dziewczyny.

Zatrzymała się, dostrzegłszy, że Rajmund, z twarzą trochę nachmurzoną, robił widoczny wysiłek, ażeby ukryć niezadowolenie.

— Co pan chcesz? — rzekła — pański ojciec będzie zawsze pańskim młodszym bratem! Ale nie lękaj się pan, to szanujący się człowiek. Może spalić jak żelazkiem do fryzowania swe siwe włosy o cygaretkę paryżanki, ale nie splami ich nigdy, a zresztą Małgorzata Brunier nie jest dziewczyną ani złą, ani niebezpieczną. Gdyby miała więcej energii, byłaby nawet uczciwą kobietą... Jakie to jednak są rozmaite odcienia upadku!... A gdybym panu powiedziała, jakieśmy się poznały z tą Małgorzatą! Na cmenta-

rze!... Tak, na cmentarzu!... Otóż to Paryż! Opowiem to panu kiedy, mam nadzieję?...

Wyciągnęła rękę do Rajmunda, którą on zatrzymał tym razem dłużej, dłużej również wpatrując się w oczy Noris.

Ona powtórzyła:

— Dowidzenia wkrótce?

— Wkrótce!

Uśmiechnęła się, piękna aż do pozazdroszczenia, z główką nieco pochyloną, z ustami w pół otwartymi, jak przez ironiczną pieszczotę.

— Wydajesz mi się pani szczęśliwą! — rzekł Rajmund.

— Tak... jestem bardzo zadowolona... Zatrzymała się przez chwilę.

— Zadowolona... dzisiaj....

— Dzisiaj?

— Tak, bo pana widzę. A jednak, jakie wspomnienia obudzasz we mnie, markizie!

— Ach — odparł — więc pani nie zapomniałaś? I znowu, jak przed chwilą, po całym lasku rozległ się przymuszony, rozbity śmiech Noris.

— Czyż można zapomnieć? — zawołała.

Zacięła konia, który popędził galopem i wkrótce znikła w alei, rzuciwszy raz jeszcze wzrokiem na Rajmunda, dodając.

— Nie zapominaj pan o mnie! Do zobaczenia.

Rajmund, dawszy koniowi ostrogę, jechał przez chwilę za nią, podziwiając z oddali jej piękną figurę, która dzięki igrającym na niej Mateczkom z liści i gałązek drzewnych, zdawała się być skąpaną w słońcu.

Noris oddalała się szybko i już wyjeżdżała z Route des Poteaux, przez główne wrota lasku od strony alei Sablonneuse.

Na głównej drodze lasku zaczęły się ukazywać wykwintne pojazdy. Wtedy Rajmund zwrócił konia nie bez żalu w stronę Paryża, z oczyma ciągle wpatrzonemi w punkt czarny, zmniejszający się co chwila, punkt, będący kobietą, kobietą prześliczną, tą Noris, która obudziła w nim pierwsze uczucie miłości, która sprowadziła mu do oczu pierwszą łzę niezapomnianą, nie dającą się zapomnieć.

Czyż można zapomnieć?

II.

Ulica Jouffroy, pałac Ludwika XIII, o białych rzeźbach, z piękną cechą artystyczną na czerwonych ceglach. Drzwi dość małe, otwierające się na korytarz o śmiałych sklepieniach, zdobnych w różnokolorowe arabeski. Dwóch japońskich bohaterów, uzbrojonych od stóp do głów, czuwających na progu z wąsami tygrysów i w maskach tragicznych arlekinów. Dwóch innych z halabardami przy wschodach, wiodących do apartamentów pierwszego piętra. U ich stóp smoki z brązu z rozwartymi paszczami.

Główne wrota wjazdowe, znajdujące się nieopodal od małych drzwi wchodowych, otwierały się na znak grooma, gdy Noris powracała z lasku i

ukazywały część ogrodu, drzewa jeszcze obnażone, klomby kwiatów, okolone cegiełkami i ścieżkami, wysypanymi żółtym piaskiem.

Frontowe okna buduaru wychodziły na ten zaimprovizowany ogród, to też mały salonik z czasów Ludwika XVI o białych meblach, pokrytych ciemną materią, różowym jedwabiem z haftem delikatnych kwiateczków, prześlicznie wyglądał przy cieniu zakradających się z poza okien drzew tego ogrodu.

Noris często przesiadywała w tym białym salonie, gdzie cenne książki pokazywały swe złoczone grzbiety w szafie biblioteczej, symetrycznie ustawionej z serwantką, z poza szkła której widać było cacka japońskie, posążki z Tanagry i inne piękne drobiazgi, poustawiane na grubych taflach, szklanych.

Tuż obok miała Noris salon poważniejszy, o wyglądzie prawie ponurym, wielki, umeblowany w fotele z czasów Ludwika XVI i w szafy z czarnego dębu. Kilka obrazów oryginalnych, dopełniało całości.

Pałac był pusty. W sali jadalnej, o ścianach, malowanych przez Vollona, można byłoby dawać obiady prefektoralne, ale Noris jadała prawie zawsze sama. Żyła osamotnioną w tych pokojach zbytkowych, a jednak nie grzeszących brakiem gustu, gdzie przedmioty sztuki bawiły jej oczy, a książki rozrywały umysł.

Tam w górze, na jednej z pułek biblioteki, do której udawała się bardzo często, spoczywały zapomniane romanse Eugenjusza Féraud, w pięknych oprawach z jego cyfrą i napisem *ex libris*....

Zbytek, w jaki ustroiła te pogardzone dzieła nieboszczyka, stanowił niejako odcień jego zemsty. Romans jej życia — jej życia nowego, był zresztą

o wiele bardziej czczym od wyszłych z mody fantazyjnych opowieści Férauda. Pragnęła umrzeć i zdecydowała się żyć, poparta przez straszną chęć odwetu, gdy ujrzała, pięć lat temu, ten wir bulwarowy, z dumą i zuchwałością jego przedstawicieli.

Po śmierci ojca, po utracie miłości, gniewna na cały Paryż nawet, powierzyła starej Wiktorynie część ruchomości, które chciała ocalić od zagłady, rękopisy Férauda, książki, portrety, szkic Delacroix, Żydówkę Marokańską, najęła jej pokoik w pewnym domu przy ulicy Legendre, sprzedała wszystko, co w mieszkaniu przy ulicy de Brochant nie stanowiło pamiątki, relikwii jej przeszłości, i z otrzymanymi pieniędzmi za te przedmioty, jak i za reprodukcje prac Férauda, biedna, ale czując się bogatą, mając przed sobą jeden lub dwa lata znośnej egzystencji, opuściła Paryż, szczęśliwa aż do upojenia, że może uciec z tego wiru, gdzie przez nieuczciwą kalumnję zamordowano jej ojca.

Udała się do Nizy, szukając nowego nieba i nieznanych zakątków.

Uciekała nie tylko od Paryża ale i od Renégo, tego wiarołomcy, kochanka, którym pogardziła, nędznika, który z uczciwej dziewczyny zrobił kobietę upadłą. W Nicei chętniej szukała osamotnionych ustroni, niż Promenady des Anglais. Lubiła półsamotnie przechadzać się po drodze Villefranche, gdzie na szczytach skał, mając u stóp dachy domów, a przed oczyma cudowny widok na okolicę, przepędzała pewien czas w powietrzu, które rozpraszało jej smutek z czoła, wsłuchując się w głuchy szmer morza, kołyszącego jej marzenia i dorzucającego do tej ziemskiej żałoby, związanej z życiem, wieczną skargę na nieskończoność.

Znajdowała tu jeżeli nie pociechę, to ulgę bólu w osłabieniu, jakie ją opanowywało, w umyśle ociążałym, jak po nocy bezsennej, w organizmie wycieńczonym przez pewien rodzaj anemii fizycznej i moralnej, przez konsumpcję serca! I żyła tak, wegetowała niejako, w cudnej ciszy tej natury, którą nie obchodziła ani Noris, ani inni i która pozwalała wzrastać kwiatom i świecić słońcu, obojętna na wszelkie cierpienia.

Noris nie pytała się już nawet, jak będzie żyła nazajutrz, po tym pół śnie bolesnym! Zdawało jej się, że całe jej przeznaczenie przywiązane było za ledwie do dni kilku, do kilku miesięcy, które mogła przepędzić swobodnie, z wyrzutami po swoim upadku, nie potrzebując nikogo.

Przednią stał jakoby mur kamienny, a poza tym mi próżnia. Gdyby była podłą, rozbiłaby sobie głowę o opokę i wszystkoby się skończyło. Potem, znowu przychodziła jej na myśl zemsta. Zapragnęła stanowiska w tłumie, pierwszego miejsca w tej tłuszczy tak zwierzęco egoistycznej.

Przypomniała sobie namiętne wejrzenia, jakie rzucano na nią na bulwarze.

Przypadek postawił jej na drodze wielkiego księcia Wasyla, który odpoczywał w Nizy po sławnej kampanii w Bałkanach.

Mężczyzna piękny, podziwiany na promanadzie, lornetowany przez kobiety, które zbombardowały go fijołkami i różami na wojnie kwiatów. Wielki książę zwrócił uwagę na Noris, którą spostrzegł po raz pierwszy w teatrze, gdzie bywała niekiedy, ażeby rozerwać swe napady smutku.

Zdziwienie jej nie miało granic, gdy pewnego razu na przechadzce po drodze Villefranche, piękny mężczyzna o siwiejących włosach, którego zauważyła w teatrze w jednej z łóż przy scenie, a którego siedzący przy niej

nazywali "wielkim księciem", przemówił do niej, znalazłszy ją siedzącą na skałach z parasolką, oblaną promieniami słońca.

Był sam, lubiąc także przechadzać się swobodnie zdala od gwaru high-life'u, tak jak podczas kampanii lubiał galopować bez eskorty do przedniej straży Ukłony urzędowe, i anonimowe umizgi nie prześladowały go tutaj. Nie wątpił, że ta piękna paryżanka o rysach wschodnich, którą spotkał tutaj, a którą poznał i którą widział w teatrze bez towarzysza, nie będzie jak on, niezadowoloną ze spotkania nieznajomego. Odważył się przemówić do niej i zdziwiony został niepomiernie, spotkawszy chłód wyniosły, zamiast odpowiedzi, na czczy komplement, na który się zdobył. Poprosił o przebaczenie, spostrzegłszy, że się pomylił i oddalił się z pewnem postanowieniem dowiedzenia się bądź co bądź, kto jest ta młoda dziewczyna, która odrazu przy nudach nicejskich zrobiła mu przedsmak romansu albo co najmniej jakiej rozkosznej przygody.

Powiedziano mu — gdyż w tym świecie wszystko się wie i wszystko przechodzi z ust do ust, nawet to, co nie istnieje — poinformowano go, że ta młoda istota, dość osamotniona, na którą, z chwilą jej przybycia do Nizy, wielu młodych ludzi zwróciło uwagę, była córką jakiegoś biednego pisarza, bardziej słynnego z uwięzienia jak z talentu, sama zaś miała jakąś słabość, czy jakieś żywsze uczucie do księcia Beaumartel de Chantenay, pięknego Chantenay, znanego p. n. kwiat szyku.

Tak przynajmniej książę wyraził się pewnego wieczoru w klubie, w oliwili, gdy rozmawiano o pewnym procesie finansowym, do którego był wmięszanym Féraud.

Wszystkich tych wiadomości dostarczył wielkiemu księciu pewien bardzo zręczny reporter, mały Gardanne z Paryżanina, który zimową porą redagował specjalny dziennik nicejski Ment-Boron; Gardanne, wszystko wie-dzący, i zachwycony tem, że może opowiedzieć biografię Férauda osobistości tak znakomitej jak wielki książę.

I tą drogą, powoli, żołnierz przyjemnie zdziwiony rażącym kontrastem życia miejskiego nad brzegiem morskim z życiem kampanii, jaką niedawno przebył, uczuł dla Noris kaprys, który zamieniał się w dziką żądzę, tembardziej, że z każdą chwilą Noris wydawała mu się piękniejszą i coraz bardziej zachwycającą z jej goryczą opuszczonej, która śmiała się tak złośliwie, gdy jego książęca mość mówił jej o miłości.

— Więc pan mnie kochasz?

— Z głębi serca.

— Ależ znamy się zaledwie miesiąc!...

— Czyż potrzeba miesiąca po to, ażeby się zakochać, zwłaszcza w kobiecie takiej jak pani!

— Widziałam kiedyś, będąc bardzo małą, stary wodewil, który nosił tytuł (ten tytuł mnie bardzo intrygował): Co to jest miłość? Teraz już wiem; jeżeli nie jest to zachwyty, bohaterstwo, piękno, to jest złośliwość lub znie-waga. Pan jesteś bohaterem, wiem o tem. Ale założę się, że mnie po boha-terku nie kochasz.

— Kocham panią, jak...

— Jak ci, którzy nie kochają, lecz pożądata.

Policzkowała go tak swemi żartami, a wielki książę, przywykły do mniej szorstkich odpowiedzi, czuł się nieraz zagniewanym, jak wobec re-duty, która za dobrze się broniła.

Bardzo być może, że Noris była uczciwą dziewczyną, a ten kronikarz Gardanne, oszkalował ją może!.. W każdym razie, faktem jest, że panna Fé-raud opuściła Nizzę i powróciła do Paryża, a wielki książę Wasyl nie od-gadł tajemnicy tej pięknej dziewczyny, białej jak marmur w swych suk-niach żałobnych.

W Paryżu chciał ją odnaleźć i dopiął swego. Wróciła, ażeby się spotkać z nową żalobą.

Stara Wiktoryna umarła.

Osamotnienie Noris stało się jeszcze większem, a przytem zaczęła jej grozić nędza.

Bez utrzymania, samotna i zgnębiona, chciała w tym wirze paryzkim żyć cnotliwie i oprzeć się wszelkim pokusom. Ale czyż metresa, pogardzo-na i wypędzona prawie od księcia Beaumartel de Chantenay, miała prawo nazywać się uczciwą kobietą?

Kobieta upadła! Kobieta przedajna!

I upadła z zupełnem zaparciem się dobroci, wiary i miłości, tej niena-wistnej miłości, którą znała już teraz. Poddała się z całą wściekłością, uto-nęła w błocie, potrzebując bądź co bądź, zdeptać, splugawić, zniszczyć jaki nienawistny ideał, znalazła się w stanie rozdrażnienia, które porywa niekie-dy kobietę w chwilach wyrzutów sumienia lub pragnienia zemsty, wydają-cych się niektórym pseudonimem żądzy, a nawet podobizną miłości.

Noris nie oszukiwała siebie bynajmniej i nie chciała oszukiwać siebie samej. Uniewinniała siebie, wystawiając swą piękność na sprzedaż, tak jak się wystawia piersi na postrzał. Chciała podrzeć na strzępki, jak welon narzeczonej, to pełne wiary uwielbienie, jakie obudził w niej René, wiarołomca i uwodziciel.

Pragnęła, ażeby kto inny zaufał teraz jej, tej łatwowiernej i romansowej dziewczeczce, która była godnem dzieckiem tego łowca fantazyi i kochanka gwiazd, nazwiskiem Féraud.

Pragnęła nakoniec, ażeby jej nowe życie było gorączkowym odwzajemnieniem, dręczonem może w tajemnicy, ale na jawie upornem, pełnem dumy, z nieprzeblaganą dewizą krzyku boleści i łkania jej serca:

— "Zemszczę się."

I oto Paryż, ten Paryż pełen hałasów i zbytków, ta cała śmietanka Paryża, zajmująca się więcej nową twarzą na scenie lub przed sceną, aniżeli nowym poematem albo kwestyą polityczną, — cały Paryż został zaintrygowany, zdumiony, przejęty żądzą posiadania, podniecony jakby tajemnicą jaką, ujrzawszy pewnego dnia, pomiędzy wykwinną i etykietalną publicznością pierwszych przedstawień teatralnych, młodą kobietę o szlachetnym profilu wschodnim, niezmiernie interesującą, z włoskami fryzowanemi na czole, zwłaszcza, gdy podnosząc główkę, zdobną w czarne głębokie oczy, odpowiadała uśmiechem dumy na lornetki badawczo zwrócone na siebie lub umiejętnie zakrywała się wachlarzem.

Prawie zawsze ubrana czarno, z białym kwiatem na piersiach, ślicznie wyglądała przy matowej twarzy w kostjumach z aksamitu czy jedwabiu.

Zawsze samotna, albo w towarzystwie młodej kobiety, wyglądającej bardziej na służącą aniżeli na przyjaciółkę, zwłaszcza, że Noris mało do niej mówiła.

Podawano sobie szeptem z ust do ust jej imię, zapytując się bywalców albo kronikarzy z profesji. I zawsze ten dobrze poinformowany Gardanne wyrastał jak z pod ziemi dla dodania kilku nieznanym szczegółów ciekawym znakomitościom.

Noris Féraud w ciągu tygodnia niespełna weszła w modę. Ubiegano się o jej względy, dobijano się o miejsce przy łoży, w której siedziała, nie mówiąc do nikogo i analizując widownię z równą wytrwałością jak widzowie analizowali jej piękność.

Zarówno w łoży jak i u siebie w domu, nie przyjmowała nikogo. Wiedziano doskonale, że pałac przy ulicy Jouffroy otwierał się tylko wtedy, gdy wielki książę Wasyl przybywał z Petersburga do Paryża, a kronika nie była głuchą na pierwszy romans Noris z tym Don-Juanem albo Don Joanito, księciem de Chantenay; ale ten sławny pałac utrzymywany dla Noris przez magnata rosyjskiego nie został przestąpiony przez nikogo, z wyjątkiem dostawców słodczy, jubilerów lub magazynierek. Panna Féraud odpowiadała pogardą na wszystkie hołdy, na wszystkie żądze zdobycia jej piękności. Żyła gorzko szczęśliwa, z ciężarem osamotnienia, nawet wówczas, gdy sama jedna, zawsze sama z pozornym spokojem i zadowoleniem jeździła konno po lasku Bulońskim, albo w powozie dokoła jeziora, w osamotnieniu, które do passyi doprowadzało jej coraz liczniejszych wielbicieli z wielkiego świata.

Będąc metresą wielkiego księcia w Paryżu, można było przecie przez samą grzeczność poświęcić kilka chwil życia dla Paryża, dla tego Paryża, na bruku którego się wzrosło. Ale Noris przez myśl nie przeszło to nawet. Dzięki liberalności wielkiego księcia, wolno jej było postępować według własnego zdania, zwłaszcza, że książe rad był, znajdując w Paryżu podczas swego pobytu, salon godny siebie, a przytem został istotnie przejęty do głębi tą niepowszednią istotą, tak różną od zwykłych metres, mieszczanek podniesionych do stanowiska kobiet wielkiego świata, gotową opuścić pałac w każdej chwili i wrócić do dawnego stanu, gdyby książe, zazwyczaj w obec niej skromny, pozwolił sobie kiedykolwiek na brak uszanowania.

Kazała umieścić na głównej ścianie jednego z salonów, suto złoconej, Żydówkę Marokańską Eugenjusa Delacroix, w przepysznych ramach. Piękna bohaterka mistrza pędzla, gdyby było usunąć złocenia i ozdoby, rażąco przypominała z temi cekinami na czole i temi oczyma aksamitnemi, samą Noris w pewnej odmianie wschodniej. W obraz ten właśnie, tylokrotnie podziwiany przez Férauda, młoda kobieta wlepiła chciwie swój wzrok, spędzała długie dnie zastanawiając się nad przeszłością w grobowej ciszy swoich apartamentów.

Przyjmowała nie wiele osób, nikogo albo prawie nikogo, jak to powiedziała Rajmundowi de Ferdys, a dumnie podnosząc czoło wobec pogardy innych, odplacała im takąż pogardą z wysokości tej swobody, którą zdobyła kosztem swego ciała.

Wychodziła mało, nie miała wcale przyjaciół, i w tym świecie smutnych i poniżonych osobistości, który stał się teraz jej sferą, nie widywała nikogo,

oprócz niejkiej Małgorzaty Brunier, której mieszkanie sąsiadowało z jej pałacem w tym nowym quartier, o nowych domach dorobkiewiczów.

Wieczorem, tego samego dnia, gdy spotkała Rajmunda w lasku, Noris zgodziła się, wbrew zwyczajowi, spożyć obiad z Gardannem, reporterem Gardannem, który bawił ją niekiedy, jako chodząca kronika, a który dawał jej możliwość w ciągu jednej godziny poznać kwintescencję wszystkich tajemnic stolicy świata. Obiad ten miał się odbyć właśnie u jej sąsiadki Małgorzaty Brunier, zwanej powszechnie Margot, przed domem której tak często stawał powóz markiza de Ferdys, ojca.

Margot i Gardanne!

Gdy Noris przyjmowała u siebie, byli to najczęstszy goście jej salonów, dwie, jedyne, prawdę mówiąc, istoty, odwiedzające pałac z ulicy Jouffroy. Gardanne bywał przechodząc i znacznie częściej niżby chciała Noris, Margot zaś przynosiła do surowej samotności pałacu swój szczery śmiech dziewczyny bez trosk, lubo niekiedy, jak innym przychodziły jej na myśl smutne wspomnienia przeszłości, jak gorycz na dnie kieliszka szampana, o których jednak nie myślała wcale i nie chciała myśleć, mówiąc do Noris:

— Życie nie jest warte tego, ażeby gryźć się i martwić. Ono tak prędko przechodzi...

Dodawiała:

— Mam zaledwie dwadzieścia sześć lat, a już zdaje mi się, że wszystko przeżyłam.

Małgorzata była wcale nie brzydką: pulchna, o białej cerze, sutych blond włosach, wpadających nieco w barwę złota, z małymi uszkami, które nieraz chciano odgryźć; oczy jasno-niebieskie zawsze uśmiechnięte wraz z

zabkami oślepiającej białości; rączki z dołeczkami, pełne pierścionków; cała jej figurka była zgrabna i żywa, lubo na twarzyczce zaczynała się już pojawiać bladość a pod oczami ukazywał się już odcień niebieskawy.

Wbrew swej wesołości, piękna dziewczyna, zarówno jak Noris, znużoną była tą egzystencją wiecznie jednakową. To też niekiedy uczuwała konieczną potrzebę podokazywania, jak tego właśnie wieczoru, z przyjaciółmi, bez pozowania i bez obecności pana domu, nader uprzejmego, bo był nim pan de Ferdys, ale zawsze nudnego i ciężącego dla tej prostej przyczyny, że był panem...

Gardanne, siedząc pomiędzy Margot, tą wesołą i zabawną kobietką, a piękną Noris — dwiema paryżankami tak odmiennego rodzaju; doznawał uczucia przyjemnej kolacyjki pomiędzy dwoma dziewczątkami w gabinecie restauracyjnym.

Pokój jadalny, w którym się znajdowali był obity skórą z Kordowy, i oświetlony kandelabrem z błyskotami kryształowemi. Białe i czerwone kwiaty stojące w ozdobnych wazonach na stole, ślicznie odbijały od twarzy biesiadniczek. Wszystko się uśmiechało, zarówno opałowe błyski szkła kryształowego, jak nakrycie stołowe malowane z japońska, jak różowe i białe rysunki na ruskim obrusie. Wszystko tchnęło wielkim gustem, co reporter chwalił z wielkimi okrzykami, jedząc bez ustanku, a tem samem płacąc sobie nawet za słowne reklamy.

Gardanne powziął nagle plan ukryty. A gdyby tak opisać wnętrze apartamentów Margot, a zwłaszcza hotelu Noris, nadewszystko Noris!

Ach, pałacyk Noris, ten mały, osamotniony i tajemniczy pałacyk, to byłby temat dopiero. Temat, z którym go jeszcze nie uprzedzono. Podać

otoczenie takiej Noris w swoim dzienniku, byłby efekt nielada. Rozrywano by pismo! To nowość!

Wiedziano bardzo dobrze w Paryżu, że piękna Noris była metresą wielkiego księcia, ale już sam ten tytuł otaczał ją pewną tajemniczością, która oczywiście byłaby nader zajmująca, gdyby Gardanne uchylił jej rąbek.

Będzie to niespodzianką dla dziennika; pierwszy artykuł z całego szeregu; zatytułowanego: Tajemnice salonów naszych strojnisi.

Małgorzatę Brunier, a raczej Margot, poda po Noris, Blanę Taverny po Margot, a panią de Tressau po Blance: aktorki, księżniczki, high-life, low-lite, méli -mélo, wszystkie po kolei, całą seryę...

I chcąc zaczerpnąć wiadomości, uprzejmy Gardanne, podczas całego obiadu wślizgał się w tajemnice przyzwyczajęń Noris, którą znajdował nieco rozmarzoną, nie tyle smutną, ile zękaną... Tak jest zękaną.

— Pani coś jest wistocie — mówił do niej przy deserze. Czy pani nie znajdujesz tego, droga panno Margot, że nasza przyjaciółka jest nie w humorze.

Wziął cygaro z pudełka, które przyniósł lokaj na znak Małgorzaty i zapalił je u srebrnego trójnoga na spirytusie.

Młoda kobieta usłyszawszy z ust tego bulwarowego szperacza wyrazi: "nasza przyjaciółka", pomimowoli zmarszczyła brwi z lekka.

Ale ba! Gardanne sądził może, że jej robi wielki zaszczyt dając jej ten tytuł, który dzieliła bezwątpienia z masą innych kobiet lekkiego prowadzenia.

Odpowiedziała poprostu, że jest smutną, że zresztą doznając dziwnego uczucia, od chwili owego spotkania z Rajmundem, dzisiejszego poranku. A

może stan swój. zawdzięcza pogodzie kwietniowej i pierwszym promieniom wschodzącego słońca.

Wistocie, w ciągu całego obiadu mówiła bardzo mało, dając możliwość Małgorzacie i Gardanne'owi śmiać się do woli, po parysku, sama zaś była mysią tam, w tej świeżej alei, której pierwsze listki uśmiechały się, w głębi zieleni na drzewach.

Była daleko, bardzo daleko od tej sali jadalnej Małgorzaty Brunier, do której przez okna, wychodzące jak u niej na ogród, wkładał się jeszcze szarzejący mrok wiosennego wieczoru. Była daleko od ładnej dziewczyny, szczebioczącej tuż przy niej z tym przebiegłym chłopcem, którego umysł giętki jak ewolucje kłowna, umiał tak dziwnie żartować ze wszystkiego — i zdawało się jej, że galopuje jeszcze po tej brązowej alei z tym pięknym ogorzałym młodzieńcem, który prawił jej o krajach spalonych słońcem i miłością., gdzie dziewczęta obcinały sobie włosy albo ręce dla pierwszego lepszego przybysza o złożonych szlifach...Imię, wymówione na głos, które pomimo wszelkich wysiłków, nie mogło nigdy na niej nie sprawić wrażenia, imię, które było przywiązane do jej życia, jak bandaż do rany, wyprowadziło ją z tego rozmarzenia, zadając jej cios prawie dotkliwy.

Gardanne mówił o księciu Beaumartel de Chantenay.

Noris podniosła głowę i nagle obok tej szczerzej postaci młodzieńczej Rajmunda stanął jej przed oczyma zimny uśmiech i lekki jasny wąsik Renégo. Ten ostatni obraz złośliwie zamącił widok zielonego pejzażu rozkwitającej wiosny, wśród którego, pod budzącemu się do życia drzewami, galopował Rajmund.

Mimowoli zaczęła słuchać.

— Znowu zaczynają mówić o tym książątku! — mówił Gardanne, wpatrując się we wzrastający popiół na cygarze.

A Margot, wpół oparta na obrusie, z oczyma wlepionymi w oczy Gardanne'a, chciwa skandalików, rzekła:

— Nie może być! Cóż tam nowego?

Niebieskie oko płonęło zaciekawieniem, różowy język pokazywał się na ustach jak u kota na widok miski z mlekiem.

— A tak, tak — odparł Gardanne. Mówią, że trochę zanadto pozwolił sobie z hrabią de Montépreux.

— Z hrabią de Montépreux?

— No, nie mówię, żeby go miał przebić w pojedynku. Nie! Ale hrabina, pochodząca z Tokaju, zanadto się kompromitowała z Chantenay'em, a żeby Montépreux miał o tem nie wiedzieć i temu bez wątpienia zawdzięczać należy chorobę, na którą hrabia zapadł, a mianowicie na wątrobę... Jeżeli hrabia umarł, to Chantenay'ek może się pochwalić, że się niemało przyczynił do jego "żółtaczki"... jego "zzólcenia" — dodał Gardanne, widząc że Margot nie rozumie i kładł nacisk na wyrazie zzótcenie, znajdując go nader oryginalnym.

Noris zdawała się słuchać z uwagą, i zapytała, jak gdyby chcąc dowiedzieć się szczegółów:

— Hrabina de Montépreux?

— Znam ją — odparła Margot. Bardzo ładna! Blondynka złotowłosa... Cały las włosów....

— Barwy tytoniu tureckiego albo piwa z kraju, z którego pochodzi — dodał Gardanne. Jest Austryaczką. Makart wymalował ją na jednym ze swoich płócien... Ciało prześliczne. Co za płeć! Szyja!

I drobiazgowa! wielką damę, tak, jak gdyby opisywał jaką aktorkę, wchodzącą na scenę pół nago, albo konia na wyścigach.

Noris знаła hrabinę. Widywała ją nieraz i podziwiała na operze, ona siedząc w amfiteatrze, a hrabina, wsparta na poręczy swej łoży, z głową wyniosłą, piękna bez zarzutu, uśmiechnięta i pogardliwa zarazem, o pulchnych ramionach wiedeńskich, pół obnażonych, które piękne dziewczęta pozwalają ą łaskotać długim lokom włosów, gdy wojskowa muzyka austriacka gra walca pod cieniem drzew Prateru.

— Ach! Więc hrabina była teraz metresą księcia de Chantenay!

— Tak mówią! — rzekł Gardanne. Podobno ubóstwia go nawet, szaleje za nim.

— Od jak dawna hrabia de Montépreux nie żyje?

— Od lata... od czerwca roku. Jeździłem właśnie umyślnie na pogrzeb hrabiego do Normandyi, który po to tylko wrócił tam z Vichy, ażeby umrzeć. Pałac Montópreux jest prześliczny! Wieża umeblowana jak buduar. Mnóstwo kolorów. Nad grobem wypowiedziano aż trzy mowy: mówił mer, prezes rady głównej i jakiś kolega z izby. Mowy są teraz w modzie. Pan de Montepreus był deputowanym. Deputowanym konserwatystą naturalnie. Szkoda tylko, że nie umiał żony swej konserwować!

Noris nie mówiła ani słowa i starała się nabrać pojęcia, pomimo żartów reportera, romanse tej kobiety, która kochała teraz człowieka, ubóstwianego przez nią do szaleństwa przed pięciu laty.

Jakie to jednak szczególne, że kobieta bogata i utytułowana — hrabina! — powzięła myśl zajęcia się człowiekiem, który mógł uwieść niewinną dziewczynę, ale żeby miał zbałamucić kobietę w pełni życia, kobietę światową — to zdaje się być nieprawdopodobnem! I było to zarazem niegodne, tak niegodne! Hrabia de Montépreux czyż był stary? Nie. Młody jeszcze, przystojny, bogaty, trochę ponury, to prawda, cierpki, trapiący chorobą wątrobianą, ale kochający, wykwintny i przejęty na wskroś pięknnością młodej żony.... Wierzył jej, ubóstwiał ją, pragnął, ażeby wprowadzona przez francuza do towarzystwa francuzkiego, wprawiała wszystkich w podziw, tak, że nawet kazał wymalować portret żony do salonu, mistrzowi w malowaniu kobiet zarówno w Paryżu jak w Wiedniu.

— Koniec końcem — mówił dalej Gardanne — nad wszystko na świecie ten biedny hrabia kochał tę istotę bosko-piękną, wykwintną, chodzącą po salonach z wyniosłością królowej przy boku tego męża zachwyconego, którego oczy trochę zaszele żółcią błyszcząły radośnie na widok sukcesów hrabiny. Montépreux w izbie nie okazywał chęci błyszczenia, bardzo bogaty, przysłany do zgromadzenia w dwudziestym szóstym, czy dwudziestym siódmym roku życia, zaraz po ukończeniu wojny, gdzie odznaczył się nie lada walecznością, na czele członków pospolitego ruszenia ze swego departamentu, bywał tam z przyzwyczajenia, i tylko dlatego, że wyborcy odznaczyli go, nie chciał ich pozbawić przyjemności widzenia siebie na ich czele. Natomiast, daleko więcej niż swoim mandatem, zajmował się żoną. Hrabina uwolniła go nawet od zajmowania się synem, małym jegomością, który w pałacu przy ulicy Saint-Dominique wzrósł jak umiał w gronie swych bon i guwernantek, mając w czwartym roku życia własny apartament, ludzi,

którzy go nazywali "panem hrabią", a do matki swej mówił "hrabino" jakkolwiek w takim wieku każde zdrobnienie, każdy wyraz "mama" jest dla matki droższem bez wątpienia od wszelkich miłosnych oświadczeń.

Tak więc, ta kobieta ubóstwiana miłością wyjątkową i ślepą, ta piękna dwudziestotrzechletnia hrabina, ta szczęśliwa małżonka, której tysiące tysięcy kobiet zazdrościło; zajęła się Chantenay'em!

Dla tego księcia René — rzecz niepojęta dla uwiedzionej córki Eugenjusza Féraud — ta kobieta zdolną była poświęcić spokój i honor pana de Montépreux i szacunek, jaki z czasem, wzrastające dziecko, powinnyby okazać matce.

O tem i tylko o tem myślała Noris, podczas, gdy Gardanne, tym tonem paryżanina, świadomego wszystkich zakulisowych tajemnic zarówno w teatrach jak w biurach redakcyi, prawił o miłostkach księcia Beaumartel de Chantenay i hrabinie Montépreux, zupełnie tak, jak gdyby to dotyczyło stosunku jakiego komedyanta z dziewczyną z bruku.

Mówił z najdrobniejszymi szczegółami, wiedział o wszystkim, obudzał wszystkie wspomnienia.

Tej zimy widziano panią de Montépreux jeszcze w żałobie z księciem w Monaco i nawet to spotkanie nie obeszło się bez maleńkiego skandalu.

Hrabina zajmowała wille, książę zaś mieszkał w hotelu, ale miejscowa kronika przypisywała im, że nazbyt często się spotykali, a nawet, gdy zaczęły chodzić pogłoski, że pani de Montépreux mogła była łatwo zostać księżną, dowodzono, że to improwizowane małżeństwo znajdowało się w zanadto ścisłym związku z bilecikami, które pisywali do siebie ci państwo.

Tak więc, będąc w posiadaniu wszystkiego, co wystarcza do życia, szanowana w spokoju swego wdowieństwa i opływająca w dostatkach, będąc w posiadaniu, słowem, wszystkiego, o czym tylko może zamarzyć uczciwa kobieta, ta hrabina de Montépreux pozwalała mówić o sobie jak o chórzystce z teatru, i potrzeba było dla jej uniewinnienia, ażeby Gardanne wyszukiwał tych modnych wyrazów, które stanowią niejako etykiety kobiet współczesnych: fantastka, hysteryczka, znudzona, niespokojna, trzpiotka i t. p. I stopniowo, słuchając, widząc, że przeszłość jej zaczyna po trochu odżywać wobec faktów tej smutnej teraźniejszości, uprzytomnionej przez tego reportera, córka Eugenjusza Féraud doznała uczucia moralnego upadku.

Po co przybyła do mieszkania Małgorzaty Brunier? Szukać trochę zapomnienia!

Znalazła przeciwnie, stokroć większą gorycz.

Przyglądała się z poza niebieskawego dymu cygara Gardanne'a i cygaretki Margot tym dwom istotom, które niekiedy bywały i u niej także: temu dziennikarzowi i tej dziewczynie upadłej, jej koleżance, sprzedającej miłość, jak inna sprzedaje rozsądek, i mówiła sobie, że z tych dwojga istot, które przywiązały się do niej przez potrzebę wrodzoną wszystkim stworzeniom, dopatrywania się własnych smutków i własnych cierpień w twarzach bliźnich jak w zwierciadle, nieszczęśliwą była ta, która śmiała się przed nią, niedbała o przyszłość i oddychająca teraźniejszością machinalnie, jak tym dymem tytoniu tureckiego, który najlepiej mógł ją zrozumieć i żałować.

To nie Margot — Noris była tego pewną — nie, nie Margot, któraby wyszedłszy za mąż za dobrego chłopca, zrujnowała szczęście swojego ży-

cia, jak Jacqueline de Montépreux. dobrowolnie pogrążała w przepaść swoją szczęście. Nie! Margot była uczciwą dziewczyną w swoim rodzaju.

Zapoznały się ze sobą w dziwny sposób.

Były sąsiadkami, nie wiedząc o tem w tej ulicy Jouffroy, za ledwie powstającej wówczas i nie spotkały się nigdy, chociaż ich powozy krzyżowały się albo jechały tuż za sobą po ulicy de Villers; nigdy się nie widziały pierwiej, aż dopiero na cmentarzu obok muru Montmartre, gdzie spoczywały szczątki "uwięzionego".

O dwa kroki ztamtąd, Noris spotykała często kładącą wieniec bez klękania przy grobie młodą blondynkę, która także spoglądała na nią, nie mówiąc do niej wcale.

Nieraz ocierały się o siebie podczas tych wizyt cmentarnych. Były połączone, przyzwane tam przez tych, którzy spali obcy dla siebie w życiu a poznani pod jednym wspólnym całunem śmierci.

Noris nieraz czytała na grobowcu, który przyciągał młodą kobietę, nazwisko nieboszczyka. Ale samo nazwisko Brunier nie było wcale wymownem.

Atoli, pewnego dnia, zerwała się burza i ciężkie krople zaczęły spadać jak łzy na cały cmentarz, gdzie tyle grobowców odzwyczało się już od łez wcale. Wówczas piękna blondynka o nader sympatycznej powierzchowności otworzyła swój parasol i zaproponowała sąsiadce z cmentarza, odprowadzenie jej do domu.

— Ale ja nie mam powozu ze sobą. Przyszłam piechotą — rzekła Noris.

Tymczasem deszcz zwiększał się z każdą chwilą, a niebo coraz czarniejsze, nadawało całemu cmentarzowi, alei doń wiodącej i całemu bulwarowi Clichy pozór nader ponury.

Młoda kobieta, trzymając swój parasol ponad głową Noris, ozwała się wtedy, trochę zaaferowana:

— Gdyby mi pani nie odmówiła...

Nie wiedziała, kto jest Noris. Zapewne kobieta wielkiego świata. To też zawahała się. Ale potem, wzięła na odwagę, ofiarowała miejsce w swoim powozie, a Noris dała swój adres.

I wychodząc z cmentarza roześmiały się trochę, widząc, że nawet w życiu były sąsiadkami! Czy to nie przeznaczenie zetknęło ich ze sobą? Znajmy się dłużej.

I znały się dłużej. Nietylko na Montmartre, przy grobowcach, ale przy ulicy Jouffroy w zwykłym życiu powszednim.

Margot znała Noris z imienia, widywała ją nawet w teatrze — w tym punkcie schadzek całego towarzystwa — ale nikt nie mógł jej powiedzieć, kto była ta piękna brunetka, ubrana czarno, którą brała za cudzoziemkę, kreolkę, węgierkę, kto to wie.

Małgorzata była zachwycona tą przyjaźnią, która jej pochlebiała — przyjaciółka metresy wielkiego księcia.

Noris znalazła w Margot naturę o tyle prawą, o ile mogły ją urobić ciosy życia, i właśnie, podczas, gdy Gardanne opowiadał przygody hrabiny z Chantenay'em myślała o tem, co Małgorzata Brunier opowiedziała jej o swojej przeszłości, której Margot nie żałowała wcale, ale która była uczi-

wą i tak raziący stanowiła kontrast — tak straszny, z obecnym życiem biednej dziewczyny.

I wtedy Noris, wciąż patrząc na Małgorzatę i reportera, porównywała życie pani de Montépreiux z życiem Margot i los Margot ze swoim własnym losem.

Tam, na górze w uliczce de la Chapelle, Małgorzata wzrosła w całej pełni przedmieść Paryża, na piątym piętrze, w szczupłym mieszkanku, które zajmowała rodzina, złożona z trzech osób, w liczbie których i ona.

Nieraz opowiadała o tem Noris. Miała jeszcze przed oczyma ubogie wnętrza tych rzemieślniczych apartamentów. Ojciec był zacnym człowiekiem i ożenił się z matką z miłości, ubóstwiając ją zawsze. Nie mieli żadnych krewnych, oprócz starej babki, kobiety zgryźliwej, za którą opłacano mieszkanie poza domem, ażeby młode małżeństwo mogło żyć w spokoju.

Małgorzata dotąd drżała na samą myśl o tej magerze, małej kobietce nerwowej, z oczyma cyganki, nabrzękłymi i podsiniąciami, która napawała ją strachem nawet wtedy, gdy chodziła wieszować jej imienin.

Natomiast uśmiechała się mimowoli, mówiąc o matce.

Mama! Była dzieckiem jak ona, jedna z tych dziewczątek Paryża, wesołych jak wróble, żywych jak one i żyła szczęśliwa, bardzo szczęśliwa w towarzystwie swojego męża, którego ubóstwiała i pieściła jak kochanka i swojej córki, którą stroiła, ubierała, nosiła na rękach lub kazała jej skakać jak laleczce.

Zarówno jak Noris, i Małgorzata miała dni słoneczne w swoich wspomnieniach, wycieczki do Saint-Denis, na brzeg wody, podwieczorki na wy-

sepce, na trawce, albo spacery wzdłuż rzeki, gdzie olbrzymie statki, grube jak wieloryby, bawiły dziecko.

A te święta spędzane za miastem, konie drewniane, i lalki z porcelany, wygrane na loteryi!...

W jednej z szuflad ozdobnej komody w gabinecie włoskim, Małgorzata przechowywała i oglądała niekiedy pocieszny stary dagerotyp, w ramach plecionych z nitek złotych z miedzianym haczykiem do wieszania. W owalu tego starego obrazu, dostrzegała wyblakłą w połowie i jakby znikającą pod szkłem grupę, złożoną z trzech osób: — młody mężczyzna, przypominający żołnierza albo rzemieślnika, w kurtce świątecznej z aksamitnym kołnierzem i ze złotym łańcuszkiem na kamizelce, stał obok siedzącej kobiety w szalu francuzkim, w małym kapelusiku, trzymającej na rękach dziecko o dużych włosach w loki, ustrojone jak księżniczka.

Wyjmowała nieraz z szuflady i pokazywała Noris ten starodawny dagerotyp. Tem dzieckiem, to była ona — tą laleczką o pulchnych nagich ramionach z dołeczkami na łokietkach i dotąd czuła jeszcze na swojej skórze i włosach pocałunki matki..

Ona była tak dumna ze swej małej, ta żona rzemieślnika! Spędzała dni na strojeniu jej, na przypatrywaniu się jej, na zjadaniu jej chciwemi, żarłocznemi niemal pocałunkami.

Zatrzymywała się przed wystawami wielkich, sklepów, przypatrując się towarom, kapelusiom dla dzieci, tym płaszczykom i tym wstążeczkom, w które na wielkim świecie ubierano dziewczątka i wróciwszy do domu, zasiadała do pracy, wysilając się na to, ażeby jej córka, Małgorzata, mogła dorównać pod względem kokieteryi strojów wszystkim bogatym panien-

kom. Wymyślała przeróżne koafiury, kokardki z wstążek, paski, spódniczki, gorsety, kapelusze, wszystko!

— Hortensyo! — mówił Karol Brunier — psujesz ją! Przecież nie zawsze będzie mogła ubierać się w takie fatałaszkiki...

— Właśnie dla tego — odpowiadała matka. Niech chociaż teraz nacieszy się niemi do woli. A zresztą, jestem zarozumiałą! Chcę, żeby moja mała była tak piękną jak te, które bawią się w Tuilleries. To nic nikomu nie szkodzi.

Brunier kochał matkę i kochał córkę; całował je po kolei i już więcej nie mówiono o tem.

Wreszcie ten pozór zbytku nie wiele kosztował, a Brunier miewał wówczas niezłe dochody. Hortensya może miała rację. Niech mała chociaż teraz zazna dostatku.

A przytem, Małgorzatka była piękną!

Wzrastała z mimowolnym przeczuciem własnej piękności.

Dzieci odgadują, co się o nich myśli i utrzymują w życiu słowa, które wypowiedziano kiedyś na rachunek ich wdzięku. Widziała dobrze, że się podoba; na skwerze, gdy szła się bawić, były damy, które się aż odwracały, podziwiając małą blondyneczkę zazdrośnem okiem matek.

Dziś jeszcze doskonale pamiętała te powodzenia swego dzieciństwa. Dotąd słyszała śmiech radości Hortensyi gdy ta, oddalając się od niej o kilka kroków, mówiła: "ach, jaka ona ładna, jaka ładna!"

Tu następowały pieszczoty i gorące pocałunki. — Jestem szalona! — mówiła Hortensya. I on także — myślała Noris, i on, Eugenjusz Féraud

szalał za tą piękną Dinorą, która teraz znajdowała się w towarzystwie równej sobie Małgorzaty, takiej Margot!

Hortensya Brunier pewnego razu, w karnawale, ubrała córkę w suknię z brytów jedwabiu różowego z białym, i Małgosia spacerowała jak królowa, podziwiana przez wszystkich przechodniów. Wykrzykniki tych ludzi, zachwyconych rumianą buzią i włoskami zawiniętymi w loczki tej siedmioletniej markizy, głaskały nawet potem, po wielu latach, próżność Margot!

Czuła teraz, że w tych ulicznych sukcesach tkwiło trochę kokieteryjnej radości kobiety. Ojciec wzruszał tylko ramionami. Znajdował on, że Hortensya była nierozważną. Tą drogą, można było tylko zepsuć dziecko.

Małgorzata nie przyszła, niestety, na świat po to ażeby nosić jedwabne suknie a la Du Barry. Także pomysł, żeby ją koniecznie zrobić piękną! Nie brzydką jest, to prawda. Ale nareszcie córce stolarza nie przystoi wiecznie pozować na wielką damę i obnażać ramiona. To przecie nie aktorka!

— Co ci szkodzi! — odpowiadała na to babka, jeżeli znajdowała się naówczas w izbie.

— To mi szkodzi, że ona nie stworzona jest do tego! — odpierał Brunier.

Nie dostrzegał szczególniejszego błysku, jaki ukazywał się naówczas w oczach jego matki.

Rzemieślnik umarł.

Na tamten świat uprowadziła go gorączka tyfoidalna.

Małgorzata miała lat dziewięć. Kochała go, a gdy go nie stało, w mieszkaniu uczuła jakby próżnię.

Bała się wieczorami być samą w pokoju, a jednak jak gdyby jej słaby głosik, zdolny był obudzić zmarłego, wołała: papa.

Dagerotyp, zdjęty w Saint-Cloud, wisiał na ścianie.

Dziecko przypatrywało mu się nieustannie.

Oddano ją wreszcie do szkoły. Była rozsądną, umiała wszystko. Przełożona podziwiała ją. Nazywano ją "księżną".

Wzrastała, wmawiając w siebie jak najnaiwniej, że chyba musiała powstać z innej gliny, niż jej towarzyszki.

— Tak — dodawała Margot, opowiadając o tem Noris — to właśnie gubi niektóre z nas.

Ale matka nie mówiła jej teraz, że jest piękną. Pracowała dla ukończenia edukacji małej. Przyjęła do siebie matkę męża, która jej wcale nie była pomocną, a przeciwnie w chwilach, gdy miała pieniądze, kupowała gałganki i szczątki jedwabnych sukien, zdziwionych, że się znalazły w ubogim domku wyrobnicy.

Hortensya zabijała się teraz pracą, Brunier bowiem zostawił bardzo skromne oszczędności, które wyczerpały honorarya, płacone do ktorom.

Ta to paryzka wietrznica stała się teraz poważną, wytrwałą, walczącą dla córki z całą gorączkową zawziętością kobiety.

Pewnego dnia, gdy Małgorzata szła do szkoły ze starą matką Brunier, powóz ją przewrócił i przejechał.

Przyniesiono ją do domu, a przerażenie matki było tak wielkie, że wywiązała się gorączka, potem zapalenie mózgu, które sparaliżowało ją do połowy i już niepomogły żadne starania, kąpiele, waleryany i t. p.

Teraz nędza, straszna nędza, brak wszelkich środków do życia, zaczęła grozić na poddaszu. Hortensya z rozpaczą spoglądała na córkę, a myśląc o mężu, szeptała:

— Karol miał rację! Biedny mój Karol! Nigdy nie wiemy, kiedy nas spotka nieszczęście!

Jedna tylko matka Brunier, patrząc czarnymi oczyma na smukłą dziewczkę, piękną jak cherubinek, widziała całe zbawienie w Małgorzacie.

Przyszły jej na myśl szalone bogactwa, olbrzymie sukcesy na wielkim świecie, karyera w teatrze... Wnuczka skwapliwie podchwytywała te marzenia. Obie budowały zamki na lodzie.

Ach te zamki na lodzie... Wszak i Eugenjusz Féraud stawiał je także, a jednak runęły od jednego ciosu nieubłaganych przeznaczeń!...

Jakże wszystkie drogi ludzkie podobne są do siebie.

Stara szeptała zcicha do Małgorzaty:

— Nie bój się, kto jest takim cukierkiem jak ty, ten się zawsze wycofa z biedy!

Małgorzata też nie bała się o siebie.

Tylko w dwunastym roku lękała się matki żyjącej i chorej, jak w ósmym roku lękała się ojca nieboszczyka.

Cierpienia matki drażniły nerwy dziecka, które czuło, jakby same było dotknięte chorobą. Pewnego poranku obudziła się, zdumiona łkaniem w izbie. Hortensya umarła.

Małgorzata wyszeptała wyraz, straszny zaiste dla niej: — sierota!

— Teraz mama!.. Mama!... Mama po ojcu!...

Po wielu latach, gdy wspominała w pośród zbytkowego otoczenia swego, te smutne dni dzieciństwa, gdy otwierała jakby szarpiając serce swe wobec Noris, Małgorzata Brunier jeszcze teraz doznawała uczucia straszego osamotnienia, które tak okropnem było dla niej, gdy zamieszkała sam na sam z babką.

Całe jej życie, całe jej smutne życie, stawało jej w oczach jak łkanie. Straszmem było to tete atete ze starą jędzą, która obudzała w niej tylko skłonności najgorsze, instynkty łotrowstwa i żądze nigdy nie zbyte.

Zdawało jej się, że dotąd widzi tę bladą postać o żółtych plamach w czarnej długiej spódnicy, podniecającą jej wyobraźnię, podszeptami pełnymi cynizmu, obiecującą jej złote góry i popychającą ją z dniem każdym, z każdą chwilą niemal, na drogę tego wstrętnego życia, które od lat kilku stało się życiem Margot.

I Noris drżała także, przejęta aż do kości wstrętem dla tego widziadła, tej chimery, która i ją także popchnęła na drogę występna, gdzie spotkała Małgorzatę.

Waryatka, która była babką Margot, prawiła jej o teatrze, i o karierze scenicznej, jak biedny Féraud zwierzał się córce ze złotymi snami o powodzeniu swoich romansów.

Teatr! Małgorzata nie miała ani daru ani pociągu do sceny.

Słuchała jednak babki, gdy mówiła jej o zbytkach i dobrobycie artystek, które nieraz dochodzą do mitr książęcych. Ponieważ teatr ma prowadzić do takiej kariery, dobrze więc, wstąpi do teatru!

I z kolei, po takim postanowieniu, marzyła już sama o tem, o czem stara Brunier marzyła dla niej.

Dreszcz ją przejmował na myśl o tem, co zrobiła ze swoją młodością, z tą pierwszą młodością, z temi chwilami, gdy — te dni wiosenne, przypominające ten wieczór kwietniowy, w którym bawili u niej Noris i Gardanne — stawała w oknie, czując w sobie wzrastające zmęczenie, jak natura pod wpływem ożywczego wiatru.

Są przecie kobiety, które będąc młodemi dziewczynami, miały swój wstyd, szanowały swoją dziewiczość. Ach jakże im zazdrości! Ach, jej kwiecień przepadł na zawsze, zbrukał się, jak migdałowe gałązki, odcięte burzą i rzucone w błoto!

Cała jej nieświadomość wyzyskana została przez tę starą waryatkę, życzliwą może, ale marzącą niemożebności

Margot wiedziała, ile kosztowało przebudzenie się z tych wszystkich marzeń! Pamięta, jak matka Brunier wprowadziła ją do gabinetu dyrektora jednego z pomniejszych teatrów.

Dotąd ma w oczach wyraz pożądliwości, jaki dostrzegła w płomiennem wejrzeniu tego człowieka. Wziął ją za rękę bardzo życzliwie; nigdy, nigdy nie zapomni tej tłustej dłoni obłudnika.

Ciche debiuty w jakiejś norze na przedmieściu, te kulisy biedne, stare, potłuczone, ckliwość otoczenia, pogardliwość rzemiosła tego rodzaju, chęć zemsty, ucieczka, straszna nędza, upadek, przypadkowe spotkanie na drodze życia jakiegoś znudzonego mieszczanina, ani dobrego, ani złego, ani wyzutego, ani szlachetnego, który z litości prawie przygarnął tę istotę i dawał jej rady praktycznej moralności... Oto wszystko... To była jej pierwsza miłość!.. Ach!...

I ten człowiek, przy pomocy matki Brunier, przekształcił Małgorzatę na Margot, wyrwał ją z tej nędzy, która drażni żołądek, a wtrącił ją natomiast w tę nędzę, która wygryza serce.

Co za ironja!

Ojciec i matka spoczywali snem wiecznym na Montmartre niewiadomo gdzie, w głębi generalnego grobu, Małgorzata bowiem nie miała pieniędzy w terminie przeznaczonym dla usunięcia ich szczątków z tego grobu do oddzielnej mogiły, Teraz zaś, gdy umarła jej babka, Małgorzata będąc już Margot, postawiła jej grobowiec z marmuru, nadzwyczaj cenny, nie dla tego, ażeby chciała uczcić jej zwłoki, ale poprostu dla tego, że pragnęła widzieć na grobowcu wyryte nazwisko: Brunier.

A po tych, którzy otrzymali jej pierwsze uczciwe pocałunki, Margot nie miała nic więcej w smutku swego życia, nic, prócz starego dagerotypu, który żółkniał, blaknął, zacierał się coraz bardziej...

Nigdy Noris nie zapomniała tego zwierzenia, które pewnego dnia wypadkowo — gdyż Margot nie bywała melancholijną — wyszło z list pięknej blondynki, dumnej dzisiaj, że przeszedłszy tyle w swoim życiu, mogła obudzić miłość — nie, to jej się nie udało — kaprys raczej w takim markizie de Ferdys, w połowie przyjacielu, w połowie kochanku, ale daleko młodszym bezwątpienia i daleko przyjemniejszym i zabawniejszym z posiwiałą fryzurą, bardziej zajmującym od tych wszystkich przedstawicieli śmietanki towarzystwa; tych laleczek, tych "pchutteux", którzy wstąpili w ślady takich poprzedników, jak Gerard de Chantenay i Courmont-Chanterousse, nie umiając ich naśladować.

Nie przeszkadzało to jednak Margot, śmiejąc się, powtarzać naiwnie, gdy kończyła opowieść o swojej przeszłości Noris:

— Chcesz pani, bym ci wyznała prawdę? Lubię pana de Ferdys. To przyjaciel. Ale, daję pani słowo, z głębi serca, że... tak... doprawdy nigdy nie kochałam szczerze!...

— Może dla tego właśnie jesteś pani szczęśliwą — odpowiedziała Noris.

Margot wybuchła śmiechem.

— Ba! Czyż można być kiedy szczęśliwą? Ja naprzykład, dziś jestem w dostatku, a może umrę gdzie w szpitalu.

Noris, rozważając spowiedź ładnej dziewczyny, którą lubiła za otwartość i której zaprosiny przyjmowała, jak tego wieczoru, pomimo, że nad wszystko miłą jej była samotność, przerwała nagle opowieść Gardanne'a, zestawiając swoje życie i życie

Margot z życiem hrabiny de Montépreux.

— Wie pan, o czym przekonywa mnie pańskie opowiadanie, panie Gardanne? Te dzieje hrabiny de Montépreux?... Przekonywają mnie, że mój aksjomat nie jest zupełnie prawdziwym.

— Aksjomat! Jaki aksjomat? Pani masz aksjomat?

Dziennikarz był ubawiony.

— Powiedz mi pani. Posłuży mi on za zakończenie do artykułu o... pani!

— Tak? A więc pewnik, o którym mówię — odparła Noris, jest taki, że w ośmdziesięciu wypadkach na sto, błąd kobiety jest winą mężczyzny.

— Och! Och! — odparł Gardanne. Ależ to temat do publicznego odczytu! O dwa kroki ztąd, w sali Levis, otrzymałabyś pani straszną moc oklasków.

Noris wzruszyła ramionami. Nie wiele ją obchodziła polityka. Polityką kobiety jest miłość, która buntuje się i walczy z przeznaczeniem.

Ale miała ona w sercu, obok rozpaczy i goryczy, ranę zawsze żywą: wspomnienie o tej zdradzie, która przypominała jej nazwisko de Chantenay, wymówione może umyślnie — któż to wie? — przez tego pisarczynę dla wywyższenia się w jej oczach.

Księżę René Beaumartel de Chantenay Kwiat szyku. Król Paryża, którego nawet pięć lat czasu nie mogło zdetronizować!

Zacząła powoli mówić o nim, zrazu, jak o zwykłym paryżaninie, o istocie spotkanej kiedyś, przelotnej w jej życiu, następnie — mimowoli parta wspomnieniami — zaczęła, wobec tego obcego sobie człowieka, którym był Gardanne i tej upadłej ale dobrej dziewczyny, zaczęła opowiadać cały dramat dziesiętnastu lat swego życia, tak zapomniany przez Paryż, jak sztuka, której już nie ma na afiszu.

Gardanne może jeden tylko pamiętał, ale Gardanne pamiętał wszystko, to było jego rzemiosłem.

I Margot uczuła szczególniejszą chęć usłyszenia dziejów stosunku Reného z Noris, tak jak sama opowiadała o swoim pierwszym amancie, który zadecydował o jej przyszłości.

Spotkanie Rajmunda przed południem, po południu, wywołane wspomnienie o Chantenayu przez reportera, obudziło w Noris uczucie, jak gdy-

by wielki książę nie istniał wcale i jakby utrzymywała w dalszym ciągu stosunki z Reném.

Ale co za różnica!

René zrobił z niej, pełnej życia, umarłą i jeżeli tlił jeszcze jaki ogień w jej sercu, to chyba jedynie tylko chęć pomszczenia tych jego podłości, na wszystkich ludziach od razu.

I zwierzała się z dumą prawie przed dziennikarzem i koleżanką.

— Niektóre z nas są takie! — mówiła. Mężczyzna nas oszuka: niechże mężczyźni pokutują za to!

Gardanne uśmiechał się, podczas, gdy Małgorzata przyklaskiwała słowom Noris.

Reporter rzekł po chwili, rzucając cygaro do popielniczki.

— Trzeba się wystrzegać... Gdyby panią wziąć za słówko, możnaby sądzić, że pani dotąd jeszcze kochasz księcia?

— Ja? Ach Boże! Ja nikogo nie Kocham!

— A wielkiego księcia?

— Szanuję go, poważani...

— Za ile rocznie?... — szepnęła złośliwy Gardanne do ucha Margot, która dała mu lekkiego klapsa na znak milczenia.

— Jestem — mówiła dalej Noris — bardzo szczęśliwą, że go spotkałam, gdyż daje mi sposób do życia i pozwala mi być panią własnej woli, ale nie Kocham go i nie sądzę, ażeby mu o moją miłość tak dalece chodziło.

— A więc ojca może? — zapytał Gardanne, z uśmiechem, wkładając monokl w prawe oko — jak kiedyś Chantenay.

Noris nie odpowiedziała.

— Jeżeli więc pani nikogo nie kochasz — rzekł reporter — to nie dałbym trzech groszy, że księżę Beaumartel de Chantenay dotąd szaleje za panią.

— On? także! — odparła Noris.

— Kto wie! Byłem niedawno na kolacyi, wydanej przez Yachting-Club. Mówiono o pani... Bardzo zresztą dyskretnie...

— Wiele zaszczytu ze strony tych panów!

— Otóż księżę... zdawał się być... jakby się tu wyrazić.. zażenowanym...

— Tak?

— Jakby mu rozmowa ta nie była na rękę... Zwłaszcza gdy pan d'Yseux, wielki d'Yseux, znasz go pani, zapytał go, czy widuje się z panią... Chantenay odparł "wcale nie" bardzo dziwnym tonem?

— Co pan nazywasz dziwnym tonem?

— Smutnym, jeżeli pani chcesz... a może... rozdrażnionym...

— To drugie określenie jest prawdopodobne.. Mój drogi pani Gardanne, mam u siebie prześliczny szkic Delacroix...

— Wspaniały! — rzekł Gardanne.

— Marokanka? — zapytała Margot.

— Tak, Marokanka, Gdy byłam... gdzieindziej, nie u siebie... ta Marokanka opatrzona, w czarnych ramach nie zwracała wcale uwagi... Dziś w oprawie złotej, wyświeżona, pokryta werniksem, jest prawdziwą ozdobą tego salonu. Wszyscy ją podziwiają... "Cóż to za prześliczny obraz... ta Delacroix!..." Trochę werniksu wystarczyło dla obudzenia zachwyty w znawcach. Może więc werniks przyczynia się do łaskawych względów pana de Chantenay dla mnie?

— Nie, przysięgam pani, rozmawiałem z nim!.. Dręczą go trochę wyrzuty... Ja się znam na tem!...

Noris rozśmiała się serdecznie.

— Wyrzuty? Gdyby je to można było wystawiać na sprzedaż, w pałacu Drouot, płacono by summy nie lada. Wyrzuty księcia Renégo.... to byłyby rzadki przedmiot!

Małgorzata spróbowała żartować, nie znając wcale Noris Féraud.

— Och! Och! To mu wcale nie przeszkadza, ażeby kiedykolwiek nie złożył wizyty na ulicy Jouffroy.

Noris przerwała jej z ogniem w oczach.

— Nie przyjęłabym go!

— Miałabyś pani słuszność, wyrzucając go za drzwi. To metoda dentyistów doskonała: to usuwa ból zębów i to podnieca żar miłosny.

— Przejdźmy się — rzekła Margot — podaj mi pan rękę, panie Gardanne.

Gdy przechodzili z sali jadalnej do saloniku, gdzie Małgorzata kazała otworzyć fortepjan, na którym Noris mogłaby pograć, lokaj oznajmił przybycie pana de Ferdys ojca, który niebawem wszedł z szapoklakiem pod pachą, a przybył tu zabić czas przed baletem.

Trzymał się prosto, ubrany wykwintnie, z podkreconym wąsem, zawsze ten sam; starszy brat swego syna.

Opowiedział arcydramatyczną historię o pewnej amerykance z cyrku, bardzo pięknej, która zabiła się dla jednego z klubowców, pane de Sableuse.

— Zabiła się na dobre? — spytała Małgorzata.

Gardanne porwał za kapelusz, układając w myśli artykuł i pragnąc co żywo być na miejscu dla zasiągnięcia języka.

— Na dobre!.. — odparł pan de Ferdys. Otruła się. Wyraziła nawet chęć zoztać roztratowaną i w tym celu miała się rzucić pod nogi konia pędzącego cwałem w cyrku. Przełożyła jednak kilka kropel laudanum.

Tu pokazał fotografię cyrkówki, którą kupił właśnie przed chwilą: wysoka blondyna o sutych włosach, z dzikiemi oczyma i półdzikim wyrazem twarzy, nadzwyczaj oryginalnym.

Prawdziwa kobieta!

— Doprawdy, w Europie nie mamy kobiet, oprócz amerykańek! — rzekł markiz uśmiechem.

Małgorzata odparła:

— Dziękuję za komplement. I roześmiała się także.

Noris, stojąc przed fortepjanem, przyglądała się przyświecznikach rysom młodej yankeski zdjętej z obnażonymi nogami w kostjumie cyrkowym. Po chwili zapytała:

— Dla czego tylko one mają być kobietami?... Czy dla tego, że one tylko zabijają się z miłości?

A ponieważ pan de Ferdys nie odpowiedział, dodała:

— Fanny Love była bardzo niedorzeczną, umierając dla Sableuse'a. Gdyby została przy życiu, możeby przyszło do tego, że on czołgałby się przed nią i rozwiązywałby sznurki u jej bucików.

Gardanne rozgorączkowany nowiną, zegnał się już z Małgorzotą, spiesząc do mieszkania Fanny Love przy ulicy Montaigne, ale nie zapominając

zarazem o swej sławnej seryi gabinetów kobiecych, dodał nagle, podając rękę Noris:

— Prosiłbym panią o udzielenie mi pozwolenia, na półgodzinną wizytę u pani jutro... Chciałbym panią interwiewać, a brak mi wielu szczegółów! Naprzykład...

— Czego?

— A więc! Dzięki pani, kiedyś mogłem obejrzeć i będę mógł opisać pani salon... buduar... bibliotekę... Ale nie pokazałaś mi pani... jednego pokoju...

— Sypialni? Prawda! Wizyta u zalotnicy. Sypialnia metresy wielkiego księcia! Otóż to nie dla pana, panie Gardanne, to za drogo kosztuje.

I Noris siadła do fortepjanu, zmieszawszy trochę młodzieńca, który jednak oprzytomniał wkrótce, mając na myśli wnętrze mieszkania zmarłej Farmy Love! To warte było pośpiechu!

Jeszcze nie wyszedł, gdy Noris machinalnie przesunęła ręką po klawiszach i zaczęła grać, jakby chcąc zagłuszyć siebie samą; grała szybko z niezwykłym przejęciem, prawie chorobliwym, jak gdyby dziś właśnie — począwszy od spotkania z Rajmundem aż do romantycznej śmierci amerykanki — wszystko sprzysięgło się przypominać jej o panu de Chantenay.

Markiz przysunął się do niej, podczas, gdy Małgorzata, która nie znała ani jednej nuty, słuchała z przejęciem.

— Co pani gra? — zapytał markiz.

— Z Mendelsohna.

— To prześliczne.

— O, tchnie zastąpi baletu, drogi markizie, ale jest smętne i mnie się podoba. Gdy gram ten kawałek — może się to panu dziwnem wyda — zdaje mi się, że jak kiedyś jestem ubrana w białej sukience komuniantki, w białym weloniku, fruującym dokoła mnie jak obłok albo jak skrzydła. Jest się wtenczas bardzo naiwną!... Zdaje się, że idzie do ślubu.... Ślub, to czarowne słowo!

Urwała nagle i zamykając fortepjan z niezwykłym pośpiechem, rzekła:

— Dość, dość tego! To muzyka uczciwej kobiety! I odwróciła się na taborecie w stronę Margot, która spoglądała na nią w zdumieniu.

Pan do Ferdys doznawał zawsze uczucia litości, widując Noris.

Znajdował ją prześliczną z temi głębokimi oczyma i tym smutnym uśmiechem, nadającym jej wyraz poetyczny; nadewszystko jednak — jako znawca kobiet — cenił w niej dumę i szczerść uczciwej kobiety.

Markiz często mówił do siebie, że gdyby Noris nie spotkała na swej drodze tego Chantenay'a, byłaby dziś najszlachetniejszą istotą pod słońcem.

Umysł prawy, szlachetność wyrafinowana, wiele odwagi i na stanowisku metresy wielkiego księcia, który przewróciłby w głowie wszystkim młodym panienkom, zachowująca poczucie godności osobistej, zabarwionej pewną goryczą i wspomnieniami o przeszłości.

Ferdys dostrzegał te zalety w Noris przy każdej sposobności, nawet teraz w tym ruchu, z jakim zamknęła fortepjan po odegraniu symfonii Mendelsohna, jak wieko trumny.

Markiz z flegmą starego paryżanina, przyjmującego wszystko za widowisko teatralne, porównywał wtedy tę bladą Noris ze zdumioną blondy-

neczka, która pytała siebie co mianowicie mogło wywołać takie zdenerwowanie przyjaciółki.

— Ach! To nie Małgorzata! — mówił do siebie Ferdys, nie, to nie Margot, któraby mogła odczuwać te smutki.

I dla tego właśnie Margot przypadała mu do gustu, nie intrygując go i bawiąc bez obudzania namiętności.

Byłby bardzo zdziwiony, gdyby Margot zwierzyła mu się ze swych wizyt na cmentarzu i z gorzkich wspomnień, jakie jej nieraz przychodziły do głowy.

Byłby zdziwiony, ale ba! Ferdys wiedział oddawna, że po kobietach można zawsze spodziewać się nadzwyczajności.

Wieczór się skończył i Noris uczuła jakby potrzebę zostania samą i marzyć. Wstała i podając rękę Margot, rzekła:

— Dobrej nocy.

— Odchodzisz pani?

— Odchodzę.

— Filiżankę herbaty, przynajmniej, droga przyjaciółko!

— Nie... dziękuję.. Sama nie pojmuję, co mi przyszło do głowy... Czuję, że jestem nieznośną... Idę ukryć się jak dzieci!

— To ta muzyka — odparła Małgorzata. I mnie to zawsze źle usposabia. A więc nie zostaniesz pani?

— Nie, to może tylko zwyczajny ból głowy. Wpływ powietrza. Dowidzenia wkrótce.

— Idę z panią — rzekł Ferdys... Jeżeli pani pozwoli odwiozę panią w moim powozie.

Małgorzata roześmiała się.

— Ale, ja jestem zazdrosną!

— Zazdrosną?

— Tak, tak, drogi markizie. Masz słabość dla Noris... Nie ja jedna uważałam to w Paryżu!

— A no, tem lepiej; dowodzi to bowiem, że nie maskuję swoich uczuć. Wistocie jestem jednym z najzapaleńszych wielbicieli panny Féraud!

— Czy z zasady? — zapytała Noris, zimno mierząc markiza.

Zrozumiał całą gorycz tago słowa i odparł z powagą, podając pięknej kobiecie rękę z ruchem pełnym dżentelmeństwa i galanterią — Uwielbiam tylko tych, którzy zasługują na mój szacunek.

Zdanie to poruszyło Noris, to też ujęła rękę markiza z pewną gorączkowością:

— Jesteś pan zawsze wyborny i przytomny... Ach, jak słusznie mówią, że pan jesteś ostatnim markizem, drogi Ferdys!

Ferdys spochmurniał prawie.

— Za pozwoleniem... Nie jestem ostatnim... Mam syna!

Noris nic nie odparła.

Margot, która patrzyła na nią, spostrzegła, że Noris spoważniała i zbłądła nieco na razie.

— Kiedyż się zobaczymy? — zapytała Margot markiza, gdy się z nią żegnał.

— Jutro... Pojutrze!

— Kiedy się tylko panu podoba — odparła ładna dziewczyna. Ale do-
prawdy, mój drogi, widujemy się tak rzadko, że mogą nas posądzić, iż po-
braliśmy się na seryo!

— Och! — rzekł markiz, śmiejąc się! — Za pozwoleniem. Gdybyśmy
byli małżeństwem seryo, nie widziałabyś mnie wcale!

Pocałował z galanterią pulchną rączkę Małgorzaty, opuszczając swe
siwe włosy, kręące się i jakby zapudrowane, na jej różowe paznokietki,
poczem, lekki i zwawy jak młodzieniec, przepuścił przed sobą Noris, wło-
żył szary płaszcz w przedpokoju na frak, podczas, gdy młoda kobieta
wdziewała futerko, i wyszli, ale Noris nie przyjęła ofiarowanego sobie
miejsca w powozie, pod pozorem użycia ruchu na świeżem powietrzu.

Szli aż do końca długiej ulicy, prawie pustej, tak jakby się przechadzali
po jakim wykwintnym bulwarze.

Noris wsparta na ramieniu markiza, uczuwała głęboką ufność dla niego,
wdzięczna za owe słowo "szacunek", które wymówił przed chwilą, z taką
nieudaną stanowczością.

Odgadywała, że sympatya pana de Ferdys była prawdziwą.

W przygodzie życia, strasznej jak huragan, gdzie runęły jej nadzieje i
wiara, była pewną, że markiz trzymał jej stronę, nie zaś swego siostrzeńca.

Ojciec powinien był tak myśleć o niej, jak myślał syn.

I dziwnem jej się zdało, że od samego rana ma do czynienia z tymi
ludźmi: przed południem konna przejażdżka z synem, w jednej z alei lasku,
wieczorem spacer ręka w rękę z ojcem po opustoszałej ulicy, gdzie prze-
chodzień był nadzwyczaj rzadkim, gdzie latarnie powozu jadącego za nimi,
wydawały się jak dwoje olbrzymich oczu, bacznie ich śledzących.

Przy boku markiza, nie doznawała uczucia tego rozkosznego zadowolenia, tego odmłodnienia przez pamięć przeszłości, jakie uczuła przy spotkaniu z Rajmundem; ale to kiedyś, to pachnidło, którem młody człowiek zdawał się być na wskroś przesiąknięty, to kiedyś, które, na podobieństwo słonego wiatru morza, zachowało zapach i barwę łez, odnajdywała także przy boku ojca; i wszystkie marzenia i wszystkie zawody z przed lat pięciu stawały jej znowu przed oczyma; tak, po dwakroć dzisiaj przeszłość rzucała się w oczy Noris, jak gdyby aleja akacyj, zazieleniona wiosną i ulica Joffroy, pogrążona w ciemności, przepelnione były widmami.

I aż do samego mieszkania mówiła ojcu o tym, którego zobaczyła dzisiejszego ranka.

To chłopiec bardzo ambitny — markizie. Rajmund przyrzekł przecie, że będzie oficerem znacznym. Człowiekiem uczciwym!

Uczciwym! Wtedy markiz, żartując z samego siebie porównał własne stanowisko szczęśliwego światowca z pracowitem i nierozgłośnym życiem Rajmunda. Co za różnica pomiędzy nim a synem!

Pewnie, że i on przy sposobności miał chwile donośniejsze, jak wszyscy, ale to tylko wypadkiem, w razie niebezpieczeństwa: — część bohaterstwa na dwie części przyjemności. Bił się — prawda. Ale co to wszystko znaczy?

Gdy tymczasem Rajmund?

Całe jego życie, całe życie, poświęcone wyłącznie szlachetnej pracy. W dwudziestym roku życia już pracownik dla kraju, młodość,

spędzona na pokładzie okrętu bałwany morskie, grożące mu wyrwaniem go z pokładu, podczas gdy ojciec grał sobie w klubie w bakara!

Co za dziwne usposobienie! Markiz uśmiechał się wprawdzie, ale jakoś osobliwie!

Co najciekawsza — mówił do Noris — że z nas dwóch, nie on się rozczaruje pierwszy, ale ja... Zaczynam spostrzegać, że życie w Paryżu jest okropnie monotonne, i że w pięćdziesiątym roku życia, jeżeli nie jest śmiesznością pokazywać się na sali tańca, to za jakie siedm, ośm lat... eh, eh... Za ośm lat wychodzi się na zgrzybiałego starca...

— Pan, panie markizie, do ostatnich dni życia będziesz najmłodszym w Paryżu.

— Nie lękaj się pani, nie wystawię się na śmieszność... Pogrzebię się za życia w dobrach Ferdys, lub gdzieindziej...

— Jak Charles-Quint?

— Choćby nawet. I będę się zdobywał na dobre uczynki względem włościan, jak on zajmował się wyrobem zegarów.

— Nie chce mi się wierzyć w te dobre uczynki, odparła wesoło Noris.

Pochlebiały jej jednak te zwierzenia, przekonywające ją raz jeszcze o szacunku, o którym markiz wspominał!

Zwierał jej się bardzo naturalnie, jak dusza ufająca przed naturą lojalną. Nie powiedział połowy z tego Małgorzacie, która przecie obchodziła go bliżej.

Ale ta Noris! Zdawała mu się, że powinien, jakby dla zatarcia wspomnienia o Reném, okazywać jej sympatyę i zaufanie.

Traktował ją jak przyjaciółkę, znajdując zresztą dziwny czar w przyjaźni kobiet, najpewniejszej przyjaźni, jeżeli nie poprzedza, ani nie następuje po miłości.

I wtedy, dając wolę zwierzeniom, tej nocy wiosennej w dużym mieście, gdzie słyhać było głuchoe odgłosy powozów, których się nie widziało, i oddalony świst lokomotywy, markiz de Ferdys mówiąc o Rajmundzie, z radością wyrażał wszystkie nadzieje, jakie mu syn rokował.

Opisywał jego terażniejszość pełną chwały, powszechny szacunek, prawość, inteligencyę, wykształcenie wyższe od rówieśników, a w przyszłości sławę może, małżeństwa z jaką zacną dziewczyną, godną siebie, prowincjonalistką — mówił Ferdys z uśmiechem — a potem, potem, zdawanie relacyi o odległych ekspedycyach, jakiemu ogłupiałemu sportsmanowi, i piękne dziatki, które na kolanach starego Ferdys będą go bawić wraz z młodą markizą podczas nieobecności ojca. Żonaty!

Rajmund żonaty!

Ferdys, który znajdował małżeństwo nieznośnem dla siebie, znajdował je koniecznem dla syna.

Roił sobie złote zamki, w których dziedzicem był Rajmund, a dziewczinką młoda i ładna dziewczyna.

Słuchając tych marzeń, Noris bez zdania sobie sprawy, dla czego doznawała jakby ciężaru na piersiach, a w oczach jej łzy się pokazały?.. Ten dziadek budzący się fonicznie pod szatą światowca, ten ojciec żądny czułości wnuków i wypoczęcia przy ogniu na kominku, ileż w tem było liryzmu.

A może to powiew wiatru wiosennego, który w nocy stawał się ostrzejszy? Dość, że czuła w sercu przygnębienie, tęsknotę i niepohamowaną chęć do płaczu.

Po co Ferdys przyniósł fotografię tej jankeski, i po co opowiedział historię Fanny Love, zabijającej się niedorzecznie dla Sableuse'a, tak jak ona miała ochotę uczynić w pałacu i gabinecie pana de Chantenay?

I znowu uczuła, że od poranku do wieczora, los jakby chcąc sobie zrobić przyjemność jej kosztem, zwracał ją, okrutny, w stronę tej przeszłości, tej strasznej, nienawistnej przeszłości.

A na domiar złego, marzenia Ferdys, projekta o Rajmundzie, nowy smutek i nowa ironja.

Miała ochotę wyśmiać tę dziwną postać światowca, grającego rolę patriarchy pomiędzy wizytą u Małgorzaty Brunier a pojawieniem się na sali tańca.

Opuścił Noris przy progu jej mieszkania, a gdy zadzwoniła, pocałował jej rękę i wsiadł do powozu.

Wtedy weszła do siebie, stąpając powoli, jak gdyby smutek obciążył jej nogi i przykuwał je do schodów, wiodących do jej mieszkania.

— Depesza do pani — ozwał się lokaj.

— Ach! — odparła, nie okazując ani zbytniego zaniepokojenia ani żadnej nadziei. Nie miała nikogo na świecie, ktoby mógł przysłać jej depeszę z nowiną, mogącą wywołać uśmiech na jej ustach, zmusić ją do wzruszenia, przerażenia lub tym podobnych wrażeń. Nikogo! Nikogo!

— Gdzie jest depesza? — zapytała panny służącej, wchodząc do gotowalni, poprzedzającej ów tajemniczy pokój sypialny, który Gardanne chciał opisać w gazetach., iak gdyby tajemnice życia Noris należały do pierwszego lepszego.

Depesza leżała na toalecie, pomiędzy przyrządami toaletowymi, lśnjącymi srebrnym połyskiem.

Noris wzięła ją do ręki, siadając przed lustrem pomiędzy zapalonymi kandelabrami.

Przeczytała depeszę, podczas gdy służąca zajęła się rozpinaniem jej kofafiury.

Telegram przybywał z daleka, z Kaukazu, gdzie wielki książę Wasyl bawił na rewii.

Treść depeszy była taka, że wielki książę przypominał Noris, iż dzień, w którym telegrafuje z Tyflisu, jest właśnie rocznicą dnia, w którym miał szczęście spotkania jej w Nizy, i że oprócz zapewnień swego przywiązania i życzliwości, przysyła jej klejnot nadzwyczaj rzadki, w guście bizantyjskim, który już oddawna wyeksperymentowany dojdzie jej rąk z niniejszą depeszą za pośrednictwem ambasady.

Noris czytała telegram z obojętnością i bez wybuchu zadowolenia, tę depeszę, której ton trochę zimny, prawie dyplomatyczny, nie miał w sobie nic miłego, ale która przez sam fakt pamiętania o niej, pomimo przestrzeni z Tyflisu do Paryża, świadczyła o afekcie szczerym a przynajmniej o szacunku, jak mówił Ferdys — szacunku!

Na marmurowym blacie toalety leżał pakiecik, opieczetowany czerwonym lakiem i dużymi stemplami pieczęci rosyjskich.

Noris otworzyła paczkę, a obejrzawszy krzyż rosyjski, wysadzany drogiemi kamieniami i emaljowany na kolory blado niebieski i jaskrawo-czerwony, otaczające zboląłą i wychudzoną postać Chrystusa, rzekła do siebie:

— Biedny ten wielki książę! Może on jeden najwięcej kocha mnie na świecie! I to dla tego, że ja go nie Kocham, a i on nie kocha mnie prawdziwą miłością.

I prawie śmiejąc się, ozwała się głośno, pomimo obecności Sylwiny służącej, która jednak czesząc panią, zapatrzyła się na piękny klejnot, i nie wiele zważała na jej słowa:

— Prawdą życia jest kazać się kochać, nie Kochając siebie samej... —
Uważajże Sylwino, wyrywasz mi włosy!... To boli!....

III.

W sobotę, która nastąpiła po widzeniu się Rajmunda z Noris w lasku Bulońskim, lejtenant Ferdys wszedł do cyrku, nie mając nic lepszego do roboty.

W wilję dnia tego był na przedstawieniu nowej operetki.

Operetka i cyrk, była to częśćka tego Paryża, o której tak wiele rozmawiano pomiędzy oficerami, tam, na morzach południowych przy westchnieniach: "Ach!

Gdybyśmy byli na bulwarach! Albo w Variétés!.. A te piosenki Judic!....
A soboty w cyrku!"

Dla tych wychodźców, najmniejszy szczątek dziennika, odnaleziony tam na końcu świata, najmniej znacząca nowość przestarzała, sprawozdanie

z dawno pogrzebanej sztuki, były przedmiotem zachwyty i przenosiły ich do Paryża.

Nieraz, Rajmund, trafiwszy, wzruszając ramionami na jaką kronikę wielkoświatową, pisaną stylem franko-międzynarodowym, nadzwyczaj oryginalnym, czytał:

"W dniu wczorajszym, wiele osób, z shooters-sterling, znajdowało się w Waterbull-Gun klubie w lasku Bulońskim. Było kilka matchs pomiędzy księciem de Chantenay, p. Goodson i hrabią del Santo. Przy bull-trapp'ie wielu amatorów z czystego high-life'u zapisało się do puli handicap.

I ten żargon anglo-francuzki przenosił go wówczas w lata pierwszej młodości, przypominał mu impertynencką elegancją Renégo, a nadewszystko smutny uśmiech i zażawione oczy panny Féraud... Noris!..

Od chwili wyjazdu z Francji, Rajmund de Ferdys nie zmienił się prawie.

Prawie że nie żył, albo raczej żył w wyłączności sumienia i namiętności, przyzwyczajając się w osamotnieniu swej kajuty, sięgać wprost do głębi rzeczy, pojmować obowiązek w całej j ego surowości i nie powodować się nigdy przesadami życia.

Był to rodzaj filozofa w mundurze, rodzaj żołnierza-samotnika, który na pierwszym planie w życiu, postawił sobie ojczyznę, potem własną przyszłość i całą seryę zagadek najzupełniej obojętnych dla ludzi powierzchownych albo sceptyków. Przytem był surowy, szczery, otwarty i czysty jak złoto.

Rajmund zestawiał w myśli siebie z książkami, które czytał i z temi marynarzami, z którymi obcował i badał, lubiąc ich za nieświadomość ich co-

dziennego bohaterstwa i znajdując pewną dozę poezyi w ich bezwiednej rezygnacyi.

Gdy powołano go do Paryża na posadę, przy boku ministra, Rajmund uczuł nietyle dumę ile smutek.

Smutno mu było opuszczać tych. pocziwców, śniadych i spalonych jak cegły na słońcu.

Ukochał to życie na pełnym morzu. Zapach wody słonej sprawiał na nim rozkoszne wrażenie.

Ale p. Pradier du Resnel zrobił mu przecie zaszczyt. Zresztą, w Paryżu, w biurach ministeryum, młody oficer z nowemi poglądami, mógł być pożytecznym, pracując przy boku ministra.

Wreszcie, zobaczy swego ojca, tego markiza, który w swej wiecznej młodości cieszył się dotąd pożądanym zdrowiem!

Rajmund zastał Wistocie, tego wykwintnego Ferdys równie młodym, jakim go opuścił, z podkreśnionym wąsem i włosami srebrno-białemi zawsze w kędziorach i zawsze sutemi.

Syn się podstarzał, ojciec odmłodniał na pozór.

Odmłodniał może także cokolwiek przez powrót tego syna, który wyglądał jak jego brat młodszy i którego obwoził po Paryżu, dumny, że się może pokazać z tym oficerem jak z jaką konkietą i wsparty z uczuciem szczęścia na szamerowanych ramionach admiralskiego adjutanta.

Zdawało się panu de Ferdys, że pozyskał towarzysza młodszego, przyjaciela, i że jego czterdzieści dziewięć lat zamieniały się na lat dwadzieścia, gdy się przechadzał ręką w rękę z oficerem.

Powaga Rajmunda dziwiła go po trochu, ale nie mogła mu się nie podobać. Przeciwnie, pochlebiało to jego dumie, gdy syn opowiadał o swych wyprawach, o niebezpieczeństwach, o całej tragiczności ekskursyi, nocną porą na Markizach, podczas, gdy tłuszcza Kanaków okrążyła mały oddział ludzi, którym przewodził.

— Sądziłem, że zostanę na placu — mówił Rajmund z uśmiechem. Ale byłem zdecydowany bronić się do upadłego. Żołnierz, który się poddaje, to elegant, który odrzuca pojedynek na lądzie stałym!

Zestawiając daty, markiz de Ferdys uczuwał nie lada zaambarasowanie znowu przyznając sobie w duchu, że podczas, gdy Rajmund słuchał świstu kul Kanaków, on inaugurował tego dnia wystawę akwarellistów i kończył wieczór u Małgorzaty Brunier, która wydawała bal.

Wtedy spoglądał na energiczną postać Rajmunda, przyciągał młodzieńca do siebie, całował go i mówił doń po cicho, czule, słodko: "Wart jesteś więcej odemnie, mój mały" i czuł się niejako uniewinnionym we własnych oczach, przez tego szlachetnego syna, który nosił jego nazwisko.

Widział zalotnice, które córki swoje pokierowały na ucziwe dziewczęta. A więc i on był do nich podobny, z tą różnicą, że nie miał plamy na swem życiu, uwielbiając zalotnice, nienawidził uwodzicieli.

Rajmund nie miał bynajmniej zamiaru prawić morałów temu światowcowi, żyjącemu prawie wyłącznie przy świetle gazu.

Uważał za naturalne, że jego ojciec żyje po swojemu, tak jak on znowu miał swoją metodę życia.

Każde stworzenie ludzkie — mówił — powinno postępować tak, jak mu nakazuje własne sumienie. Taką była jego teoria. Jego sumienie wołało doń: obowiązek!

Tem gorzej byłoby, gdyby sumienie markiza de Ferdys nie szeptało mu do ucha wyrazu: kaprys!

Bądź co bądź, faktem jest, że Rajmund uwielbiał ojca i szanował z całej duszy, żałując go z całego serca.

Co się zaś tyczy Renégo de Chantenay, to kuzyn jego, lejtenant de Ferdys nie zajmował się nim wcale. Był to dla niego, bardziej niż kiedykolwiek, motylek Paryża, fruający, trzepoczący skrzydełkami, nieużyteczny i hałaśliwy. Miał go za takiego jakim był wistocie.

Brzydził się nim do pewnego stopnia za ową przygodę przeszłości i nigdy nie zapomniał o egoistycznych rozmowach młodego księcia.

Obraz Noris przypominał mu je aż nadto dobrze, tembardziej, że Rajmund miał przed oczyma wszędzie szczere wejrzenie i subtelny profil pięknej dziewczyny.

Uczuł radość ogromną, ujrzawszy ją znowu. Zdawało mu się, że Paryż jest ludniejszym teraz, i że ma w nim jakiś cel życia. To też udał się na ulicę Jouffroy, przed pałac Noris nie śmiąc wejść, a raczej robiąc sobie przyjemność przedłużenia tej niejako irytacji czy połechtania duszy, w jakie wprowadziło go spotkanie się z panną Féraud.

Przyglądał się, jadąc konno, frontowi z czerwonych cegieł, oknom z żaluzjami, drzwiom zamkniętym, przez które Noris mogła się ukazać, i podobало mu się nie zatrzymywać się wcale, zostawić zamkniętymi te drzwi,

jak gdyby raz otwarte, mogłyby w jestestwie jego obudzić coś, czego nie znał dotąd.

Udał się jednak do lasku o tej samej porze, jak wtedy, gdy spotkał Noris w alei akacyj. Chętnie wolałby ją spotkać tu, na tej drodze, która nie była mieszkaniem, gdzie miał prawo wchodzić kto inny, chociaż panna Féraud twierdziła, że nie przyjmuje nikogo.

Ale Noris nie ukazała się w lasku. Czekala może, ażeby Ferdys przybył do niej.

Rajmund nie przeczuwał, że owa sobota, gdy uda się do cyrku, była dniem wybranym przez całą elegancję dniem samej śmietanki towarzystwa.

W sobotę wieczorem, księżę René Beaumartel de Chantenay nie omieszkał nigdy ukazać się w cyrku. Był to dzień urzędowy, własność, że tak powiemy, szyku, dzień etykietalny, jak wtorek w komedyi francuzkiej i środa w teatrze Walhalla.

Rajmund de Ferdys musiał tedy spotkać tam swego kuzyna.

René byłby wszystko porzucił, ażeby tylko przybyć na oznaczoną porę, po antrakcie i ukazać swą białą krawatę przy wejściu do stajen.

Lornetował i był lornetowany, stojąc sztywno pod ciosem błyskawic lustrujących go oczu, równie obojętny, jak ojciec jego stojąc na polu bitwy przy huku armat rosyjskich.

W taki to sposób, kwiat szyku dawał poznać światu, że miał rasę!

Zaledwie wszedł, Rajmund od razu spostrzegł księcia po drugiej stronie areny, w towarzystwie mnóstwa młodzieniaszków prawie gołowąsów, któ-

rzy lustrowali Renégo od stóp do głów, ażeby go naśladować umiejętnie, później, jak przekalkowani z niego.

Rajmund patrzył. Książę René był w stroju wieczorowym, podług najpierwszej mody, a raczej mody jutrzejszej — mody przyszłorocznej — w ubraniu obcisłym z zaokrąglonemi klapami z atłasowym kołnierzem, w białej kamizelce na cztery guziki, z gorsiem dekolowanym, w trzewikach wąskich i ostro zakończonych, a na głowie w kapeluszu wysokim o szerokich skrzydłach, kapelusza a la prince des Galles, — słowem w stroju, który chciwie pożerała młodzież, ażeby być w stanie naśladować go od stóp do głów z geometryczną ścisłością.

Drobne szczegóły te, uszły wzroku Rajmunda, ale widział dobrze — lornetując, i on także kuzyna — sylwetkę, którą René nosił przy guzikach kamizelki, pierścienie które miał na palcach, gdy podnosił swą obnażoną rękę, książę bowiem nie nosił teraz rękawiczek, z wyłączeniem tylko poranków do konnej jazdy albo wieczorów do przetańczenia z damą jednego walca.

Rajmund słyszał dokoła siebie jak znawcy krytykowali jego kostyum. Znajdowano właśnie księcia bardzo swell.

Bez łańcuszka na kamizelce, natomiast sylwetka na czarnej morowej wstążce. Na gorsie koszuli, zamiast jednego dużego guzika, dwie małe spinneczki z ametystu, albo z rubinu okolonego brylancikami.

Co za skromność!

Wistocie, nikt, nawet mały hrabicz nie przoduje Chantenayowi. Co za poprawność u tego Chantenaya, prawdziwie angielska! Nie masz jak on! Mówiono już o czapeczce do kąpielii morskich, którą wynalazł świeżo; ka-

zał ją osobiście przygotować sobie w Anglii. Nosić się to będzie tylko w sierpniu na brzegu morskim.

Ale Chantenay wprowadzi ją w modę już od lipca! Zobaczycie! Zawsze na czele nas wszystkich ten prawdziwy Kwiat szyku!

Pomiędzy widzami, zachwyconemi postacią księcia, Rajmund de Ferdys doznawał dziwnego uczucia. Irytował się, uczuwając nieraz gorączkową ochotę oddalenia się, uniknięcia tych bezmyślników; ale jednak zostawał, pociągany pomimowoli tym magnetyzmem, jakie mają w sobie tego rodzaju głupstewka ludzkie.

Z goryczą niemal pytał się, do jakiego to nowego kraju spadł ni ztąd, ni z owąd, po opuszczeniu pokładu okrętowego?

Przypatrywał się zdumionym wzrokiem widowni daleko baczniej aniżeli sztukom akrobatów, i badał zaciekawienie codziennych gości cyrku, którzy go otaczali.

Aficionados stali przy wejściu do areny w białych krawatach, z trzcinami w rękę i podczas, gdy przeciągano liny, albo przygotowywano słupy, posuwali się nieraz, ażeby lepiej ogarnąć całą widownię.

Rajmund, stojąc w ich tłumie, dawał, jak oni, kilka kroków naprzód, przysłuchiwał się wyrażeniom, podziwiał mięszaninę nazwisk wymienianych przy nim, i lornetował piękne damy siedzące w krzesłach i w łóżach. Słyszał biografie, tajemnice, wypowiedane głośno, szczegóły skandaliczne, popierane śmiechem, a oddalając się potem, zgryziony i nie w humorze, pytał siebie, czy to rzeczywiście Paryż i ta śmietanka Paryża, o których jego współtowarzysze na pokładzie Mont-Calmu marzyli z taką zazdrością, o tej samej porze, tam na morzach chińskich.

Pomimo, że przy świetle kandelabrow, przy masie głów spektatorów, białych krawatów, czerwonych wachlarzy, cyrk wydawał się, jak gdyby gdzieś upadła kropla dyamentu, Rajmund postanowił opuścić widowie.

Wtem, ktoś szepnął przy nim do sąsiada:

— Patrz, Noris!

— Noris?

Uczuł, jakby trzask jakiś w piersiach, jakby duszność przelotną.

Noris jest w cyrku!

Gdzież ona jest? Porwał lornetę, przyłożył ją do oczu i zaczął szukać w masie widzów, nie mogąc jej jednak znaleźć.

Ten, kto mówił o Noris, pomylił się pewno.

Ale Rajmund, który przed chwilą chciał opuścić salę, teraz został i starał się podsłuchać jaką wskazówkę w chaosie zdań, wypowiedzianych dokoła niego przy stukaniu ustawianych trapezów.

Nawał zdań urywanych i niejasnych zmusił go do zwrócenia baczniejszej uwagi na ten cyrk, pełen ludzi.

Młodzież mówiła o Noris, o księciu, o wielkim księciu i do tych wszystkich imion, które raniły w serce Rajmunda, dodawała imię kobiety, o której słyszał między innymi takie zdania:

— Ona szaleje za Chantenay'em, literalnie szaleje.

Rajmund nadstawił ucha.

— Ależ mów ciszej.

— Ach, to nie jest wcale tajemnicą. Mówią nawet, że książę się z nią ożeni.

— Co, co? Chantenay zagwożdżony?

— Kwiat szpicu u pana mera?

— Don Juan żonaty?

— Tak, tak! Płaczcie buduary!

Ferdys słyszał doskonale imię kobiety.

Hrabina de Montépreux. Jacquelina de Montépreux. Nazwisko magnatki Francyi, mieszane z przezwiskami kokotek, o dwa kroki od stajni, w ustach oniemal kłownów cyrkowych!

Rajmund widywał ją dawniej jeszcze, gdy była panną, zastał ją raz nawet na wizycie u księżny de Chantenay z panią de Wertenheim, z domu de Langrenon, jej matką.

Zachował o niej pewne wrażenie przelotne, ale sympatyczne.

Ta wysoka austriaczka, ale francuzka przez matkę, blondyna, szczupła, wydawała mu się wówczas niewiniątkiem.

Dziś spotyka ją, pannę de Wertenheim, siedzącą w loży cyrkowej, obok wicehrabiny de Blignak, wdowy, jak ona, kędzierzawej blondyneczki, którą nazywano "niewierną suczką."

Obie damy zmieniły właśnie przed chwilą miejsca, czując się być za blisko koni, a pani de Montépreuz ukazała przepyszną toaletę z czerwonego aksamitu na tle białem, zdjawszy z siebie wspaniałe paletot, aksamitny, koloru starego złota, osypany żółtym piaskiem, z areny przez kopyta galopujących koni.

Teraz, Jacquelina de Montépreux ze swą imponującą postawą, o jasno-blond włosach, lśniących złotawym połyskiem, z głową sztywno osadzoną

na pięknej szyi, wodziła obojętnym wzrokiem po cyrku, lornetowana przez wszystkich z zachwytem podziwu.

Nie była wcale pomięszaną.

Można było z całą swobodą podziwiać jej piękność i nie znajdować zarzutu. Świetne ramiona, których zaokrąglenie ukazał teraz spuszczone do połowy paletot, talia i płeć zachwycające, a nadewszystko biust, obnażony o tyle, że można było domyśleć się piersi pełnych krwi przezroczystej, zabarwiającej delikatne żyłeczki....

W stroju amarantowo białym, z tą koroną złotych włosów, z tem pobudzającym wydekoltowaniem, nadzwyczaj przypominała płótno, na którym przedstawił ją malarz pod postacią Dyany z gwiazdą we włosach.

Dwa brylanty, jak dwie krople wody na żywym kwiecie, błyszczały w uszach tej młodej kobiety, wyniosłej jak bogini, o czarnych oczach. Żadnych innych klejnotów nie miała, oprócz blasku młodości i ciała.

Rajmund słyszał nieustannie dokoła siebie zawistne szepty i złośliwe docinki, w których bohaterem zjawiał się René.

Młodzież chórem zazdrościła Chantenayowi i sypała moc nieskończonych żartów przy wymawianiu nazwiska de Montépreux.

Biedny hrabia, dobrze zrobił, że umarł! Chantenay ma wszelkie szanse być ubóstwianym i to rzetelnie ubóstwianym przez istotę, tak czarującą, jak hrabina!...

— Co najdziwniejsza — dodał ktoś z boku — że pani de Montépreux lornetuje w tej chwili Noris.

— Co znowu, Noris? — zapytał drugi. — Gdzie ją pan widzisz?

— Tam, nieopodal orkiestry!

— Widzę, widzę!

Rajmund, idąc za wskazówką, daną przez jednego młodzieńca w białym krawacie drugiemu, odnalazł także Noris w tym tłumie, patrzył na nią długo, poznawszy tę piękną bladą postać, te usta nieco ironiczne, to myślące spojrzenie, głęboko smutne i pełne przyćmionych błysków, których nie mógł nigdy, nigdy zapomnieć!

Noris ubraną była w toalecie ciemnej, o tyle poprawnej, o ile toaleta pani de Montépreux mogła była wydawać się ekscentryczną, i od czasu do czasu, lubo bardzo rzadko, zwracała się do ładnej blondynki, która nachylała się ku niej i wybuchała śmiechem, pomimo, że twarz panny Féraud ani drgnęła.

Rajmund słyszał, jak ładną blondynkę nazwano Małgorzatą Brunier.

— Margot — ozwał się jakiś młodzieniec.

Imię to wydało się Rajmundowi krzywdzającym. Nie mógł strawić, ażeby w ten sposób zestawiano jakąś Margot z imieniem Noris.

Dziwnie mu jakoś przykro było przez cały wieczór w cyrku. Zdawało mu się, że brakło powietrza. Ten chaos, ta mieszanina wielkich dam i pospolitych dziewcząt odpychała go.

Mniej się dziwił ze spotkania w tym tłumie Jacquelines de Montépreux, aniżeli Noris. Wszystko go drażniło i gniewało. Po co tu przyszedł?

Tegoby tylko jeszcze brakowało, ażeby spotkał tu ojca z wstążeczką na surducie, ofiarującego ramię Małgorzacie Brunier!

Margot, metresa markiza de Ferdys! Noris, metresa wielkiego księcia! Jacqueline de Montépreux, metresa księcia de Chantenay!

We wszystkich zakątkach tego cyrku można było pewnie napotkać tego rodzaju pary i miłości tak krzyczące!...

Rajmund obruszył się ze wstrętem.

Doznawał uczucia, jak po nocy bezsennej.... Był rozdrażniony, rozgoryczony.

Zapragnął znowu osamotnienia, obowiązków, wyjazdu na okręcie daleko, daleko!...

A tu, skoczna, wesoła, ironiczna muzyka kadryla, towarzysząca łamańcom jakiegoś akrobata, policzkowała coraz dotkliwiej jego smutek, czego nie robiły nawet burzliwe bałwany morza.

— Idźmy już! — rzekł do siebie półgłosem.

I wyszedł. W korytarzu zaczął szukać służby, której powierzył swą wierzchnią odzież.

Błądząc dokoła, nagle zetknął się przy wejściu do stajen ze swym kuzynem René, który w otoczeniu kilku młodzieniaszków, asystował hrabinie de Montépreux i podawał jej ramię dla odprowadzenia do powozu.

Hrabina, w tem niemiłym powietrzu, przesiąkniętem wonią stajenną i kurzem, śmiała się szczerze, widząc, że młodzież popycha ją bez opamiętania, i czarująco wdychała dym cygar, w niebieskich obłoczkach unoszący się ponad głowami.

Bawiła się tą masą białych krawatów, tym high-life`em, kołami z bibułki i przyrządami cyrkowymi, leżącymi w kącie, i kłownem, który przechodził w szarym paltocie na pstrym kostiumie; miała ochotę wyjąć z misternie inkrustowanej papierošnicy cygaretkę khedywa i poprosić ognia u którego z tych dżentelmanów, klubmenów paryzkich, horsemenów angielskich, al-

bo rastakuerów hiszpańsko- amerykańskich, którzy deptali się po nogach, tłocząc się w sali, przeznaczonej do palenia.

Jacquelina de Montépreux podnosiła swą piękną głowę, rozkwierała nozdrza, czuła się szczęśliwą, upojoną, przy boku tego pięknego chłopca, któremu zazdrozczono i którego podziwiano — prawie niższego wzrostem od siebie, a którego uwielbiała, gotowa całemu światu spowiadać się ze swej miłości.

Doznawała uczucia dziwnej radości, że mogła się z nim afiszować, z nim, z tym królem mody, że mogła pokazać światu, że należy do niego, a raczej, że on do niej należy, że jest jej posłusznym, uprzedzającym w najdrobniejsze życzenie tej pięknej i imponującej wietrznicy.

Gdy spostrzegła Rajmunda, którego doskonale poznała, wypadało, ażeby René przedstawił go jej znowu, tembardziej, że nawet wobec kuzyna księcia pragnęła ujawnić stosunek, jaki ją łączył z Chantenay'em.

— Zmieniłam się, od chwili naszego ostatniego widzenia, nieprawdaż, panie de Ferdys?

Była gotową spowiadać się wszystkim i każdemu, głosić całemu światu, że bez żalu rzuciła swą hrabiowską koronę daleko, po za wiatraki.

Po chwili, wyśliznęła swą rączkę z ramienia Reného i poprosiła Rajmunda, ażeby ją odprowadził do miejsca.

— Pragnę i pana skompromitować! — rzekła.

René szczerze się ubawił z pewnego zaambarasowania kuzyna.

Ten purytanin spacerował teraz w oczach całego Paryża z najpiękniejszą kobietą w stolicy świata.

I książkę stanął teraz przy wejściu na widownię, ażeby widzieć z daleka, jaką też minę będzie miał Ferdys, odprowadzają Jacqueline do miejsca.

Nastawiał swą lornetę, gdy w tem, tak jak Rajmund przed chwilą, usłyszał wypowiedziane po za sobą imię Noris.

Odwrócił się, zapominając o pani de Montépreux i o Ferdys i spojrzął w stronę, w którą wskazywał sąsiad.

O dziewięć kroków od niego, idąc z Małgorzatą Brunier, Noris — podziwiana i przed którą się usuwano — wchodziła właśnie do tej samej stajni, z której wyszła hrabina.

W toalecie ciemnej, z pęczkiem białych róż na piersiach, wydała się wcale piękną Renému.

Noris! Była tu, tak blisko niego, ta Noris, która kiedyś, kiedyś, kochała go przynajmniej tak, jak dziś kocha go może hrabina de Montépreux!

To zabawne, ale to go wzruszy cokolwiek.

Powziął zamiar przybliżenia się, przypatrzenia się iei zblizka... porozmawiania z nią nawet...

Szepty dokoła niej wzrastały, słyszał ten szmer wysokiego podziwu, jaki zwykła obudzać piękna kobieta, a który jest wyznaniem miłości nieujawnionej, szmer, który przed chwilą dochodził uszu Jacquelines de Montépreux...

Noris! Tyle wspomnień budziło to imię w myślach Renégo!

Pan de Chantenay od pięciu lat nie rozmawiał z Noris.

Wiedział, że istnieje i jak istnieje, ale nie zajmował się nią wcale.

Słyszał nieraz jej imię wymawiane w klubach, albo cytowane w dziennikach, ale niewiele zwracał uwagi na tę lub ową z zapomnianych kocha-

nek; gdy mówiono o niej, miewał nieraz pod swym małym wąsikiem szczęśliwy uśmiech pewnego rodzaju dumy i zadowolenia, jak gdyby wąchał resztkę perfum na dnie próżnego flakonu!

Jednak, powtórzenie tego imienia Noris, kończyło się na obudzeniu jego ciekawości i nieraz miewał ochotę odnaleźć tę, o którą wilki d'Yseux, w Jachting-klubie, zapytywał go:

— Czy pan ją zawsze widuje?

Spotykał ją niekiedy, ale rzadko. Ale nigdy, tak jak dziś nie spotkał jej tak blisko.

Ujrzawszy ją, uczuł jakoby pożądliwość, śledził ją oczyma, przyglądał się jej czarnym włosom i tej szyi, którą kiedyś okrywał pocałunkami!...

I zdało mu się, że widzi po raz pierwszy zachwycającą istotę, która zdumiewała go i porywała zarazem; następnie, uczuł satysfakcją, przyznania sobie, iż ta kobieta wykwintna, podziwiana, kochała go jednak, kochała prawdziwie, i że gdyby chciał...

Manewrował tak, ażeby znaleźć się oko w oko z nią, i gdy ona wychodząc ze stajen, on zaś idąc naprzeciw, zeszli się, powitał ją tym mechanicznym ukłonem, który nazywano dżentelmeńskim i który naśladowano.

Ale po chwili żałował, że się zbliżył pierwszy do tej, i którą kiedyś nazywał "panną Feraud".

Uczucie mimowolne, które go popchnęło — trochę przesytu, pewna radość i chęć sprawdzenia, o ile jeszcze tkwił w pamięci młodej kobiety, zmieniło się nagle w pewne zażenowanie.

Ona spojrzała nań wzrokiem tak spokojnym, pełnym tak słodkiego chłodu, że pytał siebie, czy to nie przymus, nie udanie ze strony Noris?

Chciał wiedzieć, jak gdyby zapragnął spojrzeć na dno stojącej wody, czy kwiat, rzucony tam niegdyś, tkwi dotąd na tem samym miejscu.

Była to ciekawość dzika, nie dająca się pohamować.

Patrzył w te piękne czarne oczy, ongi pełne szczęśliwych błysków; spoglądał na te usta dziś ironiczne, które się uśmiechały do niego, na tę twarz obojętną, która pod pocałunkami rumieniła się i bladła dawniej.

Wydało mu się ironją i niesprawiedliwością, że ta piękność, która należała doń kiedyś, dziś mu jest obcą prawie.

Nie podobało mu się, gniewało go nawet po trochu, że ta czarująca istota, spogląda nań z taką doskonałą obojętnością, bez drżenia, bez gniewu, bez wymówki, nie zadając sobie nawet trudu zbadania, co on myślał o niej.

To jednak śmieszne! Krępowała go ta kobieta, której był panem bezwzględny, i wymawiał sobie, jak głupotę jaką, że ją powitał, że jej się ukłonił, że się zatrzymał na tym korytarzu cyrkowym, że dotąd tam stoi!

Czuł, że się na nich patrzy, że ich studyują, ją i jego, że szepczą ich imiona i że znają ich historię.

I ona, ona także zatrzymała się przed nim na chwilę, na bardzo krótką chwilę, i odeszła obojętna, jakby żadnych wspomnień nie budziła w niej jego postać, nie odkłoniwszy się nawet na ukłon księcia.

Dopiero, spostrzegłszy Rajmunda, który powracał, po odprowadzeniu pani de Montepreux, wyciągnęła doń rękę i rzekła wesoło:

— Ach, pan de Ferdys!.. Więc to aż tutaj trzeba pana szukać? Zdaje mi się, żeś pan przyrzekł być u mnie?

I podczas gdy Rajmund się tłumaczył, a René, dotknięty do żywego, z przygryzionym trochę wusem, zbliżył się, Noris, wskazując na księcia, rzekła do Rajmunda:

— Przepraszam, może mi pan przedstawi tego pana!

René zbladł nieco.

— Przedstawić, mnie? — rzekł, siląc się na uśmiech. Sądziłem, że pani znasz doskonale księcia de Chantenay.

Noris zdawała się szukać we wspomnieniach, poczem odparła podniesionym głosem:

Wistocie dużo słyszałam o pewnym księciu de Chantenay. Był to zacny człowiek. Płacił długi i dotrzymywał słowa. Umarł w Krymie, jeżeli się nie mylę.

Wobec takiej impertynencji, popartej uśmiechem pełnym pogardy, René uczuł się drażnionym bardziej niż obelgą.

Wolałby hardość jakiego żokeja, którego mógłby zbić kijem, albo wida, którego mógłby zgładzić ciosem szpady.

Stał w miejscu wpijając coraz głębiej swą laseczkę w żółty piasek, podczas, gdy Noris, w towarzystwie Małgorzaty Brunier, oddalała się, wyniosła jak królowa, wobec szeptów wywołanych skandalem i przeciągłych szmerów poklasku.

Muzyka w cyrku grała; a kłowni rozśmieszali audytorium.

René, stojąc ponury obok Rajmunda był rozwścieczony i pytał siebie, czy to nie z niego śmiała się publiczność.

Spostrzegł w jednej z grup Gardanne'a reportera, który śmiejąc się także, notował coś w pugilaresie.

Księżę nie namyślał się.

Udał się wprost do młodego człowieka i rzekł mu szorstko:

— Czy pan notujesz impertynencyę, wyrządzoną mi przez pannę Féraud?

— Dlaczego się pan pyta? — zapytał reporter, patrząc nań obojętnie.

— Dlatego, że gdybyś pan miał nieszczęście wzmiankować o tem w dziennikach, rozplątałbym pana na dwoje!

— Tak? a więc dowiedz się pan — odparł reporter — że się wahałem. Gdy jednak pan wywołujesz... Na cóż się bić będziemy... na szpady czy pistolety? — dorzucił Gardanne z uśmiechem.

Księżę uniósł laskę z gałką okrągłą i zamierzył się na dziennikarza.

Rajmund chwycił go za ramię.

— René, oszalałeś?

— Daj mi pokój!

— Co ci jest! Nie poznaję cię — rzekł Ferdys, uprowadzając kuzyna.

Dokoła nich, śmiano się, docinkowano, złorzeczono, podrwiwano, a Gardanne, zirytowany i zachwycony zarazem takim skandalem, rozprawiał w jakiejś grupie, podczas, gdy Rajmund opuszczał cyrk wraz z Reném.

Padał deszcz.

Służba i ulicznicy przybiegli do nich, a podczas, gdy René, zmarszczony i niezadowolony z wieczoru, zirytowany krzywdą wyrządzoną sobie przez Noris i tą mimowolną gwałtownością, która go posunęła aż do czynnego wystąpienia przeciwko Gardanne'owi, stał w przedsionku, słychać było w krzyżowaniu się powozów, przy świetle latarni jaskrawo połyskują-

cych, pod kroplami ciepłego wiosennego deszczu, wołania, które dla Renégo zdawały się być ironicznymi, a smutnymi dla Rajmunda de Ferdys.

— Powóz pani de Beragues... Karetą panny Féraud, Wolant z ulicy Joffroy.. Powóz pana hrabiego Nidia!... Powóz księcia de Chantenay!

I wszystkie te powozy, unosząc szczęśliwe pary, albo osamotnione smutki, turkotały, znikały w czarnych alejach i zacierają się na Polach Elizejskich, jak światło gwiazd spadających.

IV.

Przygoda księcia de Chantenay obiegła dzienniki tak prędko, jak gdyby stanowiła doniosły wypadek polityczny.

Kwiat szyku był zanadto głośnym, ażeby nie skorzystano z okazji: znowu zamieszczono w kronikach jego portret, tylokrotnie już opisywany.

Gardanne sam, pod pseudonimem, opisał pojedynek, który wkrótce potem nastąpił.

Księżę drasnął go zlekka w prawy bok, a pomimo wizyt Rajmunda de Ferdys, który prosił o dyskrecję, kronikarze nie omieszkali zamieścić początkowych liter nazwiska osób działających.

Niektórzy z nich znaleźli nawet sposobność zrobienia kilku aluzji, dotyczących przeszłości Noris i jej pierwszych miłostek.

Było to jakby hasłem opinii: księżę nie mógł otworzyć jakiegokolwiek pisma, ażeby nie wyczytać swego nazwiska lub nazwiska Noris.

Takie zestawienie nazwisk wydawało mu się nawet dość dziwnem. Sy-labizował te pięć liter: Noris, pełen refleksyi i wspomnień.

Od chwili, w której się znalazł oko w oko z tą młodą kobietą, pytał siebie, czy sympatya, jaką miał dla niej kiedyś, zamarła na zawsze. Dziwiło go to wydoskonalenie się, to znakomite podniecanie się piękności Noris.

Dotychczas jeszcze, jak promienie słoneczne, raził go blask tych dwojga czarnych oczu, zimno skierowanych ku niemu.

Osobliwa istota! A ładna! Ładniejsza niż kiedykolwiek!

Ten chłód nawet, którego dawniej nie miała, podsycił jej wdzięki.

René, przejęty do żywego, zdumiony, zapytał siebie, czy to wistocie ta sama kobieta. Może nie mógł odgadnąć w niej takiej metamorfozy. Gdy wspominał o niej, stała przed nim z tą groźbą, jaką w niej dostrzegł przy ostatnim spotkaniu.

Była wistocie godną pożądania i piękną, ale te pięć lat samotności i zbytku, zamieniły córkę Eugenjusza Féraud na wielką damę światową, wyniosłą i w niczem nie podobną do kobiet, które codziennie uśmiechały się do Chantenay'a, a przez swą obojętność imponowała jemu nawet. To go gniewało...

Gniewało? Za co się gniewać?.. René był podrażniony, że kobieta, którą kochał nie zachowywała o nim wspomnienia zachwyty.

Jego próżność drażnięta, publicznie opoliczkowana, chciała pokazać Noris, że nie łatwo jest pozbyć się myśli o Chantenay'u. Była jego metresa, była nią na całe życie, a chociaż zapomniała o tem, albo chciała zapomnieć, było. jest i będzie metresą księcia Reného.

Zresztą, z jego strony, było to wielką łaską, że się nią zajmował.

Bo i cóż go obchodziła Noris? I cóż, że gazety powtarzają jakąś cyrkową anegdotę?

On śmieje się z Noris. On kocha panią de Montépreux, a pani de Montépreux kocha jego.

Miłość własna powinna być obojętną zarówno na zemstę jakiejś kobiety, jak i na drwiny jakiegoś reportera, którego skarcił.

I księżę René robił wszystko co mógł, ażeby zapomnieć tę Noris, która w ten sposób, prawie brutalnie, wtargnęła do jego życia.

Jacquelina de Montepreux nie zostawiała pana de Chantenay jego rozpamiętywaniom.

Czuwała nad nim z oddaniem kobiety zazdrosnej.

W czasie pojedynku z Gardannem znajdowała się nieopodal w karecie, w której uwiozła Reného zwycięzcę, okrywając go łzami, ściskając go w swoich objęciach, łkając nerwowo, co bardzo pochlebiało kwiatowi szyku, chociaż, prawdę mówiąc, nudziło go też po trochu.

Hrabina w istocie szalała za Chantenay'em. Ryzykowała wszystkim, ażeby tylko pokazać się z nim publicznie, ażeby poszczycić się swoim księciem, jak łupem. Mówiła do tych, którzy pragnęli ją słuchać, że to jej pierwsza, jej wyłączna miłość.

A hrabia?... Ach Boże, biedny hrabia!

Jacquelina de Wertenheim — zgodnie z opowieścią Gardanne'a — wyszła za męża, sama nie wiedząc dla czego, a raczej wydano ją, za ledwie wróciła z klasztoru, za pana de Montépreux, który będąc bogatym, zakochał się w tej pięknej dziewczynie jak w metresie, woził ją wszędzie, poka-

zywał i szczyił się nią z całą próżnością człowieka szczęśliwego i głębokim zadowoleniem.

Widziano ich wszędzie i wszędzie hrabina miażdżyła rywalki swą nieposzlakowaną, wzorową pięknnością., której twarze pospolite nie mogły jej przebaczyć.

Hrabia był zachwycony. Pochlebiali mu szeptem, towarzyszące Jacquelinie, jak podczas przyływu morza.

W małżeństwie widział tylko to jedno zadowolenie próżności fizycznej, a narodziny dziecka stanęły na zawadzie, jemu, mężowi, jak macierzyństwo stanęłoby na zawadzie kokotce.

Wistocie, stracił zimę.

W ciągu całej zimy musiał być pozbawiony tych tryumfów miłości własnej. To było nie do zniesienia.

Zaledwie przetrwał do sezonu letniego. W sezonie widziano tylko hrabiego z hrabiną w całej Normandyi i Bretanii. Na wyścigach w Trouville, na regatach w Dinard, piękność Jacquelinie i rozpromienienie hrabiego de Montépreux zrobiły nielada sensację.

Podczas tych prezentowań piękności i wybryków hrabiowskich, dziecko żyło w pałacu de Montépreux w Paryżu, a guwernantka zdawała codziennie hrabinie sprawę o mamce i dziecku za pośrednictwem telegrafu.

To wystarczało dla Jacquelinie. Jej miłość matczyna była zupełnie zadowolona temi codziennymi depeşami.

Pośród tej egzystencji wiecznego popisu i nieustannego ruchu, olbrzymia próżnia smuciła Jacquelinę. Nie miała ona ani czasu być żoną, ani czasu być matką.

Spędzała życie na przymierzaniu sukien, a wieczory na ich prezentowaniu. Z rąk szwaczki czy fryzjera przechodziła do rąk tancerzy.

Dnie wydawały jej się zbyt długie, a noce, spędzane aż do świtu na balach, przemijały jak błyskawice.

Nie należała do siebie, należała raczej do świata, do ludzi obojętnych. Na męża nie zwracała prawie uwagi, nie zestawiała nigdy jego życia ze swoim.

Jedynie chwile poufnej pogawędki spędzali razem, siedząc w karecie, która wiozła ich zawsze spóźnionych, na wieczór proszony, albo na bal, a i wtedy, przedmiotem rozmowy były fałdy sukni Jacqueliney albo rozwinięty lok jej włosów.

Z balu wracali milczący, zdenerwowani albo zmęczeni, oboje wsparci o przeciwległe poduszki powozu, nawpół śpiący, z głowami ociążałymi i pełnymi widziadeł.

Co się tyczy dziecka, to przynoszono je w powijaku, różowe w tych białych koronkach jak duży bukiet w rozetce z papieru, do matki, która je całowała, znajdowała je ładnym i odsyłała do mamki, nie mając czasu myśleć o niem.

I tak wiele było z jej strony, że powiła dziecko zdrowe, z różową krwią, przebijającą się przez żyłki białego ciała.

Jacquelinea i hrabia de Montépreux, w tej ciągłej pielgrzymce gorączkowej, byli towarzyszami, których spotykano wszędzie razem, ale którzy nie stanowili jednej istoty — czy to przez jednakowe nadzieje, czy przez przyszłość ich dziecka — jaką stanowić powinni kochający się małżonkowie.

I stopniowo, hrabinę zaczęła kępować obecność męża, który z każdą chwilą stawał się coraz zazdrośniejszy i prześladował ją na każdym kroku.

Zacząła uczuwać pomimowoli pewien odcień znudzenia, który był może pragnieniem miłości słodszej i stosunków bardziej poufnych.

Sukcesy na balach nie wystarczały już dla niej. Nie miała już potrzeby, jak przy opuszczeniu klasztoru, czytać w oczach ludzkich, czy była zachwycająco piękna?

Dziś mówiło jej to zwierciadło. Byłaby szczęśliwą i upojoną, gdyby jej kto powiedział o tem po cichu, szeptem.

Tajemnicze wyznanie byłoby ją upoiło bardziej, aniżeli to publiczne konstatowanie jej piękności przez mężczyzn w czarnych strojach i kobiety zawistnie i gorączkowo poruszające wachlarzami. Komplement, ubrany w sukienkę tajemniczego wyznania byłby ją bezwątpienia oczarował.

Takie właśnie półwyznanie, takie oświadczyły w półcieniu małego salonu, takie "pani jesteś zachwycającą", które obudza dreszcz, podnieca żądze i wiedzie kobietę nad przepaść upadku, takie wyznanie miał szepnąć do różowego uszka Jacquelines księżę de Chantenay w czasie walca i powtórzyć go podczas ożywionej rozmowy przy wieczerzy.

Wistocie, wiedziony instynktem wytrawnego pochłaniacza serc kobiecych, księżę René zjawił się właśnie w chwili kryzysu, nudy, "próżni w duszy" kiedyś, rozgorączkowania dziś, w tym psychologicznym momencie omdlenia bez przyczyny i upadku bez powodów.

Hrabia de Montépreux żył jeszcze, gdy Jacquelines pocieszyła się nową namiętnością.

Nie trapiły ją żadne wyrzuty i sądziła, że Chantenay pierwszy obudził w niej miłość.

Kochała tego, którego mogła kochać i była zdania, że wcale nie oszukuje swego towarzysza podróży, którego los postawił na jej drodze i za którego poszła za mąż nie wiedzieć po co.

Kochała tak głęboko, że nie spostrzegła nawet pewnego oziębienia ze strony Renégo w chwili, gdy po krótkiej chorobie hrabiego de Montépreux, została wdową.

Przejęta namiętnością, kochająca jak prawdziwa córka Tokaju, nie przypuszczała, że nowe jej położenie może zaniepokoić pana de Chantanay.

Wdowieństwo, dawszy większą wolność Jacquelinie, zrobiło z tej metresy, wcale zajmującej, istotę możliwą na żonę.

I rzecz dziwna, René pomyślał o tem w tej chwili i po pierwszym ruchu obawy, instynktownie odpychając małżeństwo jak abdykację, rzekł do siebie w zamyśleniu:

— Zresztą, dlaczegożby nie?..

Dlaczegożby nie, w istocie?... Jacqueline była czarującą. "Najpiękniejszą z kobiet w Paryżu" jak mówił, w swym naiwnym zachwycie, nieboszczyk hrabia de Montépreux. Bogata, szalejąca za Renem, wesola, rozumna, pełna tego bulwarowego i buduarowego rozumku, który tak przypadał do gustu Chantenayowi, a którego napewno nie spotkałby w żadnej z tych młodziutkich pensyonarek, jaką mu matka za żonę wyznaczy; doprawdy, dlaczego nie miałby poślubić pani de Montépreux, skoro czy prędzej czy później "trzeba to głupstwo zrobić"?

Nigdy nie znajdzie istoty piękniejszej, istoty mającej więcej sprytu czy-
sto paryzkiego, więcej tych czarujących wyskoków i tego porywającego
wdzięku.

Co go zachwycało najbardziej, to to, że przy postawie królowej Jacqu-
elina miała skłonności kokotki; bawiła go ta hrabina z susami aktorecz-
ki!

Taka kobieta, żywa, rozumna, dowcipna, wesoła, kapryśna, mówiąca o
wszystkiem, ryzykująca wszystko, śmiejąca się, płacząca, nigdy nie jedna-
kowa, nie mogła przecie zbrzydnąć Chantenayowi.

Nigdy. To pewna.

I korzystając z jedynej okazji poślubienia istoty tak idealnej, najroz-
koszniejszej ze wszystkich metres, rzekł do siebie:

— A więc tak, będzie moją żoną!

Powiedział Jacquelinie, że zostanie księżną, że zaraz po skończeniu ża-
łoby poślubi ją.

Wtedy ona roześmiała się serdecznie i czarownie piękna w sukni żałob-
nej, podniecającej jeszcze wrodzone jej wdzięki, rzekła:

— Księżną! I po co? Kochasz mnie?

— Ubóstwiam!

— A więc, cóż nas reszta obchodzi? O rękę prosi się tylko wtenczas,
gdy serce milczy. Masz mnie całą! Kochajmy się!

Nie doznawała jeszcze naówczas uczucia, które miało w niej powstać z
czasem: potrzeby zachowania, utrzymania wyłącznie dla siebie Renégo de
Chantenay.

I to życie we dwoje, występne w oczach świata, święte w oczach Jacquelyny, która z całą wiarą i zaparciem się siebie afiszowała je przy każdej zdarzonej sposobności trwało dość długo, a miłość Chantenaya nie zmniejszała się wcale i pani de Montépreux nie zamarzyła nawet nigdy, ażeby przypomnieć księciu jego własne słowa: — Czy pani chcesz być... księżną? Spotkanie Noris w korytarzu cyrku, starcie, które się skończyło zranieniem Gardanne'a, hałas dokoła księcia i jego nazwiska, zestawionego z nazwiskiem panny Féraud, co psuło humor Renému, wszystko to musiało także zmienić usposobienie Jacquelyny.

Hrabina nie była wcale zazdrosną, a jednak stopniowo zaczęła uczuwać zazdrość.

Wiedziała doskonale, że René kochał Noris.

Ten romansik, jeden z tych tysiąca trzech romansów, których paryzki Donżuanik był kiedyś bohaterem, zrazu bardzo dobrze usposobił panią de Montépreux.

Wydało jej się zabawnem, że była kochaną przez człowieka, dla którego jedna z najpiękniejszych dziewcząt swojego czasu, chciała się życia pozabawić.

Zresztą, poprawna nieczułość księcia nie zmieniła się wcale: wspomnienie Noris było mu najzupełniej obojętnem.

Tak, obojętnem kiedyś, to pewna. Ale dziś... Jacquelyna dostrzegła, iż rzeczy przybrały inną postać.

Księżę marzył teraz o tej Noris. Dlaczego? Ach, dlaczego!... Wytłomaczyć fantazję, czy podobna?

Zaczęto znowu mówić o Noris w dziennikach. Sama nawet Jacqueline, z niezręcznością właściwą wszystkim zazdrosnym, mówiła zbyt wiele o niej Renému, już to, ażeby go podrażnić, już to, ażeby go wybadać.

Księżę, z każdą chwilą czuł się bardziej przejęty tem wspomnieniem, coraz częściej obraz Noris stawał mu przed oczyma. To podniecenie, jakie zwykł powodować rozgłos publiczny, te ciągle docinki w pismach, ta pochytyłość drukowanego słowa, zrodziły w panu de Chantenay dziwne uczucie: zaczął się przymuszać, sam nie wiedział dlaczego, ażeby tylko nie pragnąć ponownego zobaczenia Noris.

Ta piękna kobieta, po dwakroć plwająca mu w oczy pogardą, drażniła go, jak przeciwnik, nad którym chciałby zapanować w pojedynku, jak koń, którego chciałby poskromić.

Każda trudność jątrzyła tego młodzieńca.

W jego fantazyi — nie mogącej zdobyć się na szczere uczucie — szczerość uczucia — frazes śmieszny i stary jak świat — stawało teraz widmo wzgardzonej. A na domiar wszystkiego, Jacqueline przybyła właśnie, ażeby pomimo woli zbudzić uspioną żądzę!

— Ach, widziałam tę pańską Noris... Na operze... wczoraj... Wcale nie brzydka... Wcale na swoim miejscu!... Kazałam ją nawet prosić przez hrabiczę de Martan o adres jej magazynierki.

— Jacquelino!

— Cóż wielkiego! — odparła hrabina Renému, który chciał się niby gniewać — to ci się nie powinno nie podobać, że spostrzegłam, iż panna Féraud ma dużo gustu, bardzo dużo gustu ma ten twój dawny ideał.

Nawet żarty Jacquelines drażniły pana de Chantenay.

W tym poruszonym popiele, znalazł jeszcze zdumiony kilka iskier palących, pomimo całego zapomnienia.

Nie podobało mu się, że mówiono o Noris, a jednak rodziły się w nim odległe i dotąd niezatarte wspomnienia gdy mu o niej mówiono.

Pani de Montépreux zapytała go pewnego razu złośliwie:

— Wiesz, kto jest twoim następcą u panny Féraud? Dawniej takie pytanie byłoby dlań najzupełniej obojętnem.

Teraz sprawiło mu uczucie przykrości. Dość jednak umiał panować nad sobą, ażeby uczucia tego nie zdradzić.

— Nic mnie to nie obchodzi; nie zajmuję się wcale panną Féraud — odparł chłodno.

Jacqueline patrzyła nań jasnymi oczyma, zazdrosna, jak gdyby chciała podchwycić jaką myśl ukrytą.

— Otóż — rzekła — zdaje mi się, że panna Féraud powzięła kaprys... zagięła parol... a może nawet zakochała się na seryo w... w twoim kuzynie Ferdys. Tak, mój drogi René!

— W Rajmundzie?

— Tak jest. Pan Rajmund nie opuszcza prawie pałacyku przy ulicy Joutfroy. Marsan mi to powiedział.

— Ciekawa rzecz, po co się Marsan w to wtrąca?

— Jeżeli go to bawi, to i cóż wielkiego!... A ciebie to gniewa?

Wiadomość ta widocznie gniewała Reného, i pani de Montépreux spostrzegła z głęboką boleścią, że Chantenay mógł stać się zazdrosnym i bardzo nawet zazdrosnym o Noris.

Zazdrosnym, czy przygnębionym?...

Och! Widocznie nie mile oddziałała na niego wiadomość, że Rajmund był w łaskach panny Féraud, jako przyjaciel wielbiciel, czy w jakim innym charakterze.

Nie chciał niby o niej myśleć, nie chciał o niej rozmawiać, a jednak, wzburzona Jacqueline dostrzegła, że pomimowoli, prawie z uporem, wracał do tego, co jak mówiła stanowiło zabawkę dla hrabicza de Marsan, do tych częstych wizyt Rajmunda u Noris.

— Ach, więc i on także zaskarbił sobie względy panny Féraud?... Cóż na to wielki książę?

— Wielki książę Wasyl jest na Kaukazie... w stepach kirgizkich, Bóg wie gdzie.... Nie ma agentów, którzyby mu donosili o fantazyach i o każdym kroku jego metresy.... Ale doprawdy, drogi mój René, ta Noris utkwiła ci w sercu nie żartem, jeżeli nie mówimy o niczem innym jak tylko o niej, od samego twego przybycia do mnie.

— Czyjaż w tem wina? — odparł książę. — Czyż ja zacząłem pierwszy mówić o niej?

Uczuł, że powinien przybrać znowu cały swój chłód dyplomatyczny, ażeby bądź co bądź utwierdzić panią de Montépreux w mniemaniu, że Noris była dlań najzupełniej obojętną.

Wtedy Jacqueline — a było to w jej małym saloniku japońskim, w pałacu Montépreux — zbliżyła się zwolna do Reného, wzięła go za rękę, spojrzała głęboko, przeciągle, aż na dno tych zimnych oczu i pochyliwszy się ku niemu, skłaniając na swych okrągłych ramionach piękną głowę, której woń czarownia oszołomiła Reného, i rzekła:

— Więc doprawdy, René, kochasz mnie zawsze?

— Zawsze!

Uśmiechnął się jak zwykle i mówił jeszcze prawdę znajdując dziwny urok w tej istocie zachwycającej i wspaniałej, która czołgała się niemal przed nim i prostowała się po chwili, ażeby lepiej ogarnąć ukochaną postać wybranka.

— A więc — mówiła szeptem, jak przy wyznaniu — to coś mi przyrzekł, spełnij dziś.

— Cóż ja ci przyrzekłem?

— Przysiągłeś mi, że się nie rozstaniemy nigdy.... Mało mi zależało na tem, czy będę twoją metresą, czy żoną.... Dziś, pragnę byś mnie poślubił.

Mówiła to z kokieteryą, a jej piękne blond włosy głaskały policzki Reného.

— Wiedzą, że jestem twoją. Chcę teraz, ażebyś mogła powiedzieć, że ty jesteś moim, drogi książę!

Jacquelina otoczyła swem ramieniem szyję Reného, przyciągnęła ku sobie tę głowę, która została obojętną, uśmiechniętą z wyrazem niepewnym, i patrząc nań oczyma przepełnionemi miłością badała go wytrwale, wpatrywała się w jego zimne oczy.

I podczas, gdy w to spojrzenie ona złożyła wszystkie żądze i cały cel swego istnienia, do głębi duszy przejęta tą wyłączną miłością, on zwolna zapytał:

— Więc jesteś zazdrosną o Noris?

Odepchnęła go.

— Co! Znowu Noris!... Zanadto jednak myślisz o niej, mój drogi! A więc tak! Jestem zazdrosną! To bardzo naturalne, skoro, gdy mówię ci o sobie, o nas, książkę rzucasz mi w oczy imię tej kobiety!

Usunęła się, w jednej chwili zmieniona do niepoznania, pełna energii i gniewu.

René uczuł, że ją drasnął zbyt dotkliwie. Wziął ją za rękę i rzekł z wolna:

— Proszę cię, Jacqueline, uspokuj się. Kocham cię, kocham cię prawdziwie! To co przysiągłem, tego dotrzymam. Będziesz księżną de Chantenay w dniu, w którym ci się tylko spodoba złączyć swoje życie z moim.... Powtarzam ci, że cię kocham....

— Tak — odparła Jacqueline, której oczy, usta, całe oblicze zajaśniało dziwnym ogniem przy słowach Reného. — Kochasz mnie prawdziwie... mówisz mi to... prawdziwie.... Wiesz, René, wolałabym żyć szalenie, wypadkowo, bezmyślnie, tak, we dwoje, jak dzieci stracone, jak włóczęgi, szalenie, ale nigdy nie być twoją żoną!

René zdobył się na uśmiech. Jego wątle usta ściągnęły się pod jasnym wąsikiem.

— Doprawdy, hrabino — odparł — jeżeli włóczęgostwo przypada ci do gustu, a więc zostanmy włóczęgami po ślubie....

Jacqueline była teraz szczęśliwą, szaloną z radości, że sprowadziła rozmowę na ten temat.

Dość jej było takiej odpowiedzi Reného, ażeby wszystkie myśli o zazdrości rozproszyły się, jak puch na wietrze.... Już nie myślała o niej teraz!...

On ją kochał. Ona go ubóstwiała. Reszta nic jej nie obchodziła.

Znajdowała zachwycającą tę Noris, ponieważ ona stała się przyczyną, że pan de Chantenay odnowił wykonaną przysięgę i dał Jacquelinie pewność, że ją kocha prawdziwie.

Gdy Chantenay żegnał się z panią de Montépreux, guwernantka przyprowadziła właśnie do pani hrabiny "pana hrabiego," małego Karola, wystrojonego, z fryzją większą od całego korpusu, a który przybywał bojaźliwie powitać matkę przed codziennym spacerem.

Dziecko było apetyczne jak ciastko angielskie, z figurką zgrabną, w dużym pluszowym kapelusiku, który zdjęło dla powitania księcia z poprawnością metra tańców, a długie złoto-blond włosy spadały mu w kędziorach na małe ramiona i sięgały prawie do pasa.

Szczebiotek i gadulski, nie śmiał jednak powiedzieć ani jednego słowa wobec Chantenaya, na którego patrzył dużemi jasnymi oczyma i tylko machinalnie nachylił swe świeże buziaki do matki, a guwernantka, popychając go z lekka, rzekła: Kiss mamma, Charley!

Jacquelina schyliła się szybko dla ucałowania malca i dodała do tego pocałunku urzędowo matczynego, te słowa:

— Uważaj że pani na niego, miss Bodway!

— Niech się pani hrabina nie obawia. Pan hrabia jest zawsze grzeczny....

— Jakiego konia zaprzął John?

— Jeddo!

— Czy nie ma niebezpieczeństwa?

— No, Charley, pożegnaj się z mamą.

— Good bye, mamma!

— A księżę, Charley, zapomniałeś o księciu de Chantenay?

— Good bye! — rzekło dziecko, kłaniając się z takim wdziękiem, jak gdyby kłaniał się sam księżę Beaumartel de Chantenay, Kwiat szyku.

— Daj rączkę, Charley! Shake-hand!

Małeństwo podało rękę, swą biedną drobną rączynkę kochankowi swej matki, który uścisnął ją serdecznie, poczem, obróciwszy się na piętach, umknął z salonu, śpiesząc do zabawy, skoków, do odetchnięcia świeżem powietrzem, bawienia się z rówieśnikami, słowem do życia.

I księżę de Chantenay uczuł także potrzebę ruchu i spaceru na odkrytem powietrzu.

Jacquelina rozdrażniła go przed chwilą, mówiąc o Noris i Rajmundzie.

Jakie dziwne wrażenie wywarła na nim plotka małego de Marsan? I co mu zależało na tej poufałości pomiędzy Ferdysem i panną Féraud?...

A więc — musiał to sobie przyznać — nie sprawiło mu to wcale przyjemności.

Opuszczając panią de Monteprenx, czuł się zirytowanym, znajdował nieznośnem cygaro, które palił i śpieszył do domu, tembardziej, że wiatr majowy, suchy i świszczący jak huragan, denerwował go również.

Wrócił do siebie nie w humorze, a zanim się zaczął ubierać na obiad — obiad w klubie — zamierzył odwiedzić matkę, trochę cierpiącą.

Obydwa pałace sąsiadowały ze sobą.

Przy schodach wiodących do pałacu księżny, spotkał Rajmunda.

Nie był to wypadek, Ferdys bowiem, jak mógł najczęściej, odwiedzał ciotkę, której humor, niestały i kapryśny, ożywiał się nieco z melancholii, spowodowanej morfiną, gdy spostrzegała swego drogiego siostrzeńca.

René miał jeszcze na myśli zwierzenia Jacquelines i plotki hrabiczki de Marsan.

To też, spostrzegłszy Rajmunda, żywo stanęły mu one przed oczyma, i zanim wszedł na schody, wiodące do apartamentów matki, ujął Ferdysa pod ramię i wprowadził go zwolna do małego frontowego salonu z oknami wychodzącymi na ogród, i rzekł doń, siląc się na uśmiech:

— Ani przypuszczasz, że przed chwilą rozmawiałem długo o tobie z najpiękniejszą kobietą w Paryżu.

— Czy tak? — zapytał Ferdys. Piękne kobiety mną się zajmują? To bardzo pochlebne... i dziwne... wszak ja tak mało zajmuję się nimi?

— Czy tak? — rzekł René. Jest przecież jedna, która ci dużo czasu zabiera i dobrze utkwiała ci w głowie!

Ferdys, który zazwyczaj nie przywiązywał wielkiej wagi do słów kuzyna, odgadł jednak od razu aluzję i chcąc dowiedzieć się prawdy, zapytał:

— Co chcesz przez to powiedzieć, René?

— Nic. Powtarzam tylko to, o czym wszyscy już mówią. Stajesz się głośnym, Rajmundzie!

— I któż tak mówi o mnie?

— Moi przyjaciele z klubu... wszyscy... cały świat...

— I cóż mówią właściwie, twoi przyjaciele?

— Chcesz wiedzieć?

— Nie trzeba było pobudzać mej ciekawości. Chcę wiedzieć, ponieważ wtrącają się do mego życia, podczas gdy ja dzięki Bogu, wcale nie wtrącam się do nikogo! Chcę wiedzieć, co mówią o mnie... Zobaczymy, czy są dobrze poinformowani, twoi przyjaciele.

— Och! W Paryżu — odparł René — wszyscy są dobrze poinformowani! Wiadomo jest na przykład, i to faktycznie, że bywasz... bardzo często... na ulicy Jouffroy!

Rajmund doskonale zrozumiał ironiczną intencję kuzyna.

Odpowiedział tonem pewnym siebie:

— Wistocie, bywam tam często i bywałbym jeszcze częściej, gdybym się nie obawiał skrepować swoją obecnością panny Féraud.

— I gdybyś się nie lękał spotkać u niej wielkiego księcia Wasyla!

Księżę wypowiedział to zdanie z tą doskonałością, z jaką zadaje się niespodziany cios przeciwnikowi w pojedynku na szpady.

Spostrzegł też, spojrzawszy z ukosa, że Rajmund zbladł nieco.

Ten tytuł, wielki księżę, wydał mu się tendencyjną krzywdą, i oficer, z gorączkową żywością odparł Renému, że, że przecie nikt w Paryżu nie może twierdzić stanowczo, ażeby Noris była, jak mówią, metresą wielkiego księcia.

— Tak sądzisz? — rzekł René.

— Sądzę, że nigdy nie mogłem natknąć się na nikogo u panny Féraud, i że salony przy ulicy Jouffroy są równo przyzwoite, jak u kobiet prawdziwie wielkiego świata.

— Tak? Dziękuję ci w imieniu tych ostatnich; ale doprawdy, przyznać muszę, że jesteś bardzo naiwny. Miałżebyś w Taiti zapomnieć o Paryżu?

Nie będę ci dowodził, że Noris ukrywa swoich gości poza fałdami kotar, albo w ciemnych gabinecikach, jak Tata albo Melécule, ale proszę mi wierzyć, że z życiem twojej... naszej przyjaciółki, jak wolisz, ściśle związany jest pewien rosyjanin, i że, jeżeli nie spotkałeś przy ulicy Jouffroy jasnych faworytów wielkiego księcia Wasyla, to spotkasz je, mogę cię zapewnić... Wielkiego księcia nie ma w Paryżu! Ale przybędzie!..

— Co jest pewnem — odparł Rajmund stanowczo, że "wielki książę musi mieć dla kobiety o której mówisz, uczucie szacunku i poważania, gdyż nieznam istoty bardziej prawej i szlachetnej od panny Féraud.

Chantenay zaczął się śmiać.

— Zdaje mi się, żeś mi to samo mówił przed pięciu laty, mój dobry Rajmundzie, gdy chciałeś mnie przekonać, że moim obowiązkiem było prosić o rękę Noris u tego poczcivca Eugenjusza Féraud!

— Tak, to co ci mówiłem przed pięciu laty, to i dziś powtarzam. Wiesz, że jestem szalony!

— Więc moim obowiązkiem było postąpić tak, jak mi mówisz?!..

— Twoim obowiązkiem było wówczas uszanować tę dziewczynę gdy była niewinną, twoim obowiązkiem jest dzisiaj ciężko żałować, że z uczciwej dziewczyny zrobiłeś najnieszczęśliwszą istotę pod słońcem!

— Noris jest nieszczęśliwą? Ma powozy, o których, mówią, pałac, five o'clock, gdzie ty wykładasz swoją sentymentalną filozofie! Jest czy nie jest, jak wolisz, metresą wielkiego księcia; ale w każdym razie opływa w dostatkach i daje słowo cieszy się stanowiskiem... I przy tem wszystkim, Noris jest nieszczęśliwą?.. Czegóż jej brakuje?

— O, niczego — uczucia, szacunku dla siebie samej, własnej godności!

— Nie rozumiem cię — odparł René.

— To mnie nie dziwi. Musisz to sobie przyznać, że jest mnóstwo rzeczy na świecie, o których masz wyobrażenie tylko powierzchowne! Noris jest jedną z tych kobiet, które, rozgniewane, mogą pragnąć w życiu zemsty, pomszczenia, odpłacenia krzywdy, ale które wiecznie żałują pierwszego utraconego raju, choćby ten raj był wielkim zaledwie jak dłoń i zasiany kwiatami za cztery grosze! Otóż, bez ciebie byłaby ocaliła lub znalazła ten zakątek ziemi, gdzie mogłaby żyć według swego upodobania z człowiekiem, któryby ją poślubił i pokochał...

— Szlachetnym młodzieńcem, takim jak ty, na przykład?

— Właśnie takim jak ja, pierwszy bym ją poślubił!...

— Trzeba było to dawno powiedzieć, że jesteś zakochany, że zabrnąłeś po uszy, i koniec!

Chciał na tem zakończyć rozmowę. Ale Rajmund doznał uczucia gniewu.

— Jeżeli jest taki, który nie ma prawa zazdrościć tym, co kochają, albo mogą kochać pannę Féraud, to jest nim ten, który mogąc ją zrobić swoją żoną, zrobił ją metresą, a z metresy zrobił kobietę opuszczoną.

Słowa te, Rajmund wypowiedział szorstko, rzucił je w twarz Renému, chodząc wzdłuż pokoju, z rękoma w kieszeni, z ruchami marynarza, ale zawsze poprawnymi i nawet wykwinnymi do pewnego stopnia.

Dla Renégo jednak była najzupełniej obojętna taka gwałtowność Rajmunda.

Zazdrosny! Otóż teraz Ferdys oskarżał go o zazdrość!...

Zazdrosny o Noris, on, Chantenay!

To zabawne.

Wistocie, Rajmund był bardziej wzruszony, aniżeli chciał po sobie dać poznać.

Kochał Noris, kochał ją prawdziwie.

Bah! Tem gorzej dla wielkiego księcia!

I śmiejąc się z tej zazdrości, którą mu Rajmund wymawiał, księżę doznawał jednak jak gdyby uczucia gniewu, słysząc kuzyna, mówiącego z takim ogniem o kobiecie, o której René zdawał się już zapomnieć i która go oddawna nie obchodziła wcale.

To małe zajście z Rajmundem utkwilo w pamięci Reného. Naraz, po wielu latach, wydało się niezwykłym Renému, ażeby mówiono przy nim z taką namiętnością o kobiecie, której był panem, o istocie, której losem rządził według własnej woli.

Zdawało mu się, że mu skradziono jedno z jego wspomnień.

Noris, która dawniej należała do niego, powinna była przecież pamiętać o tych szponach jego na wieki.

Jeszcze niedawno nie chciał nawet mówić o niej, chciał ją uważać za wdowę, wdowę, która szukając chleba w tym wirze wielkiego miasta, musiała się ratować jak mogła.

Jeszcze niedawno uważał za rzecz bardzo naturalną, że z objęć Chant-enay'a dostała się wielkiemu księciu.

Tak być powinno! Och, ta Noris, to istota bardzo rozumna! Ma rasę! Prawdziwa kobieta!

— Zrozumiałem ją dobrze!

I syn generała księcia de Chantenay był dumny, dumny z uwiedzenia córki Eugenjusza Féraud.

Mało brakowało, ażeby René nie był powiedział głośno: Znacie metresę księcia Wasyla? Tę wysoką brunetkę, tę kobietę tak piękną! Znacie? A więc, to ja ją znalazłem!..

Jeżeli tak nie mówił, to jedynie dlatego, że instynktownie uczuwał, nie tyle szacunek, ile obawę wobec tej egzaltowanej istoty o dzikim wejrzaniu, żywej i zimnej zarazem jak cyganka istoty, która znienacka stanęła na drodze. jego życia.

I od chwili, gdy przed paru dniami znalazł się z nią oko w oko, widział ją taką jak dawniej, prawdziwie piękną i wartą pożądania w egzaltacji swego szaleństwa.

Nudną, być może, ale zawsze zachwycającą.

Nigdy nie przypuszczał, ażeby taka kobieta, mogła przybrać ton wielkiej damy.

Ale bah! To już minęło: już nie myślał o tem. Mówił do siebie, że gdyby tylko chciał Noris...

I dlaczego teraz, myśl, że kto inny kochał tę Noris, i że tym innym był Rajmund — dla czego ta myśl, która powinna była być dlań zupełnie obojętną, gniewała go.

René zawsze podejrywał kuzyna o pewną słabość dla Noris.

Ale, żeby uczucie to miało przetrwać pięć lat czasu, nie mógł tego pojąć!

Więc ten Rajmund, ten świętoszek oziębły, miałby wistocie być tak wiernym, tak zapalonym? Miałżeby się Ferdys ani na jotę nie zmienić?...

Nie żartował więc z miłością zarówno jak z obowiązkiem. Nie odstępował więc ani na krok od raz zamierzonego celu!.. Dziwny człowiek!

I Rene próbował się roześmiać.

Ale im więcej śmiał się, tembardziej czuł się być rozdrażnionym, dotkniętym zapomnieniem o tej Noris, której głos dźwięczny na korytarzu cyrkowym dotąd stał mu w uszach, głos, który wydał mu się dźwięczniejszym i miłszym niż kiedykolwiek, który obudził w nim zaciekawienie i pożądanie oddawna uśpione.

I ona przyjmuje jako przyjaciela tego purytanina de Ferdys, podczas, gdy jego, Chantenay'a, spoliczkowała ironją!...

To skandal!

— A przecież to moja metresa, moja, bezwarunkowo moja!

Powtarzał sobie te słowa prawie na głos w swoim salonie przed portretem księcia Gerarda, swego ojca, który zdawał się nań patrzeć wzrokiem pogardliwym i gniewnym.

Dla zapomnienia o Rajmundzie, udał się na powitanie księżny, swej matki, która wychodziła bardzo rzadko, zestarzała, przejęta wpływem morfiny i prawie zawsze leżąca na szesłagu, z oczyma wpół przymkniętymi, z oddechem wolnym, wychodzącym z ust posiniałych, z wyrazem znudzenia, ociężałości, przesytu, w pewnym obezwładnieniu, z którego wyprowadzała ją, od czasu do czasu iniekcja zaskórna.

Morfinizując się od lat niepamiętnych, księżna żyła w pewnym egoistycznym zapomnieniu, w tej rozkosznej drzemce, która jest własnością morfinomanów.

Z upodobaniem spędzała życie w pałacu własnym, z głową kołyszącą się miarowo, przyjmując niewiele osób, ale niekiedy rozmawiając chętnie dla uniknięcia zwykłej migreny, będącej skutkiem morfiny, która powoli wprowadzała ją w stan chorobliwy, i niemając żadnych innych utrapień prócz nocy, przy zbliżaniu się której opanowywało ją straszne rozdrażnienie.

Wpół leżąc na kanapie, księżna paliła tureckie cygaretki, gdy ją René przywitał.

Zamiast odpowiedzi na powitanie podała mu emaliowany spodeczek z papierosami.

Poczem, zaczęła się śmiać sucho, jakby kaszłąc.

— Także! Zawsze zapominam, że nie palisz!... Jak się masz, René!...

René ucałował kościstą rękę matki i zapytał ją o zdrowie.

— Dziękuję... Czuję się dziś dobrze... Jestem trochę osłabiona z przyzwyczajenia.... Doktor przepisał mi chininę, wodę d'Orreza, krople likieru Fowlera... nie... morfinę... morfinę... ja to jedno tylko lubię. Tylko to jedno!

Po chwili dodała z błyskiem w głębokich oczach.

— I ty masz także swoją morfinę, René. To życie Paryża. Czy wyzdrowiejesz kiedy?

— I po co — zapytał René z uśmiechem.

— Nie znam tej pani de Moutepreux, o której mówią wiele... bardzo wiele... Wolałabym jednak, ażebyś utrzymywał stosunki z jaką aktoreczką... Nie mogę znieść wielkich dam, grających rolę pospolitych dziewcząt. Uniosła się zlekka na szesłongu i rzekła nagłe do syna, składając usta do śmiechu:

— Ach, a propos, nowina, mój drogi... Miałam wizytę pani Ahrenfeld i jej córki... Ahrenfeld... bankier z Kolonii... Magnatissimus... Córka nie jest ładna.. Ma tylko ładne oczy, jak wszystkie żydóweczki. Ale płeć żółta, jak chinki... Co jednak nie przeszkadza, ażeby nie pragnęła zostać księżną... Jej mamunia dała mi to do zrozumienia... Podobałeś się ogromnie w tym domu... ogromnie... Gdy się ma tyle milionów, można na wszystkich zaginać parol, daję ci słowo!... Żydówka!..

— Przejdzie na katolicyzm — odparł chłodno René. Księżna spojrzała nań nie bez zdumienia.

— Nie sędzę, ażebyś miał ją na myśli.

— Bynajmniej, matko, przysięgam ci. Nigdy nawet mniej nie myślałem o ożenieniu jak dzisiaj.

— Dlaczegoż dzisiaj?

— Tak sobie.

— Gdybyś chciał ożenić się dla pieniędzy, nie mógł byś znaleźć lepszej partyi od tej małej Ahrenfeld... Ale, daję ci słowo, wolałabym ażebyś się ożenił z miłości... Możebyś pojął za żonę tę Jacqueline de Montépreux... Byłoby to może głupiej, ale za to czyściej.. Przypominasz sobie wyrazy, które powtarzał twój ojciec Ferdys'emu i staremu Robinowi: Skończyć czysto.

— Pamiętam — odparł René.

Siedząc przed chwilą obok matki, wstał, ujął szczupłą rękę księżny, podniósł ją znowu do ust, z gestem pełnym elegancyi i sztywności, jak gdyby chodziło o jaki oficjalny pocałunek; poczem, wyszedł, zostawiając panią de Chantenay z jej iniekcjami morfiny, i myśląc tylko uparcie, po-

mimo gniewu, o Noris, której pogarda go ubodła i której wspomnienie prześladowało go dotąd...

— A więc! — myślał — ponieważ wyzwala mnie, zobaczymy. A ponieważ poznaje tylko Chantenay'a, który umarł, ja jej pokażę teraz Chantenay'a, który żyje!... Co zaś do Rajmunda... Bah!... Tem gorzej dla niego, jeżeli kocha!...

V.

Tak, Rajmund kochał tę Noris. Książę Beaumartel de Chantenay był dobrze poinformowany.

Młody oficer znał teraz dobrze drogę do pałacu przy ulicy Jouffroy, i bywał tam, z początku wbrew własnej woli, czując dobrze, że wkracza do obcego sobie świata, ale nie łudząc się nim wcale, pewny, że zrozumie miłość, jeżeli to uczucie, które miał dla niej, było wistocie miłością, i pragnąc tylko dowiedzieć się od biednej dziewczyny o wszystkim, cokolwiek myślała, dręczona gniewem i chęcią zemsty, w ciągu lat pięciu!

Ciekawość popchnęła więcej istot ku miłości, aniżeli sama miłość.

Rajmund chciał wiedzieć, jakie uczucia miały tą piękną Noris, którą opuścił samotną i zdradzoną i którą zastał chłostającą z całą wyniosłością dumy, człowieka, który ją uwiódł.

— To niepodobna — mówił do siebie — ażeby Noris była kobietą zwyczajną i ażeby zbytek, który ją otaczał, stanowił jej szczęście i zadowolenie.

Odgadywał ukrytą ranę, tajemną gorycz i smutek tego istnienia, które, jak mówił sam do Renégo, było zemstą, ale zemstą, w której zwyciężająca była ofiarą, ranną aż do krzyku, zbolełą, osamotnioną.

Chciał mieć próbkę tej melancholii Noris, ażeby nie być zmuszonym do pogardzania tą, którą przywykł żałować.

Niebawem, zwierzenia młodej kobiety, przekonały go, że się nie mylił! Cierpiała wistocie.

Tak, przy całej swobodzie tego nowego życia, które było dziełem przypadku, wspomnienia przeszłości nie dawały jej spokoju i prześladowały ją jak mary.

Czyjaż w tem wina, jeżeli nie Renégo?

Kochała go zanadto. Zanadto pokładała w nim wiary!

Dość mu było zażądać, a byłaby została wówczas tem, Czem jeszcze była w głębi duszy, istotą uczciwą, duszą prawą, nienawidzącą zła, hamowaną wstydem.

Rajmund, po pierwszym wyznaniu Noris, doznał jakby ulgi.

Wiedział dobrze, jaką była ta kobieta, co uczyniło z niej życie i wyrzuty sumienia, ale wątpił, ażeby mogła cieszyć się ze swego upadku, ażeby to ponizenie stanowiska przyjęła z dumą dziewcząt upadłych.

Upadła — nie; ofiara — tak; Noris była ofiarą.

Rajmund de Ferdys, żalując jej, mógł ją zarazem szanować.

Szanować? Sam sobie zadawał to pytanie.

Szanować córkę Eugenjusza Féraud, która stała się metresą wielkiego księcia Wasyla? Gdzież znowu?

Przebaczyć jej może. Pogardzić tym, który ją popchnął na tę drogę, tak!

Ale zapomnieć o tytule, którym piętnowano Noris; o tym tytule który był — świat jest podły — przedmiotem zachwyty dla wielu ludzi, ale który dla Rajmunda był piętnem: metresa wielkiego księcia! Nie, to było niepodobieństwem!

Niepodobieństwem, a jednak Rajmund powoli zdawał się zapominać o tem niepodobieństwie!

Nic w zbyt kownem otoczeniu w pałacu Noris nie przypominało mieszkania zalotnicy.

Nic nie pozwalało przypuszczać, ażeby do mieszkania tego ktokolwiek — bądź miał prawo wejść w charakterze pana domu!

Noris nie przyjmowała nawet Rajmunda w salonie, do którego mieli prawo wstępu Gardanne i Małgorzata Brunier, ale w bibliotece, gdzie na półkach Ferdys widział, w przepysznych oprawach, których autor nie miał nigdy oglądać, stare romanse Eugenjusza Féraud: Jan Rozbójnik, Kanadyjczycy, Dinora albo Flibustjerzy, a — pośród tych dzieł zapomnianych, których podobne tomy spoczywały na półkach lub w szufladach antykwaryuszów — widniał portret Férauda z jego dobroduszną i bojaźliwą miną uczciwego człowieka.

Ani śladu wielkiego księcia w tej odosobnionej komnacie, cichej jak cela, gdzie Noris marzyła nie tyle o przyszłym życiu ile o przeszłości.

Raz tylko jeden panna Féraud mówiła o wielkim księciu Wasylu do Rajmunda de Ferdys.

Mówiła mu nie bez drżenia goryczy w głosie:

— Książę de Chantenay dał mi poznać wielkiego pana, ale wielki książę Wasyl dał mi poznać człowieka dobrze wychowanego.

W istocie pomiędzy Renem i wielkim księciem zachodziła wielka różnica. Afekt wielkiego księcia dla Noris był spokojny, wolny od wybuchów namiętności, bardziej protekcyjnalny aniżeli miłosny, podczas, gdy Reném powodowała w stosunkach z panną Féraud, przedewszystkiem próżność.

Wyznać trzeba, że dla innych pięknych paryżanek, wielki książę był także o wiele innym: lubiał posiadać piękną kobietę, jak jaki oręż zbytkowy, jak konia rasowego, jak cenny obraz.

Zresztą Paryż wydawał mu się wielką szynkownią, nic dziwnego przeto, że dziewczęta traktował jak karczmareczki.

Ale z Noris był wcale innym.

Ujęty i zachwycony poważnie jej pięknnością, lubiał ją przedewszystkiem za jej urok i rozum.

Od chwili opuszczenia Nizzy, zapomniał, że miał do niej prawo.

Czuł się być, mimowoli, przed jakąś istotą doskonałą, nie paryżanką wyłącznie, ale, jak twierdził, francuzką, i nigdy nie przyszłoby mu na myśl, zestawić młodą kobietę z bohaterkami jego powszednich wybryków.

Noris posiadała w jednej ze skrytek pałacu, miniaturę Wasyla w mundurze pochodowym, składającym się z białego surduta i białej czapki, z krzyżem na piersiach.

Niktby nie dał wiary, że ten żołnierz o ryżawych faworytach, to ten sam wykwintny jegomość w białym krawacie, który objeżdżał Paryż we fraku

noszącym na sobie ślady pudru, jak pod Plewną biały jego surdut nosił na sobie plamy kurzu z ziemi krwią zbroczonej.

Strojny, elegancki, wytrawny, wielki ksiązę rozprawiał z paryżankami jak dyplomata, starając się o ich względy takim tonem, jakim się mówi na dworach cesarskich, nadając miłosnym listom pozór protokołu i od czasu do czasu tylko zdradzając szorstkimi słowy swoją żołnierskość,

Zbyt grzeczny w ciągu miesiąca, zbyt rubaszny w ciągu godziny.

Takim przynajmniej wielki ksiązę był w towarzystwie większości kobiet; ale z Noris, magnat ten zdawał się zapominać o tem, że mógł rościć pretensye do miłości jak bankier, a mając tylko przyjaźń namyśli, okazywał się tak słodkim, uprzejmym i życzliwym, jak gdyby miał do czynienia z jaką wielką damą z Moskwy lub Petersburga. Przez długie, długie miesiące nie widział jej i ograniczał się tylko na pisywaniu do niej listów z żołnierską punktualnością, aż z pod twierdz azyatyckich, listów, które tchnęły takim szacunkiem, jak gdyby pisał do narzeczonej.

Dziwny ten wielki ksiązę.

Noris, która go nie kochała, byłaby sobie dała odciąć rękę za niego.

Wybawił ją w istocie od przypuszczalnej nędzy, uratował ją od przepaści, w którą ją wtrącił Chantenay, to też względem tego człowieka, który się jej oddał i który ją szanował, doznawała uczucia młodej dziewczyny, poślubiającej starca dla wybawienia ojca, uniknięcia ruiny, albo dla zapłacenia honorowego długu.

Rajmund de Ferdys wiedział o tem dobrze; ale wiedział on także, że w tej kobiecie znajdzie w całej potędze echo poczucia prawości, która nim

powodowała w życiu, echo tych wszystkich zapałów, które mu pierś rozsa-
dzały.

Do niej mógł udać się z zupełnem zaufaniem, jej mógł się spowiadać ze
wszystkich projektów, wśród pogadanek i zwierzeń, opisując jej swoje po-
dróże, przechodząc od wczoraj do jutra, wyliczając nadzieje patryotycznej
przyszłości jaką uroił sobie, a którą inni nazywali zbyt śmiałą, prawie nie-
bezpieczną, ale którą Noris zachwycała się, ogrzana tą wiarą młodzieńczą.

Rajmund bił czołem przed szczerością Noris. Znajdował w niej odgłos
własnych idei.

Afekt, jaki miał dla niej, wzrastał z dniem każdym.

Odwiedziny w pałacu przy ulicy Jouffroy, będące dotąd dla Rajmunda
rozrywką, stawały się powoli potrzebą, radością głęboką.

I Noris także w tych poufnych gawędach, porwanych światu, tajemni-
czych prawie, znajdowała nieskończone zadowolone.

Zdawało jej się, że jest w tych fantastycznych krajach, które zgubiły
biednego Férauda; w krajach niebezpiecznych, ale które kochała dotąd i
które wywoływała w swem osamotnieniu, jak rodzaj utraconego raju.

To ich łączyło, to zacieśniało węzły ich zażyłości z dnia na dzień coraz
ściślej; on w tej kobiecie widzianej kiedyś, w chwili odjazdu, odnalazł
pierwszy sen miłości, ona dopatrzyła się w Rajmundzie wiary, zaufania,
prostoty duszy, całej czystości życia pełnego cnoty.

Nieraz, wypadek nawinął im na usta imię Eugenjusza Féraud.

Noris nie mówiła o nim nigdy. Poczytywała sobie imię to za świętość, i
starannie pokrywała je zasłoną.

Ale, gdy Rajmund je wymówił, uczuła głęboką radość.

Cały jej organizm przebiegło drzenie, i uczuła, że Ferdys jest jedynym człowiekiem, z którym może mówić o przeszłości.

Bo Ferdys rozumiał jej ojca, odgadywał tę biedną ofiarę... Młody marynarz czytał — może dlatego, że pisał je ojciec Noris — wszystkie romanse Férauda. Pamiętał niektóre wyrażenia, cytował je w tym samym kwiecistym stylu, przejęty napozór fantastycznym! Przygodami bohaterów.

Noris, słysząc to, cieszyła się, że wspomnienie jej ojca żyje w pamięci człowieka, którego szanowała najwięcej.

— Dużo talentu jest w tych dziełach — mówił Ferdys. Autor miał niepowседневną fantazyę! Wierzył!

— Wierzył w zbyt wiele rzeczy! — przerwała Noris spuszczać głowę.

— Proszę pani! Jak życie w gruncie rzeczy jest niczem innym jak tylko rodzajem kłamstwa, o tyle warto je uważać za to, czym nie jest i wierzyć, że jest warte więcej, niż warte jest wistocie.

Z upodobaniem słyszała, że Rajmund przebaczał tę szaloną pogoń za ideałami, dzięki której Féraud umarł, a do której i ona także była skłonna.

Pragnęła przedewszystkiem, ażeby szanowano go po za grobem.

Pewnego dnia, powiedziała wypadkiem do Rajmunda, że jej właściwym imieniem nie było Noris, że Noris było jej przydomkiem, nadanym przez Férauda.

— Mojem prawdziwym imieniem jest imię mojej matki: Zuzanna!

— A więc pozwól mi pani, ażebym ją odtąd nazywał Zuzanną.

— Po co?

— Gdyż będzie to imię, które pani nosić będziesz wyłącznie dla mnie.

— Z ochotą! — odparła.

Tak więc, obudziło się wśród nich prawdziwe uczucie, miłość głęboka, miłość, gotowa do wszystkich poświęceń u Noris, do wszystkich wybuchów namiętności u Rajmunda, miłość, przykryta zasłoną przyjaźni!

Sądząc wistocie, że jest tylko przyjacielem tej kobiety, Ferdys miał dla niej uczucie daleko żywsze, a będąc w życiu stanowczym i zdecydowanym zawsze na wszystko, Rajmund nie próbując nawet analizować swoich wrażeń, był wobec Noris bardziej jeszcze stanowczym... Jego uczucie szalone, było uczuciem nie dopuszczającym rozbioru i niedającym się warunkować.

Pierwsze starcie z Renem dało tego dostateczne dowody.

W ministerium, marynarz pracował z większym jeszcze zapałem, czuwając nad każdą sprawą, chodząc od biura, gdzie był nawał roboty do Montsouris, gdzie śledził za doświadczeniami meteorologicznymi w gronie innych oficerów, zdumiewając swą pracą i gorączkową działalnością, zawsze trzeźwą jednak i zawsze umiarkowaną, admirała Pratier du Resnel, który mawiał doń z uśmiechem:

— Musisz być zakochanym, drogi Ferdys! Tylko zakochany człowiek może być równie zdumiewającym jak pan.

— Jestem zakochany w mojem zajęciu, admirale!

— Tak, trochę, być może, ale to nie wystarcza!.. Jest tu coś innego... Jest w tem kobieta... o tak, kobieta!!,

— Bardzo być może, panie ministrze, ale przyznać muszę, że ja nic o tem nie wiem!

— Och, och!... Tem gorzej!... Nie jest tu więc miłostka, ale namiętność ukryta.

Tylko takie uczucie bywa prawdziwym...

Namiętność ukryta!

Tak, ta miłość bojaźliwa, bojaźliwa, jak gdyby była występna, wprowadzała go w stan radosnego podrażnienia pierwszej gorączki młodzieńczej; i ten młodzian dwudziestosześcioletni, nie żyjąc wcale, łączył swą namiętność z zachwytemi, świeżością uczuć i burzliwością krwi młodzieńca w której wrogiem ludzki.

Nieraz udawali się razem, w pogodne ranki majowe, już nie na aleję akacyi, gdzie galopował cały świat modny, jak gdyby był u siebie w salonie, ale daleko dalej, w stronę Saint-Cloud, na bezludne drogi, zdążając aż ku Chaville albo Sevres, a to powietrze wiosenne, te drżące kasztany z pączkami białych kwiatów i te lilie, ta roślinność jeszcze błyszcząca rosą, wszystko to uśmiechało się do ich miłości, i jadąc, prowadzili rozmowę, straceni dla świata, głaskani promieniami słońca, muskani wiatrem, pod błado-niebieskiem wiosennym niebem.

Pewnego dnia, gdy przyszła im chęć osamotnienia, udali się do Wersalu.

Noris lubiła Wersal, gdzie tyle razy spacerowała z ojcem, który opowiadał jej dzieje i legendy tego pałacu i tych cienistych alei.

Ten wyraz opuszczenia, ta wielkość w ruinie, zawsze robiła głębokie wrażenie na Noris.

Sądziła, że i teraz, przechodząc po znajomych ścieżkach, dozna minionych wrażeń.

Ale jak ona tak i Rajmund zostali niepomiernie zdziwieni, znalazłszy w parku mnóstwo osób. Nie pamiętali o tem, że życie biegnie zwykłym try-

bem i że w Wersalu odbywa się w maju wystawa kwiatów, tak samo jak w Paryżu.

Weszli do wnętrza. Kwiaty! To rzecz warta widzenia, i oko ich wabiły róże, gwoździki, rododendrony, słowem olbrzymi bukiet, pełen różnobarwnych odcieni — zachwycająca gra kolorów, białych, liljowych, purpurowych, aksamitno miedzianych.

Pomimo to, Noris rzekła:

— Ponad te wszystkie kwiaty wystawowe przekładam najmniejszy bukietik fijołków za dwa grosze.

Wyszli, gdyż Noris uczuła zawrót głowy od tego chaosu pachnideł, na dworze młoda kobieta z rozkoszą odetchnęła powietrzem, a idąc w stronę bukietu królewskiego, wybierała aleje, w których przechodnie najmniej przeszkadzać by mogli ich miłosnym rozmowom.

Noris, spragniona samotności, chciała przejść do odległych zakątków parku, gdzie gałęzie roślin powłócząc się po ziemi, tworzyły tajemniczą altanę; ale przy bukiecie królewskim, znaleźli się prawie sami i tylko dzieci bawiły się w piasku, dwóch starców czytało gazety na dwóch ławkach, a z poza lilii wyglądały kaszkiety żołnierzy artyleryjskich; zdawało się słychać było głucho strzały; zapewne wojska odbywały manewry w Satory lub na wzgórzach Pikardyi.

Ztąd udali się przez opuszczone zakątki parku w stronę sadzawek, nie mówiąc prawie do siebie, szczęśliwi z tego samotnego spaceru, a niekiedy, gdy ścieżka była wązka, Rajmund puszczał Noris przed siebie i z zachwytem podziwiał tylko jej wiotką i powiewną postać i drobne nóżki odbijające ślady na brunatnej ziemi, gdyż głowa przykryta była parasolką.

Cień młodej kobiety migał się na trawie, na którą, jakby spuszczone deszcz gwiazdek białych, gdzie można było powiedzieć, drzenie drzew towarzyszyło miłosnej pieśni gniazd ptasich.

Nagle zatrzymali się. Noris spytała:

— Gdzie jesteśmy?

Rajmund nie wiedział. Zabłądzili. To bawiło Noris. Była to przygoda. Gdybyż noc zaskoczyła ich w lesie. Co za żart?

Wersal nie był daleko. Przez jaką szparę pomiędzy drzewami dostrzegą pewnie dach czarny, albo usłyszą dzwon kaplicy.

Było to jednak zabawne powiedzieć sobie, że tak blisko od Paryża, znajdowali się jakby na końcu świata.

Wtedy zaczęli pytać się o drogę.

Przy końcu jednej ścieżki spotkali dziewczynkę, trzymającą w rękę bukiet, bukiet z kwiatów polnych i z fiołków.

— Patrz pan — rzekła Noris — wspominałam o kwiatkach naturalnych. Oto są.

Dziecko o białych lnianych włosach, z oczyma żywymi, ale z wyglądem biednym, spojrzęło na piękną damę, przyglądającą się jej kwiatkom.

— Czy odstąpisz mi ten bukiet? — zapytał Rajmund.

— Odstąpisz?

— Nie darmo. Czy chcesz go sprzedać?

— I owszem proszę państwa. Bo ja nieraz noszę kwiaty na targ dla ojca Truelle, który ma sklep w Paryżu. To się sprzedaje paryżanom.

— Dajże pani ten bukiet.

Dziecko podało Noris bukiet fijołków otoczonych jak fryzyczką białemi polnemi kwiatami.

— Ach, jaki ładny — rzekła Noris — a jak pachnie!

Ukryła twarz w bukiecie, a z ponad kwiatów jej duie, czarne oczy jaśniały szczęściem.

— Czy ty się zajmujesz tylko zbieraniem kwiatów? zapytał Kajmund dziewczynki.

Mała skłoniła główkę z minką bardzo dumną i bardzo smutną zarazem.

— O tak, teraz zbieram tylko fijołki, bo się już nie długo skończą... To już ostatnie... Ale jak ich niema pomagam tatusiowi: pracuję razem z nim.

— A czym się twój ojciec zajmuje?

— Jest kowalem w Montreuil.

— Masz braci, siostry?

— Jest nas siedmioro. Czwooro mniejszych odemnie, a dwoje większych.

— I wszyscy pracują?

— Naturalnie! — odparła dziewczeczka. Z wyjątkiem najmniejszych, które mnie zaledwie sięgają do pasa, reszta musi sobie zawsze zarobić na życie. Bez tego, to zaraz... Thibaude...

Zrobiła gest, dający poznać, że różga byłaby w robocie.

— A cóż za jedna ta Thibaude? — spytała Noris, wpatrując się czarnymi oczyma w niebieskie oczęta maleńkiej.

— Thibaude?... To jest... to... to.. Thibaude!

— Służąca?

Mała cofnęła się z przestachem, rozglądając się dokoła, jak gdyby Thibaude mogła usłyszeć i rozgniewać się.

— Thibaude, służąca? O nie!... To wdowa Thibaude.. rodem z Velizy... z którą tatuś ożenił się po śmierci matusi, gdyż, jak nam powiedział, ona ma głowę i będzie dobrze zarządzać domem. To prawda, że może lepiej zarządza, niż matusia, ale jednak ona i matusia to nie wszystko jedno!...

— Dla ciebie? — spytała Noris.

— Dla mnie i dla innych... O, ona nie żartuje ani ze mną, ani z braciszkami, ani z siostrzyczkami... Krzyczy, łaje, bije nas!... Tak!

— A cóż twój ojciec na to?

— Och, tatuś...

Mała wzruszyła ramionami, jakby chcąc dać poznać, że ojciec jej nie ma głosu w domu.

— Tatuś jest za dobry, jak mówią ludzie... Jest za słaby... A zresztą...

Przechyliła główkę i uderzając palcami po szyi, rzekła:

— A zresztą on pije! Tatuś nie jest wesoły. Żałuję matusi! Może go to smuci, że widzi, jak nas nie lubi wdowa Thibaude... Wtedy porywa flaszkę... O tak, on nie jest zły... Za dobry, powiadam pani.

Zatrzymała się, jak gdyby czując, że powiedziała za. wiele i że matka Thibaude miałaby sposobność poskromienia jej gadatliwości.

Wtedy Rajmund wsunął jej w rączkę sztukę złotej monety, na którą dziecko spoglądało okrągłymi oczyma, zdziwione blaskiem złota — mówiąc:

— To dla twych braciszków i siostrzyczek. Ale nie pokazuj tego wdowie Thibaude.

— Dziesięć franków! — powtarzała dziewczynka. Dziesięć franków! Za ten bukietik!.. Ale to za te pieniądze możnaby pani dodać jeszcze bodłaku... Czy chce pani bodłaku? Dziesięć franków to za wiele!

— Dla siedmiorga! — rzekł Rajmund z uśmiechem. Nie, to nie za wiele. Ale to nie dla ciebie samej!

— Gdzież ja podzieje tyle pieniędzy? — spytała dziewczyna. Gdyby mamusia żyła, tobym jej oddała!..

— A twój tatuś?

— Tatuś! — odparła prawie rubasznie!. No, a Thibaude?

— Thibaude, dasz jej to, żeby nie gderała!

Rajmund wręczył jej sztukę srebrną.

— To jest tym razem wartość twoich kwiatków. Zostawili ją na oglądaniu i obracaniu monety złotej, i dotarłszy do alei wiodących do Wersalu, rozmawiali o tem dziecku, które będąc jeszcze bitem, niepewne i błędne, już nabierało świadomości życia.

— Doprawdy — rzekła Noris — życie jest mniej wesołe od operetki.

Później, spoglądając na swój bukiet fijołków, dodała:

— Ale bywają dni szczęścia, które każą o wszystkim zapomnieć.

Wchodząc do wagonu dla udania się do Paryża, do tego Paryża, gdzie będą zmuszeni rozstać się ze sobą, gdzie byli zmuszeni powrócić na swoje stanowiska społeczne, ona, jako metresa wielkiego księcia, on jako prawa ręka ministra — Noris ozwała się głosem tak czułym, jakiego nie używała już od lat wielu, jakiego nie używała może nigdy jeszcze.

— Czy widzisz pan ten bukiet pasierbicy wdowy Thibaude? Otóż możesz się pan śmiać ze mnie, ale ja się z nim nigdy nie rozstanę. Lubię go

bardziej, sto razy bardziej, aniżeli te wszystkie rzadkie kwiaty, któreśmy tam widzieli. Chętnie sama zbierałabym te fijołki dla przechowania ich. Dzień dzisiejszy będzie najszczęśliwszym dniem w mem życiu..Zuzanno!

Wyjęła ze środka parę fijołków i podała je Rajmundowi.

— Zachowaj pan je także na pamiątkę dnia dzisiejszego!... Gdy mnie pan już nie będziesz kochał, odeszlesz mi te fijołki... Ale ja... o, ja... nigdy nie odeszlę panu moich... nigdy!...

Jeszcze nie powiedzieli sobie, że się kochali, a już mówili sobie: — gdy mnie kochać nie będziesz!...

Koniec części drugiej.

Część trzecia.

I.

Rajmund de Ferdys pokochał Noris miłością pełną szacunku, ale zarazem zdolną do wszelkich szaleństw i poświęceń.

Kochał ją, czuł, że w całym Paryżu o niej jednej tylko warto było myśleć, nią jedną się tylko zajmować!

Stało się to powoli koniecznością wszystkich jego potrzeb, wszystkich jego myśli.

I on także, zarówno jak Noris, zaliczył dzień przechadzki po parku Wersalskim do najszcześniejszych dni swego życia.

Przy rozstawaniu się z Zuzanną przed jej pałacem doznał uczucia niewysłowionego bólu. Zdało mu się, że coś zapadło jak kurtyna w teatrze, albo garść piasku na przedmiot skończony, zdawało mu się, że jej już nigdy nie zobaczy.

Byłóż to snem czy rzeczywistością?

Przez świętą naiwność, właściwą każdej miłości, poprzysiągł sobie, tak jak Noris, zachować starannie te fijołki dziecka. I nie śmiał już powrócić na ulicę Jouffroy; lękał się, ażeby mu się nie wymknęła cała tajemnica, obawiał się ażeby nie wyznać pannie Féraud to, o czym ona już przecie wiedziała, że ją ubóstwiał i że ta miłość jedyna, głębsza z dniem każdym, nakazywała mu zapomnieć o wszystkim, co nie było z nią związane.

Nie odwiedzał jednak Noris, gdyż starał się oprzeć jeszcze tej gorączce, a chcąc przytłumić uczucie, podwoił swą pracę w ministryum, wieczorami zaś bywał po całym Paryżu, gdzie tylko mógł znaleźć rozrywkę i zapomnienie.

Ale wszędzie prześladował go jeżeli nie obraz, to przynajmniej myśl o Noris.

Teatr, który żyje z miłości i którego żoną jest Muza, mówił mu o niej. Samotność lasku bulońskiego, noc, wszystko pełne było widm, w których poznawał Noris.

Nawet w chwili, gdy na polach Elizejskich w jakim Café-Chantant przypatrywał się cynicznym skokom i wyzywającym ruchom, gdy słuchał piosenek śpiewanych ochryłym głosem, nawet i wtedy myśli Rajmunda znajdowały się przy lubej.

Było to jakby opętanie, ale opętanie pełne takiego uroku, że Rajmund nie starał się bynajmniej mu zapobiedz.

Czuł się szczęśliwym, że mógł myśleć o Noris. Chciał był wszystkim powiedzieć, ile go zajmowała ta istota piękna i szlachetna.

Był jednak ktoś — jedyny na świecie, z kim mógłby mówić o niej, a który zresztą

— Rajmund dostrzegł to dobrze — od czasu skandalu w cyrku, często go o nią zagadywał.

Był nim René.

To opętanie, jakie uczuwał Ferdys, dotknęło także i Chantenaya, z domieszką gniewu, i książę, na myśl o Noris doznawał nerwowego drżenia, jak zwykle wobec widma.

Nie był przyzwyczajony do pobierania takich lekcji i nie przyjmował ich chętnie.

Przykro mu było że rozstał się z Noris w taki sposób.

Schować komplement do kieszeni, jak mówił, nie było zbyt właściwym według jego zdania.

A nadomiar wszystkiego, Rajmund z dniem każdym zaskarbiał sobie coraz większe łaski u panny Féraud!

Zdawało się Renemu, że ta sympatya, jaką te dwie istoty okazują sobie nawzajem, była rodzajem zemsty na nim zarówno ze strony Noris, jak ze strony Rajmunda.

To go nudziło, gniewało i podniecało zarazem.

A przytem, ta nowa kobiety, w jaką przekształciła się Noris, wydawała mu się, tak ponętą, prawdziwie zadziwiającą i piękną, że trudno było uwierzyć, iż wdzięki młodego dziewczątka mogły się rozwinąć aż do takiej wspaniałości!

— Co mi się książę tak przyglądasz? — zapytała pewnego dnia pani de Montépreux Chantenaya. Patrzysz tak na mnie, jakbyś mnie nie znał! Dlaczego się patrzył Chantenay? Porównywał blondynkę hrabinę z Noris, a łzawe błyski czarnych wielkich oczu panny Féraud wydawały mu się bardziej przejmujące, aniżeli niebieskie łagodne wejrzenie hrabiny.

Jacquelina, wiedzioną przecuciem, dopatrzyła się niebezpieczeństwa.

Uchwyciła w oczach Renégo marzenia, które nie były refleksya, a raczej pożądaniem — pożądaniem nie iei ale innej kobiety!

Wtedy przyszło jej na myśl oszołomić księcia, podniecić go i wtrącić w chaos, jakby w wir walca z jej ojczyzny.

Wynajdywała dla nierozstawania się z nim, przeróżne zabawy, właściwe pospolitym dziewczętom i gdzie tylko mogła afiszowała swe głośnie nazwisko de Montépreux.

Bywali w Chantilly, rozmawiając głośno, śmiejąc się, hałasując.

W Paryżu, pociągała przyjaciół księcia, wielkiego Nestora, hrabiego de Marsan do szynkowni i małych teatrzyków.

Widziano ich pewnego wieczoru, panów w białych krawatach, panią w toalecie balowej, w jednej z łóż w teatrze Walhalla.

Nazajutrz, hrabina i przyjaciele kwiatu szyku obiadowali na tarasie kawiarni Ambasadorów, a Jacquelina, oddychając świeżem powietrzem, wonią drzew pomieszana z wyziewami szampana i dymem cygar, bawiła się, zachwycała się tą wypadkową muzyką i tą swobodą high-life'u.

Podwoiła wesołość, dowcip, serdeczne głośnie wybuchy śmiechu, ukazując oślepiająco białe ząbki, i za jaką, bądź cenę, pragnęła w ten sposób powstrzymać od ucieczki tego księcia Renégo, który już chłodnął dla niej, stawał się przy niej znudzonym i myślał o innej.

Przyjaciele Chantenaya znajdowali, że Jacquelina jest nieporównaną, i oświadczyli, że zakochają się w niej do szaleństwa, jeżeli kwiat szyku nie pojmie jej za małżonkę. Twierdzili, że nie ma piękniejszej kobiety od niej.

— Ani domyślacie się panowie, jaką mi dzisiaj zrobiono propozycję? — rzekła pani de Montepreux, stojąc oparta o balustradę restauracyi, podczas, gdy pod zielonemi kasztanami, jasno oświetlonemi gazem, w tem morzu światła i wesela, wybuchały śmiechy przy akompaniamencie odgłosów z otwieranych flaszek Roederera, i podczas, gdy, jakby na jakim kiermaszu

międzynarodowym, paryżaneczki w aksamitnych wyszywanych gorsetach uśmiechały się do obiadujących klubmenów albo rastakuerów.

— Ciekawi jesteśmy tej propozycji! — odparł hrabicz de Marsan, siedzący obok Nestora d'Aubreval, wielkiego Nestora, wprost Jacquelinesy wspartej na łokciach obok Chantenay'a.

— Najdziwniejsza w świecie — odparła hrabina. Jedna z tysiąca! Zaproponowano mi...

— Królestwo? Nie byłoby w tem nic dziwnego — rzekł Marsan.

— Nie, nie królestwo. Rzecz praktyczniejszą. Jakiś amerykańnin, fotograf amerykański, — doprawdy, na to potrzeba tylko amerykańnina — przybył prosić mnie na wszystko, o zapewnienie mu majątku przez wyłączne fotografowanie się u niego!

Pragnie odbijać mój portret w całych belach i daje mi sto procent zysku! Oto do czego doszłam moi panowie.

— No, ale to dowodzi, że amerykanie mają gust — rzekł Marsan.

— Ale kto mu podszeptał tę myśl — zapytał niedbale Chantenay.

— Kto? Dziennik! Ten Gardanne. któremu zawsze strzela do głowy opisywać kobiety wielkiego świata i aktorki, pozwolił sobie wydrukować w jednej ze swych kronik, że jestem jakoby najpiękniejszą z paryżanek, co Paryżowi pewno nie na rękę, ponieważ jestem austryczką!... Otóż mój fotograf amerykańnin, zamieszkały w Grand-Hotelu przeczytał ten artykuł i udał się wprost na ulicę Saint-Dominique.

— Wiedział pani adres?

— O, jankesi są bardzo praktyczni. Wynałazł go na jednym z afiszów. Figuruje tam jako jedna z gospodyń balu, który odbędzie się w Hotel-Continental na rzecz przytułku dla moralnie zaniedbanych.

— Dobrze tak pani — odparł Rene. Wszak nawet aktorki nie drukują adresów swoich na afiszach.

Pani de Montépreux zaczęła się śmiać, zdziwiona zdaniem księcia.

— Jakto? Książę stajesz się takim purytaninem?

— Lubiałem zawsze umiarkowanie we wszystkim.

— I szyk. Otóż dowiedz się książę, że to jest bardzo modne afiszować się na dobroczynność.

— Wszystko to dowodzi tylko — zakonkludował d'Aubreval ze śmiechem, że fotograf jankes źle się wybrał i że Gardanne nie postąpił wcale nedorzecznie. Ja, gdybym był fotografem, ja, który mówię do państwa, chętnie zdjął bym jeden tylko jedyny portret, mianowicie hrabiny i rozbił bym wszystkie inne szkła jak malarze — choć nigdy niczego nie łamią — a mówią, że łamią swoje pędzle.

Na scenie kawiarni, rzeźbiście oświetlonej, jakaś rosła szansonetka, wymachując rękoma, śpiewała cyniczne kuplety, pobudzające do wybuchów śmiechu tłum, siedzący na tarasie.

Jacqueline słyszała tylko niektóre wyrazy: ale śmiała się szalenie i udawała że zatyka uszy, gdy z niesłychanym hałasem całe audytoryum domagało się powtórzenia kupletu przez nieustanne i krzykliwe: bis, bis!

— Bis! bis! bis!

— Wiecie panowie, musiało to być coś ładnego, co śpiewała ta panna, a my nie słuchamy!.. Słuchajmyż!

— Słuchajmy! Śpiewaczka oświetlona nierównym blaskiem lamp gazowych, z twarzą czarną u góry, a czerwoną u dołu, powtórzyła następującą strofę:

Jestem sobie rybką, złotą,
Krocie wdzięków mam,
Lecz ta rybka nie dla ciebie
Przyznaj Guciu, sam.

A choć mama ma w pończoszcze
Groszy straszną, moc,
Nie dostaniesz z nich ni krztyнки,
Boś, Guteńku, kloc.

Oj to nie szyk,
Mazgaja mina,
Kwik, kwik, kwik, kwik,
Jak prosięcina.

Próżno posiąść mnie,
Pan Gustawek chce...
Choć mnie kocha, wyznam szczerze,
Że go mam za głupie zwierzę.

Entuzjazm publiczności przeszedł wszelkie granice.

Domagano się ponownego powtórzenia kupletu; wołano o tę niesmaczną elukubrację, chciano usłyszeć tę piosnkę, tchnąca, rysztokiem, chciano raz jeszcze z ust tej wyuzdanej dziewczyny nasycić się błazenadą, na temat: mówię szczerze, żeś ty zwierzę.

Jacquelina de Montépreux była zachwyconą. Śmiała się na krześle, wsparta obnażonymi ramionami o balustradę jak w łoży teatru, a pomimo, że kuplet został już powtórzony i śpiewaczka zakrzyczana oklaskami zesłała ze sceny, hrabina wesoła aż do szaleństwa sama powtarzała część strofki:

Bo ci, Guciu, mówie, szczerze,
Żeś ty dla mnie głupie zwierzę.

W czasie swej gestykulacji obróciła się i spostrzegła przy jednym ze stołów na tarasie, pięknego mężczyznę z wyszwarcowanym wąsem, siedzącego z ładną kobietą w toalecie białej; poznała go od razu i zwróciwszy się do Renégo, rzekła:

— Patrz, twój wuj!

Był to wistocie Ferdys.

Spostrzegł z dołu Małgorzatę Brunier obiadującą samotnie i przyszedł dotrzymać jej towarzystwa, rozmawiając i patrząc jak rozbierała kurczę, sam bowiem jadł już obiad w klubie.

Markiz doskonale widział hrabinę de Montépreux i jej przyjaciół, ale przez wrodzoną sobie dyskrecję udał, że ich niepoznaje.

W takich razach był zwykle nadzwyczaj delikatny.

Ale Jacqueline nie chciałyby najmniej się ukrywać przeciwnie, spoglądała na Margot jaknajuporczywiej, ażeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Wiedziała ona dobrze, iż Małgorzata Brunier była przyjaciółką tej panny Féraud, dla której Rene bił się przecie w zeszłym miesiącu i w której ten szalony kwiat szyku był gotów zakochać się powtórnie.

Rada była dowiedzieć się od Margot, co też Noris myślała o Renem i czy czasami książę de Chantenay nie złożył wizyty przy ulicy Jouffroy, po odbyciu pojedynku.

Ale Ferdys uparcie nie poznawał ani siostrzeńca, ani pani de Montépreux, ani żadnego z ich współbiesiadników. Gdy obiad się skończył, Rene wstał trochę podniecony szampanem, a pani de Montépreux zarzuciła na swe prześliczne ramiona lekką okrywkę, zabierając się do wyjścia; w tem na progu tarasu ukazał się

Rajmund de Ferdys.

Hrabina go spostrzegła i zawołała wesoło:

— Patrz książę! Oto znowu twój kuzyn. Doprawdy, można powiedzieć, że jesteśmy w gronie familijnem!

Chantenay równie dobrze spostrzegł wchodzącego Rajmunda. Zrobił grymas, który miał oznaczać uśmiech i dał znak kuzynowi, ażeby się przybliżył.

— Oto mój drogi, stół wolny! Ustępujemy ci miejsca.

— Dobry wieczór, panie de Ferdys.

I Jacqueline wyciągnęła do Rajmunda swą drobną, piękną i delikatną rączkę.

Rajmund zdawał się być trochę niezadowolonym ze spotkania Reného, a książkę odgadując, ozwał się z ciągłym uśmiechem:

— My odchodzimy. Nie będziemy ci przerywać samotności, lejtenancie Hamlecie!...

Doprawdy masz taką postać, jak gdybyś zapożyczył wesołości u Werthera. Spojrz tylko na swego ojca, i bierz z niego przykład.

— Mego ojca?

Pani de Montépreux, kładąc rękawiczki, wskazała głową stół przy którym

Małgorzata Brunier jadła obiad obok markizę.

Nie spostrzegła, jak Rajmund zmięszął się na razie.

Gorączkowo podniósł głowę i skłoniwszy się Jacquelinie, postąpił kilka kroków w stronę schodów, chcąc odejść.

— Jako? Wychodzisz? — zapytał René.

— Wychodzę.

Markiz de Perdys, ujrawszy Rajmunda, przypatrywał mu się z ukosa, nie stracił ani jednego ruchu syna, i czuł wlepiony w siebie wzrok Rajmunda, pełen wymówek.

— Co ci jest, markizie? — spytała go Margot.

— Mnie?... Nic! Zamyśliłem się.

René, tłumiąc śmiech, zwrócił się do przyjaciół i rzekł do hrabiny:

— A co? Jak się wam podoba mój kuzynek? Pyszny okaz, nie prawdaż? Zupełnie jak dziki.

— Ale może się jednak podobać — odparła Jacquelina. Podług mnie, jest on bardzo na swoim miejscu. Naturalnie, książę masz więcej zalet — dodała skwapliwie. Nie bądź zazdrosny.

Hrabiątko de Marsan i wielki Nestor usunęli się, aby ją przepuścić, i młodzi ludzie idąc za hrabiną, popycham przez służbę na schodach, wyszli nareszcie na ulicę, ażeby udać się do lasku.

Jacqueline rzuciła ostatnie spojrzenie na estradę kawiarni, gdzie jakiś duet śpiewano przy akompaniamencie bębenków i zanuciła raz jeszcze machinalnie:

... mówię szczerze,
Żeś ty dla mnie głupie zwierzę.

Tłumy ludu stały przed drzwiami kawiarni.

Tłoczono się przy afiszach, ażeby choć z daleka usłyszeć bodaj cząstkę piosenek, które hrabina unosiła jak zabawne wspomnienie, jak echo szaleństwa.

Doszedłszy do drzwi, René, który ujął hrabinę de Montépreux pod ramię, odepchnął zlekka jakiegoś starego jegomościa w jasnym kapeluszu, idącego powoli, i tamującego szerokiemi krokami przejście.

Czując się obrażonym, jegomość, wsparty na lasce, obrócił się szybko, René ujrzał siwego starca o sutych wąsach i zmęczonym wzroku.

— Mógłbyś pan przecie zaczekać, zanim ja przejdę — ozwał się starzec.

— Mógłbyś pan iść prędzej — odparł René tonem lekceważącym.

— Ale ja nie mogę chodzić prędko, noga mnie boli. To mówiąc, wskazał laską na swą prawą nogę, obandażowaną i obutą w duży trzewik wojłkowy.

— Kiedy się ma taką nogę — rzekł René, wstrzymując się od śmiechu, to się nie przychodzi do café-chantant!. Przepraszam — śpieszno mi... To nie moja wina, że pan masz podagrę...

Zaczął się śmiać, ale nagle stary jegomość odwrócił się, nasrożył brwi, przeszył go wzrokiem i rzekł:

— Pan jesteście księciem Beaumartel de Chantenay. Znam pana doskonale. Ja zaś, jestem generał Robin. Czy to nazwisko nic panu nie przypomina? Tem gorzej. Generał wskazał na markiza de Ferdys, który właśnie schodził sam jeden i zbliżał się ku nim:

— Zapytaj się pan pana de Ferdys! To on i ja, czuwaliśmy nad łóżem ojca pańskiego w ambulansie.

Rene niezadowolony, nieco blady i pomieszany, patrzył na Robina, który wsparty na lasce, z czerwoną wstążeczką na szarym surducie, dodał, jak gdyby miał przemowę do żołnierza w czasie rewii.

— Ojciec pański jedno tylko zalecał panu na łożu śmierci, mianowicie: skończyć jak on, uczciwie, czysto! Nie wiem, jakby mu się to podobało, gdyby wiedział, że pan pomiatasz starcami!

Generał podniósł rękę do kapelusza, rzekł do pani de Montépreux "przepraszam panią" i podał rękę markizowi, który już zbliżył się do nich.

Ferdys, powiedzże twemu siostrzeńcowi, że nie trzeba się tak wyśmiewać z kulawych. Na tej drodze, po której stąpa, nie wiadomo, czy doczeka

się starych kości: nie będzie miał nawet czasu dostać podagry, jak się wyraził!!..

I kulejąc, Robin oddalił się, podczas, gdy tłum usuwał się przed nim z szacunkiem, a Rene, znajdując się jeszcze we wnętrzu kawiarni, zły, zirytowany, zawstydzony przy świadkach, badał spojrzeniem swych towarzyszków, jakby pragnął ich rady, jak ma postąpić.

Pani de Montépreux rzekła doń wesoło:

— Doprawdy, mój drogi książę, nie masz jakoś powodzenia od pewnego czasu pomiędzy ludźmi!

— Posąg komendanta... dowódcy... generała!... — rzekł hrabia de Marsan. Szkoda, żeś go nie zaprosił na kolację Rene!

— Doprawdy! — ozwał się wielki Nestor. Pojedynek na szampańskie To zabójstwo dla takiego kuternogi.

Ale księciu nie było do żartów.

Czuł się śmiesznym, jak żak złapany na gorącym uczynku.

A markiz de Ferdys, zbliżający się doń, szepnął mu do ucha, odprowadzając go aż do powozu, czekającego na ulicy.

— Wiesz, co ci powiem, Rene? Otrzymaliśmy dziś obydwu małą nauczkę! Robin palnął słowa prawdy tobie, a Rajmund mnie zrobił uwagę po swojemu, ustępując mi miejsca. Czy tylko to poprawi nas, drogi siostrzeńcze?

II

Mała nauczka, jak się markiz wyraził, dana przez generała Robina, wpłynęła o tyle tylko na księcia Reného Beaumartel de Chantenay, że przypomniał sobie o nauczce otrzymanej od Noris.

Pragnął teraz jednego tylko, ażeby otrząsnąć się z podwójnej śmieszności, mianowicie, pragnął pokazać Marsan'owi, d'Aubreval'owi i innym, że słowa panny Féraud były mu zarówno obojętne, jak morały generała Robina.

— Cóż znowu! — rzekł doń markiz ojciec. — Ze starym wojakiem możesz się jeszcze strzelać. Przyjmie twoich świadków, jakkolwiek byłoby to absurdem... Ale Noris... Ona nie przyjmie ciebie!

— Mnie nie przyjmie, mnie?

— Tak przypuszczam.

I Chantenay uczuł, że próżność jego cierpi niepomierne.

Wiedział dobrze, że mówiono mu prawdę. Był sam z siebie niezadowolony, podniecany podwójni]; żądzą ujrzenia Noris i przekonania swoich przyjaciół, że był zawsze kwiatem szyku, niezwyciężonym, nieporównanym, pogromcą paryżanek, jak stary Engelbert Saracenów: Muolt fier, mult fiert.

Odwaga dopisywała mu zawsze. A więc będzie miał odwagę.

Uda się wprost do Noris. Przedstawi się u niej, złoży jej wizytę. Przekona się sam, co też ona powie, i jaką mu da odpowiedź, jeżeli ośmieli się go wypędzić.

Wypędzić! Cóż znowu!

Nie mogło mu się pomieścić w głowie, ażeby kiedykolwiek nie przestąpił progu tej kobiety, jako zwycięzca.

A zresztą, czyż miłość własna gra jaką rolę w miłości?

A była to prawdziwa miłość, albo niepoohamowana namiętność dziwnie podobna do miłości, namiętność, którą uczuwał dla Noris, tak znieenacka wskrzeszonej w jego umyśle.

Tak, odwiedzi ją bez uprzedniego zawiadomienia jej o tem, zjawi się niespodzianie w pałacu przy ulicy Jouffroy, tak jak ona przed" pięciu laty zjawiła się w pałacu przy ulicy Van-Dycka.

Cóż za zbieg wypadków! On, on, Chantenay! ryzykował teraz być wyrzuconym za drzwi!

Ba! "Nowa kobieta" w jaką przeistoczyła się Noris, warta była tak drobnych poświęceń!

Jeżeli zresztą przyjmowała Rajmunda, dla czegożby jego nie miała przyjąć?

I oto, pewnego dnia około czwartej po południu, Rene, udał się do Noris, a zatrzymawszy powóz przeddrzwiami jej pałacu, podał swą kartę wizytową służącemu, który mu drzwi otworzył i oświadczył, że pani wyszła.

— Proszę wręczyć pani mój bilet! — powtórzył książę wyniośle.

— Ale pani doprawdy wyszła! — odparł wygalonowany sługus, spoglądając na bilet.

— Czy prędko powróci?

— Niezadługo.

— To ja zaczekam!

Wprowadzono go do białego saloniku, gdzie Noris siadywała zazwyczaj, jeżeli nie była zamknięta, na pierwsze piętro, do tej biblioteki sąsiadującej z jej pokojem, którą tak lubiła.

Rene, czekając, oglądał wszystko dokoła, statuetki z porcelany saskiej, figurki z Tanagry, przedmioty japońskie i zatrzymał się przed obrazem, przedstawiającym głowę żydówki czy turczynki z cekinami na czole, rażąco Przypominającej Noris. Zdawało mu się, że widział to już kiedyś. Ale malowidła tak są do siebie podobne!

Stojąc przed obrazem, przypatrywał mu się jeszcze, gdy turkot powozu pociągnął go do okna.

Z poza firanek dostrzegł Noris, ubraną jak zwykle, czarno, wysiadającą z powozu.

Przez chwilę zatrzymała się przed powozem księcia, spojrzała na herby, widniejące na drzwiczkach i szybko wbiegła do pałacu.

Więc już Noris wie, że on jest u niej! Tem lepiej! Chantenay był przygotowany na wszystko.

Powie mu pewno przez służącego, że nie przyjmuje, albo prawdopodobniej, zrobi sobie sama tę satysfakcję.

Ale byłby bardzo zdziwiony, gdyby Noris nie chciała sobie zrobić tej kobiecej przyjemności, znalezienia się z nim oko w oko. Rene znał dobrze kobiety!

Drzwi salonu otwarły się z trzaskiem i Noris wistocie nadzwyczaj błada, ukazała się w kapeluszu na głowie, zdzierając gorączkowo szwedzkie rękawiczki.

Wydała mu się w takim podrażnieniu jeszcze ponętniejszą, niż owego wieczoru, gdy spotkał ją w korytarzu cyrkowym.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała Noris, nie postępując naprzód i mierząc wzrokiem tego wytwornisia, który z widocznym wzruszeniem przygryzał swój biały wąsik.

Zdjął z prawego oka monokl, a światło z okien wyraźnie zarysowało jego blado-niebieskie oczy.

Noris wyczytała w nich pomieszenie.

Miała ochotę zadzwonić i kazać odprowadzić Reného aż na ulicę.

Ale spojrzawszy nań i dostrzegłszy w tym arogancie dawnym, jakby wyraz błagalny, przyszła jej raptowna fantazja, pełna dzikiego zadowolenia, powiedzieć temu człowiekowi wszystko, co myślała o nim, a ponieważ ukazał się, wpić weń paznogie z całą rubasnością.

Ach, powrócił! Zjawił się przecie! Śmiał przybyć po krzywdzie, jaką mu wyrządziła publicznie!... Dowiedzmyż się po co przyszedł. Czego żąda? Co ma na swem plugawem sercu?

— Książę pragniesz ze mną pomówić? — zapytała głosem cierpkim i ostrym jak ostrze miecza.

— Tak jest, — odparł René, od pięciu lat pragnę porozumieć się z panią.

Zrobił nacisk na słowach pięciu lat — przeciąg czasu, który tak dziwnie pozmieniał ich role. Noris roześmiała się okropnie.

— Pięć lat! — rzekła. O, to długi przeciąg czasu! I czy to dzięki mej... uprzejmości owego wieczoru, zdecydowałeś się pan nareszcie na krok ten? Ha, niech i tak będzie. Ponieważ idzie o porozumienie, porozumiejmy się.

Możesz pan usiąść; sądzę bowiem, że porozumienie nasze będzie dość długie. Dobrześ pan trafił, właśnie mam czas wolny!

Rzuciła rękawiczki na kominek, odpięła kapelusz, i z obnażoną głową, piękna zachwycająco przy promieniach światła, połyskujących na jej czole i czarnych kędziorkach, siadła wprost Reného i skierowała nań wzrok spokojny i zimny.

Książe ułożył sobie uprzednio plan szturmu. Wiedział on, że chwile w tego rodzaju spotkaniach mają znaczenie godzin.

Taktyk przystąpił wprost do rzeczy: — Wie pani, miałaś pani zupełną słuszność traktowania mnie owego wieczoru tak, jak postąpiłaś pani.

— Czy być może? — zapytała Noris szyderczo. Doprawdy, jestem zachwyconą, że pan przyznajesz mi słuszność.

— Byłem z panią okrutny, Noris!

— Okrutny?... Pochlebiasz pan sobie! Byłeś pan raczej... szukam wyrazu i nie znajduję go... Mniejsza o to. Czasu szkoda i epitet nie przydałby się na nic!

— Zgadujesz pani zapewne — mówił dalej René — że jeżeli przychodzę tu, to po długim namyśle, po długim wahaniu.

— Nie, nie zgaduję... Nie chcę nic zgadywać. Pan mi to mówi, wierzę. Wiesz pan przecie, że jestem przyzwyczajoną wierzyć panu.

Wszystko co mówiła, z uśmiechem na ustach, prawie obojętnie, policzkowało Chantenaya, jak ironia słodka i nieszkodliwa.

Zdawało się, że Noris żartuje sobie i tylko od czasu do czasu po jej czarnych oczach przebiegał błysk, jak raptowny wybuch gniewu.

Największe miała zadowolenie, zadowolenie pełne goryczy jednak, drażnić po troszeczkę tego człowieka, kiedyś ubóstwianego, dziś nienawidzonego, którego próżności żądza, czy nowa namiętność — nie wiedziała jaki właściwie nieoczekiwany egoizm — popchnęły go do jej mieszkania, tak jak kiedyś, ona, nieszczęśliwa, znajdowała się na jego łasce.

— Noris! — rzekł książę, przybierając w głosie dawną czułość, chciałbym, żebyś pani mogła czytać w głębiach mej myśli. Często myślałem o pani... często...

— Często?... To nie dosyć! Ja o panu ciągle myślę.

— Jesteś pani złośliwą, ale masz do tego prawo... i gdy myślę o... naszej przeszłości... to... przysięgam pani, myślę z żalem... z wyrzutami...

— Tak?... Ktoś mi to już mówił, ale nie wierzyłam.

— Ktoś? Któż właściwie?

— Gardanne. Pan wiesz, że dzisiaj wszystkie nowiny dochodzą nas przez reporterów!

— A więc, jeżeli Gardanne pani to powiedział, był więc dobrze poinformowany, co mu się rzadko zdarza. Tak żałuję owej przeszłości — żałuję... powtarzam to pani... Przeszłość nasza była tak piękną! Tak słodką!... To raj utracony!

— Jakie to romansowe w ustach takiego człowieka, jak pan! — rzekła Noris!... Ale pan nie utracił tego raju, jeżeli to był raj wistocie... Paneś go zrujnował... Opuścił go pan bez najmniejszych wyrzutów, o których pan mówisz!.. I po co wskrzeszać dzisiaj popioły przeszłości?...

— Po co? Czyż mnie pani jeszcze nie zrozumiała?

— Lękam się pana zrozumieć i wdzięczną byłabym panu, gdybyś mi powiedział, czy przychodzisz pan zakomunikować mi co ważnego, czy tylko zabawić mnie zbyteczną frazeologią? Ach, widzę, że pana zadziwiam? to dla tego, że nie jestem już tą samą kobietą, drogi książę! Powiadają, że serce pęka — to nie prawda, ono twardnieje.

Beaumartel, głosem bardzo zniżonym, próbując zbliżyć się do Noris, rozpoczął seryę banalnych przeprosin...

— Trzeba mi przebaczyć... moja matka... moja rodzina...

Noris przerwała mu:

— Nie mów mi pan o tem. Takie uniewinnienia dobre są dla gryzетки. A ja przecież nią nie jestem. Kobiety takie jak ja nietylko mogą patrzeć oko w oko prawdzie, ale i odgadywać ją nawet. Ryzykują całą swoją egzystencję wobec pierwszej miłości. Spotkałam pana na mojej drodze. Ryzykowałam i... trudno... musiałam przegrać. Ach, pan marzysz o tem, ażeby być kochanym! Ależ ja byłabym pana ubóstwiała przez całe moje życie! To się panu wydało zbyt długiem, zbyt nudnem...

— Zbyt niebezpiecznem — szepnął książę.

— To wszystko jedno! Oczywiście było niebezpieczeństwo, ponieważ szło o pańską przyszłość. Jakto! Książę de Chantenay pieśczoney, uwielbiany, miałby nie być dość wielkim panem, ażeby nie wziąć za nałożnicę dziewczyny wierzącej, naiwnej! ale to pewna — mówiłam, to już zdaje mi się, panu, kiedy mnie to obchodziło — tak, to pewna, że istnieją względy urodzenia, sławni przodkowie wobec których niepodobna pojąć za żonę uczciwej dziewczyny, która zaufała słowu honoru!., Cóż się wtedy robi? Oto poprostu porzuca się, zostawia się ją na łasce losów, własnemu prze-

mysłowi, wraz z jej rozpaczą!... A jeżeli upadnie? Czyjaż w tem wina?... Kochałam pana tak, że byłabym oddała życie za pana, jak jaka sentymentalna szwaczka! Nie wiele nawet brakowało, ażeby pańska krucica zwolniła pana od moich wyrzekań! I daję słowo, nie wiem, czy nie byłabym szczęśliwszą, umierając pańską metresą, aniżeli dziś, stawszy się kim? Norris, metresą wielkiego księcia! To prawda, że splamiłabym pańskie kobierce! Ale to zmyć łatwo!

René przyglądał się jej wzrokiem błyszczącym, podnieconym przez gniew, przez tę ironję zachwycającej istoty, której teraz, musiał przyznać sobie, nie był i nie mógł być panem!

Rzecz dziwna! Pomimo wspomnień tylu, nie dostrzegał w niej teraz ani śladu metresy.

Była to, doprawdy, "inna kobieta", była to konketa do zdobycia, ziemia dziewicza dla jego żądz.

I pojąc się jej czarem, spuszczać głowę, zawołał, ze szczerością nieudaną w tej chwili, ze szczerością i żalem prawdziwym:

— O jakże byłem szalony! Jak byłem nierozsądny!

— Nie — odparła Norris, nie spuszczać go z oka, źle się pan wyraziłeś: był pan raczej nad wyraz nędznym!

Uczuł się bardziej pociągniętym, aniżeli dotkniętym tą obrazą i zdołał zaledwie wyszeptać:

— Nie znałem cię, pani!

— Tak mówisz, książę? — odparła wyniośle. Ach, tak, rozumiem! Nie przypuszczałeś pan, ażeby młode dziewiętnastoletnie dziewczę, dziecko — o bo ufałam panu jak dziecko — mogło się przekształcić w kobietę taką,

jaką dziś jestem, niewzruszoną, przyznaję się, i równie nienawidzącą, jak dawniej kochała pana...

— Nienawidzącą?...

— Czy panu nie dosyć tego? Mamże dodać, że pogardzam panem!

Tym razem obruszył się; ale ona dodała, przytrzymując go za ramię, ażeby usiadł i trzymając go tak, jak zamagnetyzowanego:

— A wiesz pan za co? Bo wyrzuciwszy mnie za drzwi, skrzywdziwszy mnie na zaufaniu, wyśmiewałeś się pan ze mnie bez litości — gdyż do-
prawdy umiesz pan być niewzruszonym — i oto teraz, jesteś pan prawie gotów błagać, ażebym została znowu twoją metresą!

Po twarzy jego przebiegł uśmiech szczęścia, jak gdyby ostre słowa Noris upoważniły go do podłości nowego wyznania.

— Ja? — rzekł, ja?... O gdybyś pani wiedziała!...

— No powiedz pan, powiedz, że mnie kochasz! Bo mnie pan kochasz, nieprawdaż?— tak, Kocham cię!... Tak, tak, Kocham i dla tego wróciłem tutaj... Chcę... chcę, ażeby poszło w niepamięć wszystko, coś wycierpiała przezemnie!

— Co? Ja miałabym zapomnieć, panie de Chantenay, o, to niepodobna!

— A raczej — dodał, zbliżając się do Noris — prawie na klęczkach, jak wówczas, przy ulicy Brochant, gdy błagał — chcę ci przypomnieć owe piękne chwile, które przebyliśmy razem... wiesz przecie, jak..! o tak, ty wiesz!... Takie wspomnienia zostają w sercu!... One nie opuszczają nigdy... Powiedz, czy ci nie przychodziła myśl o tem, jakby to dobrze było, gdyby wróciły owe czasy... Ty, ubóstwiana, ja... skruszony.. ty przebaczasz mi, a ja robię wszystko, ażeby uzyskać przebaczenie twoje!...

Noris uśmiechała się ciągle.

— Ładny romansik, ani słowa — odparła chłodno.

Ale gdybym odebrała sobie życie? Wszak inne — taka np. Fanny Love — które miały więcej odwagi czy głupoty odemnie, zabiły się! A dość im było tylko żyć i czekać, by ten, który je zdradził czy wypędził, wrócił przecie, skruszony jak pan powiadasz!

— Skruszony, tak! — odparł książe, chcąc ująć ją za rękę, którą ona jednak cofnęła ze wstrętem.

— Och! widzę, że pan nie masz wcale zamiaru mnie opuścić.

— Opuścić cię?... Teraz?....

— Teraz, gdy nie mam wdzięków młodej dziewczyny, ale jestem dojrzalą kobietą...

— Teraz, gdy jesteś kobietą inną — zawołał René. — Tak... piękną... nieporównaną... kobietą, której nie znałem..., a raczej, którą poznaję, Noris... zachwycającą jak dawniej, jak wczoraj, jak zawsze!

Wstała, spojrzała bezwiednie na złote ramy, obejmujące głowę żydówki marokańskiej, którą przed chwilą książe de Chantenay porównywał z nią, poczem wsparłszy się o tył krzesła, rzekła:

— Nie! nie! nie! Mówiłeś pan prawdę, inną kobietą. Masz najzupełniejszą słuszność — jestem inną. Zupełnie inną. Znasz pan moją dewizę? "Chcę przejść samą siebie." Jest ona może trochę pretensjonalną, ale jest prawdziwą. W kobiecie nie jedna jest tylko kobieta, jest ich tyle, ile jest kobiecych trosk, zachwyków!... Pan nie kochasz dawniejszej Noris — gdyż może mnie pan teraz kochasz! Cóż za szyderstwo — ale tę Noris, otoczoną

zbytkiem, i chcesz pan, ażebym panu powiedziała wszystko — Noris, która należy do kogo innego!

— Noris! — zawołał René, draśnięty do żywego.

— Pan jesteś zazdrosny o tego innego właściciela, jak gdyby to nie pan rzuciłeś mnie w jego objęcia. Czytam w pańskich myślach jak w książce... O tak, nie jestem tą samą kobietą. Te oczy, ten uśmiech, te włosy mają nowy urok. Odwieczne to jak świat. Gdy daruję kiedy przenoszona suknię mojej służącej, spostrzegam niebawem, że jedwab był jeszcze bardzo ładny i że jej w tej sukni wcale nie do twarzy. Otóż nie dziwię się bynajmniej, że pan wściekły jesteś na wielkiego księcia, któremu podarowałeś jak strój zużyty, pańską dawną miłośćkę. Zobaczywszy mnie w cyrku, zagrzany wspomnieniem, spostrzegłeś pan, że w szklance, którą opuściłeś, zostało jeszcze trochę nektaru. Przebacz mi pan te romantyczne przenośnie. To stary zwyczaj, odziedziczony po moim ojcu. A jednak, byłeś pan posiadaczem tej miłości i wzgardziłeś pan nią. Porzuciłeś ją pan,

powtarzam, jak pustą szklanę. Czy książkę teraz żałujesz?

— Z całej duszy — odparł René.

— A gdybym, przez wypadek, czy słabość, stała się tem dla pana, czem byłam dawniej?

— Byłbym najwierniejszym i najbardziej oddanym ze sług pani — odparł René.

Spojrzała nań badawczo, znajdując pewne zadowolenie, że książkę tak się płaszczył przed nią.

— Doprawdy? — spytała.

— Doprawdy.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— Honoru zakochanego, czy uczciwego człowieka? spytała Noris z ironją, równie dotkliwą, jak ostrze miecza.

— Słowo uczciwego człowieka — odparł książę Beaumartel de Chantenay. Wierzysz mi pani?

— Wierzę — odparła z wolna.

— A więc, Noris, najukochańsza moja...

Wskazała mu ruchem głowy Marokankę Delacroix w złożonych ramach.

— Czy pan poznajesz ten obraz? Patrzył, nie wiedząc do czego Noris zmierza.

— To obraz Delacroix, który wydał się panu dość mizernym przy ulicy Brochant u mego ojca. Założę się, że jesteś pan nim zachwycony... Ramy, drogi panie, ramy... To nie mnie pan kochasz: to tę niewzruszoną kobietę, która pozwoliła sobie mścić się na panu za przeszłość... Nie jestem ja pierwszą, którą ludzie znajdują piękną, gdyż zapomniała o kałuży nędzy, gdzie błociła sobie nogi, dla złota, przy którym wala sobie ręce...

Chciała oszołomić księcia, oderwać go od pani de Mentépreux, przywiązać do siebie, czego nie mogła z większą zręcznością dokonać.

Każdy wyraz powiększał miłość Chantenay'a.

Przybywszy tu, wiedziony gorączkową ciekawością, ryzykując na wypędzenie jak lokaj przy przedstawieniu się Noris, teraz przejęty był miłością, żądzą, nie dającą się pohamować.

Igrając na nowo temi przygasłemi uczuciami, igrał bezwiednie z rozżarzonemi węglami.

Jeżeli kiedyś Noris cierpiała przez niego, on cierpiał teraz jak dziecko. Zdawało mu się, że ją utracił i że ją odnajduje zmienioną do niepoznania.

Jego twarz zazwyczaj zimna, dyplomatyczna, obojętna, stała się błagalna, wszystkie prośby, żale uniewinnienia, złożył w jedno westchnienie:

— Ach, gdy się spotka taką kobietę jak pani...

— Pilnuje się jej, albo się jej wcale nie szuka — przerwała Noris szorstko. To się nie da naprawić, mój panie. Nie da, nie. Dawno to już jak powiedziano, że kobieta, która przestała kochać, mniej nienawidzi obcego człowieka, aniżeli kochanka — zdrajcę. Otóż to i nas się dotyczy, drogi książę.

— Ach, doprawdy — zawołał René, jesteś pani bez litości.

— Byłam w pańskiej szkole, panie de Chantanay — odparła.

I przypomniała sobie ten smutny wieczór, gdy szła na ulicę Van-Dyck'a, ażeby błagać o litość tego niewzruszonego człowieka, który wyznawał jej dziś — jej, swojej ofierze — brak litości w sercu.

O, jakże on był dziki, straszny i twardy w swej niewzruszonej ironii. A jeżeli ona nie była tą samą kobietą, co dawniej, czyż i on był tym samym człowiekiem, tym, który przed pięciu laty bez wyrzutów sumienia zostawił ją na łasce Opatrzności.

Im bardziej czarne oczy Noris docierały do głębi tej istoty i tego próżnego serca, tem więcej zapalało się żądz w tym młodzieńcu zgłodniałym wrażeń, zirytowanym, trzy manym w szachu, zwyciężonym przez kobietę, którą sam przecie pragnął zwyciężyć.

Chantenay nagle ruchem nerwowym, żywym, w którym cała szkoła szyku i elegancyi zatarła się pod wpływem prawdziwej boleści, chwycił ręce Noris, których ona nie wyrywała teraz.

— A więc tak! — zawołał. Masz słuszość. Byłem ślepy i podły dawniej! Okazałem się niewdzięcznym względem ciebie!

Ona odparła z politowaniem:

— Spostrzegasz to pan?

— Gotów jestem odpokutować w ciągu całego życia — dodał René.

Wtedy ona uwolniła swe ręce z rąk Chantenay'a.

— Zapóźno, książę... Panna Féraud, która ci była posłuszną, nie żyje. Została tylko Noris, która nie kocha pana.

René tupnął nogą z gniewem.

— Która kocha innego, powiedz pani.

— Wielkiego księcia? — spytała Noris, głos zniżając.

— Nie, nie wielkiego księcia.

— A więc kogo?

René przeszył ją wzrokiem i rzekł:

— Rajmunda!

Zadrżała, ale po chwili odparła chłodno:

— Nie lubię, gdy do tajemnic mego życia przyłącza się tych, których szanuję i którzy szanują mnie nawzajem. Przyszedłeś pan tu zapewne dla zobaczenia, co też się stało z tą, która była pańską zabawką. Dowiedziałeś się pan teraz. W przyszłości, uprzedzam pana, że się znać nie będziemy!

— To Ferdys rozkazał pani, ażebyś mnie nie przyjmowała u siebie.

Słowa te powiedział z gorączkową żywością, ale wkrótce zniżył ton, pod wpływem wzroku Noris.

— Proszę panią — wyszeptał — bodaj dla załatwienia zemsty pani, pozwól mi odwiedzać siebie.

— Dla załatwienia mojej zemsty?

Roześmiała się, ale dźwięk tego śmiechu był fałszywy.

— Eh: biedny książę, pogódź się z losem! Konie pańskie czekają!

— Pani mnie nie rozumiesz... pani mi nie wierzysz!

— Wierzyłam... Opłaciłam to młodością, to hojna zapłata!

Zadzwoniła szybko. Był to znak pożegnania.

— Chcesz pani, bym odjechał? Szkoda — rzekł René — a miałem tyle rzeczy do powiedzenia pani.

— Widzisz pan przecie, że trwałoby to za długo.

— A więc, niech i tak będzie — odparł nagle. Opiszę to pani!

Noris zrobiła duże oczy.

— Och! nie poznaję pana, doprawdy. Przysięgi nikną, listy zostają! Zmieniłeś się pan.

— To pani mnie zmieniłaś!

— I przyznaj pan, że skorzystałam na tem... materyalnie. Żegnam księcia pana!

— O nie, nie! Dowidzenia raczej! — zawołał Chantenay gorączkowo.

— Dowidzenia? Niech i tak będzie. Ale w owym sławnym rajcu utraconym!... A co najwyżej, w czyszczeniu!

Lokaj stał we drzwiach. Księżę skłonił się Noris, gdy zniknął i gdy usłyszała turkot jego powozu na bruku ulicy Jouffroy, młoda kobieta uczuła wstręt i gniew zarazem:

— Nędznik! Podlejszy, niż przypuszczałam! Dawniej niezdolny pojąć, że mogła się w niej znajdować dusza, wiara, miłość, zaufanie.

Dziś gotów się czołgać przed tą, którą kiedyś pogardliwie wypędził.

Pragnęła nieraz pomścić się nad nim. To poniżenie było już jakby za-
dośćuczynieniem. Gdy pomyśli, że mogła kochać to stworzenie... Ach!

Zadzwoiła na służące.

— Idź powiedz panie Brunier, że jeżeli pójdzie dziś do teatru, mogę jej towarzyszyć! Do jakiego wesołego teatru na przykład!

— Ach! — westchnęła po odejściu Sylwiny — życie jest za brzydkie, i rzeczywistość za brudną; potrzeba szaleństwa i głupstw, ażeby o tem zapomnieć!...

III.

Pierwszą rzeczą, którą René powiedział swemu kuzynowi przy spotkaniu, było:

"Widziałem Noris!"

Rajmund otrzymał cios w samo serce. Chantenay wiedział dobrze co robi. Ponieważ naśmiewano się z niego, będzie się naśmiewał z innych.

Był pewnym, że Rajmund kochał pannę Féraud, jak niemniej przekonany, że Noris kochała Rajmunda. Otoż postanowił zmusić do cierpienia tego, który był przyczyną jego cierpień.

— Cóżes miał do powiedzenia pannie Féraud? Byłbym ci chętnie pośredniczył — rzekł Rajmund.

— Nie wątpię. Bywają jednak interesa, nie dające się załatwić przez pośrednictwa.

— Nie pojmuję, co może być wspólnego pomiędzy tobą i panną Féraud.

— Nic. Stare rachunki do załatwienia.

Ferdys miał ochotę zażądać od Chantenaya bliższych, wyjaśnień. Ale po co? Czy miał do tego prawo?

Czy mógł tak kompromitować Noris? Czyż René nie miał prawa równie jak on składać wizyt przy ulicy Jouffroy?

O! Przekleństwo! Pan de Chantenay, jeżeli już idzie o prawa, ma ich stokroć więcej od niego do tej pięknej kobiety, którą Rajmund wistocie kochał szalenie...

Tak więc, Rajmund stawał się zazdrosnym. Zazdrosnym o Reného!...

Obaj młodzieńcy zrozumieli się doskonale i obaj czuli, że namiętność ich zdradza z każdą chwilą wobec tej rywalizacji.

Namiętność, odmłodzona w Chantenayu, zbudzenie się miłości przygasłej, żądza przesyconego albo podniecona próżność równoważące tę namiętność; u Rajmunda, miłość bezbrzeżna, nie wyznana ustami, ale krzycząca, zdradzona w każdym słowie, w każdym spojrzeniu, miłość szalona, skrywająca przed Rajmundem wszystko, co go otaczało, nie pozwalająca mu o niczem innym myśleć, przepelniająca go całego, pożerająca go ponu-

rym ogniem melancholii, smutków, wszystkiego, co stanowi miłość bez nadziei, miłość prawdziwą, a jednak pełną obawy wobec opinii...

Ach; René widział się więc z Noris? Śmiał się z niąwidzieć.

Dlaczego nie plunęła mu w oczy pogardą?

Teraz Rajmund nie śmiał już udać się na ulicę Jouffroy, w obawie, ażeby nie dostrzedz, że Noris jest przekształconą, że się w niej może zbudziła miłość lat dawnych.

Te kobiety są tak niepojęte.

I niezadowolony, Ferdys zaczął myśleć o ucieczce.

Zresztą i w ministryum trapiły go przeciwności. Siedząc pilnie za sprawami ukochanego kraju, nieraz marzył ze swym admirałom, o potężnych projektach; roily im się kolonizacye, odkrycia krajów nieznanym, i zatknięcia w nich trójkolorowego sztandaru Francyi.

Ale cóż. Admirał Pradier du Resnel powracał z Izby zawiedziony: nie zrozumiano go.

Poczciami deputowani, adwokaci z prowincyi, przyzwyczajeni do załatwiania spraw drogą polubowną, albo lekarze, znający się lepiej na bezkrwistości, jak na sprawach ojczyzny, wytrzeszczali oczy i roztwierali gęby, gdy minister, ten żołnierz, mówił z obowiązku, o odległej wielkości, o wpływie Francyi.

— Musiemy sobie przyznać, drogi Ferdys, że wszystkie nasze prace zostaną tutaj na miejscu. Trudziłyśmy się dla szczurów, dla robactwa, dla archiwistów.

— Lecz, gdybyś admirał, powiedział im Ojczyźnie, że trzeba wypełnić obowiązek, trzeba ratować francuzów?.. Cóż u licha,

wszakże...

— Odpowiedzieliby, że wyborcy nie upoważnili ich do tego i że nie wybrano by ich powtórnie, gdyby przystąpili do rzeczy niepewnych. Zresztą, mówiłem im to wszystko. Bajki. O niczem nie chcą słuchać.

— Cóż począć?

— Przybić do brzegu i rzucić projekty do dyabła.

Ta pełna rezygnacyi odpowiedź zwierzchnika, połączona ze smutkiem na myśl o widzeniu się Reného z Noris, podwajała zdenerwowanie Rajmunda.

Stał się rozdrażnionym, cierpkim i przykrym.

Doszedł do tego, że nie mógł rozmawiać z własnym ojcem, zwłaszcza od chwili spotkania na Polach Elizejskich, co było jedną kroplą więcej w kielichu jego niesmaków. Główną jednak przyczyną tak niemoralnego stanu Rajmunda była przede wszystkim:

Noris.

Sam się przestraszał głęboką zmianą, jaka zaszła w jego sposobie widzenia rzeczy, w sposobie myślenia.

Jego purytanizm stawał się rodzajem mizantropii, czarnego pesymizmu..

Jakże był naiwnym, myśląc o poświęceniach, o zupełnej abnegacyi, w chwilach, gdy był uwiedziony radością i złudzeniami....

A najpierwszem z tych złudzeń była Noris!... Po co się Rene z nią widział?...

Rajmund zrozumiał walkę, jaka toczyła się w sercu księcia.

Niezadowolony, jak Rajmund, Chantenay dziwił się, że poraz pierwszy kaprysu swego nie pragnął ujawniać przed światem. Czarująca, czarująca ta Noris, i pełna podziwu!

Powrócił do niej, raczył złożyć jej wizytę, skruszyć się przed nią, a ona nie rzucała mu się na szyję z radości?

Był czas, że księżę wybuchnąłby śmiechem. Ale nie, nie mógł. Czuł się zgnębionym, szarpanym przez żądę.

Wszystko mu było jedno, co Noris mogła sobie o nim myśleć!... Jeżeli zgodziła się go przyjąć, jak kiedyś, pozwoli jej być niewzruszoną, byleby tylko ta niewzruszoność zakończyła się pocałunkiem.

Ale, niestety, tak nie było! Zaostrzył jeszcze pazurki tej małej Féraud!

To go właśnie gniewało, przyprowadzało do pasyi.

I René, zupełnie tak jak Rajmund, myślał wyłącznie tylko o Noris. Reszta nudziła go, nudziła go zapamiętałe.

Pani de Montépreux wydała mu się trywialną. Gdy pomyśli, że chciał się z nią na seryo ożenić? Ożeniłby się? Czyby się nie ożenił?

Księżna, matka jego powtarzała mu od czasu do czasu, gdy szedł złożyć pocałunek na końcach jej palców, i gdy nie znajdował ją w zupełnym obezwładnieniu przez morfinę:

— I cóż René słyhać z twojem małżeństwem?

Małżeństwo! Ech, ma jeszcze wiele czasu!

I po co miałby się żenić z Jacqueliną? Dlaczegożby nie z tą córeczką bankiera żyda, z tą panną Ahrenfeld, o której wspomniała mu matka?

O ile sobie przypominał, Żydóweczka ta była znośną.

Ale dlaczego ma się żenić z tą, a nie z inną?

Dlaczego zresztą, nie miałby się wcale nie ożenić?— Mam jeszcze dość czasu! Pragnę poślubić kobietę, któraby mi mówiła cokolwiek!

Ale w tej chwili....

W tej chwili jedna tylko Noris była wymowną dla księcia Beaumartel de Chantenay.

Ramy, być może, że to ramy tylko! Owoc zakazany! Utrzymanka, własność cudza!

Tak, to było wszystko bezwątpienia. Faktem jednak było także, i to faktem niezaprzeczonym, że Reno nigdy nie był tak strasznie zdenerwowanym, przejętym i podnieconym.

I bodajby przyszło zaślubić Noris, widział, że zaślubiłby ją jaknajskwapliwiej, bodaj "na kwadrans!..."

Poślubić Noris!

Pierwszym razem, gdy myśl tak niedorzeczna, tak niezwykła przyszła mu do głowy,

Kwiat szyku sam się roześmiał ze siebie.

Co za żarty!

Pamiętał dobrze, jak się usunął od małego Labrignae'a, który ożenił się z Cecylią Chalbosse z opery Bouffes.

A jednak, zdaje się, że Leon de Labrignac był szczęśliwy we Florencji, w Neapolu, Bóg wie gdzie!

Mógłby być równie szczęśliwym i w Paryżu! A ponieważ Cecylia Chalbosse podobała mu się, byłby zbyt naiwnym, ażeby dla jakichś szykan kolegów z klubu, nie postąpić wedle swego widzenia rzeczy.

Noris była przecie inną kobietą, aniżeli panna Chalbosse!

O, cóż to za piękna kobieta!

Ale myślał za wiele o Noris.

Jacquelina de Montépreux nie spostrzegła już w swoim kochanku, rozerwany nową miłością, dawnych zalet, i widziała, jak starannie unikał z nią rozmowy o małżeństwie, które w jej własnych, oczach miało zniweczyć, poskromić jego słabość.

Z hrabiną, od chwili zajścia w cyrku, ksiązę stał się niegrzecznym, rubasznym nawet do pewnego stopnia.

Ostatnim dniem wesela dla pięknej blondynki, upojonej wirem Paryża, jak haszyszem, był ten obiad na tarasie w kawiarni Ambasadorów.

Odtąd, Chantenay wynajdywał zawsze zajęcia, obowiązki, migreny i nie wychodził z nią wcale.

— Ach, jaki ma nawał roboty! mawiał.

Jakiej roboty?

Żadnej, jak zwykle. Te wszystkie zajęcia były tylko pretekstem, niczem więcej.

Wtedy zaczęła go śledzić. Dowiedziała się, że jeździł do Noris, że powrócił, i że, nie zostawszy przyjętym, urządzał się tak, ażeby ją spotkać w Lasku, w teatrze, i że prosił nawet swego wuja Ferdys, ażeby go poprosił na obiad, na którym oprócz Małgorzaty Brunier znajdowałyby się Noris.

Ale panna Féraud, uprzedzona, że René otrzymał zaproszenie, nie przybyła.

Oczywiście, informacje, jakie otrzymywała pani de Montépreux, nie zostawiały żadnej wątpliwości, że Noris unika Chantenaya.

Ale Chantenaya gniewało i podniecało to coraz bardziej. Dowodziła tego zresztą uporczywość, z jaką pragnął ją, bądź-co-bądź, zobaczyć.

I jako kobieta, znając wybiegi kobiet, Jacqueline de Montépreux zapytywała siebie, czy panna Féraud nie zamykała swych drzwi poprostu dlatego, ażeby zmusić Chantenaya do szturmowania z jeszcze większą furją?

Hrabina zrobiła sobie pewnego wieczoru przyjemność zirytowania przynajmniej Renégo.

— No cóż, kochany książę — rzekła doń — musisz być od pewnego czasu bardzo szczęśliwym w grze?

— Dlaczego?

— Gdyż, za wyłączeniem mnie, nie bardzo jesteś szczęśliwym w miłości!

— Nie wiem o czym mówisz?

— O pannie Noris!

— I cóż panna Noris?

— Surowa jest z tobą, jak się zdaje.

— Panna Féraud może być surową z....

— Z panem de Ferdys, nie; ale powtarzam, z tobą mój biedny Rene!

— Nie wiem — odparł René nerwowo — po co wtrącasz tu pana de Ferdys....

— Jakto? Wszak on kocha pannę Féraud, jak mi się zdaje? Ma do tego prawa. Nie ma przecie metresy. Nie przyrzekał zaślubić nikogo. A kochając pannę Féraud, powiedział jej o tem. Zapewniają nawet, że i ona zachwycona jest tem wyznaniem.

Książę zdawał się być nie w humorze.

— Moja droga Jacquellino — rzekł — zrobisz mi wielką przysługę, zostawiając te zwierzenia dla siebie. Postępki Rajmunda nie powinny cię obchodzić!

— Tak, ale twoje postęпки mnie obchodzą, a panna Féraud nadto ci weszła do głowy!... Daję słowo, że mówiąc o niej i o swoim kuzynie, masz minę tak zabawną, że mimowoli zdradzasz zazdrość. Ach, jakże ci nie do twarzy z tą rolą Otella! Za jasne masz włosy! A przytem, René, czyliż ci nie wystarcza to, że ja cię kocham? Bo ja kocham ciebie, kocham cię z całej duszy, kocham, kocham! A ty! Czy mnie kochasz?

— Ja? A jakże, a jakże! — odparł Chantenay tonem, który drasnął do żywego panią de Montépreux.

A więc już teraz mogła się nie łudzić.

Ujrzawszy Noris, René zakochał się znowu, jak dawniej.

Cóż to właściwie była za kobieta?

Jacquelina wiedziała, że Noris wistocie była piękną, a co gorsza, wyniosłą piękną.

Ale czy ona nie była piękniejszą, z jej włosami jasnemi, w sutych kędziorach spadającemi na jej posągowe ramiona?

Hrabina była gotową popełnić jakie szaleństwo, pójść do Noris i zapytać się jej, jakim prawem porwała jej tego człowieka....

Ale wstrzymała się, śmiejąc się sama z tak niedorzecznej myśli:

— Tegoby jeszcze brakowało! Może ją mam prosić, ażeby mi ustąpiła swego kochanka, tak jak prosiłam ją o adres magazynierki! Jakże nierozsądną jestem! Że Renému się zdaje, iż ją kocha, cóż mnie to obchodzi! Ona

go nie kocha! Ona kocha Rajmunda! Tem gorzej dla Reného. Niech sobie pochodzi troszkę na ulicę Jouffroy.

Powróci do mnie! Jestem zbyt piękna, ażeby się inaczej stać miało!

Szkoda, że mówiła księciu o Ferdys'ie. Było to podrażnienie najczulszej struny: próżności! Tak, bo i on o tem wiedział, wiedział, że Ferdys po tygodniu wahania, czy smutku, zjawił się znowu przy ulicy Jouffroy.

Dnie mijały i znowu codziennie młody oficer bywał u Noris, a Noris czekała go pewnie....

Czekała na niego, na tę istotę zimną, zapiętą, sztywną w żakiecie, jak w mundurze, z ustami zaciśniętymi, z cerą spaloną, bez elegancji, bez szyku

Myśl ta trapiła księcia Beaumartel de Chantenay, który rzucił się teraz w wir zabaw, wyścigów, szaleństw, ażeby się oszołomić, ażeby zapomnieć, i stał się mimowoli podobnym do tego samotnika Rajmunda de Ferdys.

Rajmund zresztą, nie opierał się już wcale miłości, a przejęty myślą o Noris, chciał jej się oddać całkowicie. Byłby nadto nierozsądnym, pozabawiając się rozmowy z nią, pojenia się miłością z jej uśmiechu, z czułego rąk uściśnięcia.

Za kilka miesięcy nie będzie go już może w Paryżu. Gdzie go bogi poniosą? Otóż dla długich marzeń w ciągu odległych wycieczek, musi sobie zrobić zapas rozkosznych, wonnych, drogich wspomnień.

Nie mówił jej nic o tych czarnych smutkach, o tym niesmaku, który go otaczał, a który u tego nerwowego młodzieńca stanowił rodzaj namiętności; nie mówił jej, że ją kocha, nie, ale wszystko w nim, głos, wyciągnięta ręka, spojrzenie mówiło o tem Noris.

Raz tylko, gdy w rozmowie Noris rzuciła tych kilka słów, które świadczyły, jak się czuje szczęśliwą z tego lojalnego uczucia, tak licującego z jej lojalnością:

— Ach, gdyby wiedziano, że przyjaźń kobiety może stać się pożyteczną, nie miałabym jednego przyjaciela, lecz całe tłumy przyjaciół.

Rajmund ośmielił się odpowiedzieć:

— Przyjaźń nie warta jest miłości.

Ale Noris dodała szybko z uśmiechem:

— To pewna; ona warta jest sto razy więcej!

Uczuwała rodzaj upojenia, zadowolenia z samej siebie, niejako oczyszczenia, wiedząc, że jest kochaną przez takiego człowieka i nie słysząc z ust jego wyznania miłości.

To czarowne słowo, to czarowne słowo: miłość, tak sprofanowano w jej oczach, tamten tak je obłudnie szeptał jej do ucha, jakby jej wsączał truciznę, sięgającą głębi serca, że przyjaźń Rajmunda — a raczej miłość pod maską przyjaźni — wystarczała jej.

I Noris, która Renému wydawała się inną kobietą, była wistocie inną dla Rajmunda. Było to o tyle prawdą, że nie chciała, ażeby Ferdys nazywał ją tem imieniem Noris, które biedny marzyciel, śpiący na cmentarzu Montmartre nadał jej, jak piętno romantyzmu, jak stygmat fantazyi, znak szaleństwa, wiary, za którą musiała pokutować.

Pragnęła, ażeby ją nazywał "Zuzanną," imieniem jej matki, i tak jak Marion przekształcająca się na Maryę, Noris nie była już Noris, dziewczyną upadłą, gdy Rajmund mówił do niej: "A więc dobrze, będę panią nazywał Zuzanną!"

Nikt, ani René, ani Wasyl nie nazywał jej tem imieniem, nikt, oprócz jej zmarłych rodziców, gdy była małą.

Zuzanna! Było to dla niej, jakby odmłodzenie wiosny; cała jej dziewi-
czość odżyła w tem imieniu, wonna jak jaśmin.

Zuzanna! Była Zuzanną dla Rajmunda, przyjaciółką, najprzywiązańszą
z przyjaciółek, świętym ideałem tego młodzieńca o sercu bohatera.

Dlaczegożby nie miała nazywać się Noris dla innych? Codziennie mo-
gła z radością widywać tego Ferdys'a który, jej zdaniem, tak się różnił od
innych ludzi, i który ją poważał i ubóstwiał.

Miała więc teraz jakiś cel w życiu. Dla niej był on niejako schronieniem
przed burzą.

Od czasu ponownego zjawienia się księcia de Chantenay, uczuła wisto-
cie żywy niepokój, potrzebę silnych wrażeń, jednej z tych burz, która przed
pięciu laty, owego wieczoru, gdy rozgorączkowana szukała Reportera i
Żywicy, chodząc od kiosku do kiosku, wprowadziła ją w stan walki prze-
ciwko całemu tłumowi osób z towarzystwa, nie umiejących jej dać sposobu
do życia, ani jej obronić, a tembardziej pomścić.

Powrócił więc niebieski książę!

Powrócił ten pogromca serc, ten cynik dziewiętnastoletni, ten zimny
morderca miłości, ten dyplomata i, dżokej zarazem!

Powrócił skruszony, zakochany, błagający, podły w swej żądzy zarów-
no jak był nieprzebłaganym w pogardzie i powrócił, aby wyżebrać miłość
— miłość, nie, raczej zadowolenie próżności i apetytu — był u niej na od-
ległość ręki i dość jej było zapuścić paznokcie i podrzeć tę maskę obrzydłą.

Dawniej ona była jego ofiarą, dziś on sam zdaje się jej na łaskę i niełaskę.

Miałaby się wahać?

Ona cierpiała przez podeptanie jej wiary, jej szczerości, jej zaufania; on podrażniony został przez wzrastającą żądzę, przez dumę pogardzonego uwodziciela.

Nie mogąc być przyjętym, pisał, jak mówił. Miała te listy, listy, którymi ją zasypał od chwili swych ostatnich odwiedzin.

I jakie listy! Pełne próśb, wynurzeń i poniżenia. Ach, ależ on ją prawdziwie kochał teraz, kochał tę, którą dawniej pogardził?...

Kochał.... Tem lepiej!...

I stanął jej znowu przed oczyma z tym monoklem, w chwili, gdy ona płakała, niewdzięczny!

Jeżeli więc cierpi teraz, to słusznie. To odwet za jej łzy!

Ale pragnęła jeszcze większego odwetu. Odgadywała — widziała z tych listów księcia — że mogła się wszystkiego domagać, o wszystkim marzyć.

Z oszołomionym księciem można było wszystko teraz zrobić, o wszystko prosić; choćby prośby były najokrutniejsze. Chantenay przystanie na wszystko.

Spotkała go raz jeszcze w Gymnase, gdzie powitawszy ją w jednej z sal, szepnął jej przez zaciśnięte zęby, roznamiętniony i zły, jak dziecko zepsute, nieprzyzwyczajone do opozycji:

— Gdyby inna kobieta postępowała ze mną tak jak pani, byłbym zdolny do zgładzenia jej, do zamordowania! Noris rozśmiała się serdecznie:

— Co, co? Już kilka razy spostrzegłam, że pan teraz używasz frazesów romansowych To zabawne.... Nie, drogi książę, pan nie zabijesz nikogo!... Pan nie zdolny jesteś zakochać się tak dalece!... Nawet gdybyś podwoił sta-
rań, nawet po pięcioletnim namyśle!... Dobranoc!

Robiła wszystko, ażeby doprowadzić go do rozpaczy, a nawet, koniec końcem, bodaj do pomieszczenia zmysłów!

Pani de Montépreux miała słuszność: upór w postępowaniu Noris był niczem innym, jak tylko chęcią przykucia do siebie Renégo.

A ponieważ uczuła, że książę jest już na jej usługi, tem skwapliwiej skorzystała z przywiązania Rajmunda de Ferdys, ażeby nie zamaryć nawet o skorzystaniu z okazji, jaką jej dawał Chantenay.

Rajmund był niejako hamulcem dla jej sumienia, i gdy zostawała z nim sam na sam, zapominając o przeszłości, o terażniejszości, o wielkim księciu, była Zuzanną i nie myślała o pomszczeniu Noris.

Pewnego popołudnia rozmawiała z Ferdys'em w tej bibliotece, gdzie zwykła była zamykać się ze wspomnieniami, i gdzie dopuściła tylko Rajmunda, spoglądając na bogate oprawy książek za szkłem w szafach i pomiędzy dwoma oknami różnokolorowemi, nadającemi temu kącikowi światowego apartamentu pozór kaplicy, na portret starca o siwej brodzie, którym był Feraud.

Siedzieli tam przy sobie, rozmawiając bez końca o niczem, co dla nich jednak stanowiło treść niezmierniej wagi. Rajmund, wyliczając swe obowiązki żołnierza i przechodząc do owych poufnych smutków, do tych zwierzeń cichych, które jednak nie były wyznaniem, a jednak mówiły więcej,

aniżeli wyznania; gdy wtem, zastukano zlekka do drzwi, a na odpowiedź Noris, weszła służąca, trzymając na tacy opieczętowany pakiet.

— Co to jest, Sylwino?

— To od pana Hirschlera, jubilera.

— Nie potrzebuję niczego.

— Nie, pani, ale pan Hirschler chce pani pokazać ten sznur pereł.

— Pan Hirschler nudzi mnie — odparła Noris. — Niech sobie zabierze te perły. Nie potrzebuję ich.

— Jubiler odszedł już, proszę pani. Jutro dopiero wróci.

Noris rozpieczętowała pakiet, otworzyła pudełko i ujęła na aksamitce sznur przepysznych pereł, które oglądała przez chwilę, podczas gdy białe, fioletowe i czerwone szkła okien nadawały perłom odcienia rubinów, turkusów i ametystów.

— Wistocie, prześliczne są te perły — ozwała się Noris.

— Pan Hirschler zapewnia panią, że ten naszyjnik nie ma sobie równego — rzekła Sylwina.

— Wiem o tem. Markiza de Brignolles nabyła go na licytacyi u Blanki Marigny i pewno chce go odprzedać.

I Noris wskazując perły Rajmundowi, dodała:

— Powierzają mi skarb taki, patrz pan!.. Przed pięciu laty nie wyciągnięto by nawet do mnie końca paznokcia, ażeby mnie z nędzy wydobyć!

Sylwina wyszła, a Ferdys rzekł zwolna do Noris:

— Czy się pani podoba ten naszyjnik?

— Bynajmniej.

— Jest prześliczny.

— Prześliczny! Dlatego, że drogi? Najmniejszy kwiatek dla mnie ma więcej uroku! Gdy byłam młodziutką, gdy nosiłam muszlinowe sukienki z ozdobą z fijołków, było mi daleko więcej do twarzy, ale nikt nawet nie spojrzał na mnie!

— Chcesz pani mieć ten naszyjnik?

— Co też panu do głowy przychodzi? On kosztuje bardzo... zanadto drogo!

— Chcesz go mieć pani?

— Co? Pan pragniesz się rujnować dla mnie?

— Wszystkobyem uczynił dla pani — odparł Rajmund z powagą.

— Jestem tego pewną, mój drogi Ferdys. Ale pan mi dałeś już więcej, niż ten naszyjnik, dałeś mi pan fijołki w Wersalu!.. Umówiliśmy się chować fijołki te zawsze...

— Zawsze!

— Nawet gdy zwiędną. Ale zobaczysz pan, że mi je pan odeszlesz pewnego poranku!

— Nigdy!

— Tak to się mówi, a potem....

Zrobiła ruch swą piękną rączką w powietrzu, trzęsąc paluszkami, jak skrzydła ptaka, zabierającego się do odlotu:

— Frrrr!...

— Nie, nie, nigdy! — odparł Ferdys, starając się ująć tę piękną rączkę dla złożenia na niej pocałunku.

Ale Noris zaczęła się śmiać, gdyż Sylwina znowu zastukała do drzwi.

— Cóżto? Czy znowu jaki jubiler? Proszę wejść!

Sylwina wniosła na tacy list.

— Mogłaś przecie oddać mi ten list później — rzekła Noris.

— Przepraszam panią. List jest pilny....

— Kto go przyniósł?

— Kamerdyner w liberyi księcia de Chantenay-Beaumartel!

— Księcia! — rzekła Noris.

Spojrzała na Rajmunda, który zacisnąwszy wargi, odwrócił się szybko:

—Od Renégo, ach! — szepnęła półgłosem.

Rozpieczętowała list z uśmiechem pogardliwym i odczytała go z niezwykłym zajęciem, podczas gdy Ferdys śledził grę jej rysów i przerażał się wzruszeniem, jakie się w nich malowało.

— Ach! — rzekła nagle Noris, śmiejąc się gorączkowo: — tegoby tylko brakowało.... Gdybym chciała teraz....

Rajmundowi omal serce nie wyskoczyło z piersi.

— Czy pani da odpowiedź?

— Odpowiedzi nie będzie — odparła Noris.

— Książę de Chantenay kazał bądź-co-bądź domagać się odpowiedzi...

— Nie będzie żadnej, mówiłam!.. — powtórzyła Noris wyniośle. — Zostaw nas!

Rajmund wstał, spoglądając co chwila na list, drżący w palcach, które go trzymały, to znowu na twarz Noris, fantastycznie oświetloną szybami.

Ale czy ją kolory te drażniły, czy też machinalnie, dość, że zapuściła różowe rolety, przez co pokój pograżył się w uroczym półcieniu.

— Cóż to za list? — zapytał wtedy Ferdys.

— List od pana de Chantenay — odparła Noris. — Słyszałeś pan przecie!

— Słyszałem. Ale co pisze do pani Chantenay?

Noris wydała się zdziwioną tonem, jakim zadane było pytanie.

— Co takiego, drogi Ferdys?

— Pytam, co pisze do pani książkę?

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Oh, głupstwa... Gdybym panu powiedziała, nie uwierzyłbyś mi pani słowa!

— No, ale mniej więcej.

— Ach, drogi panie Rajmundzie, to mój sekret. Nie mogę przecież wtajemniczać pana we wszystkie nonsensa, jakie przychodzą do głowy waryatom...

— Ja pani jednak mogę odkryć wszystkie tajemnice mego życia i mego serca...

— Pan?... O gdyby tu szło o pana, to zmieniałoby postać rzeczy!... A zresztą, pan, to rzecz inna.

— A wie pani dlaczego inna... Chcesz pani, bym ci powiedział?

Zatrzymała się przed nim, trzymając ciągle w ręku list od Chantenay'a.

— Dlaczego? Powiedz pan.

— A więc, dla tego, że ja panią kocham, a pani mnie nie kochasz.

Pierwszy to raz wyznał jej tę miłość, pierwszy raz, a jednak ona nie doznała wrażenia niespodzanki ani szczęścia. Wiedziała, że ją kocha. Wiedziała o tem już od kilku miesięcy.

— Nie kocham pana dla tego, że panu nie chcę pokazać tego listu?

— Tak, dla tego.

— Ależ nic bardziej pustego, jak treść tej bazgraniny, przysięgam panu, drogi mój Ferdys... Pan mnie kochasz... jak mówisz... a pan de Chantenay domaga się odemnie miłości: to wszystko!...

— Ale uśmiech pani, gdyś czytała list, przekonywa mnie, że pan de Chantenay nie jest ci obojętnym — odparł Rajmund z gniewem.

Rzuciła list księcia na stół, podeszła wprost do Rajmunda, położyła obie ręce na jego ramionach i podczas, gdy oddech jej muskał twarz Ferdysa, oczy zaś szukały jego oczu, rzekła:

— Spójrz pan na mnie, czy wistocie uśmiech widzisz pan w moich oczach? Spójrz tylko dobrze!

W głębi smutnych źrenic Noris, tych źrenic istnej Arabki, Rajmund dostrzegł ogień żywy, coś ponurego i złego zarazem:

— Nie — odparł ze drżeniem. Nie, Zuzanno, jeżelibym nie wiedział, że pani jesteś tak dobrą, tak szczerą, mógłbym przypuszczać jakąś straszną nienawiść!

Stała tak jeszcze przez chwilę, prawie wisząc nad nim, z ironją na ustach, poczem łagodnie, patrząc mu w oczy, rzekła:

— Przerażam pana teraz!...

— Mówiłem przecie, że panią kocham. Pani jesteś dla mnie wcieloną dobrocią. Dla czegoż miałabyś mnie pani przerażać?

Dziwnie jej błogo było obok Rajmunda; stojąc, on przyciągał ją do siebie; a ona łagodnie mówiła zcicha:

— Dlaczego?... Dlatego, że mnie pan nie znasz... Dla tego, że pan nie wiesz, ile cierpienia, ile gniewu, ile zrujnowanych nadziei, ile snów gorz-

kich i okropnych przeżyłam!.. Pan, panie Rajmundzie, gdybym panu się oddała całym sercem, byłbyś mi także poświęcił całe swoje życie, nieprawdaż?...

— O tak, całe życie!..

Wyrwała się nagle z jego objęć i zawołała śmiejąc się oschle i z boleścią:

— Pan jesteś szalony!... To coś mi pan powiedział, to bardzo ładne, ale... myśmy żartowali tylko!

— Zuzanno!

— W każdym razie ja żartowałam... Chciałam wiedzieć, czy pan mnie kochałeś prawdziwie.

— Chcesz pani także dowiedzieć się pewnie, czy jestem zazdrosny? — rzekł Rajmund, którego gniewał śmiech Noris.

— O kogoż byłbyś pan zazdrosny?

— O Renégo.

— O Renégo?

— Tak... Pokaż mi pani ten list.

— I po co?

— To oświadczyń! — zawołał Ferdys.

— A naturalnie — odparła, ujmując znowu ze stołu list Chantenay'a.

— I pani nie podarłaś tego listu?

— Widziałeś pan, że nie.

— Wiem dla czego!

— Ciekawam bardzo?

— Bo pani zawsze kochasz Renégo! Tak, tak... bo pani go zawsze kocha!...

— Nie!.. Bo go nienawidzę — zawołała Noris, odrywając zębami połowę listu księcia — bo nim pogardzam, bo chciałabym się zemścić na nim, bo ten list, w którym mnie błaga, molestuje — list o mało nie zwilżony łzami — łzami Kwiat szyku! — list ten przekonywa mnie, że księżę jest mój i że mogę z nim teraz robić, co mi się rzewnie podoba!

Miała w oczach taki wyraz tryumfu, że Rajmund głosem drżącym, gotów wyrwać jej ten list i podeptać go nogami, wyszeptał.

— A więc... a więc ten list takim szczęściem napawa panią?

— O tak, szczęściem!

Podniosła głowę, a bladą jej płeć zaróżowił odblask rolety.

Poczem rzekła:

— Gdybym nie spotkała na mej drodze tego człowieka, o którego pan jesteś zazdrosnym panie de Ferdys, wiesz pan kim bym była dzisiaj?... Byłabym uczciwą żoną uczciwego człowieka... Żoną jakiego literata albo urzędnika, ale zawsze żoną, matką, istotą którą szanują i której się kłaniają bez wstydu. A dziś!.. O nędznik!...

Spojrzała na list, zmiętoszony w swych palcach:

— A teraz on mnie kocha! Kocha! Ach on mnie kocha... Założę się z panem, że nie zgadniesz, co może ten list zawierać. Coś komicznego, zadziwiającego, nieprawdopodobnego... Tak, tak... nigdybyś pan nie zgadł!.. Trzeba być tak jak on niewolnikiem namiętności, kaprysu... Czy pan wiesz, co pisze do mnie pański kuzyn, co mi proponuje, z jaką śpieszy ofiarą?

Miała jeszcze na ustach śmiech gorączkowy, chorobliwy.

— Kocha mnie, błaga, płacze niemal... chce zmazać przeszłość! Śmiać się pan będziesz... On chce mnie pojąć za żonę!..

Ferdys cofnął się z sercem trapieniem zazdrością i zawołał:

— A pani? — On chce pojąć za żonę... swoją dawną metrese!

Ten romans miłości, podeptany i zmiążdżony przed pięciu laty, on chce wskrzesić, chce go oprawić we własne herby i nadać mu swoje nazwisko. A więc dobrze zresztą! Niech się narazi na ten skandal: kiedy się nie lęka. Porwał mi młodość, ja mu zabiorę imię. Skwitujemy się. Rajmund struchlał.

— Pani nie uczynisz tego.

— Dlaczego? Czy dlatego, że zbeszcześciłabym księcia de Chantenay? No, a gdyby opłacił swoją ostatnią miłość tem, czem ja opłaciłam pierwszą: życiem?

Dodała, kręcąc głową:

— Nie lękaj się pan, Chantenay pogodziłby się prędko ze skandalem. Mniej by się wstydził swej żony dzisiejszej jak dawniejszej metresy.

— A więc — powtarzał Ferdys — on panią kocha... i pani wierzysz, że on panią kocha?...

— Wierzę... Ponieważ stałam się owocem zakazanym... Tylko dla tego!

— I na ten list odpowiesz pani twierdząco?

— Dla czegożby nie. Nie lękaj się pan, nie z miłości. Miała w głosie taką oschłość, że Rajmund pytał siebie, czy to ta sama Noris, którą znał i która stała przed nim.

Zdawało mu się, że ją nienawiść przekształciła nagle, to też, z jedną myślą natychmiastowej ucieczki z tego domu na zawsze, odparł:

— Wie pani, panno Zuzanno, mszcząc się na Reném nie jego jednego dosięgniesz pani.

— Wiem o tem. Inni będą cierpieć. Ja naprzykład.

— I inni także...

— Któż taki?

— Ależ...

Rajmund chciał nazwać siebie: nie śmiał.

— Kobieta — odparł.

— Jaka kobieta?

— Kobieta, która kocha Renégo.

— Ach — odparła Noris — to zapewne pani de Montépreux.

— Wistocie, hrabina de Montépreux.

— Miała męża. Nie ma nic na swoje usprawiedliwienie, tem gorzej dla niej — odparła Noris obojętnie

Wtedy Rajmund wydał jęk, jakby z samej głębi duszy.

Ujął Noris za rękę, przeszył ją wzrokiem i skupiając całą swoją miłość w jedną błagalną proźbę, zawołał:

— No, a ja, Zuzanno, a ja?

Tyle było namiętności w tym krzyku, w tem wyznaniu, że Noris przy-
mknęła oczy, lękając się o samą siebie, pociągnięta ku niemu przez magne-
tyzm młodości i żądy.

Nie śmiała spotkać się ze wzrokiem tego zakochanego dwudziestopię-
cioletniego młodziana, który ukląkł, błagając, w obawie, że Noris kocha
Renégo, i szepcząc namiętnie te tylko wyrazy:

— Kocham cię! Kochaj mnie jednego!

Gdy podniosła przymknięte powieki, była już panią siebie.

— Spotkałam pana zbyt późno, panie Rajmundzie — odparła stanowczo. Odejdź pan! I zostaw mnie z moją przeszłością.

— Zaślubisz pani Renégo?

— Cóż to pana obchodzi?

— Zaślubisz go pani?

— Tylko wielki książę może żądać odemnie sprawy z moich postępów, jakkolwiek stał się teraz dla mnie przyjacielem tylko, niczem więcej. Ale nie przypominając mi wcale, że jemu wszystko zawdzięczam, dał mi dostatecznie do poznania, że obchodzi go to, co mogłabym zrobić ze sobą nadal. I gdybym przyjęła propozycję pana de Chantenay, to jeszcze raz powtarzam, że obchodzi to tylko wielkiego księcia i mnie samą, a raczej mnie wyłącznie!

— A więc pani zaślubisz Renégo? — powtórzył Ferdys, przejęty nawskróś tą myślą, jak wszyscy bojaźliwi, których trapi namiętność. Powiedz mi pani, że to niepodobieństwo.

— Najlepszym dowodem, że małżeństwo to mogłoby dojść do skutku, skoro René sam się oświadcza.

— Niemowicie, że byłoby niepodobieństwem, dlatego, że pani jesteś go niegodną, przeciwnie — jest niepodobieństwem dla tego, że on nie wart pani.

— To też ja nie jego biorę sobie, ale jego nazwisko! Odwet jest, zdaje mi się, zupełny! Takiej okazji się nie pomija.

Rajmund porwał za kapelusz, poczem wskazawszy ręką na portret Fér-
auda, zawołał:

— Nie poznaję córki tego szlachetnego męża.

Błada, z okiem błyszczącym, ujawszy Rajmunda za rękę, którą ścisnęła z całej siły, Noris odparła, teraz dopiero obnażając mu krwawą ranę swego życia:

— I pan nie pojmujesz, że byłoby to największą pomstą mego męczeństwa. Idź pan, i nie myśl już o mnie, zostaw mi tę swobodę w życiu, jaką sam posiadasz! Nie powracaj, Rajmundzie! Nie zjawiaj się na mojej drodze. Kochasz mnie zanadto, a ja... ach! ja nie mam prawa cię kochać!

Ostatnio słowa wypowiedziała tak, jakby mówiła: "kocham ciebie," odpychając go zlekka rozgorączkowanymi rękoma, które on chciał podnieść do ust, okryć pocałunkami, a które łagodnie wypędzały go prawie, jakkolwiek miały niepoohamowaną chęć go zatrzymać.

Wtedy, czując, że może zacząć błagać tę kobietę, że może ją znowu upraszać ze łzami słabości i gniewu, ażeby nie zaślubiła Reného, zawstydział się samego siebie.

I odszedł, wołając jeszcze do Noris:

— Pozbawiasz mnie pani zmysłów i kruszysz mi serce!

— Być może — odparła. — Tak bywa!

I ona tłumiała łkania. Siły ją opadały. Ach, ileż ją kosztowały te odpowiedzi, dawane Rajmundowi, pełne drwiącej ironii.

Tak, chciała być panią swej woli, pragnęła mieć swobodę przyjęcia tej bezsensownej propozycji księcia de Chantenay, zostania, jeżeli zechce, księżną.

Księżną! Mogła nią być. Ach, po nad ten pusty tytuł, przekładała sto razy miłość Ferdys'a.

Kochała go.

Ale z głębi duszy mówiła prawdę: czuła, że nie jest godną tego młodzieńca i chciała, kto wie, skorzystać z nieprawdopodobnej ofiary księcia.

Zresztą, czuła się być zgnębioną i był już czas, ażeby Rajmund odjechał.

Stała się nerwową. Nabrzmiąte serce bolało ją. Wyszła pieszo, bez celu, oddychając świeżym powietrzem i powtarzając sobie z gniewem, który wzrastał jak u szalonej:

— Ach, on mnie kocha.... On chce mnie pojąć za żonę!... Chce mnie zrobić księżną.... On, który pogardzał uczciwą dziewczyną, czołga się u stóp kurtyzanki!

Szła prosto przed siebie i zmęczona przybyła do parku Monceau, gdzie zatrzymała się, wynajęła krzesło i siedząc, marzyła o tem, jak kiedyś... kiedyś szła tą samą drogą.

Wobec budzącej się do życia wiosny, Noris czuła się być wzruszoną i przypominała sobie ten wieczór majowy pochmurny i smutny, gdy szła, tak niedaleko ztąd, na ulicę Van-Dicka, błagać — i z jakim upokorzeniem! — błagać księcia Beaumartel de Chantenay o litość!

Atmosfera szczęśliwego życia odbiegła ją teraz, a chociaż wietrzyk słodki i świeży owiewał jej czoło, była ponura, czuła, że duszę jej przepęłnia gniew i smutnie spoglądała na te wszystkie rozkwitłe kwiały, te rośliny, te bukiety lili, te białe gałązki kasztanów, ten posąg marmurowy, który zdawał się uśmiechać na słońcu, i te szare gołąbki, spacerujące zwolna po trawnikach obok wesołych wróbelków.

I z jednego przedmiotu na drugi, z kłębku kwiatów na garstkę dzieci bawiących się w piasku, biegały oczy Noris, patrząc na wszystko i nie zatrzymując się na niczem, błędne, rozmarzone....

— Mogłabym się zemścić, gdybym chciała! Zemścić się!... Zemścić!...

Ale zatrzymała się, bardziej zamyślona, na tej grupie małych istot o czerwonych buziakach, których krzyki zupełnie licowały ze szczebiotem ptasząt.

Stopniowo, zaczęła się im przypatrywać coraz uważniej i dłużej.

Dzieci!

Niektóre spały w powijakach na kolanach mamek; wysmukłe drzewa zdawały się całować swym zielonym cieniem ich białe twarzyczki i zarumienione czołka.

Inne bawiły się, robiąc dziury w piasku, napełniając ziemią kubki blaszane, pomalowane na czerwono i niebiesko.

Miały na sobie białe sukienki, czerwone paski, niebieskie zarzutki i duże kapelusze z wstążkami, z pod których spadały włoski białe, jak jedwab złocony.

Jakże piękne były te dzieci!

I zabawne, i dobre, i zadziwiające z ich wielkimi badawczymi oczyma, którymi przechodząc, spoglądały na zamyśloną panią.

Zapomniała prawie o szalonym liście księcia, o tłumionych wyznaniach Rajmunda i zaczęła śledzić za ruchami tych malców, czując niezwykłą chęć ucałowania ich pucułowatych pocziwych buziaków. Zbudziło się w niej mimowoli uczucie macierzyństwa.

Tak, mogłaby zostać matką; miałaby własne ognisko rodzinne, gdyby nie Chantenay, Chantenay, który ofiarowuje jej to ognisko, ale bez świętości, bez kochania — ognisko, ofiarowane jej, jak jaki prezent bezwartościowy.

Chciała przyciągnąć te dzieci, jedno za drugim, porozmawiać z niemi, ucałować je, wypełnić ich kieszonki cukierkami, obciążyć ich ramionka mnóstwem zabawek.... Chciała zabawić się w matkę, jak oni bawili się w konie, albo w zamek z piasku.

Ach, macierzyństwo to zamek z piasku dla niej!

Wtem, z pomiędzy grupy malców, popchnięty przez guwernantkę, która zapewne nie chciała, ażeby się jej pupil bawił z nieznajomymi dziećmi, wybiegł ładny chłopczyk cztero czy pięcioletni, w kostiumie a la muzyk — bluzce aksamitnej zapiętej na haftki i w czerwonych spodenkach — i zbliżył się do niej, szukając zapewne cienia, a w miarę zbliżania się, spoglądając na nią coraz uważniej, zdziwiony zapewne wlepionym w siebie wzrokiem tej nieznajomejdamy.

O tyle był zdziwiony, że przybywszy do Noris, machinalnie cofnął się w stronę guwernantki i ujął ją za spódnicę.

Wtedy Noris ozwała się łagodnie:

— Czy mnie się kawaler boi?

Zatrzymała się, a guwernantka, która go przyzwyczajała do grzeczności, rzekła po angielsku, tak, że Noris słyszała:

— Trzeba zawsze odpowiedzieć, Charley, gdy mówią do ciebie! Powiedzże pani:

"Nie, pani, ja się pani nie boję!"

Dziecko zawahało się, spojrzało na guwernantkę i powtórzyło prawie szeptem:

— Nie pani, ja się pani nie boję!

Wtedy Noris wyciągnęła do niego rękę.

On podał jej swoje.

— Pozwolisz mi się pocałować?

— With pleasure!... Powiedzże, Charley: "Z przyjemnością!"

— Z przyjemnością — powtórzył chłopczyk nieśmiało.

— A jak się nazywasz?

— Karolek..

— To bardzo ładne imię.

— Nazywam się także Charley... po angielsku! — dodał malec.

— Ach, więc ty umiesz po angielsku... You speak english, master Charley?

— A little! — odparł malec, którego łagodność Noris ośmieliła.

— Jesteś bardzo ładnym chłopczykiem — rzekła Noris. — Twój ojczulek musi być bardzo dumny z ciebie?

Dziecko odparło:

— Ja nie mam ojca!... On jest tam... pogrzebany w zamku!

Wskazał rączką punkt jakiś w przestrzeni.

— Pan Charley — rzekła z powagą guwernantka, kładąc swą suchą rękę na jasnej główce chłopca — jest panem hrabią, de Montépreux.

— Montépreux?

Noris przy tem nazwisku spojrzała to na guwernantkę, to na chłopca.

Wistocie, Charley miał oczy i płeć matki.

Dziecko pani de Montépreux! Ta kobieta była matką takiego dziecka, dziecka, które tak było ładne, że Noris z rozkoszą chciała je ucałować.

Mogła je kochać, miała takiego syna i stała się metresą Chantenay!

— Kobiety są głupie, albo szalone!

I Noris wstała nagle, poczem schylając się do Charleya, który, zawsze elegancki, zdjął z jasnych włosów czapkę z piórem pawiem, rzekła:

— Powiedz mamie, że spotkałeś pewną panią, która prosiła cię, ażebyś jej powtórzył, że na tym świecie nic nie jest warte ciebie... ciebie... słyszysz?

Wtedy guwernantka wmieszała się, mówiąc uszczypliwie:

— Och, nie trzeba takich rzeczy mówić dzieciom, one i tak się już dają we znaki.

Po chwili zapytała:

— Jeżeli mnie pani hrabina zapyta o naswisko pani, jak mam powiedzieć?

Guwernantka czekała współuśmiechnięta ironicznie.

— Moje nazwisko? Panna Féraud — odparła Noris, odchodząc.

Gdy odchodziła, przyszło jej na myśl, że może w tej chwili, gdy mały Karolek, "pan hrabia," jak mówiła guwernantka, znajdował się w parku Monceau, jego matka hrabina była może tam, przy ulicy Van Dycka u Chantenaya!...

Imaginacja Noris mówiła jej, że nie może być inaczej.

Tak, tak.

Dziecko budowało zamki z piasku o kilka kroków od kochanka matki, podczas gdy ojciec pogrzebany w pałacu....

I Noris widziała jeszcze tajemniczy ruch sieroty: "Ja nie mam ojca! On jest tam."

Pani de Montépreux u Chantenaya! Napewno! I kto wie? Może błaga księcia tak, jak Noris przed laty.

Tak, Jacquelina dowiedziawszy się zapewne, i może od samego Reného nawet, że Chantenay marzył o nieprawdopodobnym związku z panną Féraud, udała się bezwąt্পienia na ulicę Van Dycka.

Ta myśl ironiczna przychodziła do głowy Noris, w chwili, gdy opuszczała park Manceau.

— Biedny chłopcze! — szepnęła, marząc o Karolku w kostiumie ruskim — mnie może będziesz zawdzięczał, że książę de Chantenay nie zostanie twoim ojczymem!

List, który Noris otrzymała w obecności Rajmunda, René napisał nie bez namysłu i wahania; ale mały Chantenay wziął sobie za zasadę w życiu postępować według własnego upodobania.

Otoż, gniewało go i nudziło, że matka nakłania go ciągle do małżeństwa, i że Jacquelina de Montépreux staje się coraz zazdrośniejszą i coraz częściej dopomina się spełnienia obietnicy.

— Chcą, bym się ożenił, a więc ożenię się, ale z tą, którą sam sobie wybiorę! Stawał się coraz bardziej pochmurnym i rozdrażnionym; znajdował się w stanie takiego zdenerwowania, że ery to dla przesyty, czy przez gniew, czy na złość sobie samemu, mógł popełnić wiele nedorzeczości:

"Dlaczegoż miałyby to być nedorzeczością? — pytał sam siebie, starając się rozważyć własny projekt.

To tylko jest niedorzecznością na tym świecie, co nie sprawia przyjemności.

Otóż, przyjemnie mi będzie mieć przy sobie istotę, której przez głupotę nie umiałem dawniej należycie ocenić!"

Przyszły mu na myśl te wartościowe obrazy, na które zrazu nikt spojrzeć nie chce, a potem kupujący gorączkowo prześcigają się w podnoszeniu ich ceny, ażeby tylko mogły się dostać do ich galeryi.

— Idyotyzm!.. To prawda — myślał Chantenay — ale w każdym razie fakt!

Zaślubić Noris!

Z chwilą, gdy myśl ta przyszła mu do głowy, pewnego wieczoru, po natrętnej dopominaniu się Jacquelines o przyspieszenie ich ślubu, już go nie opuściła.

Przeciwnie, wzrastała z każdą chwilą, absorbując go w zupełności i budząc w tem zepsułem dziecięciu Paryża, coraz gorętsze żądze.

A nadomira wszystkiego, Rajmund stał mu na zawadzie i pobudzał do wściekłej zazdrości. Chantenay rad był go się pozbyć jaknajprędzej.

Zdawało mu się, że Ferdys intryguje przeciwko niemu. Nie dla tego, ażeby sądził, że Noris jest nałożnicą Rajmunda, bynajmniej. Ferdys jest z nadto człowiekiem honorowym, z nadto trzyma się sztywno na to... Ale on kocha Noris!

Ach, on ją kocha! Rajmund był jej faworytem, gdy tymczasem na Reného nawet patrzeć nie chciała.... Co za ironia!

Kwiat szyku zwyciężony przez tego marynarza. W klubie nazwanoby to paradoksem.

Bądź-co-bądź, René musi odnieść tryumf i jednym zamachem powali wszystkie przeszkody.

A przytem, René bądź-co-bądź chciał raz już skończyć, tak czy owak. Zanadto go dręczono i prześladowano tym wyrazem: małżeństwo.

Jacquelina? Znajdował ją dawniej zajmującą, teraz już nią nie była.

Szał za szal, ślub z Noris był mniej ryzykownym.

Pani de Montépreux była kobietą z towarzystwa, to prawda, ale waryatką, absolutnie waryatką. Przepyszna na metrese, ale nigdy na żonę.

Wyborna do śpiewania kupletów w kawiarni Ambasadorów między przyjaciółmi... Ale u siebie mieć ją na zawsze.... Nigdy!

Zresztą, istniał przecie i ten mały Charley, którego René nie znosił, nie wiedząc, czy kiedykolwiek mógłby się przyzwyczać do własnych dzieci, ale nienawidził cudze. Doprawdy, już wołałby tę małą Ahrenfeld z jej spleaszczonym garbatym nosem, z jej przykrym niemieckim akcentem i jej milionami!... Wszak matka, księżna de Chantenay, dość mu nagadała o tych milionach, dodając wszakże, że ksiązę Beaumartel de Chantenay nie powinien się żenić dla pieniędzy, to jest sprzedać się.

— A jednak, René — mówiła — jeżeli tak dalej, będziesz postępował jak dotąd, majątek ojca rychło pochłoniesz, bądź pewien... A jeżeli myślisz o moim, to, pomimo migreny, możesz jeszcze długo poczekać... uprzedzam cię!

Nie były to zbyt uciążliwe kazania i Chantenay słuchał ich bez gniewu; ale najwięcej gniewało go wieczne widmo małżeństwa.

Ożenić się! Dobrze! Ale przynajmniej — powtarzał gwałtownie — przynajmniej ożenić się z kobietą po swojej myśli.

Ze wszystkich kobiet jedna mu się teraz podobała najbardziej, Noris. Było to szaleństwem nie do darowania, ale jednak faktem było.

Wszystkie wspomnienia przeszłości szarpały mu serce. Przytem, jakby los chciał go koniecznie pozbawić zmysłów, wszędzie, gdzie się tylko obrócił, mówiono o Noris, a do imienia Noris dołączono zawsze imię Rajmunda.

Ta tajemnicza piękność, niedostępna dla tylu hołdów, miałażby się wzruszyć nareszcie? — pytano.

Rozbiła więc nareszcie — mówił hrabia de Marsan — szklanny kirys, w który stroił ją wielki książę, przy każdym swoim odjeździe.

Chodziły nawet pogłoski, i to z ust wiarogodnych, że Noris nie była metresą wielkiego księcia.

Miał dla niej głęboki szacunek, protegował ją widocznie, pozwalał jej na uzurpowanie swego tytułu, ale w zamian nic nie żądał.

I ten Rajmund de Ferdys przybywał z Indyj umyślnie dla uwiedzenia młodej dziewczyny i zwyciężenia wszystkich jej wielbicieli.

Nic dziwnego tedy, że umysł, próżność, wszystkie zmysły Renégo były zarazem zgniewane i podniecone, i młody książę stał się wistocie blizkim szaleństwa.

Pożądał tej kobiety, którą wypędził.

Byłby ją okupił całym majątkiem, zapłaciłby za nią więcej jeszcze, zaprzedałby jej osobistą wolność i własne nazwisko.

Jednakże wahał się, czując, że dla Chantenaya byłaby to zbyt śmiała abdykacja, a gdy spacerował po swoim gabinecie zdawało mu się, że z głębi ram, księżę Gerard, wymalowany przez Flandrina, urągał synowi z pod jasnego wąsa.

Ale żywa rozmowa z Rajmundem, nowe starcie księcia z markizem, zagnęły Renégo do "ostatecznego szturmu" jak mówił, śmiało, otwarcie i stanowczo.

Biada temu, ktoby go chciał powstrzymać!

Księżę miał pistolety wyborne i szpady pojedynkowe niemniej pyszne dla dania odpowiedzi śmiałkom.

Ach, Rajmund ośmielił się powtarzać jemu, Chantenayowi, że Noris, raz zawiedziona, nie miała, nie mogła mieć nic do czynienia z tym, który ją zgubił!

Ten dobry Rajmund twierdził, że mężczyzna może sobie wówczas tylko rościć jakie prawa do kobiety, jeżeli wypełnia względem niej wszystkie obowiązki; ten okrętowy lejtenant stawał się moralistą, pomimo, że sam, jak inni, lubiał życie paryżkie i smakował w młodych dziewczętach.

A więc, Ferdys zobaczy! Tak, zobaczy! Rajmund nie zna jeszcze swego kuzyna.

— On nie wie, do czego jestem zdolny!.. To, czego chcę, to chcę! Chcę na złość wszystkim i każdemu!

I księżę, z gniewem w niebieskich oczach, z zębami zaciśniętymi pod małym wąsem, zakończył, zdecydowany na wszystko:

— A ja chcę posiąść Noris!

Wstanie tego gniewnego rozgorączkowania, które ogarnęło go po tej ostatniej rozmowie z Ferdys'em, Chantenay napisał list do Noris, odebrany przez nią w obecności Rajmunda.

Czekał w strasznym niepokoju na odpowiedź, której Noris nie dała.

René był przekonany, że panna Féraud przyjmie jego niespodziane oświadczyzny ze zwyciężką radością.

Jakto, więc nie? nie odpowiedziała?

Chantenay spędził wieczór w klubie, w teatrze, na operze, pewny, że wieczorem zastanie list przy powrocie na ulicę Van-Dycka.

Na operze spostrzegł panią de Montépreux i powitał ją nad wyraz oschle, prawie rubasznie.

Łzy zakręciły się w jej oczach.

W loży hrabiny znajdowała się pani de Blignac.

Jacquelina wstydziła się płakać przy niej.

— Co panu się stało? — zapytała z cicha i szybko Reného. — Com ci zawiniła, książę?

— Nic.

— Już mnie nie kochasz?

— Owszem. Ale...

W tem ale tkwiła cała groźba porzucenia i niechęci, które nie uszły oka Jacqueliny.

— Odwiedzisz mnie jutro?

— Jutro?

Zdawał się szukać w myśli, czy jutro nie będzie miał ważniejszego zajęcia.

— Nie namyślaj się pan, wiem, że nie przyjdiesz. A więc ja przybędę do pana. Czy mnie przyjmiesz przynajmniej?

— Z największą przyjemnością.

Książe odpowiedział z uśmiechem wymuszonym, jak przy ziewnięciu.

Jacquelina wiedziała dobrze, że René przejęty był nową miłością, a przez jasnowidzenie zazdrości przewidywała, że zajął się panną Féraud z chwilą, gdy Noris zaczęła go abnegować. Światowiec ten stał się teraz podobnym do kurtyzanki, do prostej dziewczyny, kochającej policzkującego ją kochanka.

Pani de Montépreux, po tym chłodzie Reného, po tej jego oschłości i niezadowoleniu, spostrzegła z przestraczem, że chwilowy kaprys księcia zmienił się w szal, nie dający się pohamować.

Rana zwiększała się i trapiła nieszczęśliwego. Głód dręczył go; dla zaspokojenia tego głodu potrzebował żywego ciała!

Wtedy Jacquelinie przychodziły do głowy myśli najniedorzeczniejsze.

Raz, miała chęć zrobienia skandalu, to znowu pragnęła, zamknąć się w klasztorze. Pytała siebie, co ma uczynić, czy poszukać innego kochanka, czy zostać zakonnica?

Ale nie, nie: całą duszą, całą siłą uczucia kochała jednego tylko Reného, jednego, wyłącznie!

Gdyby kazał jej opuścić wszystko: zbytek, dziecko i iść z nim na koniec świata, nie wahałaby się ani chwili.

Próbowała się uspokoić. Ponieważ Noris odpychała Reného, czego się miała lękać?

Czego się miała obawiać po tak próżnym człowieku jak on? Wszystkiego!

René był zdolny do oświadczenia się Noris, do poślubienia jej, ażeby tylko zadość uczynić swej żądzy.

Ta nadzwyczajna myśl przychodziła do głowy zazdrosnej hrabiny właśnie w tym samym czasie, co i zrozpaczonemu księciu.

Obawa Jacquelines o takie szaleństwo, zmusiła ją do odgadnięcia zarazem, że myśl ta już tkwi w głowie księcia Chantenay-Beaumartel.

— Tak — myślała pani de Montépreux — on byłby zdolny do takiej infamii!...

Przyrzeknie jej to tak samo, jak mnie kiedyś!.. Na szczęście, ona go nie kocha, ona go już nie kocha, ona kocha Rajmunda!

Jak widzimy, hrabina rozumowała dobrze. Ażeby oprzeć się szaleństwu Reného jedynym lekarstwem miała być obojętność panny Féraud.

Noris, nie dawszy odpowiedzi pierwszego dnia, nie odpowiadała również dni następnych na szalony list księcia.

Robiła sobie przyjemność pytając siebie samej, czy powinna była zrobić swoją ofiarą tego podłego nędznika, a wiedząc dobrze, że René znajduje się w okropnym niepokoju, zachowywała milczenie i przedłużała karę.

Chantenay tracił cierpliwość. Miał wielką ochotę poróżnić z kimkolwiek Rajmunda.

Sam René miał żal jedynie tylko do Rajmunda.

Zdawało mu się, że gdyby nie on, Noris niezwłocznie wróciłaby do tego, którego kochała dawniej, kochała prawdziwie przed pięciu laty.

A ze swej strony, Ferdys uczuwał względem Reného pogardę. On to, on, ten pasożyt, ta lalka, on dla kilku godzin przyjemności, dla błahej przygody, dla spędzenia czasu, dla szyku, dla zadowolenia próżności zrobił z panny Féraud kobietę upadłą, kobietę, której się nie zaślubia.

Nie zaślubia? A jednak teraz Chantenay chce ją zaślubić! Ofiarowywał jej teraz, gdy stała się go niegodną, to nazwisko, którego odmówił jej wówczas, gdy była najuczciwszą i najmniej wymagającą ze wszystkich kobiet.

— Nie wymagającą! Uczciwą?... Czyż Noris i teraz nie była taką?

Co za idea!

Dość było Rajmundowi zadać sobie takie pytanie, ażeby odpowiedzieć z całą wiarą o prawości panny Féraud.

Nigdy nie spotkał istoty sumienniejszej, umysłu bardziej stałego, serca bardziej szlachetnego.

Czuł się wobec Noris, jak wobec żyjącego echa własnych myśli, własnych poglądów na stałość, własnego zdania o honorze.

Może zbyt romantyczna, w każdym razie Noris nie była więcej romantyczną od niego. Śniła przecie romans dusz podniosłych, poświęceń i przywiązania. Śniła o romansie jedynej miłości z Reném, miłości, która absorbuje całą przyjaźń osoby poddającej się i wiernej na całe życie.

Śniła tak jak sam Rajmund; ale on, szczęśliwszy od niej, urzeczywistnił swoją fantazję: nie kochał żadnej kobiety oprócz Noris i żadnej innej, oprócz niej, nigdy kochać nie będzie!

Ach, biedna dziewczyna! Gdyby zamiast spotkania Reného, spotkałaby jego na drodze życia, jego, Rajmunda, nie byłaby tą Noris, o której mówiły kroniki, jak o tajemnicy półświatka, i o której Gardanne opisał niestworzo-

ne rzeczy, jej salony, jej otoczenie i ogródkowo zdradzał tajemnicze życie tej kobiety w artykułach zamieszczanych w Paryżaninie.

— Nie byłaby — mówił Rajmund do siebie z gniewem — nałożnicą wielkiego księcia!

I on także, jak plotkarze klubowi, zadawał sobie teraz to pytanie z niepokojem, trapiącym jego serce:

— Czy Noris jest wistocie metresą tego człowieka?

Ten portret wielkiego księcia Wasyla, w białym surducie, z czapką białą na czole, z krzyżem na piersiach, portret, wiszący na ścianie salonu u Noris, Ferdys miał ochotę rozbić na szczątki.

Metresa wielkiego księcia!

A więc Chantenay nie wahał się nadać swe nazwisko kobiecie, którą cały Paryż nazywał metresą wielkiego księcia?

A gdyby tytuł ten był tylko kalumnią?

Gdyby Noris pozwalała światu sądzić, że bohater z pod Plewny był jej panem, ażeby tylko trzymać w przyzwoitem oddaleniu wielbicieli swych wdzięków?

— Przyjaciół, wyrażała się o wielkim księciu, mówiąc o nim. Oryginał, magnat, który powziął kaprys pozwolenia tej kobiecie na odzyskanie dawnych swobód.

Co za szaleństwo! Noris dziś nie jest już może metresą wielkiego księcia Wasyla, ale nią była; jak można wątpić o tem?

I Rajmund czuł, że mu naraz pęka głowa i serce.

Poczem, stopniowo, tonąc w masie zwątpień, rozbierając nową sytuację, w jaką stawiała Noris propozycja Reného, a raczej nie rozbierając nic,

dając się uwieść miłości, która była równie bezwzględna jak miłość Chantenaya, ale która była inaczej szlachetna, nawet w zazdrości, Rajmund doszedł do tego, że się zapytał siebie, czy ubóstwiając Noris i pewnym będąc jej wzajemności, nie dobrze by postąpił, wchodząc w ślady Reného i ofiarując swoje nazwisko na całe życie?

Dla Rajmunda, jak i dla Chantenaya, wszystko, co nie było Noris, nie miało uroku.

Uczuwał chęć porwania Paryżowi tej kobiety i uwięzienia jej na koniec świata.

Paryż i życie paryżkie przejmowały go wstrętem. Wir tego życia publicznego, które nużyło także i admirała Pragier du Resnel, odejmowało temu żołnierzowi wiarę w własną przyszłość i zamiłowanie swego zajęcia.

Ale Noris wystarczała do zapełnienia jego myśli i do zaabsorbowania jego młodości. Przy Noris zapominał o goryczy. Miał jeszcze miłość na świecie: miał żonę, uśmiech kobiety kochającej, jeżeli nie więcej.

Najwyższe rozdrażnienie ministra, w jakim powrócił z pewnej sesji, na której odmówiono mu kredytu na pewne ulepszenia w marynarce, znowu pesymistycznie usposobiło Rajmunda.

Minister podał się do dymisyi, a Ferdys również uczuł radość, że może uwolnić się od tych zajęć biurowych, gdzie wszystkie projekta napotykały odmowę.

Ach, z jakąż rozkoszą odetchnie teraz wiatrem zachodnim...

— Dusilem się tu, admirale!

Więc znowu uda się na morze. Będzie błędził znowu, na oślep, samotnie.

Dlaczego samotnie?

Opuści Noris. Usunie się od niej, jak przed pięciu laty, ale wiedząc już teraz, że ta kobieta kocha go? Nie — marząc o tem — nie, to było niepodobieństwem!...

To kochanka Reného, z którą Rajmund żegnał się przed pięciu laty.

Ale dziś!...

Dziś, Noris była panią swego przeznaczenia....

Noris, bez złudnych marzeń o Niebieskim księciu, mogła rozporządzać swoim losem, a on Ferdys, czyliż nie może ofiarować pannie Féraud, wdowie po pierwszej miłości, tego, co jej ofiarował, tytułem wynagrodzenia przy nowym targu, René Beaumartel de Chantenay, to jest, swego nazwiska?

Wistocie, Rajmund mógł to uczynić. Ona była jedyną miłością w jego życiu. Inny chciał ją poślubić. I dla czegożby, on, markiz de Ferdys, nie miałby jej pojąć za żonę?

Nie znał w życiu istoty ludzkiej, którejby pewniej mógł powierzyć swój honor, pomimo nawet jej upadku.

— A gdyby zrobił niewielką ofiarę z samego siebie dla zbawienia jednej duszyczki?

Lecz Noris, miłość Noris wartą tego była!

Rajmund był zbyt otwartym, zbyt kochał swego ojca, ażeby mu nie powierzyć tajemnicy i postanowienia, jakie zamierzał powziąć właśnie po długich chwilach namysłu.

Markiz osłupiał.

Zdawało mu się, że Rajmund dostał pomieszania zmysłów.

— Czy oświadczyłeś się panie Féraud? — zapytał niespokojnie.

— Nie.

— To całe szczęście! Sądzę, że tego nie uczynisz przecie! Toż to szaleństwo, piękne być może, ale w każdym razie szaleństwo!

— Bynajmniej — odparł Rajmund z powagą. Kocham pannę Féraud, namyślałem się długo, kocham ją z całego serca, i powziąłem zamiar stanowczy.

— Ależ Rajmundzie, toż to metresa wielkiego księcia Wasyla!

I markiz wzruszył ramionami, śmiejąc się prawie.

— Jesteś fantastą! Nie zaślubia się cudzej metresy.

— Panna Féraud nie jest metresą wielkiego księcia!

— Wierzysz temu?

— Wierzę — odparł Rajmund.

— Bo ona ci to powiedziała?

— Nie pytałem jej o to. Wielki książę jest równie obcym w jej życiu, jak sam René.

— Przed pięciu laty, panna Féraud była biedną. Dziś jest bogatą. Skądże ma na taki zbytek?

— Opuści swój pałac, jeżeli zgodzi się wyjść za mnie, również biedną, jak najswobodniejszą, o tem nie wątpisz przecie, mój ojczy!

— Poczekaj.. Porozumiemy się... Panna Féraud zostanie znowu biedną, zgoda; nie jest, czy nawet nie była metresą wielkiego księcia, i na to zgoda; ale była przecie metresą Reného.

— Który postąpił jak nędznik, jak człowiek podły!

— Ach, drogi Rajmundzie, jesteś nedorzeczny! Czy powracasz z Markizów po to, ażeby zreformować Paryż i brać na swoje barki winy innych.

— Przybywam do Paryża po to, ażeby postępować tak jak mi nakazuje sumienie, i nie tylko przyczynić się do swego szczęścia, ale i do szczęścia kobiety, którą znajduję godną siebie.

Markiz pogładził delikatnymi rękami swe kędzierzawe, włosy, jak gdyby szukając nowych zarzutów w swej siwej głowie.

— Namiętność cię zaślepia — rzekł w końcu — waryujesz. Nie przeżyłbyś czterdziestu ośmiu godzin z panną Féraud, a już by cię osławiono; przypominam ci imię, które nosisz...

— Tak więc — odparł Rajmund — traci się honor, dając swe nazwisko kobiecie, którą się kocha, którą się szanuje, i nie traci się go, biorąc ją sobie za metresę?

Ojciec patrzył przez chwilę na syna przed odpowiedzią.

— Czy masz na myśli pannę Brunier? — zapytał pan de Ferdys, blednąc trochę.

— Nie mam nikogo na myśli. Mówię, że wasz świat jest niesmaczny, że wasze konwenanse nie mają za grosz sensu, i że są nieuczciwe! Mężczyzna zdradza bezkarnie kobietę i za to mu włos z głowy nie spada. A zdradzonej kobiecie czyż nikt nie może podać ręki?

— Podaj rękę pannie Noris — odparł markiz — ale nie żeń się z nią.

Rajmund pokręcił głową.

— Tak, to bardzo ładnie powiedziane, ale nie w ten sposób, jak chce Paryż, rozstrzyga się tego rodzaju kwestye. Kocham Noris. Kocham. Jeżeli zgodzi się wyjść za mnie, poślubię ją.

— Jeżeli zgodzi się?... Ależ — zawołał markiz — byłaby chyba zbyt nierozsądna, gdyby się nie miała zgodzić.

— A jednak była nierozsądną — odparł Rajmund — o tyle, że dotąd nie odpowiedziała tak Renému, który prosił o jej rękę.

— René prosił o jej rękę?

— René!

— A to doskonale! — zawołał markiz... Ten nic dobrego René sądzi, że jest zakochanym w Noris, gdyż ona wyśmiewa się z niego, on ożeniłby się z nią na przekór — tak bywa — a ty gorączkujesz się przez zazdrość.. Robicie na mnie wrażenie dwóch dogów, którym rzucono jedną kość do obgryzienia!... Panna Féraud zachwyca cię, ja to rozumiem dobrze... I ja także szanuję ją, jak powiadasz... Ale ty jesteś więcej zazdrosny o Reného aniżeli zakochany w Noris! Wierzaj mi! Nie mów i nie rób głupstw! Pomyśl! Za pół roku René poślubi panią de Montépreux, ty zaś odbędziesz nową wycieczkę morską i doznasz nowych wrażeń. Co do mnie — dodał markiz z powagą, prawie ze smutkiem, wyciągając rękę do syna — dziękuję ci, żeś mi przypomniał, że mając włos siwy, czas już nie myśleć o zbyt młodocianych wybrykach!... Tak — dodał wesoło — to mi poskutkuje. Od jutra — wszystko skończone. — Zamiast ojca, będziesz miał dziadka!

Uśmiechnął się, a ujmując Rajmunda za obie ręce, rzekł:

— No, jakże, markizie, czy poślubisz pannę Féraud?

— Kocham ją! — odparł młodzieniec.

— Radbyś, żebym ci powiedział: "Tem gorzej dla ciebie, spełnij twój obowiązek!"

— Kocham ją — powtórzył Rajmund.

— Ale przecie warto byłoby uczynić coś i dla świata...

— Czyż mniejszy byłby skandal, gdyby René pojął ją za żonę?

— René! Zawsze René! Ech, raz jeszcze ci powiadam, że René spłaciłby stary dług, dług honorowy, jeżeli chcesz... A zresztą, René to René... Ale ty!...

— Ja kocham ją! — odparł znowu stanowczo Rajmund de Ferdys.

Markiz był zakłopotany.

— Ach, do licha! — zawołał z gniewem na samego siebie. — Nie ja ci będę prawił morały... Jakie mam prawo do ciebie? Ładny moralista — grzesznik! Ale gdyby twoja matka żyła — o, toby ją dotknęło... tak... dotknęło boleśnie...

— Moja matka domagałaby się odemnie tylko dwóch rzeczy: być uczciwym i szczęśliwym!

— Sądziś więc, że zaślubiając Noris byłbyś szczęśliwym? I czy myślisz, że świat miałby cię za uczciwego człowieka?

— Pogardzam waszym światem — zawołał Ferdys.

— Niech i tak będzie. Ale nie dawaj jemu pretekstu do pogardzania tobą. Pojmij za żonę kogokolwiek, kobietę nie wartą może pod względem moralnym panny Féraud, owszem, ale nie ją!.. Twoje szczęście?.. Ależ właśnie jesteś na drodze do zrujnowania go!.. Szczęście stanowi młoda dziewczyna, która nie znałaby, nie kochała i nie pożądała nikogo prócz ciebie, dziewczyna, której ty byłbyś marzeniem, snem, ideałem... mężem i ko-

chankiem.... Twoje szczęście jest w klasztorze! Twoje szczęście tańczy może pod białym welonem. Ono nie jest daleko! Ma lat ośmnaście, a jeśli chcesz, ażebym je przywołał, dam znak, a w tej chwili przybędzie!., Ale, ty wiesz dobrze, mój drogi, że szczęście to materya wiotka: jeśli go się nie pochwyci, może umknąć.

Biedny markiz miał łzy w oczach, które czuł dobrze, i które wydawały mu się śmiesznymi.

Frasunek jego nie miał granic, gdy pomimo wszelkich argumentów i przekładań, Rajmund odparł mu ostatecznie:

— Kocham Noris! Kocham ją, kocham i wszystko, co mi ojciec mówi nie zdoła oderwać mnie od tej miłości.

Nazajutrz, Rajmund de Ferdys spostrzegł, że markiz dotrzymał słowa: wąsy pana de Ferdys były białe. Markiz rzekł do syna:

— Mam ci powiedzieć nowinę.

— Jaką?

— Wielki książę Wasyl przybył do Paryża. Pewno będzie się ubiegał o Wielką Nagrodę.

— Ach! — odparł Rajmund.

Był blady jak płótno.

Markiz zapalił cygaro.

— Tak — dodał obojętnie — powtarzała mi to właśnie ta biedna Małgorzata Crunier.... Winienem ci przytem dodać, że możesz już jeść obiad u Ambasadorów, kiedy ci się tylko spodoba.... Już mnie tam nie zobaczysz z Margot! Zerwałem z nią!.. Płakała, daję ci słowo! Do, licha, przyzwyczajenie!.. Poczciwa dziewczyna!.. O, bywają takie....

A podczas, gdy Rajmund, dotknięty do żywego, myślał o tej niespodziance, mającej zrujnować wszystkie jego nadzieje: "Wielki księżę przybył do Paryża!" Markiz de Ferdys dodał:

— Wiesz, jeżeli będziesz grał na wyścigach, trzymajże za Frontignanem. To zwycięzca z Derby.... każdy żokej faworyzuje go od czasów Chantilly. Do widzenia, Rajmundzie!

V.

— Co tobie, droga Noris?

— Mnie? Nudzę się.... Wbrew własnej woli i pomimo, że wasza wysokość jest przy mnie, nudzę się, ten tłum, ten hałas denerwują mnie!...

— Jeżeli jesteś cierpiącą, może przejdziemy do cienia.... Wistocie dzień jest nadzwyczaj gorący.

— I będzie długi!

Noris wypowiedziała te ostatnie słowa szeptem, jakby ziewając, a oczy jej patrząc dokoła na tłum wyścigowców, przybierały wyraz znudzenia i smutku.

Było to na Longchamps, w dzień ubiegania się o Wielką Nagrodę.

Noris wstała tego dnia gorączkowo, niebieskie motylki biegały do koła jej głowy, to po wspaniałych czarnych włosach, to po koronkowej pościeli.

Prześliczna była pogoda; gdy służąca rozsunała ciężkie firanki, słońce zajrzało do sypialni, a niebo było uśmiechnięte, całe lazuruwe, piękne

czerwcowe niebo jeszcze wiosenne, jak dzień majowy, tak, że nawet wspa-
niały kostium Noris, leżący na szeslongu, arcydzieło elegancyi, stracił wie-
le na swej piękności.

Jakże ją będą lornetować!.. Jak to imię: "Noris" obiegać będzie wszyst-
kie usta.

Imię, które zdawało jej się już nie należącym do niej od chwili, gdy
Rajmund nazwał ją imieniem z lat dzieciennych: Zuzanną!

W roku zeszłym, o tej samej porze, Noris obudziła się prawie wesoła,
pomimo całej goryczy swego usposobienia.

Ten hałas o Wielkiej Nagrodzie, ten kiermasz zbytku, przyciągały ją,
jak gorączka, która mogła dać zapomnienie.

Ale "czyliż można zapomnieć?" Cieszyła się ironicznie, że dzienniki i
kronikarze opiszą jej kostium i powtórzą jej rozmowę.

Ta pewność powodzenia, stwierdzonego przez tych, co pastwili się nad
jej ojcem, napawała ją pewnym rodzajem rozkoszy.

Ale dziś, dzień Wielkiej Nagrody wydawał jej się poprostu nudnym,
gniewał ją nawet.

Wielki ksiązę pragnął być koniecznie na tym spektaklu! Uważał się za
Paryżanina, bo już nieraz był w tym tłumie.

A pewność powodzenia Noris dodawała dlań wiele uroku w tym dniu
uroczystym.

Prosił ją, ażeby koniecznie udała się na Longchamps. Nigdy przecie nie
wymagał od niej wielu poświęceń.

Przybywał z Petersburga, miał bawić tylko trzy tygodnie w Paryżu i
zniknąć aż do sezonu w Nizy.

Ale przyjeoielska życzliwość, jaką miał dla Noris, domagała się dla niej nieustannych sukcesów.

Dla wielkiego księcia, Noris była jego dziełem. Pochlebiało trochę jego wysokości, że znalazł paryżankę, która umiała imponować całemu Paryżowi. Dawniej pożądał jej dla jej piękności, dziś powracał do niej jedynie dla jej rozumu. Wielki książę, dawniej pociągnięty przez kaprys, dziś Ignął do niej przez przyjaźń. Ta kobieta, w której przeczuwał duszę wyższą, a która mówiła doń językiem fantastycznym, podobała mu się; ale nie szukał przy jej boku, tego, co mieć mógł przy boku innych: przyjemności.

Wymagał od niej, przeciwnie, tego tylko, czego inne dać mu nie mogły: rozumu, rozmowy, marzeń, a także zapomnienia.

Mówiono, że wielki książę kochał się bez wzajemności w jednej z kobiet wielkiego świata w swojej ojczyźnie.

Noris zachwycała go, jako urzeczywistnienie ironicznego paradoksu, zachwycała go ta jej umiejętność trzymania ludzi zdaleka od siebie.

— Tylko w Paryżu — mówił Wasyl — można znaleźć w mieszczańczej tę dumę księżny i tę czystość rasy!

Nawet artykuły, które gazety poświęcały metresie wielkiego księcia nie były przykre dla jego wysokości.

Jego metresa! Pochlebiano mu bardzo. Ale jego próżność znajdowała pewne upodobanie w tem, że ludzie myśleli, że ta piękna istota, nie należąca właściwie do nikogo, należała do niego.

To też, za żadną cenę, nie opuściłby kobiety, która w jego oczach grała rolę pani jego domu, a tembardziej rad był pochwalić się nią publicznie pewnego dnia na wyścigach, dnia Wielkiej Nagrody.

Przez chwilę, Noris miała chęć zabrania ze sobą na Longchamps Małgorzaty Brunier, ale znalazła młodą dziewczynę w dziwnym rozdrażnieniu. I ją także męczyły już te widowiska, i ona była znużoną, osamotnioną i zbołałą.

Margot była już tyle razy obecną przy zdobywaniu Wielkich Nagród, uroczystości tak podobnych do siebie, jak wszyscy wielcy książęta!

Wszystkie te biegi, jedne podczas deszczu, drugie na słońcu, jedne, przy których błoto bryzga całymi plastrami, drugie, przy których kurz kłębami osiada na piersiach — wszystkie koniec końcem nie miały uroku nowości i dawały się opisać zawczasu.

— Nie, droga Noris, tego roku będą się ubiegać o Wielką Nagrodę bezemnie. Mam dosyć tego dobrego! Starzeję się, doprawdy. Usypiają mnie te widowiska.

Stara! A w jakim wieku była Margot? Lat dwadzieścia sześć!

Małgorzata nie mówiła, co ją rozdrażniło więcej, aniżeli przypuszczać mogła, to mianowicie postanowienie Markiza de Ferdys zerwania z nią poprawnie, elegancko, ale zerwać nagle i stanowczo! Wybryk, facecya?? Nie, nie, raczej silna wola!

Stary Ferdys przyrzekł synowi wóz zatrzymać — dotrzymał słowa i odprzągnął konie.

Margot nie miała prawa robić mu wymówek: przecinał łańcuch złotymi nożycami.

Ale ta biedna Margot przyzwyczała się prowadzić życie łatwe, bez trosk i kłopotów, a przytem ten markiz z siwymi włosami i zmarszczkami w kątach oczu podobał jej się.

Kochała go wistocie poczciwa dziewczyna, marzycielka jak inne z ich rumianemi twarzyczkami i uśmiechnietemi oczyma.

A teraz, musiała znowu rozpocząć życie kobiet upadłych, życie rozpaczliwe, musiała szukać nowego kochanka, nowej miłości — jakby to było miłością! — i spacerować przy boku innego mężczyzny z tą samą fałszywą wesołością i tym samym uśmiechem, nieodzownym argumentem jej piękności.

Stopniowo, nie chcąc na razie zwierzać się nikomu, Margot wtajemniczyła Noris w swoje położenie; i nawet ten pałacyk, w którym Małgorzacie wymknęły się te zwierzenia, dodawał ironii do ich smutku.

Ach, jakąż miała ochotę sprzedać wszystko, wszystko stopić — jak mówiła żargonem prostej dziewczyny, zmuszonej znowu malować policzki — jakąż miała ochotę zakopać się w jakim wiejskim zakątku z psami, kurami, w płóciennym kaftanie na plecach, ale przynajmniej ze swobodą i z prawem życia, jedzenia i spania dowoli....

— Ach, babka Brunier, która popchnęła mnie na tę drogę, była obrzydliwą kobietą! — mówiła Margot, wskazując palcem na jakieś niewidzialne widmo, widmo starej kobiety, śpiącej obok mogiły Eugeniusza Féraud pod murem na Montmartre.

W głosie dziewczyny czuć było tragiczne łkania, a Noris drżała, myśląc o tym, który ją popchnął na drogę nie mniej wstrętną!

Noris, od chwili, gdy Chantenay oświadczył się jej, czuła, że się znajduje w gorączce, że jest słabą, i złe myśli przychodziły jej do głowy.

Poślubić księcia — to byłaby zemsta! Nigdy nie śniła o takiej zemście. Byłoby to i głośne i zabójcze!

— Wiem dobrze, dlaczego on pragnie popełnić takie szaleństwo! Ten człowiek dotychczas mógł robić wszystko, co chciał. Brnie więc dalej!

I z odcieniem złośliwości w głosie, powtarzała nieraz sobie:

— Księżna!... O, cnota moja byłaby hojnie opłaconą!...

Przybycie wielkiego księcia odwróciło te myśli i pragnienia Noris.

Przyjęła go z chłodną grzecznością, ale przyjęła go, a obecność jego wysokości, oddaliła na chwilę z jej myśli, oświadczyzny Renégo.

Co zaś do Rajmunda, rzecz dziwna, ten już nie przybywał.

Noris była niespokojną, pytając się, czy młody markiz opuścił Paryż, ale Małgorzata Brunier przekonała ją, że nie.

— Nie przybywa! — mówiła do siebie — może mnie już nie kocha!

Nie, nie. nie mogła wątpić. Rajmund nie przybywał, bo się jej lękał i miał rację, że się lękał, gdyż ona czuła się w takim

usposobieniu umysłu, gdzie szaleństwo stoi tuż, groźne, gotowe pchnąć do postanowień niedorzecznych, mogących stać się ruiną całego życia.

Bóg raczy wiedzieć, co wybrałaby Noris, czy Rajmunda, którego kochała, czy Chantenaya, którego nienawidziła, a który zdawał się jej na łaskę i niełaskę, czy wreszcie wielkiego księcia, który przybywał, jakby dla odłączenia jej od jednego i drugiego.

— Gdybym była odważną, wiem, cobym uczyniła: to, o czym marzy Margot!...

Znikłabym, zakopałabym się, zestarzałabym i umarłabym na folwarku, jak wieśniaczka!..

Ale wkrótce prawda tego niewolniczego życia w zbyt kownem otoczeniu oprzytomniła ją, i zawahawszy się z wstąpieniem w ślady Małgorzaty, która nie chciała pojechać na uroczystość Wielkiej Nagrody, znalazła się na Longchamps, wpół leżąc w powozie, lornetowana, podziwiana, witana ukłonami, a wielki książę zbliżył się piechotą pomiędzy ekwipażami, by porozmawiać z tą piękną Noris, która przy promieniach słonecznych wydawała się jeszcze piękniejszą.

Tylko była rozdrażnioną i ponurą, myśląc o wszystkim, z wyjątkiem o ścigających się koniach.

Nic jej nie zajmowało.

Tłum ją drażnił, a od słońca dostała migreny.

Uczuła potrzebę spokoju, wypoczynku, chciała pozbyć się widoku tego tłumu, tych okrzyków i tych biegów końskich; i im bardziej wielki książę, zdziwiony jej smutkiem, pytał się jej, czy cierpi i dlaczego spogląda na torry, na jockey'ów, na stroje, na powozy, wzrokiem tak obojętnym, jakby miała przed sobą jakiś nieudolny obraz, albo aktorów nudnej operetty, im bardziej pragnął ją rozerwać w jej raptownej niedyspozycyi, tem bardziej Noris czuła się w tym hałasie tłumu samotną i zgubioną, doznając stopniowo wzrastającego wrażenia ruiny i ponurej samotności....

Byłoby jej tak dobrze w jej bibliotece przy ulicy Jouffroy, po za roletami z różowego jedwabiu, gdy czytała marzyła, albo leżała w cieniu w ogrodzie swego pałacu, w lubym spoczynku jak po kąpieli.

Tam, z współprzymkniętymi oczyma, sama jedna, w obawie, ażeby nie usłyszała odgłosu dzwonka, któryby ją zbudził z tego zapomnienia, spędzała nieraz chwile marzeń, w ciągu których rozbierała całą rozkosz i smutek

swojego życia; i właśnie dzisiaj była usposobioną do spędzenia całego dnia wśród smutnych wspomnień i marzeń o przeszłości....

Wasył uważał to za śmieszne. Dlaczego pragnął koniecznie, ażeby pojechać na Longchamps? Była to uroczystość wielkoświatowców. Trzeba było odegrać komedię; w dzień zdobywania Wielkiej Nagrody nie wypada być w domu, i sądząc, że ją rozerwie, wielki książę zapragnął, ażeby Noris powiększyła liczbę figurantek w panoramie światowej Longchamps'u.

Ale właśnie ogłuszający gwar tłumu powiększył jeszcze rozdrażnienie Noris, pograżając ją niejako w mgłę smutku.

Nawet jego wysokość, wielki książę, nudził ją. Ale nie więcej jak wszyscy, nie więcej, jak ci żokeje, jak całe towarzystwo.

Wszystko ja, nudziło. Od czasu do czasu doznawała gorączki nerwowej, co widząc wielki książę, odzywał się z akcentem rosyjskim:

— Noris jest najdziwaczniejszą ze wszystkich stworzeń!..

Tak, wiedziała o tem dobrze. Miała poczucie nie być podobną do innych kobiet.

Wistocie, różniła się od tych pięknych dziewcząt, które spoglądały na nią z zazdrością i z nienawiścią zarazem, zwłaszcza przeszywał ją wzrok jednej kobiety, o postawie wyniosłej, dumnej i okazałej, kobiety prześlicznej, siedzącej w trybunie w sukni pąsowej na tle koloru słoniowej kości, a którą była Jacqueline de Montépreux.

Noris czuła na swej twarzy wzrok hrabiny, palący jak szkło wypukłe na słońcu.

Ta biedna pani de Montépreux nie spuszczała z niej lornety, ani oczu. Musiała ją bardzo nienawidzić.

— Biedna kobieta! — pomyślała Noris — gdybyż wiedziała....

A gdzie był Chantenay? Wszakże Wielka Nagroda nie mogła być zdobytą bez księcia de Chantenay?

Gdzie książę? Noris szukała księcia. Kwiat szyku znajdował się przy wadze. Nie spostrzegła go.

Ale był! Przed chwilą ktoś wymienił jego nazwisko.

Ludzie przechodzili, a dwóch dziennikarzy mówiło:

— Chantenay zawsze w aureoli szyku!

— Zawsze! — odparł drugi.

Chciała go zobaczyć, ciekawa, jakby się zachował pomiędzy nią i hrabiną, wobec tych dwóch kobiet, którym jednakowo nakłamał.

Jakby się zachował? Ależ poprawnie, arcy poprawnie.

To już jego taki zwyczaj Chantenay zawsze bez zarzutu!

Tego rodzaju spotkania nie krepują go bynajmniej. Był do nich przyzwyczajony.

Ale przy tem wszystkim cóż René obchodził Noris? Co ją obchodziła pani de Montépreux? I całe to towarzystwo!

Czuła nie dającą się pohamować chęć odjechania, tak była rozdrażniona....

Nagle uderzyła wachlarzem po dłoni i rzekła:

— Odjeżdżam!

Wielki książę spojrział na nią.

— Jakto? Na seryo? Odjeżdżasz? Byłażbyś chorą?

— Nie, nie jestem chorą.... Jestem nie w usposobieniu... Nerwy... Przepraszam waszą wysokość!...

— Och, ja przebaczam!... Ale Wielka Nagroda?...

— Wielka Nagroda! Zostawię ją sobie na rok przyszły!... Ruszaj! — rzekła do woźnicy, który z niezadowoleniem wyjechał z pośród stojących w szeregu powozów.

Noris była już daleko, szczęśliwa, że może uciec.

Zdawało jej się, że głos, pełen niekłamanego szacunku z akcentem rosyjskim, powtarzał po kilkakroć to imię: Noris!...

Ale jedno imię powstrzymałoby ją tylko.

A tego imienia nie znał wielki książę, jeden tylko Rajmund znał je, mianowicie: Zuzanna!

Przytem istotnie cierpiała w tym tłumie. Pragnęła znaleźć się w samotności, ażeby pomarzyć trochę.

Już uniknęła tłumy, już woźnica przebywa most, zatłoczony powozami, podczas gdy Noris z bezmyślnym uśmiechem spoglądała na siną wodę, płynącą tam z szybkością iskry.

Niebawem znalazła się w wiosce. Przyszła jej fantazyja przyjrzeć się tym ludziom, dążącym od strony Suresnes ku murawie, którą opuściła przed chwilą.

— Jedź wybrzeżem! — rzekła do zdziwionego woźnicy.

— Ale, proszę pani, koń....

— Jedź!

Bawiło ją teraz patrzeć na te wązkie uliczki Suresnes, gdzie ludzie płynęli tłumem jak potok.

Droga z Paryża, tam w górze, przepelnioną była spieszącymi ludźmi: małomieszczanie, komiwoyazerzy, wypadkowi sportsmeni, spieszyli z lor-

netkami, ażeby zakładać się, przegrywać dochody miesięczne, tygodniowe, całą zawartość swych sakiewek.

Lubo w pośpiechu, patrzyli jednak, wciąż obcierając spocone czoła, na tę piękną kobietę, która wpółleżąc w powozie, uciekała od tego, co ich nęciło, uciekała z pogardą.

Noris w przelocie dostrzegała niekiedy ironiczne spójrzenia, słyszała gorzko- słone docinki kochanych paryżan.

Co ją dziwiło, to ta radość, ta wesołość tych ludzi, którzy pomimo czerwcowego upału idąc ręką w rękę, albo pojedynczo, śmieli się na całe gardło.

Przed niektórymi karczmami w Suresnes, stały na otwartym powietrzu ławki i stoły, na których pito rozcieńczone wino w grubych szklankach, nie zajmując się wcale polem wyścigów, rezultatami wagi i całym high life'-m. Ładne dziewczęta wystrojone odświętnie, o cerze opalonej i czerwonych rękach usługiwały gościom, a "towarzystwa", siedzące w głębi ogródków przy stołach, miały pozór zdrowej wesołości, która przypominała Noris wycieczki zamiejskie biednych ludzi na plac Clichy, pod altanami, gdy z ulicy Brochant kiedyś chodziła w tamte strony na spacer z ojcem.

Na placyku przed kościołem inne widowisko uderzyło ją i kazała zatrzymać powóz.

Przybywszy tam, zdziwiła się, widząc przed Portykiem tłum czekającego ludu. Wyrostki, dziewczęta, tłoczyli się gwarno, a z ponad białych czepców mnóstwa kobiet starszych, widniał wygalonowany złotem kapelusz szwajcara, błyszczący jak żółte słońce na polu czarnego zboża.

Mimowoli zbliżyła się z zaciekawieniem.

W kościele była uroczystość. Wyrostki w ładnych ubiorach czekali na przodzie przejścia jakiegoś orszaku i mało ich zajmowała zdobywana opodal Wielka Nagroda.

Ich duże oczy otwierały się, chciwe zobaczenia.

Widocznie jakaś procesya.

— Co to takiego? — spytała Noris jednej z dziewcząt.

Mała zarumieniła się po uszy, spojrzała na piękną damę i odparła:

— Uwieńczenie królowej róż, proszę pani. Królowa róż, dziewica cnoty! Noris uśmiechnęła się.

Więc jeszcze istnieje zwyczaj wieńczenia królowej róż i to w dzień zdobywania Wielkiej Nagrody?.. Więc są jeszcze cnotliwe dziewczęta na tym świecie?..

Królowa róż!.. Nigdy tego nie widziała, nigdy!..

— Czy można wejść, moje dziecko?

— Tak, proszę pani, z kartką podpisaną przez pana mera....

Co za szkoda. Noris nie miała kartki.

— A bez kartki?

— O, nie można, proszę pani.

Noris uczuła, że ktoś ją trąca, a mały chłopczyna lat siedmiu czy ośmiu rzekł do niej, czerwieniąc się i podając jej papier zadrukowany:

— Ja mam dużo kartek proszę pani... oto jedna! Wzięła papier; poczem, dawszy dziecku monetę srebrną na cukierki, rzekła do woźnicy:

— Poczekasz tam, obok kościoła, w cieniu!

Następnie weszła do kościoła. Przy drzwiach oddała bilet, noszący pod egidą komuny w Suresnes ogłoszenie ceremonii wyboru i wieńczenia kró-

lowej róż "punktualnie o godzinie -ciej po południu, w niedzielę, dnia -go czerwca."

Umieszczono ją w głębi trybuny na górze, gdzie przez chwilę znalazła się sama oglądając na dole ten kościół pełen ludzi, jak gdyby patrzyła na widowisko teatralne.

Z początku widziała tylko same ozdoby... Kościół, rzęście oświetlony i wypełniony ludźmi wyglądał bardzo ładnie.

W górze! jak wiązanie okrętu, widać było pod sklepieniem kościoła, belki z czarnego rzeźbionego dębu.

Z po za wysokich okien w głębi chóru wchodziło światło, łącząc promienie słoneczne z jaskrawem czerwonym światłem płonących przy ołtarzu świeczników, okręconych purpurowym sukniem, podczas gdy z ołtarza bił odblask bieli, a cyboryum mięszało swój połysk złoty z tą masą światła.

Przed ołtarzem tłumy.

Krzeseła i ławki rozdzielone białą linią dla łatwiejszej defilady orszaku.

Tu i owdzie, komisarze w naramiennikach z zielonego jedwabiu, usadowiający nowoprzybyłych po obu stronach odprowadzający ich aż do trybuny, w której siedziała Noris, drżąca dziwną radością, wzruszeniem ciekawości, zachwycona, czując się być na wskroś przejętą tem, co widziała.

Wieśniaczki okoliczne, praczki albo przekupki siadały tuż przy niej, na tej samej ławce, a Noris usunęła swą suknię, ażeby nie zabierać zbyt wiele miejsca tym poczciwym kobietom, będącym u siebie.

— Trzecia godzina! Nie spóźnią się — rzekła jedna z nich — pan mer jest punktualny.

Noris spostrzegła wtedy pewne poruszenie w tłumie; widocznie, drzwi, wiodące na plac, otworzono.

Dały się słyszeć odgłosy dzwonów, a do kościoła w pośród wystrojonych ludzi wszedł powoli orszak młodych dziewcząt komuniantek w białych sukienkach.

Noris uczuła w sercu jakąś dziwną boleść przy tym wyrazie: komuniantki.

Patrzyła na nie, w duszy jej działo się coś niespodziewanego. Był to jakby orszak duchów, w których poznała siebie samą, siebie albo widmo swego dzieciństwa.

Widziała się ubraną tak samo w kościele, gdzie ojciec jej patrzył na nią i czekał na boku, przejęty i wzruszony do głębi.

Jej piękny biały welon! Jej suknia, w którą matka ustroiła ją własnoręcznie, gdyż szwaczki zawsze czegoś zapomną, ściegu, jednego nic, które jednak jest wszystkim!

O, jak to dawno, jak to już strasznie dawno!

Ta sukienka dziecinna i ten welon biały, to było jedynym welonem jej dzieciństwa, jedynym, którym kiedykolwiek biedna Noris zdołała swe skronie.

Komuniantki weszły zwolna, nieśmiało, bojaźliwie.

I jak wtedy, gdy grała Mendelssohna, córkę Férauda doleciał ironiczny dźwięk przeszłości.

O, nędzny Chantenay, nędzny!

Teraz, w orszaku, szły cztery aspirantki królowe róż, z czerwonymi wstążkami, pod białym welonem, a za nimi, królowa róż z roku poprzedniego, dotąd jeszcze uwieńczona różami.

Pocziwe kobiety, siedzące obok Noris, tłumaczyły to wszystko paryżance.

A teraz przechodził pan mer. Za nim podążali wystrojeni odświętnie członkowie rady municypalnej, i wszyscy zasiedli przy stole, pokrytym zielonym suknem, ustawionym naprzeciw rodzaju stali, gdzie zajęła miejsce wraz z córką pewna dama z okolicy, która przyjęła na siebie zaszczyt być koronującą.

Następnie wszedł ksiądz.

Noris widziała, jak stanął przed ołtarzem w złożonym ornacie.

Dokoła ołtarza i z obu stron kościoła, wisały na wysokich kijach chorągwie, muskając obnażone głowy mężczyzn i kapelusze o barwach jaskrawych lub białe czepki kobiet.

Jedne z tych chorągwi były czerwone z wyhaftowanym wypukłym Duchem Świętym, to znowu białe z Matką Boską w niebieskiej sukni z białymi kwaścikami.

Wszystkie te kolory mieszały się z czarną masą tłumu, w którym zielone wstęgi komisarzy, ruszających się co chwila, wydawały się gałązkami drzew, poruszanych wiatrem.

Noris, wzruszona, chciała wszystko obejrzeć i już wzięła do rąk zwycięgowe binokle, gdy mimowoli zmuszoną była opuścić je na kolana.

Zagrały organy, a ich rozdzierające jęki, niby skargi, zbudziły w niej wszystkie uśpione smutki.

Ta żalosna muzyka, te dziwne dźwięki przejmowały do głębi serce młodej kobiety i machinalnie opierając się o przód trybuny, wzięła udział w uroczystym usposobieniu obecnych, dzieląc wrażenia i bicie pulsów tych biednych dziewcząt, które miano sądzić — wybrać jedną! — a których prostoże dzieje słyszała z ust swoich sąsiadek.

Po każdodzienniej pracy, po znojnym trudzie w polu, po zabiegach około młodszego rodzeństwa, około starych rodziców, cnota i wytrwałość decydują o przyszłym losie tych biednych dziewcząt, z których grona prawie wyszła Noris, Noris, metresą wielkiego księcia Wasyla!..

Zbliżyła się chwila wyboru.

Kandydatki musiały być bardzo blade pod białymi zasłonami.

Po wygłoszeniu każdego z ich imion, napisanych na czterech kartkach — po wygłoszeniu ich kolejno przez proboszcza, potem przez mera i wreszcie przez członków rady — wrzucono je złożone w czwórmasób do urny, trzymanej przez dwoje maleńkich dzieci.

I kartki jedna po drugiej wpadały; i siedząc u stóp estrady, na której tronowała dama koronująca, kandydatki marzyły, nieruchome jak posągi.

Noris chętnie zastąpiłaby jedną z tych dziewcząt, gotowa podzielić ich los, zaprządz się do pługów ich pracy, ale tem samem mogąc śmiało patrzeć i bez skandalu nosić ten biały welon, którego René chciał ujrzeć na jej czarnych włosach...

Welon dziewicy! Ach, nieszczęśliwa! Jakże chętnie ozdobiłaby nim skronie dla Rajmunda, gdyby miała prawo po temu!

Nagle dał się słyszeć głos w kościele....

Ksiądz wszedł na ambonę. W rękę trzymał papier. Wybór został już dokonany Królowę róż wybrano.

Głębokie milczenie zapanowało w zgromadzeniu, a Noris usłyszała następujące słowa:

— Większością głosów królową róż na rok wybraną została....

Ksiądz zatrzymał się przez chwilę i dodał:

— Zuzanna Lestrade!

I niezwłocznie królowa róż z roku poprzedniego zdjęła swój wieniec z róż przewiązanych czarną wstążką, którego już nie miała prawa nosić, cofnięta przez nowowybraną królowę.

Zuzanna Lestrade!

Noris zadrżała. Królowa róż miała to samo imię co ona, co jej matka: Zuzanna!

Zdawało się Noris, że w tym wypadku tkwiła ironia.

Zuzanna, prawdziwa Zuzanna, Zuzanna Lestrade zarumieniła się, poczem nadzwyczaj zbladła; teraz, mer przedstawił ją koronującej, która uklękła na estradzie przed klęcznikiem, a w drżące nieco ręce królowej róż, dama z ładnym giestem macierzyństwa i łagodności, złożyła powoli zegarek, nakrycie srebrne i w kawałku papieru zwitek złota.

— Majątek! — ozwała się jakaś praczka, siedząca obok Noris.

Zuzanna Lestrade stała się posiadaczką franków, franków renty, które pewna dama, na pamiątkę przyjścia na świat dziecka swego, legowała na rzecz królowej róż z Suresnes.

I kobiety, sąsiadki Noris, zdawały się być zadowolone.

Dobry zrobiono wybór! Dziewczyna wistocie jest pocziwą!

Z tymi frankami zaślubi swego narzeczonego, który jest żołnierzem i otrzyma wiadomość o swoim szczęściu w pułku.

Królowa róż, praczka z okolicy, ma matkę, cierpiącą na pomieszanie zmysłów.

Ach, gdyby matka mogła być obecną przy uwieńczeniu jej córki!..

W każdym razie wybór trafny, ani słowa!

I Noris słuchała, patrząc na królowę róż, mając ochotę odpiąć bransoletę i dołączyć ją do prezentów, jakie uwieńczona miała wnieść w posagu swemu narzeczonemu żołnierzowi.

Nie miała jednak prawa do tego. Była tu obcą — i jak obcą! Nigdy nie czuła się równie osamotnioną.

Duszno jej było, pragnęła copędzej wyjść ztąd, uciec jak niedawno z wyścigów. Zeszła po wązkich drewnianych schodach z trybuny.

Dzwony były zamasyście; placyk przed kościołem zatłoczony był ciekawymi.

Trzeba sobie było przebić drogę pomiędzy żywopłotem z małych dziewcząt, rzemieślników w wykrochmalonych bluzach i starych kobiet w białych sztywnych czepcach.

Zanim weszła do powozu, Noris stanęła na uboczu i wsparta o węgieł jednego z domów patrzyła na tłum.

Zwróciła jej uwagę fanfara, przygotowana przez muzykantów w czapkach wyszytych złotem, którzy czekali z instrumentami miedzianymi, błyszczącymi na słońcu.

Gdy, poprowadzona przez komisarza, królowa róż ukazała się na progu kościoła, niosąc już na białym welonie wieniec, fanfara zagrzała, grając

jakiś marsz wojenny, krzykliwy, jakgdyby cały pułk szedł zdwojonym krokiem.

Z tłumy dały się słyszeć głosy.

— To ona! królowa róż!

Pchano się, ażeby ją zobaczyć, a ona na czele komuniantek, swych rywalek w białych sukniach i królowej z roku poprzedniego przebywała plac po za fanfara; a tłum wzrastał, wiedziony odgłosami trąb, i zdawało się Noris, nieruchomie stojącej, że była obecną ironiczną ucieczką czegoś, co należało do niej: — złudzenia, wspomnień, wiary, dymu, widma.

— Królowa! królowa róż! — wymówiły teraz tuż przy niej jakieś inne głosy, jakby ironiczne.

Noris spojrzała na tych, co krzyząc tak, śmieli się.

Było to kilku młodych ludzi, młodych dziewcząt, które wyśmiewały się, ale których śmiech brzmiał fałszywie których ironia była nie szczerą, i które zapewne — Noris Féraud odgadywała to po smutku i wzruszeniu swego własnego serca — czuły całą gorycz upadku wobec tej cnoty, przechadzającej się jak podczas maskarady i prowadzonej w apotcozie.

Fanfara oddalała się. Orszak zniknął w głębi ulic.

Noris weszła do powozu.

— Do Paryża!

— Jedźmy! — marzyła. — Tego jeszcze nigdy nie widziałam!.. Dobrze zrobiła, że nie została na wyścigach!

I podczas, gdy powóz ją unosił, Noris uśmiechała się jeszcze smutnie z tego przeciwstawienia high-life'u z tą wiejską dziwną uroczystością i tem szczerem zadowoleniem poczciwych maluczkich.

— Zuzanna Lestrade! — szeptała Noris z goryczą: — ona nie jest w obiegu, jak mówią na bulwarach! Gardanne nie mógłby opisać jej apartamentów! A jednak niech tylko zechce zamienić się z Noris na stanowiska — fakt zostanie dokonany!

Potem, gdy powóz zbliżał się już ku Paryżowi, z okiem błędnie zwróconem na uciekające drzewa z obu stron drogi, których nie widziała wcale, Noris czuła, że napłynąć wspomnień przepęlnia jej serce.

Dość więc było tego wypadkowego spotkania — tej uwieńczonej wieśniaczki — ażeby przypomnieć biednej kobiecie szczęśliwą przeszłość, nieświadomą i niewinną: matkę, ojca, ognisko mieszczańskie i uczciwe starego romansopisarza.

Ten biały welon wieśniaczki (myśl ta powracała doń uparcie, ironicznie), i ona miała go na czole, i dotąd jeszcze widziała się z wiarą i nadziejami dawnymi, patrząc w życie przez szparki muślinu komuniantek!

Ach! Niebieski książę! Sny! Marzenie! Przeszłość!

Wszystko, co przeżyła w ciągu tych pięciu lat, stanęło jej znowu na myśli.

Widziała znowu wszystko, małe mieszkanko przy ulicy Brochant, skwer, ojca piszącego ostatnie dzieło p. t. Dzieje ofiary i Chantenaya, jak przybył do tej ciszy, jak ona go już kochała, gotowa upaść, nieświadoma jeszcze tego co było występkiem; potem śmierć Férauda, Chantenay porzucający nieszczęsną; a potem, potem, pragnienie śmierci, dzika chęć zemsty, wielki książę, nowe życie, Rajmund, Margot, pani de Montépreux!

Mężczyźni i kobiety wydawały się jej osobami komedii satyrycznej, źle napisanej.

Tłoczyli się, darli się ze sobą nie wiedząc dla czego, a każda łatwowierność stawała się łupem każdej żądzy.

Słabość u Margot, nieświadomość u Noris, nietakt u Jacquelines, upadek wszędzie był jednakowy, a przyczyną była zawsze żądza albo próżniactwo jakiego łotra, młodego czy starego.

Wtedy raz jeszcze to zdanie odwieczne stanęło na jej ustach. Szeptala je i powtarzała sobie samej:

— Występek kobiety jest zbrodnią mężczyzny!...

Tak! Ale dla czegoż mężczyzna nie płaci długu mężczyzny?

Przed pięciu laty mogłaby się zemścić na panu de Chantenay.

— Pięć lat! Nie ma nawet przedawnienia prawnego Mówiła z tą ironją, która raniła jej marzenia i niekiedy przyprawiała ją o złość, ją, tak dobrą!

Potem odrywała swą myśl nawet od oddalonego wspomnienia o Chantenayu, powracała do kościoła, do Zuzanny Lestrade i zwracając głowę w stronę tego zakątka, który opuściła przed chwilą, patrzyła na pagórki niknące na horyzoncie, na czerwone dachy malejące w oddali i nadstawiała ucho, jakby pragnąc raz jeszcze usłyszeć głos, powabny głos dzwonów w Suresnes.

I w dniu tym wiosennym, w którym słońce zdobiło zieloność drzew, wisien rosnących na prawo i na lewo, a tam, poza pagórkami Puteaux, ten wielki Paryż, cały biały, ze złotymi promieniami, przyczepionymi do swych kopuł kościelnych, pod tem pięknem niebem, w tę szczęśliwą niedzielę, gdy wszystko śpiewało hymn do życia, Noris, Noris Feraud czuła się być smutną aż do śmierci.

Przybywszy do domu, natknęła się na Sylwinę, która zdziwiona, rzekła do niej:

— Jakto? Pani, tak wczesnie?... Więc się pani nie bawiła?...

— Nie, wcale nie! A raczej tak! Widziałam coś ciekawego: uczciwą dziewczynę, którą nagradzano! To się nie częste trafia! Czy jest co nowego?

— List, proszę pani. Służąca podała list na tacy. Noris zbladła.

Rajmund de Ferdys prosił "Zuzannę", ażeby go raczyła przyjąć tego wieczoru.

— Pan de Ferdys przybędzie dziś wieczorem. Nie przyjmuję więcej nikogo.

Pamiętaj, Sylwino!

— A wielki księżę, proszę pani?

— Nikogo! — powtórzyła Noris z niesmakiem. Tembardziej wielkiego księcia.

VI

Gdy Sylwina weszła do białego saloniku, gdzie znajdowała się tego wieczoru Noris, Zuzanna była jeszcze wzruszoną, domyślając się, że Rajmund musiał mieć jej coś ważnego do zakomunikowania.

Wydała lekki okrzyk gniewu, gdy służąca rzekła:

— To nie pan Ferdys, proszę pani.

— Mówiłam ci przecie że... nie przyjmuję nikogo!

— Ale gdyby pani wiedziała... możeby pani...

— Któż więc jest? — zapytała Noris.

— Pani hrabina de Montepreux, proszę pani!

Noris, zerwała się z fotelu.

Hrabina! Cóż za fantazyja albo raczej co za szaleństwo przyszło do głowy Jacqueline de Montépreux przybyć do Noris i co chciała powiedzieć pannie Féraud?

Noris zauważyła dobrze opór, z jakim hrabina lornetowała ją na wyścigach z trybuny.

W tym upartym wzroku widniał gniew albo nienawiść.

Pani de Montépreux musiała zapewne wiedzieć już od Renégo o bezsensownym zamiarze księcia de Chantenay, i pchana zazdrością przybywa zapewne błagać albo grozić — Noris dowie się za chwilę — tej, która była jej rywalką.

— Dziwna rywalka! — myślała Noris. Rywalka nienawidząca i pogardzająca tym, którego ta inna kochała może!

Z początku Noris uczyniła nerwowe poruszenie niechęci.

Po co ją oszukują i zakłócają spokój w pożądanej samotności?

Czyż po to opuściła przed chwilą "towarzystwo", ażeby prześladowało ją aż tutaj?

A zresztą czekała na Rajmunda, Czekwała wyłącznie na niego. Niespokojną była o to, co jej Ferdys ma do zakomunikowania. Reszta, nietylko, że ją nie obchodziła, ale przejmowała ją nawet wstrętem.

Miała prawie ochotę odpowiedzieć pani de Montépreux, że wyszła, że nie przyjmuje. Ale zdjęła ją litość.

Ta kobieta, zgnębiona pewnie, decydująca się złożyć wizytę takiej Noris, musiała cierpieć.

Zresztą, Noris była ciekawą dowiedzieć się, co miała jej do powiedzenia hrabina de Montépreux, czy przybyła ją prosić, czy rozkazywać... zobaczy niebawem!

Dała znak Sylwinie, ażeby wprowadziła przybyłą.

Poczem, stojąc, czekała, spoglądając przez okna na wieczór zapadający, srebrną szarością na drzewa i aleje ogrodu.

Tak samo patrzyła w salonie pałacu Chantenay na drzewa parku Monceau, czekając na księcia przed pięciu laty!...

Teraz, ach, teraz, ją przybywają prosić!

— I dlaczego?... Bo mam pazurki.

Wchodząc do salonu Noris, Jacqueline de Montépreux nie miała jednak pozoru proszącej.

W sukni czarnej, zlekką przybraną w czerwone wstążki, weszła z dumnie wzniesioną głową imponującej bogini.

Skłoniła się Noris zlekką, szybko prawie nieznacznie i mimowoli rzucając dokoła siebie ciekawe kobiece wejrzenie, ozwała się nagle, siadając naprzeciw panny Féraud która wskazała jej fotel:

— Zgadujesz pani zapewne, w jakim celu zrobiłam do pani ten krok szalony... nierozważny...

— Za pozwoleniem, pani hrabino — odparła Noris chłodno. — Mało brakuje, żebyś pani nie powiedziała... kompromitujący!

Uśmiechnęła się, wyglądając bardzo ładnie w szlafroczy z czarnego atlasu, zgrabnie przylegającym do jej wiotkiej postaci i ciągnącym się w długim trenie po dywanie.

I te dwie kobiety, w ciemnych strojach, siedząc naprzeciw siebie, zdawały się być w żałobie po jednej i tej samej miłości.

Jacquelina de Montépreux, pomimo całej swej wyniosłości i wybryków całego życia, czuła się trochę pomięszana wobec tej Noris, a ton pewny siebie i uprzejmy chłód panny Féraud, tamując impertynencyę na ustach hrabiny, zadziwił ją trochę i zmieształ.

Przybywała rozegzaltowana, rozjątrzona, podniecona gniewem do żywego na Longchamps, gdzie w ciągu nielitościwie długiej godziny widziała jak otaczano tę Noris jak ją podziwiano, tę Noris, z ponowną miłością do której nie krył się bynajmniej książę de Chantenay.

Jacquelina przebyła tam i przetrwała jedno z tych cierpień, które prowadzą wprost do kryzysu nerwów, a gdy zdobyto już wielką nagrodę, powróciwszy do domu, szalona, z gorączkową żądzą poznania tajemnicy Noris, wyjechała, wmawiając w siebie, że jeżeli hrabina de Montépreux przybywa do prostytutki, powinna zachować postawę rozkazującą, właściwą swojej pozycji.

A zresztą ta zparyżaninowana wiedenka nie miała przesądów. Przedewszystkiem kaprys. Przedewszystkiem szczęście.

Ponieważ panna Noris chciała porwać jej to szczęście, a więc pójdzie go jej odebrać — albo opłacić.

Nie wiedziała jeszcze, jak będzie traktować tę metresę wielkiego księcia Wasyla, z której księżę Beaumartel de Chantenay chciał zrobić księżnę.

Uśmiech Noris, uprzejmy, pomimo swej złośliwości, powstrzymał nieco Jacqueline.

Przybywała zażądać od panny Féraud sprawy z jej postępowania, spodziewała się zastać tę istotę zmieszana lub nieśmiałą wobec pojawienia się u siebie wielkiej damy a trafiła na kobietę, której postawa, ton, głos — wszystko tchnęło wykwintem i elegancją.

Niech i tak będzie. Jacqueline bądź co bądź, nie chciała, ażeby miano się korzyć przed nią, byleby ustąpiono.

— Nie pragnę z panią — rzekła, zabierając głos po przerwie, uczynionej przez Noris i robiąc nacisk na każdym słowie — z panią, którą, jak mi mówiono, jesteś kobietą szczerą i... szlachetną, bawić się w kobiecą dyplomacyę... Kocham pana de Chantenay!

— Wiem o tem, pani.

— Pan de Chantenay oświadczył mi się.

— To jest u niego we zwyczaju — odparła łagodnie Noris.

— Pan de Chantenay musi mnie zaślubić!

— Ach! — rzekła Noris, szybko uderzając palcami pięknej rączki po poręczu fotelu.

— Pan de Chantenay przysiągł mi....

— Dać pani swoje nazwisko?... O, to jego zwyczaj dawać takie przysięgi. To już jest jego taktyką. Pan de Chantenay jest okrutnym dyplomata w miłości.... I pani uwierzyłaś jego słowu?

— Mówię pani, że go kochałam — odparła Jacqueline de Montépreux.

Noris uczuła jakby chłód smutku, słysząc dźwięk tego głosu, wyniosły przed chwilą, a teraz, gdy była mowa o Chantenay'u, tym posągu egoizmu, przybierający wyraz czułości.

— Przed pięciu laty — zawołała Noris — on i mnie przysiągł, że pojmie mnie za żonę!

Błysk zazdrości przebiegł w oczach Jacguoliny, z których omal łzy nie wytrysnęły.

Hrabina podniosła głowę, nie zrozumiałwszy smutku w tym bolesnym okrzyku Noris, którą uważała za śmiałka.

Cały gniew, w jakim przybyła na ulicę Jouffroy, wybuchnął znowu nagle z taką siłą, jak piasek na raptownym wietrze, a przybrawszy postawę dumną i patrząc prosto w oczy pannie Féraud, rzekła:

— A więc doprawdy zamierzasz go pani poślubić? Pogarda i wstręt tkwiły w tem pytaniu.

Noris uśmiechnęła się chłodno:

— Któż pani zakomunikował tę nowinę?

Teraz ona ze swej strony dotknęła swem pytaniem do głębi serca Jacqueline, ażeby ironią odpłacić za dumę, a hrabina wstała szybko i rzekła do Noris, która siedziała jakby wpółleżąc na fotelu:

— Sam pan de Chantenay!

— Ach! — odparła Noris — widzę, że myśli o tem na seryo.... Więc to dla pomówienia ze mną o tem małżeństwie mam przypisać zaszczył widzenia pani u siebie?

— Tak jest... Niechcę, ażeby to małżeństwo przyszło do skutku!

— Dla czego?

— Dla tego, że jest niepodobieństwem!... Dla tego, że pan de Chantenay jest szalony!...

— Czy pan de Chantenay kocha panią jeszcze? — przerwała Noris, zawsze chłodno.

Podniosła swe piękne czarne oczy na wyniosły wzrok hrabiny.

— Nie sędzę, ażeby kochał panią! — dodała z okrutną powolnością, która lekkim dreszczem przejęła Jacquelinę

Noris dodała z uśmiechem:

— Nie dla tego, ażeby pani nie była piękną, bynajmniej, ale dla tego, że miłość pana de Chantenay jest zawsze tylko fantazyą... On nie kocha, pożąda raczej!... Pani kochałaś go... on pani już nie kocha!

— Za to panią kocha, panią — oschle odparła pani de Montépreux — pani była jego metresą!

Noris chciała zachować uśmiech, ale cios był zbyt szorstki, to też po twarzy jej przebiegł lekki odcień pomieszania, ale znikł niebawem.

— Jeżeli mnie kocha, albo jeżeli przypuszcza, że mnie kocha — odparła łagodnie — to właśnie dla tego, że ja go nie kocham, i że go nie chcę przyjmować u siebie.

Hrabina pokręciła swą piękną głową o bursztynowych włosach.

— Jeżeli on kocha panią — rzekła — to dla tego, że nie wie, jaką pani jesteś kobietą, że nie wie, iż pani jesteś nałoż....

Zatrzymała się, uniesiona zrazu zazdrością i wstrzymana teraz bezwiednem uczuciem politowania.

Ale teraz Noris powstawszy, wyniosła i dumna, patrzyła na nią z odcieniem pogardy na ustach:

— Nałożnicą wielkiego księcia? Czy pani sądzisz, że pan de Chantenay nie wie o tem? A ja pani daję słowo, że on właśnie dla tego pragnie mnie poślubić!..

To słowo "poślubić" dotknęło Jacqueline jak ostrzem noża.

Przymknęła oczy pod wpływem bólu, rozdrażnienia, gniewna, a otwarłszy je, rzekła do Noris:

— Ale czego nie wie zapewne pan de Chantenay, to tego, że pani jesteś metresą jego kuzyna!

— Pana de Ferdys?

— Tak! Widzisz pani! — odparła hrabina.

Ferdys! Ta kobieta, której koniec końcem nie znała przychodzi jej mówić nie już o Chantenay'u, nie obchodzącym ją zresztą, ale o Ferdys'm, o tym Rajmundzie, którego kochała całą siłą swych uczuć!

Noris spoglądała na nią wzburzona, zdumiona, pytając siebie, jakim prawem ta Jacqueline przybywa do niej i rzuca jej w oczy jak obelgę tem ukochanem nazwiskiem: Ferdys!

Co uczyniła tej pani de Montépreux? Hrabina myślała pewnie, że Noris porwała jej Chantenaya!

Chantenaya? O, tak, Chantenayat Ależ on obchodził Noris tyle, co ziarnko piasku, leżącego tam po za oknami w alei ogrodu... Chantenay!...

— I gdybyś mu pani powiedziała, że jestem metresą pana de Ferdys, czy sądzisz pani, że kochałby cię więcej? — spytała.

Jacquelina poruszyła głową.

— Przynajmniej będzie wiedział prawdę!

— Prawdę? — zawołała Noris, wybuchając śmiechem. — A więc pani, któraś tyle wycierpiała, pani wierzysz wszystkiemu, co wychodzi z ust próżniaków i głupców?.. Powiedziano pani, że jestem metresą pana de Ferdys i pani nie krępujesz się wcale powtarzać tego, mówić to w oczy mnie, mnie! że jestem jego metresą!.. Pomówmyż szczerze, otwarcie, ponieważ przybyłaś pani żądać odemnie otwartości.... Jesteś pani dobrą, piękną, stworzoną na to, ażeby cię kochano i szanowano.... a czy ja zwracam pani uwagę na to, co zazdrośni lub głupcy mogą mówić o pani, o pani, o której równie wiele mówią jak o mnie, i którą równie jak mnie szkalują?

— Tak, wiem — mówiła dalej Noris, dostrzegłszy, że hrabina blednie, słysząc, że taka "panna Féraud" śmie ją zestawiać ze sobą — pani i ja, to nie wszystko jedno!... Wiem o tem aż nadto dobrze!... Ale nie lękaj się pani, języki ludzkie nie szczędzą nikogo!... Posłuchaj mnie pani.. Prawdopodobnie nie zobaczymy się nigdy ze sobą. Tylko boleść przywiodła panią do mnie.... Pani sądzisz, że ja ukradłam miłość pani narzeczonego, pani wielbiciela, pani.... wybierz pani sobie sama przydomek dla pana de Chantenay; dość, że pani domagasz się czegoś odemnie. Czego? Ja sama nie wiem!... Pragniesz pani zapewne, ażebym za pani pieniądze zaniechała związku, który mi ofiaruje książkę? Ile też wart jest tytuł księżny?

Nie mów mi pani liczby, bo wypędzę panią od siebie, jak się wypędza potwarców! Czy pani przybywasz mnie prosić? Nie, nie wyglądasz pani na to. A więc grozić mi.... spróbować, może się uda mnie przestraszyć.... Czegoż więc pani pragniesz? Chcesz pani zemścić się na mnie, powiedz pani!

— Zemścić się, nie! Zdemaskować panią raczej!

— Zdemaskować?

Noris zaczęła się śmiać.

— Tak — rzekła pani de Montépreux — i ostrzegam panią, że powiem panu de Chantenay kim pani jesteś!

— Kim ja jestem?

— Tak!

— Pani to powiesz panu de Chantenay?

— Panu de Chantenay!

— Jemu pani to powiesz? Ależ on wie o tem dobrze! To on zrobił mnie taką, jaką jestem!

Noris te ostatnie słowa wypowiedziała z gniewem, który streścił w sobie całą jej przeszłość.

— O, możesz mu pani powiedzieć — mówiła dalej — że jestem spodloną, poniżoną!... Jestem taką, gdyż jego spotkałam, jego, i jeżeli pani wierzysz w jego miłość, pani, tak, jeżeli pani go kochasz, jeżeli przywiązałaś się pani do życia tego przesyconego pasorzyta, zginiesz pani tak samo, jak ja upadłam! Dla mnie dziś już wszystko jedno! Jedna plama więcej, mnie nie zaszkodzi, ale błoto na pani gronostajach, to śmierć honoru twego!

Teraz Jacquelina de Montépreux stała pomieszana wobec Noris i bardzo blada patrzyła z mimowolnym szacunkiem na tę wysmukłą brunetkę, chodzącą wzdłuż salonu ze skrzyżowanymi rękoma, z gwałtownymi poruszeniami głowy, jak gdyby walczyła z jakim niewidzialnym wrogiem.

— Mnie zdemaskować!... Czy pani przypuszczasz, iżbyś zdemaskowała mnie, powtórzywszy panu de Chantenay plotkę, jakobym ja żyła z panem de Ferdys?... I czy pani sądzisz, że przy takiej wieści pan de Chantenay cofnąłby uczynioną mi propozycję? Mylisz się pani! Jeżeli książę mnie nie zaślubi, to nie dla tego, żeby się miał lękać śmieszności, albo niesławy... nie! lecz dla tego jedynie, że ja go nie chcę!... Że ja nie przyjmuję jego oświadczeń!... że ja nigdy nie przyjmę u siebie pana de Chantenay! Bo on nie godzien mnie! — dodała Noris ze straszną pogardą.

Nagle stanęła przed Jacqueliną de Montépreux i dodała z mocą:

— Nie godzien ani mnie, ani pani! Tak! on nie wart miłości pani, miłości, która oddała całą pani piękność, wiarę, młodość na pastwę tego człowieka, najnędnieszego z ludzi!... Najnędnieszego, gdyż odepchnął mnie wówczas gdy byłam uczciwą dziewczyną, a pragnie mnie zaślubić splugawioną!... Wiem, że pani przybyłaś zaproponować mi handel, bardzo taktownie postąpiwszy, nie zakreślając mi z góry warunków. Handel!.. A więc, chcesz pani, abym ci dała radę? Tak, ja, Noris, radę dam pani de Montépreux.

Jacquelina milczała, zdziwiona, że spotyka uczucie, boleść, sumienie, tam, gdzie spodziewała się tylko napotkać wyuzdanie upadku! A przytem sumienie, które budziło w niej echa cnoty, obowiązków i zrujnowanego szczęścia.

Zdawało się hrabinie, że w gwałtowności słów Noris tkwiła czułość, smutek, jakaś mimowolna życzliwość, jak gdyby w bólu mogły być hamulce!

— Radę?

— Tak, radę! Radę, ażebyś pani wypędziła pana de Chantenay! Wypędziła albo uciekła od niego! Och, nie myśl pani, że jestem zazdrosną, i że mi zależy co na waszem rozłączeniu!... Ja zazdrosną? zazdrosną o Chantenaya?...

Jacquelina zrobiła ruch, który Noris zrozumiała.

— Dzięki Bogu, znikł on już z mego życia!... Ale widzę, że pani jesteś z nim ściśle związaną, związaną aż do szaleństwa, ponieważ ośmieliłaś się pani przybyć aż do mnie! Jestem kobietą, i okazuje pani życzliwość jako kobieta! Pomimo cierpień, jakiebyś pani znieść musiała, odepchnij pani tę miłość od siebie! On mówił pani, że panią kocha? Skłamał! Przysiągł, że panią poślubi? Skłamał! Pan de Chantenay zawsze kłamie!... Pani jesteś wolną, bo masz życie tak urządzone, jak ja nie miałam!... Ach, gdybym miała syna jak pani, całą istność swoją jemu bym poświęciła! Miłość prawdziwą, miłość, która przepelnia całe życie, pani ją znalazła! Tej miłości zazdroszczę pani, bo jest nią dziecko pani!...

— Charley?

Jacquelina pomimowoli wyszeptała angielskie imię dziecka i wistocie widziała, podczas gdy Noris mówiła jej o dziecku, widziała przed sobą jasną główkę, duże słodkie oczęta Charleya, smutne i poważne....

Tego słodkiego Charleya, którego tak niewiele pieściła, który milknął wobec matki, który kłaniał się poprawnie panu de Chantenay, biednego

Charleya, którego dzióbek śpiewał tylko dla guwernantki, służącej, obcych....

Drogi Karolek!

I teraz, w tym salonie, dokąd weszła dumnie, Jacquelina de Montépreux czuła się rozdrażnioną, zmięszaną i rada była cożywo go opuścić, mówiąc do Noris:

— Tak, być może... Masz pani słuszość... To prawdopodobne....

Wtedy Noris odparła smutnie, próbując się uśmiechnąć:

— Mam słuszość, a jednak pani go kochasz!... Nie słuchasz mnie pani!.. Widzę, że pani nie znasz jeszcze pana de Chantenay!

— Znam za to panią teraz — odparła Jacquelina. —I przepraszam panią, że tu przybyła....

— Przekupić mnie? — zapytała Noris ironicznie.

— Czy mi pani pozwoli uścisnąć swoją rękę? — zapytała pani de Montépreux, nie chcąc dać odpowiedzi.

Noris położyła swą rękę na urękawiczonej dłoni Jacqueliny.

— Żegnam panią hrabinę — rzekła.

— Żegnam panią.

— A ucałuj pani odemnie pana Charleya, proszę bardzo!

Łagodnie przypomniała metce o synu.

— To są nasi prawdziwi kochankowie — dodała — nasze dzieci!...

Wtedy Jacquelina de Montépreux, wychodząc, rzuciła naiwnie te słowa, będące jakby mimowolną wymówką, w których jednak Noris nie chciała dopatrzeć się i nie dopatrzyła nic innego, jak tylko rozczulenia:

— Pani jesteś prawdziwie uczciwą kobietą!

I z gorzkim uśmiechem, czując, że serce jej przepełnione jest znowu dawnymi smutkami, Noris odparła:

— Tak. Sądzę, że w tem czem jestem, istnieje jeszcze wiele z tego, czem byłam!

Była zadowolona ze siebie.

Ale jakże pragnęła pozostać samą! Z jaką radością usłyszała, że w prawie pustej ulicy znikł już powóz hrabiny!...

I po co przyszła do niej Jacqueline de Montépreux? Czy po to, ażeby ją rozdrażnić i obudzić wszystkie hydry wspomnień?

Noris przejęta była wspomnieniem o Reném. Pragnęła pozbyć się tego ciężaru, jak się pozbyła wielkiego księcia, i odżyć w czystości ducha owej biednej dziewczyny, na którą czekał narzeczony w pułku.

Narzeczony!

Imię to było słodkie, czułe, jak owe poetyczne imię, które budziło zazdrość szalonych dziewcząt na placu Suresnes: imię królowa róż!

Wspomnienie Zuzanny Lestrade prześladowało uparcie Noris przez cały wieczór tej niedzieli, którą Paryż świętował w restauracjach, na balach, tego dnia Wielkiej Nagrody.

Uparcie stawały jej przed oczyma białe welony komuniantek, dotąd słyszała jeszcze dźwięk organów.

Zdawało jej się, że pani de Montépreux nie była u niej, że nikt jej nie mówił o Reném, że tylko dotąd śni jeszcze z naiwną radością o tej uwieńczonej cnocie, którą widziała w kościółku Suresnes.

Będzie szczęśliwą, bardzo szczęśliwą ta chłopka, imieniem, jak ona, Zuzanna, nie marząca o niczem, co przechodzi po za prawdę życia: małżeń-

stwo, praca, macierzyństwo, a potem, z wiekiem, starość, którą przyspiesza bezwiednie praca....

Ach, gdyby życie można było rozpocząć na nowo, taki los dostałby się w udziale Noris; zarówno jak Zuzanna Lestrade wyszłaby za męża, za tego, którego by pokochała i byłaby matką, matką, jak Jacqueline de Montépreux, matką, jak tysiące innych kobiet, godnych zazdrości!

Wśród tych nie dających się urzeczywistnić mrzonek, trapiła ją gorączka; czując, że pulsa jej biją, weszła do gotowalni, ażeby zwilżyć wodą rozpalone czoło, i tam, pośród bogatych cacek, z jej cyframi, przy srebrnej miednicy, doktórej woda sączyła się z pyszczków smoczych, usiadła rozmarzona.

I tak wpółleżąc na szezlongu myślała, pośród zbytkowego otoczenia, o tem nędznem życiu biednej dziewczyny z Suresnes.

Gdy tak leżała w tym gabinecie, umeblowanym wykwinicie, w tym wonnym buduarze kobiecym, nagle, przy drzwiach pałacu dał się słyszeć odgłos dzwonka.

Zadrżała.

Była pewną, że dzwonił Rajmund i doznała uczucia przestachu, jak gdyby za chwilę miały się dla niej rozegrać losy całego życia, całej przyszłości.

Zazwyczaj, gdy Ferdys chciał się z nią widzieć, nie pisał do niej. Przybywał, jak przyjaciel do przyjaciela.

To też, zawiadomienie piśmienne nadawało dzisiejszym jego odwiedzinom pozór niezwykle uroczysty.

Noris nie miała nawet siły zejść do saloniku, w którym przed chwilą przyjmowała panią de Montépreux.

Czekała w tym gabinecie, o otwartych oknach, przez które wchodził wiatr ze dworu, mieszając się z wonią pachnideł.

A podczas, gdy czekała, organy z Suresnes brzmiały w jej uszach i zdawało jej się, że jakiś niewyraźny głos, głos innej Zuzanny, szepcze pocichu: — Mam narzeczonego! i że Marsz ze snu nocy letniej Mendelssohna witał zaręczonych przy wejściu ich do kościoła.

Potem, Noris słyszała po dywanie na schodach i w korytarzu kroki Rajmunda de Ferdys, zbliżające się i z każdą chwilą przestraszając ją coraz bardziej.

Spojrzała na Rajmunda badawczo i nieśmiało zarazem gdy ukazał się za Sylwiną, a po bladości jego i piętnie stanowczego postanowienia, poznała, że i dla niego chwila ta będzie niezmiernej wagi.

Zdawał się być bardzo wzruszonym, w surducie czarnym, zapiętym na wszystkie guziki, a gdy Noris podniosłszy się do połowy z siedzenia, podała mu rękę, on machinalnie, zanim ją ujął, położył kapelusz na marmurowym blacie toalety, z której owiała go prześliczna woń pachnideł.

Poczem przybliżył się do Noris, stanął przed nią, a trzymając w swem ręku tę białą rączkę, wysuniętą z atłasowego rękawka, powiedział szybko, głosem wzruszonym, w którym drżała cała namiętność jego podniosłej duszy:

— Przybywam pomówić z panią po raz ostatni może. Ale, Zuzanno, to co powiem, jest święte jak przysięga. Kochasz mnie, nie prawdaż, Zuzanno?

— Z całej duszy — odparła.

Probowwała się uśmiechnąć.

— Ale kochany panie Rajmundzie, co znaczy ten nastrój uroczysty?

Tak, chciała się uśmiechnąć, a to imię, to drogie imię Zuzanna, przy którym

drżała, ilekroć je Rajmund wymawiał, to imię nieświadomego dzieciństwa, wydało jej się stokroć miłszemi w tej chwili.

Znowu stanęła jej przed oczyma Zuzanna Lestrade, w białym welonie, klęcząca i wieńczona różami.

Ale przestała się śmiać i została oblaną jakby zimną wodą, strach ją przejął, gdy Rajmund de Ferdys, zawsze z powagą, mówił dalej:

— Jeżeli mnie kochasz, to i ja cię kocham, Zuzanno! Kocham cię, jak nikt kochać nie umie. Żyłem twojem wspomnieniem w ciągu lat pięciu. Żyję niem od dziesięciu miesięcy przy tobie, przy twoim wdzięku i twojem tchnieniu. O tem, czem jesteś nic nie wiem, chcę o tem zapomnieć. Żyję tylko przez ciebie, z tobą i dla ciebie! Namyslałem się długo i rozważyłem wszystko, co wpłynęło na moje obecne postanowienie: Kocham cię aż nadto, ażeby nigdy nie żałować mego kroku, ażeby być szczęśliwym zawsze, przez całe życie... całe życie — i pytam się ciebie, Zuzanno — a wszystko co mówię jest szczerą prawdą — pytam się ciebie, czy kochasz mnie o tyle, ażebyś mogła zostać moją żoną! Co do mnie, nie będę miał nigdy większej radości, większych pragnień, jak tylko zostać twoim mężem!

— Ja mam zostać... pańską żoną!..

Wyrwała ręce z rąk Rajmunda, jak gdyby paliły je elektrycznością.

Była blada jak śmierć.

A de Ferdys przeszywał ją wzrokiem aż do głębi duszy.

— Pańską żoną?

Jego żoną!

Czy Rajmund postradał zmysły?

Jakiż grom spada na nią?

Czuła, że myśli jej kołują się pomiąszane i jakby szalone.

Jego żoną!

Miałeby to być zakład? Jaktó? Co Ferdys mówi? Jego żoną?

— Powtarzam ci, że postanowienie moje jest powzięte po walce z sumieniem, jak całe moje życie. Kocham cię. Jeżeli zgodzisz się iść za mną — ja, twój mąż, ty żona moja — uwiozę cię ztąd daleko, oderwę cię od tego życia, do którego nie jesteś stworzoną, od tego fałszywego zbytku, od tych fałszywych radości, od tego wszystkiego, co zarówno jak ja nienawidzisz, ukryję cię z przed oczu wszystkich, będę żył z tobą sam nie wiem gdzie, — ale znam na końcu świata miejsce, gdzie można żyć w spokoju i zapomnieć, zapomnieć — i niczego więcej nie pragnę od losu, niczego, niczego, Zuzanno, niczego, jak tylko widzieć cię uśmiechniętą i kochać cię na klęczkach!

— Ach, panie Rajmundzie! — odparła Noris drżącym głosem — mówisz mi to wszystko, ażeby się naśmiać ze mnie!..

— Mówię ci to, bo cię kocham i żadnej innej nigdy kochać nie będę, mówię ci to, bo chcę ci poświęcić całe moje życie!

— Życie?... Czy to kuzynek popchnął pana na drogę takiego szaleństwa?

— Nie mów mi o Chantenay'u — odparł szorstko marynarz. Mówiłem ci, że zapomniałem o nim, że zapomniałem o wszystkim. O wszystkim, czy słyszysz? (Zrobił nacisk na tem słowie, jak na ranie). Chantenay jest winą twojego upadku. A jeśli mnie podoba się być twoim wybawcą? Jestem panem swej woli, nie zależę od nikogo. Chcę kochać, Kocham. Ubóstwiam cię. Zostaw w Paryżu to mieszkanie, ten dom, wszystko, co cię otacza i jedźmy!

— Oszalałeś, Rajmundzie?

— Powiadam ci, że rozważyłem wszystko i że cię Kocham! Moja dymisyja jest już prawie gotową... Potrzeba tylko jednego słowa od ciebie. Posłałam ją ministrowi i znikam, ale znikam z tobą, a ten Paryż nie usłyszy już ani o Noris, ani o Rajmundzie! Za to, daleko, bardzo daleko, będą dwie istoty, Kochające się i szczęśliwe!

Nachylił się ku niej, mimowoli padając na szeslong tuż przy niej, a okoliwszy ją swemi ramionami, zdawało mu się, że nie atłas sukni, lecz ciało jej szeleszcze mu pod palcami.

Teraz już przy usteczkach do różowego uszka młodej kobiety, szeptał te słodkie wyrazy, które miłość dyktowała jego ustom, przywykłym do szorstkich słów rozkazu, obowiązku, niebezpieczeństwa:

— Droga Zuzanno, postarzałem o jakie dziesięć lat po powrocie do Paryża, i w ciągu tego nowego życia zrozumiałem, odgadłem cię w zupełności. Jesteś uczciwą i szlachetną... Dumnie znosisz błąd, którego nie byłaś przyczyną...

— Chcę przeżyć sama siebie. — odparła gorzko Noris, cytując swoją dewizę.

— Otóż, zamiast poświęcać życie dla innych, chcę je poświęcić dla ciebie i tobie je oddaję!

Noris drżała.

Ten głos gorący sprawiał na niej uczucie rozkoszy a głowa jej, czując zawrót, jak od woni pachnideł, spadła powoli na ramię Rajmunda.

— Ale karyera twoja? — spytała łagodnie:

— Moja karyera? Ach! Głupstwo! — zawołał Rajmund. Jestem niedorzecznym, powierzając życie moje ludziom, którzy mnie wyśmiewają, którzy mnie mają za głupca.... marzyciela.. fantastę... Twój ojciec złożył swoje kości dla tych samych powodów... Ja widziałem zbliżka głupotę i egoizm... Jestem zgorszony, powiadam ci,

rozdrażniony do żywego... Szlachetny mąż, który mnie powołał do pracy aby znieść to, co jest rutyną, kurzem, głupstwem, admirał Pradier du Resnel, znużył się jak ja, opuszcza ojczyznę i odjeżdża, het, na morze... Ma słuszość!.. Niech ludzie ratują się lub giną sami, jeżeli chcą tego, jeżeli nie chcą zrozumieć wysiłków innych, najlepiej zostawić ich własnej płytkości i ograniczeniu!... Ja mam dosyć tego — i chcę być egoistą, chcę być szczęśliwym... Szczęśliwym z tobą... z tobą, Zuzanno, tylko z tobą!..

Przymknęła oczy. Czuła na swych policzkach oddech, pieśczętę jego.

Miała ochotę zawołać, rzucając mu się w objęcia i tonąc w długim pocałunku; "O tak, tak, masz słuszość, jedźmy, uciekajmy, kochajmy się, żyjmy sami, zupełnie sami, we dwoje, świat nie wart poświęceń i żalu!"

I spojrzała na Rajmunda, i w oczach jego dostrzegła płomień namiętności i gniewu.

— Ach! — rzekła. — Gdybym przystała, jakżebyś pan znieawidził mnie z czasem!

— Ciebie? Ciebie nienawidzić? Ciebie? Chciał ją skruszyć w swoich objęciach.

— Jakże będę przeklętą, ja, na którą ty patrzysz z taką miłością!

— Będiesz zawsze, zawsze tem, czem możesz być jutro, jeżeli zechcesz: moją żoną... czy słyszysz, moją żoną!

Dzień się kończył. Szarość zmierzchu otoczyła rozmawiających.

Biedna Noris czuła, że serce jej bije, bije aż do pęknięcia.

Jego żoną!

O jakże ją zgłębił, podszeptując jej tę myśl radosną!

Jego żoną!

I w tej ciszy wieczornej, przez otwarte okno, zdawało się córce Férauda, że głuchy dźwięk kościelnych dzwonów dolatuje zdala... dźwięk tak podobny do dźwięku dzwonów z nowego kościołka w Suresne...

Zerwała się szybko i nagle jęknęła wielkim głosem:

— To niepodobna!

— Dla czego? — zapytał Ferdys.

— Dla tego, że pana inny los czeka, niż los męża panny Noris.

— Mój los? Moje stanowisko ciąży mi. Nie dbam już o karierę. Patriotyzm — to głupota. Przyszłość mieć mogą tylko intryganci! Nie chcę walczyć sam jeden jak głupiec i poświęcać się dla innych.

— Mylisz się pan. Ludzie tacy jak pan, są zawsze wyjątkami i powinni pracować dla dobra ogółu. Ale dajmy na to. Nie pragniesz pan kariery. To

w każdym razie żaden Ferdys nie porzucił kraju swego w nieszczęściu. Masz pan przed sobą obowiązek.

— Wypełniłem go. Pragnę teraz szczęścia!

— Szczęścia? Ach. Więc to szczęścia panu potrzeba? Jesteś pan bardziej ambitny, niż pan sądzisz, panie Rajmundzie... Tu nie znajdziesz szczęścia, mój biedny przyjacielu!

— Znajdę je, ponieważ ciebie kocham.

— Wszak kocha się tylko to, co się szanuje. Jestem metresą wielkiego księcia Wasyla. Chcesz pan, ażeby panem pogardzano, za to, żeś mnie poślubił?

— Kto mną będzie pogardzał? Pasorzyty, jak Chantenay, waryatki, jak pani de Montépreux. W ustroniu, do którego pragnę cię uwieźć, nie dosięgnie nas ta pogarda... Tam, będzie inna ziemia, inne niebo... Tu jesteś prawie obumarłą. Jedźmy, tam odżyjesz napewno.

Serce jej przepelnione było radością, miłością bez granic i chęcią odpowiedzenia na szaleństwo Rajmunda innym szaleństwem, mówiąc tak, nie namyślając się dłużej, rzucając się w objęcia tego męża, który, w mizantropii swych lat dwudziestu siedmiu, zgłodniałych nadzwyczajności, lat wyjątkowo fanatycznych, widział ją jedną tylko, korzył się do jej stóp i gotów był zmiążdżyć wszystko, co nią nie było.

Ale zdawało jej się, że Rajmund zawiódłby się na tej męzkiej ufności, jak jej ufność dziewiczą zawiódł Chantenay.

Cała jej uczciwość i szczerłość, wystawione na straszną próbę przez tego ubóstwianego, buntowały się przeciw niej samej i okrutna dla własnej żądzdy, tłumiąc głos miłości, nawijający się jej na usta; pragnąc, ażeby powró-

cił do niego, ażeby wyrwał z jego mózgu tę myśl szaloną, niedorzeczną, myśl o małżeństwie niepodobnem, rzekła starając się być spokojną, z sercem przepelnionem rozpaczą przez tę chęć obrzydzenia siebie przed nim i zmuszenia go do ucieczki.

— Pan nie żyłeś jeszcze. Pan nie wiesz, co to jest świat, żeniąc się ze mną, ugrzązłbyś pan w bagnie... Pragną mnie ocalić, sambyś zginął...

— Będę szczęśliwym. Będę szczęśliwym — powtarzał Ferdys.

Wydała gwałtowny okrzyk, w którym chęć zawołania: "A więc tak, przystaję, kocham cię" zmieniło się na gniew nerwowy:

— Ach, i on w to wierzy.

A skrzyżowawszy ręce, patrząc na Rajmunda, dodała:

— Ach, pan mniemasz za kobietę idealną, uczciwą, ta znękaną, dla której dusza tak rycerska, jak pańska, powinna wywalczyć przebaczenie i odwet. Mylisz się pan. Czyż miałam cierpliwość do cierpień? Czyż miałam odwagę do walki? Spójrz pan dobrze dokoła siebie. Czy pan jesteś u nieszczęśliwej, którą się podnosi, czy u nędznicy, którą się kupuje? Tak, byłam o tyle słabą, że uwierzyłam w prawość pana do Chantenay. W moich oczach to nędznik, przypuśćmy. Ale czyliż nazajutrz po tym upadku, przyjąłam jak uczciwa dziewczyna, życie, które zgotowałam sobie, które mnie zgotowano, jak pan mówisz?... gdzie zaś. Byłam posłuszną mojemu wzburzeniu, które może być poprostu instynktem złego, kto wie?

Rzuciłam się w wir tego podłego życia popchnięta chucią zemsty, gniewem. Ale czyliż nie utkwiałam w tej otchłani? Czyż więcej warta jestem od innych? Czyliż nie sprzedaję się, jak Małgorzata Brunier, ta ex-metresa pańskiego ojca? I ona została oszukaną, rzuconą w rynsztok przez nędzni-

ka... jak i ta pani de Montépreux, o której mi pan wspominasz, jak wszystkie kobiety upadły, gdyż dla zgubienia kobiety zawsze się znajdzie mężczyzna upadły. Ale przy całym moim szaleństwie, przy żądzy odwetu, gdybym nie spotkała była wielkiego księcia Wasyla, który mnie otoczył zbytkiem, czyż nie zabrałabym w błoto jak tyle innych?...

— Nie! — zawołał Rajmund. Byłabyś umarła.

— Widzisz pan jednak, że nie, skoro żyję. Wierzaj mi, Rajmundzie, odejść, ja nie zasługuję na to, ażeby człowiek taki jak ty, marnował życie swoje dla takiej jak ja kobiety. Czy pan nie wiesz co to jest dziewczyna publiczna? A więc spojrz na mnie, oto jedna z takich dziewcząt.

Sama zrywała ze siebie, ze straszną gwałtownością, aureolę, którą on ją otaczał będącą tylko poświęceniem — niejako białą koroną, którą sama zbrukała.

Poniżała się w jego oczach, ażeby nią pogardził i uciekł.

Stojąc przed nim, robiąc umyślny nacisk, lubo nie bez krwawej boleści, na wyrazie publiczna, dostrzegła teraz przy słabym świetle zmierzchu, błąd

Rajmunda, którego usta drżały, i który patrzył na nią jak oszołomiony....

Wtedy wyciągnął do niej ręce błagalnie — jak gdyby chcąc pochwycić wymykające mu się widmo: drogie widmo swej jedynej miłości, miłości całego swego życia, miłości w dwudziestym szóstym roku.

Ale Noris odskoczyła, jakby drażnięta i głosem zgnębnym, streszczającym w sobie całe jej cierpienie, zawołała:

— Pogardzam sobą zanadto, ażeby zostać twoją żoną... ale pogardzałabym tobą, gdybyś chciał mnie zrobić swoją metresą. Odejść.

Powtarzała, głosem rozdzierającym, w drzeniu i w bólu całego swego organizmu:

— Odejdź.

I wskazała, temu ukochanemu, temu Rajmundowi, który był jej całym życiem, drzwi wpółotwarte przez które miał wynieść wszystko, co stanowiło szczęście w opustoszoanym pałacu.

— Zuzanno zawołał z wybuchem... Więc niechcesz mojej miłości, mojego nazwiska... mojego całego życia...

— Nie chcę, markizie! — odparła chłodno. — Uczciwe nazwisko powinny tylko nosić kobiety uczciwe!

— Nie wiem dokąd się udam — rzekł jeszcze zgnębiony — ale każę się zabić, jak pies!

— O, mój drogi Rajmundzie, ta śmierć godna markiza de Ferdys, będzie bardziej chwalebna i użyteczna, aniżeli życie, jakie moglibyśmy pędzić nie wiem gdzie... daleko od Paryża!

— Daleko od twego zbytku, od twego wielkiego księcia Wasyla! — zawołał Rajmund w rozpacz.

Na pięknej bladej twarzy biednej Noris przebiegł uśmiech tragiczny, słodki uśmiech męczennicy.

— Widzisz pan — ozwała się łagodnie — dobrze zrobiła, powiedziawszy nie!

Podejrzewasz mnie teraz! Przeklinałbyś mnie potem.

— Zuzanno!... To prawda — rzekł Rajmund — jestem szalony! Ale przez moje usta przemawia zazdrość! Przebac mi, Zuzanno!

Ona uśmiechała się ciągle swym smutnym uśmiechem.

— Och, przebaczam panu — odparła.

— Odchodzę!... Nie chcesz iść ze mną?

— Nie — odparła znowu stanowczo.

— Ach! — rzekł Rajmund z łkaniem. — Życie moje skończyło się!

— Zapomnisz pan o mnie — szepnęła Noris.

Wtedy, na progu, w cieniu coraz gęstszym, Rajmund de Ferdys powtórzył zdanie, które ona powiedziała doń owego kwietniowego poranku, gdy spotkał ją galopującą pod zielonemi gałęzmi, w alei akacyj na świeżej ziemi:

— Czyliż można zapomnieć?

— To zależy od serc! — odparła. Rajmund wyszedł.

Ona przez chwilę stała, czekając, czekając sama nie wiedząc na co, czekając, ażeby powrócił, ażeby błagał, z okrzykiem: "Oskarżyłaś się! Obmówiłaś siebie, ażeby mnie wypędzić! To fałsz! Ty nie jesteś tak nędzną istotą, jak mówisz!"

Ale Rajmund nie powrócił.

Kroki jego oddalały się na korytarzu, nikły na schodach...

Odjechał!

Drzwi główne zaparły się z trzaskiem, jak zapadające wieko trumny, ciężkie i zimne.

Wtedy Noris Féraud zsunęła się przy tym szeslongu, na którym on siedział przed chwilą, a gdy Sylwina wniosła światło, znalazła, leżącą na ziemi jak umarłą, płaczącą nieszczęśliwą Noris.

Służąca dotknęła rąk pani, podejrzewając nieszczęście.

Było to jak iskra elektryczna.

Noris wstała, napozór zawstydzona, otarła szybko oczy, te oczy smutne i czerwone, a gdy Sylwina zapytała troskliwie o zdrowie pani, Noris odparła:

— To nic, nic, wcale nic. Miłość, to jak zęby. Boli tak, że aż trzeba rzucać się i padać. Zostaw mnie samą moja droga!

Nazajutrz, po nocy spędzonej na krwawych wspomnieniach zmarłych złudzeń, Noris wstała, zgnębiona, z głębokim wstrętem do życia.

Zapytała, czy nie było listu...

Listu? Był właśnie.

Rzuciła się na kopertę i wpatrywała się w adres.

To nie był on.

To René Beaumartel de Chantenay, który nie otrzymawszy odpowiedzi, śmiał jeszcze pisać i jak Ferdys dnia poprzedniego, pragnął widzenia się z Noris.

Wtedy panna Féraud, w rozpiętym szlafroku, wpólnaga, gorączkowo zbliżyła się do biurka i drżącą ręką skreśliła szybko, co następuje:

"Od wczoraj stokroć bardziej nienawidzę człowieka, który mnie oszukał i uwiódł!

Po raz ostatni wymówiłam pańskie nazwisko w obecności kobiety kochającej pana dziś jeszcze, ale która jutro wypędzi pana, i przed mężczyzną który, gdybym była chciała, miałby odwagę zrobić z pańskiej dawnej metresy swoją żonę. A teraz, idź pan swoją drogą i zostaw mi spokój i swobodę. Wszystko, co mogę uczynić dla księcia Beaumartel de Chantenay, to mogę uwierzyć, że umarł, pogrzebany moją pogardą.

I podpisała tem imieniem romantycznym, nienawistnym, które nadał jej ojciec, nad którym pastwili się kronikarze w artykułach dziennikarskich, a którego nie nadawał jej Rajmund:

Noris."

VII.

Dzień majowy, chłodny jak dzień jesienny, szary, smutny, nadający ogrodowi przy ulicy Jouffroy nieponętny pozór zaniedbania.

Noris kazała napalić w piecu w tej biblioteczce, gdzie zawsze według zwyczaju przebywa najchętniej, pomimo, że pałac jej pustoszeje coraz bardziej.

W ogrodzie, wicher otrząsa z kasztanów deszcz śnieżnych kwiatów i gwizdże jedną z tych melodyj ponurych, które zwracają myśl szczęśliwców ku marynarzom płynącym po morzu.

Już rok, prawie rok upłynął od chwili odjazdu Rajmunda.

Ferdys ani razu nie pisał do niej od owego pamiętnego wieczoru w czerwcu, gdy na progu drzwi rzucił jej ostatni krzyk, jęk czy łkanie:

— "Czyliż można zapomnieć?"

I od roku, Noris żyła tem życiem, jakie zgotowała sobie, monotonnem, smutnem, pomimo zbytkowego otoczenia, samotnem, zamkniętem; cisza pałacu dorównywała ciszy klasztornej.

Tak chce. Taki rodzaj życia wybrała sobie.

Bynajmniej nie żałuje, że powiedziała Rajmundowi, ażeby uciekł od niej. Nie mogła być jego żoną.

Chybione życie nie rozpoczyna się na nowo.

Jest to przeznaczeniem wszystkich istot upadłych dźwigać do grobu brzemień pierwszego błędu, ranę pierwszego upadku.

Nie żałuje, że zdobyła się na tę dumną szlachetność wypędzając Renégo i tracąc zarazem miłość Rajmunda.

Nie żałuje niczego, oprócz swej zwichniętej młodości, i tej pierwszej miłości, która na zawsze zrobiła z niej istotę opuszczoną, upadłą!

Chciałaby tylko, ażeby Rajmund jej nie zapomniał i ażeby zawsze kochał biedną dziewczynę, która miała odwagę zabrukać się wobec niego, ażeby się tylko odeń oderwać.

Czy też on o niej zapomniał?

Czyliż się zapomina?

Raczej, czyliż się nie zapomina?

Zapomina się o wszystkim, przy biegu życia tyci dni i godzin zastępujących poprzednie.

I Noris siedzi tak, w półpochylona ponad tym ogniem, płonącym w wilgotnej atmosferze tego ponurego poranku wiosny, wchodzącej przez otwarte okno.

O nim to ona marzy, gdy marzy, gdyż w moralnym zgnębieniu całego jej jestestwa, nie ma nawet już siły myśleć.

Żyje, bo wie, że życie kończy się kiedyś, znajduje tylko, że droga życia jest za długą!

Patrzy na ścianę, na miły uśmiech ojca — ofiary.

On i ona, oboje zostali ciężko porażeni twardą dłonią losu!

Ale po co się ma skarżyć.

Wszakże posiada to, czego inne nie mają.

Ludzie jej zazdroszczą, a przyjaźń wielkiego księcia, którą ona traktuje tak jak on powinien traktować tam swoich Czerkiesów i kozaków, posiada dotąd. Przyjaźń nie krępującą, czuwającą z oddali, prawie ojcowską.

Kto wie? Może Noris skończy na tem, że poprosi Wasyla, ażeby ją zawiózł gdzie w głąb Azji, do kirgizów, na koniec świata.

Być niewolnicą tu czy tam, wszystko jedno! Lepiej już znosić ból w prawdziwej pustyni, aniżeli w tej samotności, do której zmuszała się w ludnym Paryżu.

Służba pałacu znajduje, że pani jest dziwaczką, niedysponowaną, mówiąc stylem urzędowym, ale bardzo dobrą...

Otacza ją wzruszającą opieką, jak słabe dziecko.

Ona nie podobna jest do tych innych.

Z niepojętą radością zagłębia się ona codziennie we własne wspomnienia i żale.

Spadła zanadto z wysoka, ona, kochanka niebieskiego księcia, ażeby nie rozbić sobie czegokolwiek na szczątki. Żałuje często, że dożyła do tej próby. Tak, gdyż w tem nowem życiu, które miało być szeregiem odwetów, nie pomściła się nawet — nie chciała. I dla czegoż nie umarła? Umrzeć u Renégo, być wywiezioną i pochowaną w jakimkolwiek zakątku ziemi, pod kwiatami, ach, coby to była za rozkosz!...

Albo być uczciwą, wyjść za mąż, poić się szczęściem, jak owa wieśniaczka z Suresnes, której obraz od roku jej nie opuszcza!

— Zuzanna Lestrade!

I niekiedy Noris chce ironją spoliczkować pamięć królowej róż:

— Ba! Ona teraz ma dziecko, a mąż żołnierz, wracając z karczmy pijany, wymyśla jej i bije!

Ale nie: dlaczegożby ten poczciwy chłopak miał być łotrem? Dlaczego Zuzanna nie miałyby być szczęśliwą?

Jest szczęśliwa, jeżeli ma przy piersi małą istotkę wyciągającą swą pulchną buzię, żądną mleka!

O matki są szczęśliwe!

I niekiedy, w chwilach takich marzeń, Noris widzi jasne włoski i słyszy pieśczośliwy szczebiot Charleya!

Siedzi tak, w czarnej sukni, przed gałęziami płonącymi na kominku.

Siedzi samotna, w żałobie, jak owego dnia w lutym, gdy czekała w izbie hotelu, wyroku na ojca; ale teraz nie czeka na nic. Życie jej skończyło się. Wyrok zapadł. Nie ma już jutra przed sobą.

W dwudziestym piątym roku życia!

Poczem, nagle podniosła głowę. Zastukano do drzwi biblioteki.

Kto tam? Nikt.

Noris nie czeka na nic i na nikogo.

Wielki księżę bawi w Londynie. Ma dopiero powrócić za dni kilka.

To służący.

Na tacy wnosi dzienniki poranne, a z dziennikami list.

Noris sponsowała. Krew zabarwiła jej twarz matowej bladości. Pieczęć na liście była z Brest.

Poznała pismo.

List pochodził od Rajmunda de Ferdys.

Nie zapomniał!...

Czyliż się zapomina?

Wtedy, sama, jakby przygotowując się do otrzymania olbrzymiej radości, nieoczekiwanej i pocieszającej, Noris zbliżyła się do ognia, siadła i patrzyła na list, lękając się teraz złamać pieczętkę i odczytując po kilka razy to imię, imię pisane jego ręką: Wielmożna Zuzanna Féraud, ulica Jouffroy w Paryżu.

Dla Rajmunda, dla niego jednego była zawsze Zuzanną!

I Zuzanna rozdarła kopertę; szukała w niej listu od Rajmunda.

Sądziła, że jest daleko. On jednak bawi w Brest. Może powróci do Paryża. Ach nie, niech nie powraca! Niech nigdy nie powraca!

Ale nagle, Noris zbladła.

W kopercie nie było listu do Zuzanny, nie było nic, nic, prócz bukietu zeschniętych fijołków, fijołków z Wersalu, wyblakłych i zwiędłych, biednych fijołków, z czasów miłosnego spania, wtedy, gdy mówiła: "Gdy mnie pan przestaniez kochać, odeślesz mi pan te fijołki."

I on odsyłał je, tak niegrzecznie, bez listu, bez jednego słowa, pewnego poranku, fijołki tak dawne!

Więc jej już nie kochał!.. Czy tylko kochał ją kiedy?

I cóż go zmusiło, ażeby po roku, zjawić się w taki sposób w życiu Noris, ażeby zadać jej nowy cios, bluznąć zdaleka tą przeszłością; bez jednego słowa, bez wyjaśnienia, bez niczego?

Dlaczego dziś a nie wczoraj? Dlaczego teraz? Dlaczego dopiero po tym dniu, w którym odepchnęła go, nie chcąc zostać jego żoną?

Straszny niepokój ogarnął serce Noris.

Wmawiała w siebie, że Rajmunda spotkało nieszczęście i że może ten żołnierz, który mówił o śmierci, umierając, myślał o niej po raz ostatni!

Umrzeć? Ferdys umarł?

Czuła zimny dreszcz przebiegający po jej ciele.

Porwała dzienniki, machinalnie, pragnąc się dowiedzieć, badając jak wówczas, gdy chciała napotkać splugawione imię swojego ojca, te szpalty z napisami Nowiny

Zagraniczne, Kolonie, Tonkin, sama nie wiedziała gdzie szukać.

Ale nagle wydała okrzyk, czytała przez chwilę, po tem zaczęła się śmiać śmiechem złamanym i powoli wypuściła z rąk gazetę, która po sukni jej ześlizgnęła się na ziemię.

W jednej z kronik Gardanne'a, pod tytułem: Dwóch Kuzynów, wydrukowanej na czele Paryżanina, Noris wyczytała co następuje:

" Maja."

"Tak więc pożenili się! Pożenili się w dwa tygodnie, jeden po drugim, ci dwaj galantuomi, o których tak wiele mówiono w Paryżu i Hanoi. Po księciu, markiz. Wszystko, co Paryż ma najwytworniejszego, śmietanka śmietanki, tłoczyła się przed niedawnym czasem, na bulwarze Haussmann w salonach pana Ahrenfelda, rozgłośnego bankiera i obchodziła uroczystość zaręczyn Renégo Beaumartel de Chantenay z panną Rebeką Ahrenfeldówną, która w ten sposób koroną księżnej ozdabia swoje miliony. Wczoraj zaś w Brest, cała noblesa z Finistere i cała marynarka od ulicy Siamu aż do Arse-

nału, były obecne na ślubie porucznika Rajmunda de Ferdys, powracającego z Annamu, z córką pana de Ploël.

"Panna de Ploël nie jest bogatą. Jest to jedyna córka po kontradmirał de Ploël, który przewodniczył naszej banderze na morzach Północy i od którego wiele zależało, przed trzynastu laty, ażeby wody Bałtyku były dla nas bardziej łaskawe, aniżeli ziemia Francyi. Kontradmirał umarł w roku zeszłym, bardzo biedny. Dość będzie jednego rysu dla scharakteryzowania jego małżonki, hrabiny de Ploël. W czasie wojny krymskiej, pan de Ploël, był zmuszony zbiegiem okoliczności, objąć na czas pewien dowództwo statków angielskich i francuskich, udających się ku Bomarsund. Po śmierci pana de Ploël, rząd angielski, pomny, że francuz dowodził, bodaj przez tydzień tylko, jego żołnierzami, ofiarował pani hrabinie de Ploël pensję, jaką Wielka Brytania daje wdowom po swoich admirałach, po dowódcach swoich marynarzy. Pani de Ploël odpowiedziała, że jej małżonek był admirałem francuskim, nie zaś angielskim, i odmówiła wsparcia.

"Taką jest rodzina, do której wszedł porucznik de Ferdys, który — jak świadczą jego czyny wojskowe — rokuje być także sławnym francuskim marynarzem. Młoda sława że tak powiemy, łączy się ze starą sławą!

"Panna Joanna de Ploël jest osobą prześliczną. Nie ustawiono tam wprawdzie na straży jak przy ślubnych brylantach panny Ahrenfeld, dwóch żołnierzy, wynajętych na uroczystość zaręczyn — co świadczyło o wartości posagu panny młodej, nie było jednak zbyt pochlebne dla gości, ale za to młodzi małżonkowie widocznie otoczeni byli powszechną sympatją i że tak powiem, szacunkiem całego zgromadzenia. Kontradmirał de Ploël, który był rodem z Brest, dotąd jeszcze używa popularności w starym porcie

wojennym, a porucznik de Ferdys jest nie mniej wysoko cenionym zarówno w Admiralicji jak i w całym towarzystwie bretońskim.

"Żałowano bardzo, że księżna wdowa de Chantenay, którą, zawsze oplakany stan zdrowia, zatrzymał w pałacu przy ulicy Van-Dycka, była nieobecna na ślubie.

Jednakże księżna pani musiała być niemniej zadowolona z tego skromnego mariażu, zawartego przez jej siostrzeńca, jak ze wspaniałego związku swego syna z dziedziczką niemieckiego banku. Stary markiz de Ferdys, zawsze żwawy i przystojny pomimo siwych włosów, promieniał szczęściem i mówił wesoło: "Zmieniam stanowisko, wkraczam w atrybucje dziadków! Na weselu dostrzegliśmy wielu oficerów marynarki: admirała Pradier du Resnel, komendantów statków, stojących na kotwicach w Brest, komisarzy marynarki, hrabiego de Marsan, baronowę Niemann, w przejeździe bawiącą w Bretonii. Księcia Beaumartel de Chantenay nie było. Jak wiadomo, wytworny światowiec wojażuje nad brzegami Dunaju ze swą młodą żoną. Król mody nie będzie w Paryżu podczas uroczystości wielkiej nagrody w roku . Bardzo być może, że księżę i księżna de Chantenay odwiedzą na Węgrzech piękną hrabinę, która tak niedawno jeszcze zachwycała Paryż, wspaniałą, złotowłosą austriaczkę, noszącą jedno z wielkich imion Francji, Montépreux, a która jak gwiazda znikła z paryskiego nieba i żyje samotnie w okolicach Presburga, wychowując syna, w zamku, należącym do jej rodziny.

"Dlaczego wytworna postać księcia de Chantenay ukazuje nam się obok ogorzalej twarzy lejtenanta Rajmunda de Ferdys?.. Bo obaj są szczęśliwi,

jeden przez majątek, drugi przez miłość. Oddajemy hołd jednocześnie milionom księżnej de Chantenay i koronie młodej margrabiny de Ferdys.

L. Gardanne"

Noris podniosła dziennik, odczytała raz jeszcze, szpilkowana przez każdy szczegół i marzyła.

Więc koniec. Życie zamknięte. Reszta nieśmiałej nadziei, która jej pozostała po tragicznym spełnieniu obowiązku, musi pierzchnąć!

Niczego już nie może się spodziewać.

— Niczego!

Ale czyż spodziewała się czego?

Nie. Opłacała całym swoim życiem miłość, w którą uwierzyła kiedyś!

Prawdą było jedno tylko: René zaślubił bogactwo, Rajmund zaślubił sławę.

Rajmund dobrze uczynił. Uczciwa dziewczyna, z rodu rycerskiego i biedna, była właśnie taką żoną, jakiej potrzebował.

To nie była Noris. Rajmund dobrze uczynił.

Wdzięczna mu jednak była, że nie zapomniał o niej, o biednej Noris, wobec obowiązkowej radości.

Myślał więc o niej, ponieważ odesłał jej dawne relikwie, myślał więc!

Wsunął zwiędłe fijołki w kopertę, jak w całun, ale gdy jej dotykał, widział zapewne, tak jak ona widziała, ten piękny dzień majowy, gdy na słońcu w Wersalu dzielili się temi kwiatkami.

A przytem napisał na adresie jej imię, nazwał ją jeszcze raz Zuzanną!

Teraz nikt, nikt nie będzie jej nazywał inaczej, jak Noris.

Po chwili wstała z wolna i zbliżywszy się do szuflady, odnalazła w portfelu bukiet zeschniętych kwiatów. Przechodząc, rzuciła zażalonym wzrokiem na portret starego Férauda. Ujęła fijołki bez barwy, bez zapachu, bractisków tych, które jej Rajmund odesłał, i ucałowawszy je po raz ostatni — jedne i drugie, i te, które sama schowała, i te, które on rzucił na pastwę zapomnienia — i złożyła je na ogniu, który je objął szybko i wesoło, wesoło, że może zamienić w popiół to, co było miłością:

I stojąc w swej czarnej sukni, w żałobie po wszystkich fantazyach, Noris, chwiejąc się, patrzyła na pożar jednorocznych fijołków!

Jeden rok! Wiek cały!

Łza stoczyła się po jej twarzy bladej jak marmur.

Teraz to, teraz córka Férauda mogła powtórzyć swoją dewizę:

— Przeżyłam samą siebie!

Nieruchoma, bezmyślna, Noris stała tak, patrząc na ogień, na węgle, na popiół, gdy w tem, znowu zastukano do drzwi.

Nie słyszała na bruku ulicy turkotu powozu, zajeżdżającego przed pałac.

Odwróciła głowę, podniosła czoło, poprawiła włosy i jakby budząc się ze snu, spytała:

— Kto tam?

We drzwiach stanął lokaj z głębokim ukłonem.

— Jego Wysokość, proszę jaśnie pani!

Jaka Wysokość? O kim to jej mówiono? Wysokość?

— Ach! Wielki Książę!.. — Ozwała się głośno:

— Sądziłam, że jest w Londynie!

Lokaj stał na progu, czekając na rozkazy w postawie pełnej szacunku.

Wtedy, w osamotnieniu kobiety upadłej, otoczona widmami tych szczęśliwców, którzy unieśli po świecie szczątki jej samej, jej nadziei, jej wiary; — opuszczona, skazana, nie mając innej życzliwości, oprócz przyjaźni z przyzwyczajenia od tego magnata, którego nie kochała, ale który litował się nad nią i szanował ją, nie broniła się nawet, oddała na pastwę losu wszystko, co jej zostało z młodości bez zachwyków, i zrezygnowana, zgnębiona, żywa nieboszczka,

Noris popatrzyła przez chwilę na lokaja i głosem przygasłym, niechętnym, znużonym rzekła:

— A no! Proś!...

Koniec.